

PIERS ANTHONY

Pęknięta nieskończoność

Tłumaczyła Sylwia Twardo

Tytuł oryginału Split Infinity

Rozdział 1

ZJEŹDŹALNIA

Szedł pewnie i prawie wszyscy ustępowali mu z drogi. Kiedy zmieniał kierunek, jakby przypadkiem robiono mu przejście; gdy patrzył komuś w oczy, pochylano głowę w dyskretnym geście ukłonu. Jak wszyscy tutaj, był niewolnikiem; chodził nago i nie miał przy sobie niczego, co wskazywałoby, że jego społeczny status jest odmienny. Prawdę mówiąc, jawne okazywanie mu szacunku stanowiłoby przejaw złego tonu. A jednak był tutaj kimś. Nazywał się Stile.

Miał półtora metra wzrostu i ważył pięćdziesiąt kilogramów. Według dawnych rachub mierzyłby cztery stopy i jedenaście cali, a wagę jego określono by na prawie sto osiem kamieni, albo - jeszcze inaczej - miałby około piętnastu dłoni i stu dziesięciu funtów. Znajomi mężczyźni przerastali go o pół metra i ważyli po dwadzieścia pięć kilogramów więcej.

Był sprawny, ale nie miał rozwiniętej muskulatury; o miłej powierzchowności, ale nie przystojny. Nie był wylewny w kontaktach z przyjaciółmi; posiadał ich niewielu i nie starał się tego zmienić. Cechowała go jednak ogromna ambicja.

Spacerował po Sali Tabel w Pawilonie Gry - swoim ulubionym miejscu. Gdzie indziej nie cieszył się takim szacunkiem. Rozglądał się w poszukiwaniu godnego siebie rywala, ale o tej porze nie było to łatwe. Pary graczy zajmowały budki tworzące nieregularny obwód Pawilonu.

Łagodny, chłodny i pachnący kwiatami powiew wpadał przez otwory wentylacyjne w suficie, a sztuczne słońce rzucało blask, wywołując bogatą grę cieni.

Stile zatrzymał się na skraju. Pragnął uniknąć przypadkowego wyboru. Lepiej będzie jeśli ktoś rzuci mu wyzwanie.

Zauważył wpatrującą się w niego młodą kobietę. Była, jak wszyscy tutaj, naga, lecz wyjątkowo piękna. Stile odwrócił oczy udając, że jej nie widzi; w towarzystwie dziewcząt czuł się niepewnie. Dziewczynę zaczął wysoki chłopak.

- Zagrasz, mała?

Odprawiła go stanowczym gestem i nadal zmierzała w stronę Stile'a. Następny sygnał nadało dziecko:

- Zagramy, proszę pani?

Kobieta uśmiechnęła się i znów odmówiła, tym razem łagodniej. Stile obserwował tę scenę z rozbawieniem; dziewczyna najwyraźniej nie знаła tego chłopca. Był to Pollum ze Szczebla Drugiego Drabiny Dziewiątej. Nie dorównywał klasą Stile'owi, ale reprezentował niezły poziom. Gdyby przyjęła wyzwanie tego malca, prawdopodobnie czekałaby ją przegrana.

Niewątpliwie jednak rozpoznała Stile'a, który teraz dyskretnie ją obserwował. Była średniego wzrostu – o kilka centymetrów wyższa od niego – a jej sylwetka odznaczała się harmonią kształtów. Miała pełne, jędrne piersi, poruszające się wymownie przy każdym kroku i długie, smukłe nogi. Na innych planetach kobieca nagość skrywana była pod odzieżą, a wiele kobiet stosowało różne zabiegi poprawiające wygląd. Ta jednak, zbliżająca się do niego, nie musiała niczego ukrywać.

Wreszcie znalazła się przy nim.

- Stile – szepnęła.

Odwrócił się, udając zaskoczonego i skinął głową. Jej twarz była tak piękna, że na chwilę zaparło mu dech. Miała wielkie, zielone oczy i brązowe włosy z jasnymi pasemkami, swobodnie rozsypujące się na ramionach. Rysy jej twarzy były regularne i posiadały te specyficzne cechy i proporcje, które najbardziej do niego przemawiały, chociaż nie potrafiłby sprecyzować dlaczego. Opanowała go taka nieśmiałość, że nie był w stanie wykszusić ani słowa.

- Nazywam się Sheen – przedstawiła się – i chciałabym wyzwać cię do Gry.

Nie mogła należeć do czołowych graczy. Stile znał z widzenia i rozpoznawał wszystkich liczących się zawodników w każdej grupie wiekowej. Nigdy wcześniej jej nie spotkał. Musiała więc być amatorką, grającą od czasu do czasu, biegłą w niektórych dziedzinach, ale w żadnym wypadku nie była poważną zawodniczką. Jak na kogoś zajmującego się sportem, miała zbyt obfite kształty; kobiety przodujące w lekkiej atletyce, grach w piłkę i pływaniu miały małe piersi i były szczupłe, a taki opis nie pasował do Sheen. Tak więc w dziedzinach wymagających kondycji fizycznej nie mogła stanowić zagrożenia.

Była za to piękna, a on z wrażenia nie mógł wydobyć z siebie głosu. Skinął więc głową na zgodę. Ujęła go pod ramię poufałym gestem, który przyprawił go niemal o szok.

Stile oczywiście znał kobiety; pojawiały się przy nim zwabione towarzyszącym mu rozgłosem, a jego nieśmiałość dodawała im odwagi. Żadna z nich nie była jednak tak delikatna jak Sheen, która z pewnością nie musiała zabiegać o męskie towarzystwo – wręcz przeciwnie. Mimo to udawała, że to on ją znalazł i zdobył. Może i tak było? Jego sprawność i sukcesy w Grze mogły wyrzucić na niej na tyle duże wrażenie, że się nim zainteresowała. Nie

lubił jednak takich znajomości. Kobiety tego pokroju zajmowały się zarówno biegłymi w grze nastolatkami jak i starcami.

Znaleźli wolną kabinę. Jej środek zajmowała kolumna mająca po przeciwległych stronach tablice świetlne. Stile stanął z jednej strony, a Sheen z drugiej, a gdy obciążyli owalne płyty w podłogę, tablice zapaliły się. Kolumna nie była wysoka, więc Stile widział przed sobą twarz uśmiechniętej, miłej dziewczyny.

Zażenowany tą manifestacją koleżeństwa, Stile opuścił wzrok na swoją tablicę, chociaż doskonale wiedział, co pokazuje. U góry znajdowały się cztery kategorie: Fizyczne, Umysłowe, Losowe, Umiejętność, a po lewej stronie w dół biegły słowa: Nago, Narzędzia, Maszyna, Zwierzę. Dla uproszczenia symbole te były oznakowane literami i cyframi: 1 - 2 - 3 - 4 poziomo i A - B - C - D pionowo. Teraz zapalone były cyfry. Tabela wskazywała, że on ma pierwszeństwo wyboru.

GRA: TABELA PODSTAWOWA

	1.Fizyczne	2.Umysłowe	3.Losowe	4.Umiejętność
A. Nago				
B. Narzędzia				
C. Maszyna				
D. Zwierzę				

Stile popatrzył badawczo na Sheen. Teraz, gdy stała się jego przeciwniczką w Grze, nabrał wobec niej śmiałości. Poczul lekkie naprężenie skóry, przyspieszenie tętna, rozjaśnienie myśli i nieznaczne parcie na pęcherz, zapowiadające napięcie i wysiłek związany z walką. Niektórym ludziom objawy takie uniemożliwiają branie udziału we współzawodnictwie, ale dla niego były to cudowne doznania, które pociągały go z nieodpartą siłą. Żył dla Gry. Nawet teraz, gdy jego przeciwniczką była urocza dziewczyna, której jędrne

piersi jaśniały dla niego nad kolumną.

O czym ona teraz myśli? Czy naprawdę sądzi, że zdoła go pokonać, czy po prostu poszukuje nowych doświadczeń? Czy założyła się z kimś, czy może była fanką szukającą przygód? Jeśli chciałyby wygrać, to powinna wybrać Umiejętność, najlepiej Umysłową i na pewno unikałyby Fizycznej. Gdyby chodziło o zakład, wybrałyby Gry Losowe, bo to nie wymagałoby od niej większych umiejętności. W przypadku treningu każdy rodzaj zawodów będzie dla niej jednakowo dobry, a fanka na pewno zdecyduje się na Fizyczne.

No, ale to nie ona teraz miała wybierać, lecz on, a jego decyzja jest częściowo uzależniona od tego, jak oceni jej zamiary i możliwości. Musi podążyć za jej myślami i wybrać to, co jej najmniej odpowiada, aby uzyskać przewagę.

Zastanawiał się. Prawdziwy zawodnik preferowałby Nago, bo to stanowiło istotę Gry - poleganie wyłącznie na własnych umiejętnościach. Osoba trenująca jakąś dyscyplinę będzie dążyła do jej wyboru i trudno tu coś przewidzieć. Ktoś, kto się założył, pragnąłby rywalizować Nago, bo to należało do reguł. Fanka też wybrałaby Nago. Jest to więc decyzja najbardziej prawdopodobna.

Dotknął Fizyczne, przesuwając dłoń nad panelami w taki sposób, żeby nie zauważyła, co wybrał.

Tak jak przypuszczał, podjęła decyzję już wcześniej. Byli w 1A - Fizyczne/Nago.

Pojawiła się druga tabela. Poziomo widniało na niej: 1. Indywidualnie, 2. Interakcja, 3. Walka, 4. Współpraca, a pionowo: A - Teren płaski, B - Teren zróżnicowany, C Nieciągłość, D - Płyn. Podświetlone były tylko litery. Stile miał teraz możliwość wyboru kategorii pionowej. Nie kwapił się do pływania albo ćwiczeń na poręczach, więc dwa ostatnie punkty odpadały. Był znakomitym biegaczem długodystansowym, ale wątpił, żeby Sheen na to poszła, co wykluczało teren płaski. Wybrał więc B - Teren zróżnicowany.

Ona zaś wcisnęła 1 - Osobno. A więc jednak nie fanka. Czekał ich jakiś rodzaj wyścigu, w którym nie będą mieć bezpośredniego kontaktu, oprócz sytuacji wyjątkowych. Nieźle. Przekona się, ile jest warta.

Teraz tablica wyświetliła listę terenów zróżnicowanych. Stile znów rzucił okiem na Sheen. Wzruszyła ramionami, więc wybrał jedynekę - Labirynt. Gdy dotknął panelu, opis pojawił się w pierwszym okienku dziewięcioczęściowej tabeli.

Sheen wybrała dwójkę - Szklana Góra. Napis pojawił się w drugim okienku.

W trzecim Stile umieścił Piaskową Zjeżdżalnię. Następnie wybrali kolejno: bieg przełajowy, chodzenie po linii, wydmy, śliskie wzgórza, śnieżny brzeg, skałę wapienną. Trzecia tabela została zapełniona.

Teraz on musiał wybrać jedną z kolumn, a ona jeden z rzędów. On zdecydował się na trzecią, a ona na pierwszy i w ten sposób ostatecznie doszli do konkurencji: Piaskowa Zjeżdżalnia.

- Poddajesz się? - zapytał Stile, przyciskając odpowiedni panel.

Miała piętnaście sekund na to, żeby zaprzeczyć lub zrezygnować z gry.

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie. - Nie.

- Remis? - Nie.

Wcale nie oczekiwał, że się zgodzi na którąkolwiek z propozycji. Zawodnik poddawał się tylko wtedy, gdy strona przeciwna miała nad nim tak oczywistą przewagę, że gra nie miała sensu. Na przykład: jeśli wybrano szachy i jeden z przeciwników był arcymistrzem, a drugi jeszcze nie nauczył się nawet podstawowych ruchów, albo kiedy wyselekcjonowaną dyscypliną okazało się podnoszenie ciężarów, a rywalizować miało dziecko z kulturystą. Piaskowa Zjeżdżalnia stanowiła niewinną rozrywkę, przyjemność, nawet bez elementu rywalizacji dla wszystkich oprócz osób cierpiących na lęk wysokości. Ale nikt taki nie wybrałby tej kategorii gier.

Jej reakcja okazała się nietypowa. Zgłosił swoje propozycje dla żartu i spodziewał się, że zostaną stosownie potraktowane. Ona jednak wzięła je na serio. Oznaczało to, że zależało jej na współzawodnictwie bardziej, niż to okazywała.

Jednakże nie był to przecież mecz Turniejowy! Gdyby była kompletnym zerem, zaakceptowałyby porażkę i miała spokój, albo zgodziłaby się na remis i mogłaby się przechwalać przyjaciółkom, że zremisowała ze słynnym Stilem. Wydawało się więc, że nie znalazła się tu ani dla rozgłosu, ani z powodu zakładu, a jak już wcześniej ustalił, nie była fanką. Oczekiwała uczciwego współzawodnictwa.

Opuścili kabinę, zabierając bilety, które wyskoczyły ze szczeliny w aparacie. Pojedynczych osób nie wpuszczano do żadnej podgry; wszyscy musieli zaczynać od tabel i zgłaszać się w parach do wybranego stanowiska, gdzie podejmowano ostateczną decyzję. Dzięki temu ludzie, którzy nie traktowali Gry serio, nie zajmowali miejsca i nie przeszkadzali w autentycznych pojedynkach. Dzieci oczywiście brały udział w walkach na niby; dla nich Salonem Gier było ogromne wesołe miasteczko. Dzięki temu w miarę dorastania często stawały się coraz bardziej zagorzałymi wielbicielami Gry i szalały za nią także, osiągnąwszy wiek dojrzały. Tak właśnie było w przypadku Stile'a.

Piaskowa Zjeżdżalnia znajdowała się pod inną kopułą, więc pojechali tam kolejką podziemną. Okrągłe drzwi otworzyły się i wpuściły ich do przytulnego wnętrza. Było tam kilku pasażerów. Trzech mężczyzn w średnim wieku spoglądało na Sheen z nieskrywanym

podziwem, a mały chłopiec na widok Stile'a zawołał radośnie:

- Ty jesteś dżokejem!

Stile kiwnął głową. Nie miał kłopotów w kontaktach z dziećmi.

- Wygrywasz wszystkie gonitwy! - ciągnął mały. - Daję mi dobre konie - wyjaśnił Stile.

- Aha - powiedział ze zrozumieniem usatysfakcjonowany malec.

Teraz także trzech pozostałych pasażerów zwróciło uwagę na Stile'a, stał się dla nich równie interesujący jak dziewczyna, ale pojazd zatrzymał się, drzwi się otworzyły i znaleźli się u celu. Poszli w stronę Piaskowej Zjeżdżalni.

Panienska, która sprawdzała bilet Stile' a, posłała mu olśniewający uśmiech. Natychmiast go odwzajemnił, chociaż wiedział, że to bezsensowne - była robotem. Jej twarz, ręce i górna część tułowia wyglądały dokładnie tak samo, jak u prawdziwej dziewczyny; żaden zwykły śmiertelnik nie potrafiłby jej odróżnić od żywej kobiety. Ta doskonała imitacja kończyła się jednak na krawędzi biurka, dalej był to już tylko

mebel. Wyglądało to tak, jakby jakiś niebieski rzemieślnik zaczął rzeźbić ją w bloku metalu, ożywiając gotowe już fragmenty i porzucił w połowie niedokończone dzieło. Stile poniekąd jej współczuł - może miała prawdziwą świadomość i tęskniła za kompletnym ciałem? Co może czuć istota złożona z dwóch różnych części?

Podala mu skasowany bilet. Stile mimochodem ujął jej drobne palce.

- Kiedy kończysz pracę, ślicznotko? - zapytał, unosząc brew. Wobec maszyn nie odczuwał nieśmiałości. Zaprogramowano ją tak, by mogła odpowiadać na podobne pytania.

- Ćśś. Mój chłopak patrzy.

Wolną ręką wskazała robota znajdującego się obok. Była to para męskich, umięśnionych nóg zakończonych talią, służących do demonstrowania sposobu ubierania ochronnych szortów, wymaganych na Zjeżdżalni.

Stile popatrzył na siebie krytycznie.

- Z nim nie mam szans. Moje nogi ledwo sięgają do ziemi.

Dawny ziemski pisarz, Mark Twain, wymyślił to powiedzenie, a Stile używał go w stosownych sytuacjach.

Ujął Sheen pod ramię i ruszyli w stronę Zjeżdżalni. Pomyślał, że mogłaby zrobić jakąś uwagę na temat jego stosunku do robotów, ale ona jakby nic nie zauważyła. Trudno.

Zjeżdżalnię stanowiły kręte, rozdzielające się, to znów łączące się kanały. Znajdował się w nich piasek; czysty, nie wywołujący podrażnień, nierakotwórczy, składający się z neutralnych cząstek przezroczystego, bardzo śliskiego plastyku, który w takiej masie przypominał ciecz. Całość robiła duże wrażenie, przypominając spienione strumienie wody w

śluzie, albo jężory lawiny śnieżnej.

Założyli obcisłe szorty i maski z filtrem wymagane jako zabezpieczenie na Zjeździe. Piasek, wprawdzie nieszkodliwy, ale wciska się do wszelkich otworów, jakie posiada ludzkie ciało. Konieczność zakładania stroju ochronnego była jedyną rzeczą, jakiej Stile nie lubił w tej podgrze. Normalnie tylko Obywatele nosili ubrania, a niewolnicy mogli ubierać wyłącznie okrycia niezbędne do wykonania jakiejś pracy. W innym przypadku groziło im natychmiastowe zakończenie służby na Protonie.

Stile czuł się skrępowany. Sposób, w jaki szorty uciskały mu ciało, podniecał go, co było żenujące w towarzystwie takiej istoty jak Sheen.

Ona czuła się zupełnie swobodnie - zauważył to. Może nie zdawała sobie sprawy, że strój przyciągał uwagę do zasłoniętej części ciała?

Jak wielu innych niewolników, Stile dostrzegał pewien powab w ubraniu, zwłaszcza okrywającym pleć piękną. Poza tym symbolizowało ono wiele rzeczy, o których niewolnik mógł tylko marzyć.

Pojechali windą na szczyt Zjeździe. Tutaj, na samej górze, znajdowali się blisko przegrody zatrzymującej powietrze i ciepło. Przez jej migoczącą, przezroczystą powierzchnię widać było ponury krajobraz Protonu, pozbawiony jakiegokolwiek roślinności. Trującą atmosferę zasłaniały w oddali chmury smogu.

Zjeździe kontrastowała z tym widokiem. Składała się z sześciu kanałów opadających w dół, wykonanych z przezroczystego tworzywa. Każdy z nich wypełniony był do połowy osuwającym się piaskiem. Całość konstrukcji podświetlały kolorowe reflektory; raz czerwone, raz szaroniebieskie, a raz żółte. Z daleka płatanina kanałów przypominała niezwyklej piękności kwiat.

O ile ubranie wywoływało u Stile'a uczucie fizycznego i psychicznego skrępowania, o tyle widok z tego miejsca rekompensował mu wszystko. Przez chwilę podziwiał je z dużą satysfakcją.

W pojedynczych kanałach kolory sprawiały wrażenie dobranych przypadkowo, ale jako całość tworzyły zmienne formy róż, lilii, tulipanów, fiołków i gardenii. W stosownych momentach dyskretnie umieszczone rozpylacze rozprawadzały w powietrzu odpowiedni zapach. Było to dzieło prawdziwego artysty. Stile był tu już wielokrotnie, niezmiennie odczuwając podobną przyjemność.

Sheen nie zwracała najmniejszej uwagi na uroki otoczenia.

- Na miejsca – powiedziała, nastawiając starter. Włączał się zwykle w czasie do dwóch minut. Tym razem barierki otworzyły się prawie natychmiast i Sheen wskoczyła do

najbliższego kanału.

Zdziwiony jej sprawnością Stile poszedł w jej ślady. Pomknęli w dół szerokim, jaskrawozielonym łukiem, a potem pierwszą pionową pętlą barwy białej pod górę, zwalniając nieco pod samym szczytem. Potem znowu w dół, nabierając szybkości.

Sheen poruszała się sprawnie. Jej ciało, wyposażone w naturalne krągłości, dobrze dopasowywało się do kształtu Zjeżdżalni. Piasek gromadził się za nią, popychając ją do przodu. Stile podążał za nią, próbując odciąć jej zapas piasku, ale miała zbyt dużą przewagę i doskonale wykorzystywała swoje możliwości.

Znał jeszcze inne sposoby rywalizacji. Trasa przebiegała właśnie przez wzniesienie o ograniczonej grawitacji, zmniejszając prędkość. Przecinała ją inna droga, kończąca się korkociągiem. Stile skorzystał z niej, śmignął w dół i już był na prowadzeniu.

Sheen wykorzystała następne połączenie i znalazła się za nim, odcinając mu dopływ piasku. Pod tym względem Zjeżdżalnia wymuszała kontakt. Położenie Stile'a stało się kłopotliwe: tarł siedzeniem o goły plastik Zjeżdżalni. Bez piasku nie ma prędkości!

Położył dłoń na krawędzi kanału, dźwignął się i przerzucił na sąsiednią trasę. Manewr ten był niebezpieczny, niedopuszczalny dla amatorów. Tu Stile ponownie nabrał prędkości – ale stracił poprzedni rozpęd. Sheen podążyła jego poprzednią trasą. Wyprzedzała go, a byli już w połowie drogi.

Stile pojął, że to nie przelewki. Dziewczyna jest dobra!

Przeskoczył, lecz ona natychmiast przeniosła się do kanału, który przed chwilą opuścił, utrzymując przewagę. No, no!

Niewątpliwie ścigała się tu wiele razy i znała wszystkie sztuczki, a pod jej słodkimi krągłościami kryło się więcej siły i sprawności niż przypuszczał. Teraz jednak on zajmował lepszą trasę, a ponieważ w jeździe prosto w dół nie miał sobie równych – wyszedł na prowadzenie. Przeskoczyła, żeby odciąć mu piasek, ale zdążył jej uciec. Nim się zorientowała, ich drogi rozdzieliły się i Stile był bezpieczny.

Ukończyli wyścig w dwóch osobnych kanałach. Wpadli do kosza na mecie jedno po drugim, witani aplauzem obserwujących ich graczy. Był to piękny wyścig, jaki odbywa się tylko raz, albo dwa razy na dzień.

Sheen wstała i otrząsnęła się z piasku.

- Nie można mieć wszystkiego – stwierdziła spokojnie.

Walczyła jednak wspaniale. Znalazła się znacznie bliżej zwycięstwa, niż ktokolwiek inny walczący ze Stile'm w ostatnich latach.

Stile patrzył jak zdejmuje maskę i szorty. Wydawała mu się oszałamiająco piękna – o

wiele bardziej teraz, gdy wiedział, że jej ciało jest nie tylko kształtne, lecz również sprawne.

- Zdziwiasz mnie – powiedział.

Po takim wyścigu jego nieśmiałość była już dużo mniejsza.

Sheen uśmiechnęła się.

- Miałam taką nadzieję – odrzekła.

- O mało co nie wygrałaś – przyznał.

- Coś musiałam zrobić, żebyś mnie zauważył – odpowiedziała zalotnie.

Jeden z graczy zaśmiał się. Stile musiał mu zawtórować. Sheen udowodniła swoją wartość i teraz już wiedział, po co. Rywalizacja ułatwiła przełamanie lodów; konieczność sprostania wyzwaniu sprawiła, że miejsce nieśmiałości zastąpiła typowo męska pewność siebie.

Nawet nie musiał jej zapraszać.

Rozdział 2

SHEEN

Zachowywała się tak, jakby mieszkała z nim od dawna. Na konsolocie wyszukała zamówienie na lekki lunch, składający się z sałatki owocowej, chleba z proteiną i błękitnego wina. - Sporo o mnie wiesz - stwierdził Stile, gdy zaczęli jeść - ale ja nie wiem nic o tobie. Dlaczego... chciałaś, żebym zwrócił na ciebie uwagę?

- Jestem fanatyczką Gry. Mogłabym być w niej dobra, ale mam już mało czasu - tylko trzy lata - i potrzebuję nauczyciela. Najlepszego nauczyciela. Ciebie. Chcę osiągnąć taki poziom, żeby...

- ...dostać się do Turnieju - dokończył Stile.

- Mnie zostało tyle samo czasu. Ale są przecież inni. Jestem zaledwie dziesiąty w mojej grupie... - usiłował jakoś zakwestionować jej wybór, ale mu przerwała:

- Dlatego, że nie chcesz wcześniej uczestniczyć w Turnieju - odparła. - Wejdiesz do gry w ostatnim roku służby, bo kończy się ona z chwilą przystąpienia do Turnieju. Ale mógłbyś w każdej chwili awansować na pierwszy stopień w swojej grupie. Pięć najlepszych miejsc automatycznie zapewnia przecież...

- Dziękuję za informacje - powiedział Stile z lekką ironią.

Sheen nie zwróciła na to uwagi.

- Trzymasz się w drugiej piątce już od kilku lat, na tyle nisko, żeby nie awansować, gdyby kilku najlepszych graczy wypadło lub próbowało się wycofać, a na tyle wysoko, żeby wskoczyć do pierwszej piątki, kiedy tylko zechcesz. Jesteś jednym z najlepszych graczy w twoim pokoleniu...

- Przesada. Jestem dżokejem, a nie... - wtrącił, lecz nie pozwoliła mu dokończyć:

- ... i chcę się u ciebie uczyć. W zamian proponuję...

- Widzę - stwierdził Stile, muskając wzrokiem jej ciało. Jego początkowa niepewność zmieniła się teraz w przesadną śmiałość. Łączyła ich przecież Gra.

- Nie ma mowy, żebym zdołał nauczyć cię wszystkich umiejętności niezbędnych w poważnej rywalizacji, nawet gdybym miał na to sto lat, a nie trzy. Talent jest niezbędny, ale potrzeba też wieloletniej praktyki. Mógłbym prawdopodobnie doprowadzić cię do piątego stopnia w twojej grupie. Której? - 23 lata, grupa kobieca.

- Masz szczęście. Są tam zajęte tylko trzy stopnie w klasie turniejowej. Przy

odpowiednim postępowaniu uzdolniona osoba mogłaby zająć jeden z dwu pozostałych. Chociaż na Zjeździe poszło ci bardzo dobrze, nie jestem pewien, czy dasz radę. Nawet gdybyś zakwalifikowała się do Turnieju, twoje szanse na dalszy awans są znikome. Moje też nie są duże, dlatego korzystam z każdej okazji, żeby podwyższyć umiejętności. Wbrew temu, co powiedziałaś, jest co najmniej pół tuzina graczy lepszych ode mnie i drugie tyle tej samej klasy. Każdego roku czterech lub pięciu z nich awansuje do Turnieju, a reszta przenosi się do wyższych kategorii. To i ewentualny wpływ przypadku powodują, że mam szansę wygrania jak jeden do dziesięciu. A ty...

- Ależ ja nie liczę na to, że wygram! - zaprotestowała. - Gdybym jednak dostała się na odpowiednio wysoki stopień, żeby przedłużyć służbę o rok albo dwa...

- Mrzonki - odparł. - Obywatele kuszą nas takimi nagrodami, lecz tylko jedna osoba na trzydzieści dwie może zdobyć rok przedłużenia w ten sposób.

- Byłabym bardzo wdzięczna losowi za taką mrzonkę - powiedziała, patrząc mu w oczy.

Stile poczuł, że się łamie. Wiedział, że trudno o bardziej atrakcyjną kobietę i że rzeczywiście w Grze poszło jej nieźle. Sprawność fizyczna, która pozwoliła jej tak lekko i swobodnie zmieniać kanały na Zjeździe, przyda się także w innych konkurencjach. Trenując ją, spędziłby co najmniej dwa przyjemne lata; bardzo przyjemne.

W głębi serca odczuł jednak niepokój. Już kiedyś kochał, a po stracie drogiej mu osoby nigdy w pełni nie doszedł do siebie. Tune - westchnął w przyływie nagłej tęsknoty. Pod pewnymi względami Sheen mu ją przypominała.

A co go czeka po upływie tych trzech lat? Wszystko będzie skończone, gdy opuści Protona. Oczywiście będzie mógł prowadzić wygodne życie gdzieś w galaktyce, a może nawet uda się na potwornie zatłoczoną Ziemię. Prawdę mówiąc, najchętniej zostałby tutaj na zawsze. A skoro miał na to małe szanse, powinien jak najlepiej wykorzystać czas, który mu pozostał. Z tego, co mówiła, wynikało, że będzie musiała wyjechać mniej więcej wtedy, kiedy i on. Gdyby byli ze sobą na stałe...? To mogłoby być interesujące.

- Opowiedz mi o sobie - poprosił.

- Urodziłam się na pięć lat przed zakończeniem służby moich rodziców - zaczęła Sheen, nakładając sobie liść sałaty.

Jadła mało, jak większość kobiet.

- Dostałam pracę u Obywatelki, najpierw jako dziewczynka na posyłki, a potem opiekunka. Jako dziecko uwielbiałam Grę i byłam całkiem niezła, ale w miarę jak moja pracodawczyni starzała się, wymagała coraz więcej opieki, aż...

Wzruszyła ramionami, a lekki szum w głowie spowodowany wypitym winem pozwolił, by Stile lepiej ocenił wywołany tym gestem ruch jej piersi. O tak, oferta była kusząca, ale coś nie dawało mu spokoju.

- Nie brałam udziału w Grze przez siedem lat – ciągnęła – ale często oglądałam ją na ekranach u mojej pracodawczyni i doskonaliłam technikę i strategię w domu. Na polecenie lekarza moja pani zbudowała sobie salę gimnastyczną, lecz nigdy z niej nie korzystała. Miałam gdzie ćwiczyć. W zeszłym tygodniu pani zmarła, a ja dostałam wolne do końca inwentaryzacji jej majątku i przejęcia go przez spadkobierczynię. Ta jest kobietą cieszącą się dobrym zdrowiem, więc nie sądzę, żeby praca u niej okazała się ciężka.

Stile pomyślał, że sprawy przybrałyby inny obrót, gdyby spadkobiercą był młody i zdrowy mężczyzna. Niewolnicy nie mieli żadnych innych praw, poza prawem do ukończenia służby w dobrej kondycji fizycznej i umysłowej, a nikt zdrowy na umyśle nie opuściłby Protona o dzień wcześniej, niż było to konieczne. Niewolnicy i niewolnice mogli być konkubinami swoich państwa dla ich prywatnej lub publicznej rozrywki. Ich ciała stanowiły własność Obywateli. Tylko w ukryciu, bez pośrednictwa panów planety, między niewolnikami istniały prawdziwe związki. Tak jak teraz.

- Więc przyszedł do mnie – upewnił się Stile – żeby uzyskać ode mnie pomoc w zamian za twoje usługi?

- Tak.

Takie stwierdzenie było czymś zupełnie naturalnym. Niewolnicy nie mieli pieniędzy ani żadnej innej własności, nie mieli też władzy, więc status w Grze i seks stanowiły główne elementy przetargowe.

- Jestem skłonny spróbować, powiedzmy przez tydzień, a potem się zastanowię. Możesz mi się znudzić.

Z formalnego punktu widzenia, nie istniał powód do obrazy. Związki męsko-damskie między niewolnikami były z konieczności powierzchowne, chociaż pozwalano im nawet na zawieranie małżeństw. Stile przeżył już bolesną lekcję, z której zapamiętał, że nie należy liczyć na wierność. Mimo to spodziewał się usłyszeć, iż raczej to ona pierwsza będzie miała go dosyć.

Sheen jednak nie wydawała się zbita z tropu.

- W ramach moich przygotowań do Gry doskonaliłam się w sztuce zadowalania mężczyzn – odparła. – Zaryzykuję ten tydzień.

Uczciwa odpowiedź – pomyślał – ale czy nawet najgorzej traktowana niewolnica nie powinna okazać chociaż pozoru gniewu z powodu jego grubiaństwa? Mógł przecież

powiedzieć coś w stylu: “A jeśli nie będziemy do siebie pasować?” Wyraził to jednak o wiele brutalniej. Sheen zareagowała bardzo rzeczowo. Znowu coś mu nie pasowało. O co tu chodzi?

- Masz jakieś szczególne zainteresowania? – zapytał Stile. – Może muzyka?

- Tak, muzyka – potwierdziła Sheen. Zaciekawiał się.

- Wokalna? Instrumentalna? Mechaniczna? Zmarszczyła brwi.

- Instrumentalna. - Na czym grasz?

Spojrzała obojętnie.

- Aha, tylko słuchasz - domyślił się i zaraz dodał:

- Ja gram na kilku instrumentach, najchętniej drewnianych. Musisz opanować przynajmniej jeden, bo inaczej przeciwnicy w Grze będą mieli nad tobą łatwą przewagę.

- Masz rację - przyznała.

Co zrobiłaby, gdyby podczas niedawnego pojedynku wybrał Sztukę zamiast Fizycznych? Dzięki temu, że wcześniej preferowała Nago, musieliby rywalizować w dziedzinie piosenki, tańca lub opowiadania. Może umiała układać jakieś historyjki; niewykluczone, że posiadała niezbędną dozę wyobraźni...

- Zróbmy to porządnie - zmienił temat, wstając od stołu. - Mam strój...

Dotknął przycisku i ze szpary w ścianie wprost do jego rąk wypadł przejrzysty neglig.

Stile uśmiechnął się. W zaciszu mieszkania niewolnicy mogli nosić ubrania, byle dyskretnie. Gdyby jednak ktoś pojawił się na wideo lub pod drzwiami, Sheen musiałaby się ukryć albo zerwać z siebie strój - inaczej groziłaby jej kompromitacja. To jednak czyniło całą sytuację bardziej podniecającą.

Założyła ubiór w mgnieniu oka, a potem obróciła się, wprawiając w ruch wirowy materię dookoła swych nóg. Stile poczuł nieodparty przyływ podniecenia. Przygasił światło tak, że tkanina stała się nieprzejrzysta, zwiększając efekt. Ileż dla kobiety może znaczyć ubranie, tworząc cienie tam, gdzie przedtem ich nie było, i otaczając jej ciało tajemnicą!

Jednakże przez cały czas Stile'a coś gnębiło. Sheen jest piękna - racja - ale gdzie uroczy rumieniec wywołany pełną oczekiwania nieśmiałością? Dlaczego nie zapytała, skąd ma ten strój? Pożyczył go, a jego pan wiedział o tym. Ale ktoś, kto nie zdawał sobie sprawy z liberalnego stosunku jego pracodawcy do ulubionych niewolników, powinien odczuwać lęk na myśl, że Stile ukrywa zakazane ubranie. Sheen zaś wcale nie okazywała zaniepokojenia.

Teoretycznie nie łamali prawa, podobnie jak ktoś myślący o przestępstwie, ale go nie popełniający. Stile był wprawnym Graczem, czułym na niuanse ludzkiego zachowania, a z Sheen było coś nie w porządku. Ale co? Wszystko, co zrobiła lub powiedziała dawało się

wy tłumaczyć latami izolacji, na jaką była skazana opiekując się swoją Obywatelką.

Stile zbliżył się do Sheen, a ona czekała na niego niecierpliwie. Była niewiele wyższa od niego, więc nie miał trudności, żeby ją pocałować. Jej ciało było miękkie i uległe, a dotyk dzielącej ich tkaniny obudził w nim burzę zmysłów.

Pocałowała go, lecz wargi jej były obojętne i chłodne... I nagle wszystkie niepokojące go fakty połączyły mu się w całość; wszystko zrozumiał!

Zapał Stile'a przemienił się w gniew. Popchnął ją na sofę. Opadła lekko, jak gdyby ten rodzaj upadku był jej dobrze znany. Usiadł obok niej, wodząc dłońmi po jej biodrach prowokująco oddzielonych tkaniną. Zaczął nerwowo pieścić jej piersi, podwójnie podniecające pod neglizem. Nagie kobiety tak go nie podniecały, ale ubrana i to sam na sam...

Jego ręce poruszały się delikatnie i sprawnie, ale w mózgu panowała burza.

- Nigdy bym na to nie wpadł - stwierdził. Popatrzyła na niego.

- Na co, Stile? Odpowiedział jej pytaniem:

- Po co ktoś miałby przysyłać mi robota o ludzkich kształtach?

Nie okazała niepokoju.

- Nie mam pojęcia.

- Ta informacja powinna być w twojej pamięci. Potrzebuję wydruku.

Była nieporuszona.

- Jak odkryłeś, że jestem robotem? – Daj mi wydruk, to ci powiem.

- Nie mam prawa ujawniać moich danych.

- To będę musiał złożyć na ciebie donos do kontroli Gry – stwierdził spokojnie. – Robotom nie wolno konkurować z ludźmi, jeśli nie są bezpośrednio kontrolowane. Czy jesteś maszyną do Gry?

- Nie.

- No to obawiam się, że nie potraktują cię łagodnie. Zapis naszej Gry jest w komputerze. Jeśli złożę skargę, zostaniesz rozprogramowana.

Patrzyła na niego, nadal śliczna, chociaż już wiedział, że jest zaprogramowanym robotem.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił, Stile.

Jak silne było to jej elektroniczne pragnienie? W jakiej formie wyraziłaby swój protest w krytycznym momencie? Panowało powszechne przekonanie, że roboty nie mogą zrobić krzywdy istotom ludzkim, ale Stile wiedział swoje. Wszystkie komputerowe urządzenia na Protonie miały zakaz dokonywania czynów, które mogłyby być niebezpieczne dla Obywateli,

działania wbrew ich wypowiedzianym poleceniom oraz postępowania w sposób, który mógłby zagrozić dobru któregokolwiek z nich. Ale te ograniczenia nie dotyczyły niewolników. Normalnie roboty nie zwracały na nich uwagi, dlatego tylko, że ludzie ich po prostu nie obchodzili. Jeśli niewolnik przeszkodził robotowi w wykonywaniu obowiązków, mogła mu się stać krzywda.

Stile wszedł teraz w drogę robotowi o imieniu Sheen. – Sheen... – rzekł – od maszyna. Programował cię ktoś obdarzony specyficznym poczuciem humoru.

- Nie rozpoznaję humoru – odparła.

- Jasne. To cię zdradziło. Kiedy zaproponowałem ci remis na Zjeżdźalni, powinnaś była się z tego śmiać. To był dowcip. Zareagowałaś bez emocji.

- Emocje mam zaprogramowane jako oznaki miłości.

Oznaki miłości! Określenie rzeczywiście trafne w odniesieniu do robota - pomyślał z ironią.

- Ale nie samą miłość?

- Nie ma istotnej różnicy. Mam cię kochać, o ile mi na to pozwolisz.

Chwilowo widać nie zamierzała stosować przemocy. To dobrze, bo nie był wcale pewien, czy zdołałby uciec, gdyby go zaatakowała. Roboty miały zróżnicowane możliwości fizyczne, tak samo, jak intelektualne; wszystko zależało od ich przeznaczenia i poziomu zastosowanej techniki. Ten wyglądał na model bardzo nowoczesny, a więc naśladowujący postać i charakter człowieka do tego stopnia, że siłą nie powinien przewyższać zwykłej dziewczyny. Nie miał jednak żadnej pewności.

- Muszę dostać wydruk -- powiedział stanowczo.

- Powiem ci, jakie jest moje przeznaczenie, jeśli nie zdradzisz, kim jestem.

- Nie mogę ci zaufać. Próbowalaś zwieść mnie, mówiąc, że zajmowałaś się starą Obywatelką. Tylko wydruk da mi pewność.

- Po co wszystko psujesz? Moim zadaniem jest cię chronić.

- W twojej obecności czuję się bardziej zagrożony niż chroniony. Po co miałabyś mnie strzec?

- Nie wiem. Muszę cię kochać i chronić. - Kto cię wysłał?

- Nie wiem.

Stile dotknął przycisku ściennego wideo. - Z kontrolą Gry, proszę - rzekł.

- Nie! - krzyknęła Sheen.

- Rozmowa odwołana - powiedział Stile.

Najwyraźniej przemocy nie było w jej programie. Tutaj miał przewagę. Przypominało

to Grę.

- Wydruk - powtórzył.

Opuściła wzrok, a potem głowę. Lśniące włosy opadły jej na ramiona, zsuwając się powoli po negliżu.

- Dobrze.

Nagle zrobiło mu się przykro. Czy rzeczywiście jest maszyną? Miał wątpliwości, ale chciał to sprawdzić.

- Terminal jest tu - powiedział, dotykając innego miejsca na ścianie. W dłoni trzymał przewód zakończony wtyczką. Niewielu niewolników na Protonie miało bezpośredni dostęp do centralnego komputera, ale Stile był jednym z najbardziej uprzywilejowanych poddanych i takim pozostanie, dopóki zachowa ostrożność i będzie dobrze jeździł konno. - Gdzie? - zapytał.

Odwróciła głowę. Sięgnęła do prawego ucha, odsunęła włosy i nacisnęła płatek ucha. Ucho przesunęło się do przodu, odsłaniając gniazdko.

Stile włączył przewód. Ze szczeliny w ścianie natychmiast zaczął wysuwać się papier z wydrukiem, wypełniony liczbami, wykresami i schematami blokowymi. Stile, chociaż nie zajmował się komputerami profesjonalnie, posiadał sporą wiedzę na temat analizy programów, zdobytą dzięki przygotowaniom do Gry. Miał też doświadczenie w analizowaniu rozmaitych ważnych czynników wpływających na wyniki gonitw. Jego pracodawca pozwolił na to, bo chciał, aby Stile stał się jak najlepszym dżokejem; miał on bowiem nie tylko sprawne ciało, lecz także giętki umysł.

Czytając wydruk, aż gwizdnął z wrażenia. Był to najwyższej klasy komputer cyfrowo - analogowy, przypominający w działaniu ludzki mózg. Posiadał niezwykle skomplikowany system sprzężeń zwrotnych pozwalających mu uczyć się na podstawie doświadczeń i reprogramować w ramach naczelnej dyrektywy. W miarę rozwoju mógł ulepszać swoje możliwości. Krótko mówiąc - miał inteligencję oraz świadomość i stanowił największe z możliwych przybliżenie człowieczeństwa.

Stile szybko skoncentrował się na głównym elemencie: dyrektywie naczelnej. Robot może kłamać, kraść i zabijać

nie rozumiejąc, co czyni, ale nie może pogwałcić swojej naczelnej dyrektywy. Wybrał odpowiednie dane i wczytał je do komputera osobistego, aby dokonać analizy i streszczenia programu.

Informacja była prosta: brak zapisu pochodzenia, dyrektywa - chronić Stile'a, poddyrektywa - kochać Stile'a.

A więc powiedziała mu prawdę. Nie wie, kto ją wysłał i troszczy się tylko o jego bezpieczeństwo w sposób złagodzony przez miłość, która w tym przypadku pełniła funkcję niezbędnego dla robota zabezpieczenia. A więc maszyna darzyła go szczerym uczuciem. Mógł być tego pewien.

Stile wyjął wtyczkę, a Sheen, z lekkim drżeniem umieściła ucho na właściwym miejscu. Znowu nie różniła się niczym od człowieka. Jeszcze przed chwilą Stile był bezlitosny, ale teraz poczuł wyrzuty sumienia.

Przepraszam - powiedział. - Musiałem się upewnić.

Nie spojrziała mu w oczy.

- Zgwałciłeś mnie - odpowiedziała.

Miała rację. Działał wbrew jej rzeczywistej woli, zrobił to siłą, wymuszając udzielenie informacji. Istniało nawet fizyczne podobieństwo w tym określeniu: włączenie sztywnego zakończenia przewodu do intymnego otworu, wzięcie czegoś, co należało wyłącznie do niej.

- Musiałem się upewnić - zaczął się tłumaczyć. Jestem bardzo uprzywilejowanym niewolnikiem, ale tylko niewolnikiem. Po co miałby ktoś wysyłać kosztownego robota, żeby pilnował człowieka, któremu nic nie grozi? Nie mogłem dać ci wiary bez sprawdzenia, zwłaszcza, że to, co mi powiedziałaś na początku, okazało się nieprawdą.

- Zgodnie z programem mam się zachowywać jak prawdziwa dziewczyna! - wybuchnęła. - A prawdziwa dziewczyna chyba nie przyznałaby się, że zbudowano ją w warsztacie, co?

- No, tak... - przyznał. - Ale jednak...

- Najważniejsza jest moja naczelna dyrektywa. Mam oczarować jednego mężczyznę - ciebie, kochać go i zrobić

wszystko, żeby mu pomóc. Zostałam upodobniona do kobiety, którą kiedyś znałeś, na tyle, żebym stała się dla ciebie atrakcyjna...

- To się udało - przyznał.

- Spodobałaś mi się w chwili, kiedy cię tylko zobaczyłem, ale nie wiedziałem dlaczego.

- Przyszłam, żeby zaoferować ci wszystko, co mogę, a to nie mało. Założyłam nawet ten dziwny strój, którego nie chciałaby żadna żywa kobieta. A ty...?

- Zniszczyłem tajemnicę - dokończył Stile.

- Gdybym mógł zyskać pewność w jakiś inny sposób... - Prawdopodobnie inaczej byś nie potrafił. Jak każdy mężczyzna - stwierdziła.

Stile spojrział na nią zaskoczony. Odwracała twarz i nie patrzyła mu w oczy.

- Czy to możliwe, żebyś kierowała się emocjami? Ty, robot?

- Jestem tak zaprogramowana! - Racja.

Podszedł bliżej, żeby spojrzeć jej w twarz. Odwróciła się. Spróbował unieść dłonią jej podbródek.

- Zostaw mnie! - zawołała.

No, no. Niezły ten program - pomyślał. - Słuchaj, Sheen, przepraszam...

- Po co przepraszasz robota! Tylko idioci rozmawiają z maszynami!

- Zgadza się. Postąpiłem głupio, ale teraz proszę cię o wybaczenie.

Znów spróbował spojrzeć jej w oczy, a ona znów odwróciła głowę.

- Popatrz na mnie, do cholery! - wrzasnął.

Nie panował nad sobą. Jego zawstydzenie przemieniło się w gwałtowny gniew.

- Jestem tu po to, żeby ci służyć; muszę robić, co mi każesz - powiedziała, zwracając ku niemu twarz.

Oczy jej błyszczały, a policzki miała wilgotne. Człecopodobne roboty umieją płakać? Mogą robić prawie wszystko to, co człowiek. Temu widać zaprogramowano taką reakcję w odpowiedzi na sytuację, w której został skrzywdzony lub obrażony. Stile wiedział o tym, a jednak poczuł się zakłopotany. Ona rzeczywiście przypominała kobietę, którą niegdyś kochał. Dokładność, z jaką została zrobiona, świadczyła o przerażającej władzy, z jakiej mogli korzystać Obywatele. Nawet najbardziej prywatne i szczegółowe informacje mogły zostać w każdej chwili wydobyte z komputerowych rejestrów.

- Jesteś tu po to, żeby mnie strzec, a nie służyć mi, Sheen - powiedział łagodnie.

- Mogę cię chronić tylko wtedy, jeśli zostanę z tobą. A teraz, gdy już wiesz, kim jestem...

- Skąd tyle pesymizmu? Jeszcze cię nie odesłałem... - Po to, żebym mogła dobrze realizować swoją dyrektywę, miałam cię kochać i pragnąć. A teraz jest to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Po co się ze mną droczysz? Myślisz, że zaprogramowane uczucia są mniej wiążące niż ludzkie? Że elektrochemia bytu nieożywionego jest mniej ważna niż ożywionego? Że moje złudzenie świadomości jest słabsze niż twoja wiara w to, iż sam o sobie stanowisz? Istnieję dla jednego celu, a ty uniemożliwiłeś mi jego osiągnięcie, więc nie mam już po co istnieć. Dlaczego nie chciałeś zaakceptować mnie taką, jaka ci się wydawałam? Z czasem doszłabym do perfekcji.

- Nie odpowiadałaś na moje pytanie. - A ty na moje!

Stile musiał odczekać dłuższą chwilę, zanim się przystosował do nowej sytuacji. Ten robot był bardzo kobiecy

- No dobrze, Sheen. Odpowiem na twoje pytania. Dlaczego się z tobą drocę? Odpowiedź: Nie drocę się, ale nawet gdyby tak było, to nie po to, żeby ci sprawić przykrość.

Czy uważam, że twoje zaprogramowane uczucia są mniej ważne niż moje ludzkie doznania? Odpowiedź: Nie, muszę przyznać, że uczucie pozostaje uczuciem bez względu na to, skąd się wzięło. Niektóre z moich doznań są krótkotrwałe, nierozsądne i niewiele warte, ale nie zmienia to faktu, że nade mną panują.

Czy twoje złudzenie świadomości mniej znaczy niż moje, dotyczące wolnej woli? Odpowiedź: Nie. Jeśli myślisz, że masz świadomość, to znaczy, że ją posiadasz, bo na tym właśnie ona polega. Sprzężenie zwrotne samoświadomości. Nie mam wielu złudzeń, co do mojej wolnej woli. Jestem niewolnikiem, nad którym panuje pracodawca. Ponadto rządzi mną mnóstwo innych czynników, na które rzadko kiedy zwracam uwagę, na przykład: siła ciężenia, mój własny kod genetyczny czy nakazy społeczne. Moja wolność istnieje głównie w moim umyśle, tak samo jak twoja świadomość istnieje w twoim programie.

Dlaczego nie mogłem cię zaakceptować taką, na jaką wyglądałaś? Bo jestem dobrze wyszkolonym Graczem. Oczywiście nie jestem Graczem Wszechczasów, ale może uda mi się wpisać na listę czołowych graczy mojego pokolenia. Jestem skuteczny nie dzięki mojej budowie, ale dzięki temu, że myślę. Zadaję pytania, staram się zrozumieć moją własną naturę i wszystkich innych istot, które spotykam. Gdy odkrywam jakąś anomalię, staram się dojść jej przyczyny. Jesteś atrakcyjna, miła, stanowisz typ dziewczyny, który mam zakodowany jako ideał, nawet jeśli chodzi o wzrost. Na otoczeniu sprawiałoby złe wrażenie, gdyby moja kobieta była niższa ode mnie, a ja nie lubię wywoływać sensacji. Przyszłaś jednak do mnie, podając niewystarczające powody, nie śmiałaś się we właściwych momentach i, mówiąc ogólnie, nie reagowałaś typowo. Wydawało mi się, że wiele umiesz, ale gdy usiłowałem zgłębić twoje wiadomości, trafiałem na braki. Sprawdzałem cię bez konkretnych zamiarów, po prostu taki już jestem. Zapytałem cię, czy lubisz muzykę. Stwierdziłaś, że tak, ale gubiłaś się w konkretach. Jest to typowe dla sztucznej, zaprogramowanej inteligencji. Nawet najlepsze komputery osiągają zaledwie jeden procent ludzkich możliwości. Dobrze ustawiony robot może w kontrolowanej sytuacji dorównać inteligencją człowiekowi, bo ma natychmiastowy dostęp do szczegółowych i adekwatnych informacji. Człowiek jest inaczej zorganizowany; zapamiętuje szczegóły, które przesłaniają mu istotne fakty i ma dostęp do informacji tylko dzięki specyficznemu nastawieniu. Intelkt robota jest złudny, co szybko wychodzi na jaw. Umysł śmiertelnika jest jak dzika puszcza, pełen zapomnianych pojęć i nie do końca przemyślanych doświadczeń, dających naturalne schronienie instynktowi. Robot jest zdyscyplinowany i kulturalny, ale nie ma podświadomości, żadnych na wpół

zapomnianych wrażeń. Wie to, co wie, a jeśli nie ma zakodowanej informacji, to pozostaje ignorantem i te dwie sytuacje są od siebie wyraźnie oddzielone. Dlatego roboty nie posiadają intuicji i rzadko sięgają do swoich raz porzuconych myśli, aby czerpać z nich twórcze pomysły. Ty rozumujesz bardziej bezpośrednio i to właśnie obudziło we mnie podejrzenia. Nie mogłem więc zaakceptować pozorów, jakie stwarzałaś. Nie byłbym dobrym Graczem, gdybym dawał się tak łatwo nabrać.

Oczy Sheen rozszerzyły się.

- Odpowiedziałeś! - rzekła zdumiona.

Stile zaśmiał się. Wygłosił przecież cały wykład.

- Więc pytam jeszcze raz: dlaczego nie możesz ze mną zostać, by realizować swój program?

- Bo jestem maszyną. Inny mężczyzna może zadowoliliby się sztucznym tworem, doskonałą imitacją kobiety; dlatego właśnie buduje się takie jak ja, ale nie ty. Ty stoisz mocno nogami na ziemi. Ta sama przyczyna, która spowodowała, że domyśliłeś się mojej tożsamości, zmusi cię także do odrzucenia iluzji, jaką tworzę. Potrzebujesz żywej dziewczyny, a jak wiesz, ja nią nie jestem i nigdy nie będę. Nie zechcesz tracić czasu na rozmowę ze mną jak równy z równym.

- Przypisujesz mi zbyt wiele. Posługuję się inną logiką niż ty. Dowiedziałem się, że masz ograniczenia, ale to jeszcze nie znaczy, że nie warto z tobą rozmawiać.

- Nie musisz. Jesteś z natury uprzejmy, nawet dla maszyn, tak jak dla bileterki w Zjeżdżalni. Zdarzyło się to jednak w miejscu publicznym i nie trwało długo. Teraz nie masz po co się tak wysilać. Zobaczyłam cię w akcji i stwierdzam, że komputer wiedział o tobie bardzo niewiele i głupotą byłoby...

- Głupotą maszyny? - wtrącił.

- ...przypuszczać, iż mogłabym cię dłużej oszukiwać. Zasłużyłam na to, co mi zrobiłeś.

- Nie jestem taki pewien, Sheen. Przyszłaś do mnie bez złych zamiarów, ale z niewłaściwym programem.

- Dziękuję - odparła z istic nerobocia ironia.

- Przypuszczałam, że skorzystasz z tego, co zostanie ci zaoferowane, a teraz już wiem, że poszłam na łatwiznę. Co ja teraz zrobię? Nie mam dokąd wrócić, a nie chcę, żeby oddano mnie na złom. Mogłabym działać jeszcze przez wiele lat, zanim zużyją się moje części.

- Co ty mówisz? Przecież zostaniesz ze mną. Nie zrozumiała.

- Czy to jest dowcip? Czy powinnam się śmiać? - Mówię najzupełniej serio - zapewnił.

- Dlaczego?

- Zgodnie z twoją logiką, nie jestem rozsądny, ale istnieją jednak powody takiej decyzji.

- Żeby ci służyć? Możesz tego ode mnie zażądać, tak jak wymogłeś podanie wydruku. Jestem do swojej dyspozycji, ale zaprogramowano mnie do innych celów.

- Niewolnicy nie mogą mieć służących. Zgadzam się, abyś realizowała swoją dyrektywę.

- Ochrona i romans? To nielogiczne. Nie należysz do tych, którzy używaliby maszyny w którymkolwiek z tych przypadków.

Wyglądało jednak, że nabrała odrobinę nadziei. Stile zdawał sobie sprawę, że wyraz jej twarzy był rezultatem procesów cybernetycznych, lecz mimo to odczuł wzruszenie.

- Za wiele zakładasz z góry. Kiedyś będę oczywiście musiał sobie znaleźć kogoś z mojego gatunku. Ale w międzyczasie zadowolę się tobą, przynajmniej dopóki nie wykryję, co to za niebezpieczeństwo, przed którym masz mnie obronić.

Kiwnęła głową.

- To logiczne. Miałam udawać twoją dziewczynę i dzięki temu przebywać przy tobie przez cały czas, nawet gdy śpisz, strzegąc cię przed zagrożeniem. Jeśli będziesz udawał, że mnie akceptujesz w tej roli, będę mogła wypełnić moje zadanie przynajmniej w tym zakresie.

- Dlaczego mam udawać? Akceptuję cię taką, jaka jesteś.

- Przestań! - krzyknęła. - Nie masz pojęcia, co to znaczy być robotem! Być zrobionym na podobieństwo ideału i nie móc mu nigdy dorównać...

Teraz Stile odczuł przyływ gniewu.

- Sheen, zapomnij o logice i posłuchaj.

Usiadł obok niej na sofie i ujął jej dłoń. Palce Sheen zadrżały w sposób najzupełniej ludzki.

- Jestem niski, chyba najniższy ze wszystkich znanych mi ludzi. Fakt ten zatruwa mi życie od urodzenia. Gdy byłem mały, dzieci śmiały się ze mnie i nie chciały się ze mną bawić, bo nikt nie wierzył, że mogę się do czegoś nadawać. Różniłem się na niekorzyść tak znacznie, że mało kto zdawał sobie sprawę, iż może mi być z tego powodu przykro. Jeszcze gorzej było w okresie dojrzewania - żadna dziewczyna nie chciała chłopca niższego od siebie. Gdy dorosłem, problem stał się bardziej nieuchwytny, co być może jest jeszcze gorsze. Ludzie przykładają wielką wagę do wzrostu. W ich opinii przeznaczeniem wysokich mężczyzn jest przewodzenie, a niskich błazeństwa. W rzeczywistości niscy są zdrowsi, mają lepszą koordynację ruchów, żyją dłużej, jedzą mniej i potrzebują mniej przestrzeni niż wysocy. Z tego wszystkiego korzystam i częściowo dzięki temu jestem mistrzem Gry i

czołowym dżokejem. Ale niscy ludzie nie są traktowani serio. Moje zdanie nigdy nie znajdzie takiego poklasku jak opinia wysokiego mężczyzny. Gdy z kimś się spotykam i patrzę na niego, mój wzrok napotyka jego podbródek. Od razu wiadomo, że jestem gorszy. Wszyscy to wiedzą, a mnie samemu trudno jest nieraz w to wątpić.

- Ależ nie jesteś! - zaprotestowała Sheen. - A ty? No i co?

Milczała. - To nie ma nic wspólnego z obiektywizmem - ciągnął Stile. - Szacunek dla samego siebie jest subiektywny. Może opierać się na błahostkach, ale jest niezbędny jeśli chodzi o motywację. Powiedziałas, że nie mam pojęcia, co to znaczy nigdy nie dorównywać. A przecież i od ciebie jestem niższy. Rozumiesz to?

- Nie. Jesteś człowiekiem. Już się sprawdziłeś. Głupotą byłoby...

- Głupotą? Niewątpliwie. Ale oddałbym wszystkie moje osiągnięcia w Grze, a może także i duszę za to, żeby być wyższym o dwadzieścia centymetrów i stojąc przed kimś móc spojrzeć na niego z góry. Być może ciebie stworzono na wzór mojego ideału kobiety, ale ja odbiegam drastycznie od mojego ideału mężczyzny. Ty jesteś istotą racjonalną w ramach twego programu, a ja w głębi duszy jestem nierozsądnym zwierzakiem.

Poruszyła się, ale nie usiłowała wstać. Pod delikatną materią jej ciała było niesłychanie kuszące. Jakież to oczywiste, że stworzono ją po to, by pozbawić go rozumu, sprawić, by w zaślepieniu pragnął tylko ją osiąść! Wielu mężczyzn dałoby się z łatwością w ten sposób zwieść.

- Czy zamieniłbyś swoje małe ludzkie ciało - zapytała - na duże ciało człekom podobnego robota?

- Nie.

Nad tym nawet nie musiał się zastanawiać. - Więc nie jesteś ode mnie gorszy.

- O to właśnie chodzi. Wiem, co to znaczy być niesłusznie wyśmianym, odrzuconym i skazanym na niedorównywanie ideałowi, bez nadziei na poprawę sytuacji. To istnienie ideału powoduje cierpienie. Mógłbym przedłużyć moje ciało metodami chirurgicznymi, lecz ono jest zdrowe. To moja dusza cierpi.

- Ja nie mam duszy. - Skąd wiesz?

Milczała.

- Powiem ci - rzekł. - Po prostu to wiesz. Jest to częścią twojego światopoglądu. Taka wiedza nie podlega racjonalnym argumentom, więc mogę cię zrozumieć. Rozumiem wszystkich, którzy pragną czegoś, czego nie mają. Chcę im pomagać, chociaż zdaję sobie sprawę, że nikt im pomóc nie może. Oddałbym wszystko, co mam, za większy wzrost, chociaż wiem, że to szaleństwo i że nie przyniosłoby mi to żadnej korzyści. Ty zamieniłabyś

logiczne myślenie, urodę i odporność maszyny na ludzkie ciało i krew. Jesteś w gorszej sytuacji niż ja i oboje o tym wiemy. Dlatego przy tobie nie czuję się zagrożony, tak jak w towarzystwie człowieka. Prawdziwa dziewczyna miałaby nade mną przewagę; musiałbym się przy niej wykazać, udowodnić, że jestem jej wart. Ale z tobą...

- Możesz mnie zaakceptować, dlatego że jestem robotem - powiedziała Sheen ze zdziwieniem - i z tego powodu czymś gorszym od ciebie?

- Chyba się wreszcie zrozumieliśmy - Stile otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Jeśli chcesz mnie na takich warunkach... Odsunęła się.

- Robisz to z litości! Najpierw mnie zgwałciłeś, a teraz chcesz, żebym była tym zachwycona!

Puścił ją.

- Może i tak. Naprawdę nie zawsze sam siebie rozumiem, ale nie zmuszam cię, żebyś ze mną została. Mogę też dać ci spokój, jeśli chciałabyś zostać na takich warunkach. Pomogę ci nauczyć się odgrywać rolę człowieka tak, żeby inni się na tym nie poznali, tak jak ja.

- To wolę iść na złom.

Podeszła do ekranu wideo i dotknęła przycisku

- Poproszę kontrolę Gry.

Stile zerwał się z sofy i skoczył ku niej. Złapał ją za ramię i odciągnął.

- Rozmowa odwołana! - krzyknął w stronę ekranu. Sheen patrzyła na niego rozszerzonymi oczyma.

- Zależy ci - powiedziała zdumiona. - Naprawdę Stile otoczył ją ramionami i namiętnie pocałował.

- Chyba ci wierzę - powiedziała, kiedy było to już możliwe.

- Do diabła z tym, w co wierzysz! Możesz mnie nie chcieć, ale ja ciebie pragnę. Zgwałcę cię, jeśli zrobisz choć krok w kierunku wideo.

- Akurat. To nie w twoim stylu. Miała rację.

- Więc proszę cię, żebyś się nie poddawała - rzekł, uwalniając ją z objęć.

- Ja... - urwał, czując, że coś go dławi w gardle.

- Dzikie zwierzęta obudziły się w twojej puszczy i atakują? - zapytała.

- Tak - zgodził się ponuro.

- Źle się zachowałem z tym wydrukiem. Przepraszam. Wierzę, że masz świadomość, uczucia oraz prawo do prywatności i szacunku do siebie samej. Wybacz mi. Rób co chcesz, ale nie pozwól, żeby moje grubiaństwo zrujnowało twoje... - nie mógł skończyć. Nie chciał

powiedzieć "życie" i nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa.

- Grubiaństwo? - szepnęła z uśmiechem i zmarszczyła brwi.
 - Czy wiesz, że płaczesz, Stile? Dotknął palcem policzka i poczuł wilgoć.
 - Nie wiedziałem. Najwyraźniej teraz moja kolej. - Z powodu uczuć maszyny?
 - A czemu nie, do licha? Objęła go czule.
 - Myślę, że pokochałabym cię nawet bez programu. Kolejne złudzenie, oczywiście.
 - Oczywiście.
- Pocałowali się znowu. To był początek.

Rozdział 3

GONITWA

Rano Stile musiał zgłosić się w pracy u swojego pana. Podekscytowany pojawieniem się Sheen nie czuł zmęczenia; wiedział, że da sobie radę w popołudniowej gonitwie, a potem odpręży się - z nią u boku.

Sheen trzymała się cały czas blisko, jakby nie była pewna jego względów. W kolejce podziemnej panował tłok, musieli więc stać. Wolałby oczywiście siedzieć, bo wtedy jego niski wzrost nie utrudniał mu podróży. Inni pasażerowie przewyższali Stile'a o głowę i mimowolnie napierali na niego. Jeden z nich spojrzał z góry, uznał, że może go zlekceważyć i skoncentrował się na Sheen.

Odwróciła wzrok, ale obcy uparcie starał się do niej zbliżyć.

- Zjeżdżaj - mruknęła i zaborczo chwyciła ramię Stile'a.

Nieznajomy wycofał się zakłopotany. Nie wpadło mu do głowy, że ona może być w towarzystwie takiego karzełka. Jechali teraz nad ziemią. Stali tuż przy ścianie kabiny.

Stile ujął Sheen za rękę i wyjrzał. Kabina była przezroczysta i doskonale widać było przez nią martwy krajobraz Protona. Przypomniawszy sobie dzień wczorajszy, gdy patrzył na niego ze szczytu Zjeżdżalni. Od tamtej chwili w życiu Stile'a wiele się zmieniło, ale Proton pozostał ten sam. Był niezdatny do zamieszkania poza kopułami utrzymywanymi na powierzchni za pomocą pól siłowych. Ciężenie na planecie wynosiło około dwóch trzecich przyciągania ziemskiego, więc musiało być zwiększane wewnątrz kopuł. Dzięki temu można było łatwo zmieniać ich położenie. Powodowało to stopniową degradację naturalnego środowiska, a od czasu, gdy atmosferę zatrąły wyziewy z kopalni protonitu, świat na zewnątrz kopuł zamienił się w pustynię pozbawioną jakichkolwiek form życia.

W peryferyjnej kopule następny facet zwrócił uwagę na Sheen.

- Hej, mały! Ile za nią chcesz? - zawołał.

Stile pozostawił to bez odpowiedzi, ale Sheen nie darowała. - Nic z tego - jestem robotem! - odkrzyknęła. Odpowiedź była bardzo dowcipna. Żadnego niewolnika nie byłoby stać na człekopodobnego robota i to nawet wtedy, gdyby dostał na niego pozwolenie i miał dostęp do swoich pieniędzy.

W Sali Gier Stile czuł się o wiele lepiej. Tam ludzie patrzyli na niego z szacunkiem i zazdrością, nie tak jak tutaj, gdzie szyderstwo stanowiło nieomal nieodłączny element

każdego dowcipu.

W stajni Stile przedstawił Sheen kolegom.

Chłopcy stajenni popatrzyli na nią z podziwem i zazdrością. Górowali wzrostem nad Stilem, ale nie okazywali mu pogardy. Tutaj był kimś, podobnie jak w Grze.

Sheen przytulała się do niego zaborczo, pokazując wszystkim, że jemu poświęca całą uwagę i wszelkie uczucia.

Stile czuł, że to naiwne, ale rozpierała go duma. W ich oczach była niezwykle uroczą dziewczyną. Miewał już kobiety, ale nigdy takie piękne.

Pokazał jej konia, którym się opiekował:

- Oto Topór, najbardziej uparty i najszybszy wierzchowiec ze swego pokolenia. Dzisiaj na nim pojedę i zaraz muszę go sprawdzić. Jest bardzo kapryśny i nie można mu ufać. Umiesz jeździć konno?

- Tak.

- Oczywiście - pomyślał - na koniach zna się na pewno. - Pojedziesz na Molly - powiedział. - Już nie bierze udziału w wyścigach, ale jest niezła i Topór ją lubi.

Wezwał chłopca stajennego. - Osiodłaj Molly.

- Tak jest, Stile -- odpowiedział posłusznie.

Stile założył uzdę Toporowi, który chętnie pochylił głowę do jego rąk. Wyprowadził go ze stajni. Zwierzę było wielkim, ciemno umaszczonym ogierem pełnej krwi, o wiele wyższym od Stile'a, ale sprawiającym wrażenie łagodnego.

- Jest dobrze wyszkolony - zauważyła Sheen.

- Wyszkolony? Tak, ale nie ujeżdżony. Mnie słucha, natomiast wobec innych zachowuje się agresywnie. Jest wilki, silny, ma siedemnaście dłoni wysokości, to znaczy więcej niż jeden i trzy czwarte metra w kłębie. Tylko ja mogę go wyprowadzić.

Dotarli do siodlarni. Stile obejrzał głowę i pysk konia, przeciągnął palcami po gęstej grzywie, a następnie podniósł kolejno każdą nogę, żeby sprawdzić, czy w kopytach nie ma pęknięć lub kamyków. Oczywiście niczego nie znalazł. Poklepał Topora po muskularnym barku, otworzył szopę i wy dobył wyścigowe siodło, które umieścił na jego grzbiecie.

- Bez derki? - zapytała Sheen.

- Także bez popręgu i strzemion. Siodło jest tylko po to, żeby chronić konia. Ja utrzymam się na gołym grzbiecie. Pomyśl tylko, co by się stało, gdybym go obtarł...

- Twój pan byłby niezadowolony - dokończyła.

- Tak. On ceni sobie konie nade wszystko. Więc i ja też. Gdyby Topór zachorował, zamieszkałbym z nim w stajni. Zaczęła się śmiać, ale po chwili urwała.

- Nie jestem pewna, czy to dowcip.

- Nie. Mój los zależy od pana, ale nawet gdyby tak nie było i tak zostałbym z końmi.
Kocham je.

- A one ciebie - stwierdziła.

- Mamy dla siebie szacunek - zgodził się i ponownie poklepał Topora, a ten włożył mu pysk we włosy.

Pojawiła się Molly ze zwykłą uzdą, siodłem i strzemionami. Sheen dosiadła jej, ujęła cugle i czekała na Stile'a. On zaś wskoczył lekko na siodło. Był jednym z lepszych gimnastyków w Grze; potrafił również zrobić gwiazdę i salto na końskim grzbiecie.

Zwierzęta znały drogę. Najpierw szły stępą, potem kłusowały. Stile zwracał uwagę na każdy krok swego wierzchowca, wczuwając się w swobodną grę jego mięśni. Topór był pięknym koniem i miał doskonałą formę. Stile czuł, że dzisiejszego popołudnia z łatwością na nim powinien wygrać. Nigdy jednak z góry nie przesądzał wyniku gonitwy.

Prawdę mówiąc, nie czuł się dobrze przygotowany do wyścigu. Sheen zajęła mu sporo czasu. Na szczęście znał wszystkich konkurentów. Zwycięstwo Topora było niemal pewne.

Ścieżka treningowa wiała się pośród egzotycznych drzew: miniaturowych sosnogronów; sekwoi, świerków Douglasa oraz okazałych, obsypanych kwieciem krzewów. Sheen mijała je bez większego zainteresowania, dopóki Stile nie zwrócił jej uwagi:

- Te ogrody należą do najpiękniejszych na planecie. Każda roślina została sprowadzona prosto z Ziemi za niesłychane pieniądze. Każda zwyczajna dziewczyna byłaby zachwycona ich niezwykłością, bo rzadko która ma okazję je zobaczyć.

- Byłam... zbyt oszołomiona, żeby móc cokolwiek powiedzieć - rzekła Sheen, rozglądając się skwapliwie.

- Prosto z Ziemi? - zdziwiła się. - Dlaczego nie zostały wyhodowane ze standardowego materiału i zmutowane?

- Bo mój pan ma wyrafinowany smak. Dotyczy to zarówno roślin jak i koni. Pragnie posiadać autentyki. Oba nasze wierzchowce urodziły się na Ziemi.

- Wiedziałam, że Obywatele są bogaci, ale chyba nie doceniłam ich możliwości - stwierdziła. - Choćby sam koszt transportu...

- Zapominasz, że ta planeta posiada monopol na protonit - paliwo Wielkich Podróży Międzyplanetarnych.

- Jakże mogłabym zapomnieć! - popatrzyła na niego znacząco.

- Czy jesteśmy tu sami? - spytała po chwili. - Nie.

- Pozwól jednak, że o coś cię zapytam. Widzisz, ktoś mnie do ciebie przysłał, więc

musisz być w jakiś sposób

zagrożony. Czy nie sądzisz, że mogłabym być dla ciebie prezentem od twojego pracodawcy?

Stile strzelił palcami.

- Który nie pofatygował się, żeby mi o tym powiedzieć? Wiesz co, lepiej to sprawdzę, bo jeśli nie jesteś od niego... Kiwnęła głową.

- Wtedy jest to sprawka innego Obywatela. Jaki mógłby mieć powód, żeby cię chronić i przed czym? A jeśli to jakiś spisek? Och, Stile, ja nie chcę być sprawczynią...

- Muszę go spytać - powiedział stanowczo Stile, a potem odezwał się z szacunkiem:

- Panie.

Zapanowała cisza. Po chwili odezwał się ukryty w żywopłocie głośnik.

- Tak, Stile?

- 'Panie, podejrzewam zagrożenie z prawdopodobieństwem jak jeden do dwóch, skierowane przeciwko mnie albo twoim koniom. Czy mogę zadać pytanie?

- Słucham - w głosie niewidzialnego rozmówcy zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Panie, towarzyszy mi człekopodobny robot, zaprogramowany tak, żeby strzec mnie przed niebezpieczeństwem. Czy został on przysłany przez ciebie?

- Nie - padła odpowiedź.

- W takim razie uczynił to inny Obywatel. Przypuszczam, że któryś z konkurentów zakamufłował w ten sposób bombę...

- Nie! - zawołała z przerażeniem Sheen.

- Zabierz to od moich koni! - rozkazał Obywatel. - Sheen, zsiadaj i biegnij! - zawołał Stile - uciekaj od nas, aż wezwie cię straż.

Zeskoczyła z siodła i pobiegła między drzewami. - Panie - odezwał się znowu Stile.

- O co chodzi? - zniecierpliwienie rozmówcy wzrosło. - Proszę, niech się z nią obejdą łagodnie. Ona nic nie wie.

Cisza. Obywatel skoncentrował się teraz na działalności straży. Jeśli będzie to fałszywy alarm, zostanie zbesztany za to, że sprowadził tu Sheen bez sprawdzenia. Może jednak dziewczyna wróci w całości? Pracodawca zdawał sobie sprawę z roli, jaką odgrywa w zawodach psychika jeźdźca, podobnie jak Stile brał pod uwagę humor konia. Nie było sensu denerwować dżokeja przed gonitwą.

Ale jeśli Sheen rzeczywiście stanowiła zagrożenie? Mogła przecież mieć wmontowane jakieś materiały wybuchowe, o których nie wiedziała.

Czekał dziesięć minut. Konie niecierpliwiły się, wyczuwając jego zdenerwowanie.

Niewątpliwie postąpił głupio. Powinien był od razu spytać się pana, gdy tylko zrozumiał, że Sheen jest robotem. Gdyby nie zaślepienie uczuciem prawdopodobnie na to liczone - natychmiast zdałby sobie sprawę, że pułapka umieszczona w robocie obraca w niwecz naczelną dyrektywę chronienia go przed zagrożeniem. Sheen nie mogłaby go ustrzec przed nieoczekiwaną zagładą. A teraz naraził ją na kolejny gwałt...

- Jest czysta - stwierdził głos w głośniku. - Sądzę, że autorem tego żartu jest któryś z moich przyjaciół. Czy chcesz ją zatrzymać?

Tak, panie - Stile odczuł ogromną ulgę. Obywatel był nastrojony łaskawie.

Po chwili wśród roślinności pojawiła się Sheen. Wyglądała tak samo, ale gdy znalazła się przy nim, wybuchnęła płaczem.

Stile zeskoczył z konia i wziął ją w ramiona. Tulila się do niego zrozpaczona.

- To było straszne - wyszlochała. - Prześwietlili mnie, zdjęli mi głowę, rozłożyli na części moje ciało...

- Straż jest bardzo sprawna - zgodził się Stile. - Przecież złożyli cię z powrotem, wyglądasz dokładnie tak samo jak przedtem - dodał uspokajająco.

- Ależ skąd! Powtórne spawy są zawsze słabsze i chyba uszkodzili mi zasilanie - skarżyła się żałośnie. - Mówi

łam wczoraj o gwałcie, ale chyba nie zdawałam sobie sprawy, co to jest naprawdę!

To miało być łagodne obchodzenie się? Gdyby Stile nie wstawił się za nią i gdyby sam nie stanowił wartości dla Obywatela, Sheen poszłaby prosto na złom! Nikomu nawet nie przyszłoby do głowy zastanawiać się nad jej uczuciami. Kto by wpadł na to, że robot może ich doznawać? Szczęśliwie okazało się, że nie ma w niej żadnych niespodzianek, więc mu ją zwrócili. I tak miał szczęście.

- Dziękuję, panie.

- Wygraj tę gonitwę - usłyszał z głośnika.

No i proszę, nawet nie starał się udawać. Jeśli Stile nie będzie przydatny, też zostanie wyrzucony jak bezużyteczny przedmiot. Musiał wygrywać!

- Wstawiłeś się za mną - zauważyła Sheen, ocierając palcami oczy. - Uratowałeś mnie.

- Lubię cię - odparł bez wahania. - A ja ciebie Kocham. Stile, ja nigdy...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Po co rozmyślać o tym, co niemożliwe? Lubił ją i szanował, ale oboje doskonale wiedzieli, że człowiek o zdrowych zmysłach nie jest w stanie pokochać maszyny.

Wsiedli na konie i kontynuowali przejażdżkę pośród bujnej roślinności. Minęli uroczą, ozdobną fontannę z kamienną rybą, z której wypływał strumień i wzdłuż jego brzegu

pojechali w kierunku lśniącego stawu. Sheen zatrzymała się, aby przejrzeć się w wodzie i sprawdzić, czy nie została w jakiś sposób uszkodzona. Nie ufała umiejętnościom strażników.

- Dwa razy oskarżyłem cię fałszywie - powiedział Stile z poczuciem winy.

- Nie, Stile. Za drugim razem zrobiłam to sama. Oprócz zaprogramowanej dyrektywy nakazującej cię strzec, mogłam mieć przecież zamontowaną, czysto mechaniczną pułapkę, która zrobiłaby ci coś złego, albo mogłaby zagrażać Obywatelowi, gdyby znalazł się dostatecznie blisko. Trzeba było to sprawdzić!

- Mimo to jestem winien - stwierdził. - Wprawdzie jesteś maszyną, ale dotyczą cię pewne prawa etyczne, nawet jeśli nie są spisane w żadnym kodeksie. Niepotrzebnie zostałaś tak potraktowana. Gdybym wykazał się dostateczną czujnością, nie wpuściłbym cię na teren posiadłości mojego pana, dopóki... - przerwał, szukając stosownych słów. - Nie musiałabyś przez to przejść, gdybym był bardziej przewidujący.

- Na pewno nie - zgodziła się. - Masz miły zwyczaj dbania o zwierzęta i maszyny - dodała, uśmiechając się blado.

Po chwili opanowała się i wskoczyła na grzbiet Molly.

- Hej! Galopem!

Ruszyli. Konie ogarnął duch współzawodnictwa z cwału przeszły do pełnego galopu, udając, że się ścigają. Napięcie związane z poszukiwaniem bomby minęło i teraz musiały wyładować nadmiar energii. Mijali kwietne arkady i zagajniki - cudowny, miniaturowy świat pod kopułą, ale już nie zwracali na niego uwagi. Przez chwilę byli wolni wszyscy czworo - pędząc przez swój własny świat, w którym w doskonałej harmonii istnieli tylko oni: kobieta i mężczyzna, ogier i klacz. Cztery istoty, zmierzające do tego samego celu.

Zakończyli należną koniom porcję ćwiczeń i Stile przekazał je stajennemu.

- Przejdź się jeszcze trochę z Toporem - poprosił. Jest w dobrej formie, ale dzisiaj bierzemy udział w gonitwie, a Molly daj coś dobrego, sprawiła się znakomicie - dorzucił na zakończenie.

- To wszystko? - spytała Sheen, gdy wyszli. - Masz teraz wolne?

- Dopóki wygrywam, mój czas należy do mnie - powiedział. - Koń jest gotowy - mam duże szanse na wygraną. Może nawet nie dostanę reprimendy za niedbałość, chociaż Obywatel wie, że zdaję sobie sprawę, iż na nią zasłużyłem. Teraz ja muszę przygotować się do zawodów.

- A w jaki sposób?

- Zgadnij? - zapytał, ściskając jej dłoń.

- Czy jest to zgodne z przepisami? - To zależy, jakie są przepisy.

- Wiesz, twoje mi się podobają. Ale normalnej dziewczynie byłoby trudno je zaakceptować.

Parsknął śmiechem. Przecież doskonale wiedziała, że w jego życiu normalne dziewczyny nigdy nie gościły zbyt długo, a już na pewno z nim nie zamieszkiwały.

W domu Sheen zajęła się toaletą. Teraz, gdy już nie musiała udawać, przestała jeść, ale musiała pozbyć się tego, co spożyła wcześniej. Proces ten wyglądał tak samo, jak u ludzi, poza tym, że jedzenie nie było strawione. Przeplukała się, wypijając najpierw kilka litrów wody, a potem płyn dezynfekujący. Stała się czysta w pełnym tego słowa znaczeniu. Wody potrzebowała tylko do uzupełnienia zbiorniczka łez, nie pociła się.

Stile wiedział to wszystko, bo trochę znał się na robotach, nie chciał jednak niepotrzebnie niszczyć jej poczucia człowieczeństwa przez zadawanie zbędnych pytań. Mogła przebywać na osobności, kiedy tylko chciała, tak jak prawdziwa kobieta. Zastanawiał się jednak przez moment, dlaczego strażnicy złożyli ją wraz z jedzeniem? Pewnie zajmowali się tylko częściami metalowymi, zostawiając w spokoju tkanki miękkie i nie tykając wnętrzości.

Coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że to nie z człowiekiem ma do czynienia. Bardzo ją lubił, ale wiedział, że z czasem wygaśnie jego fascynacja tego rodzaju maszyną.

Próbował to przed nią ukryć, lecz daremnie.

- Czas, jaki spędzimy razem, jest krótki - powiedziała.

- Pozwól mi śnić, dopóki mogę - odrzekł.

Stile przytulił ją. Wiedział, że tylko w ten sposób może złagodzić cierpienie Sheen związane z jej nieuniknioną tragedią.

Po południu udali się na tor wyścigowy. Były tam stajnie kilku Obywateli, którzy przy pomocy wideo i hologramu mogli w każdej chwili obserwować gonitwy. Stile nie wiedział,

jakiego rodzaju zakłady zawierali między sobą. Jego zadaniem było wygrać wyścig i to właśnie miał zamiar dzisiaj zrobić.

Trybuny wypełniali niewolnicy. Nie mieli pieniędzy, żeby się zakładać, ale mogli stawiać na szalę swój prestiż albo oferować przysługi, tak samo jak w Grze. Niewolnicy Obywateli hodujących konie byli zazwyczaj zwalniani z zajęć na wyścigi i oczywiście dopingowali wierzchowce należące do ich pracodawców. Na Protonie wyścigi konne należały do głównych atrakcji.

- Może wolałabyś patrzeć z trybuny? - zaproponował Stile.

- Dlaczego? Nie wolno mi podchodzić do zwierząt? spytała Sheen.

- Wolno, jeśli jesteś ze mną. Ale chłopcy lubią sobie poartować.

Wzruszyła ramionami. Robiła to znakomicie, przy okazji wprawiając w ruch zgrabne piersi.

- Nie będą mogła cię chronić przed zagrożeniem, jeśli wyślesz mnie na trybunę - zauważyła.

- Tylko proszę, nie zapominaj się rumienić - powiedział, zmieniając temat.

Topór czekał już osiodłany. Zarżał cicho na widok Stile~a. Widać było łączącą ich sympatię. Stile przemawiał do konia przez kilka minut, przebiegając dłońmi po silnej muskulaturze, sprawdzając zapięcia i kopyta. Wiedział, że wszystko jest w porządku. Robił to tylko po to, żeby uspokoić ulubieńca, który mógł się płoszyć w napiętej atmosferze.

- I tę gonitwę wygramy, stary - szeptał melodyjnie, a uszy konia obracały się w kierunku głosu człowieka.

- Tylko bądź grzeczny, spokojny i zostaw te wszystkie koniki za sobą - przemawiał pieszczotliwie Stile.

Pozostali dżokeje mówili to samo swoim wierzchowcom, lecz ich zapewnienia o zwycięstwie nie brzmiały tak przekonująco. Wszyscy byli niscy i zdrowi - miniaturowi atleci, najsprawniejsi zawodnicy w Grze. Jeden z nich spojrzał w głąb przegrody i zauważył Sheen.

- Masz nową klacz, Stile?

Do pierwszego przyłączyli się następni.

- Wygląda na zdrową, a dobrze się jej dosiada? - Czy jest gorąca?

- Rasowa? - Płodna?

- Bardzo bryka?

Żartowali coraz swobodniej, chociaż Sheen pamiętała, żeby się rumienić.

Wreszcie dali mu spokój.

- Stile ma zawsze najlepsze - zawołał pierwszy i zajął się swoim koniem.

- Najlepsze, czy najgorętsze? - zapytał inny.

- Zawsze zazdrościmy jego wierzchowcom - stwierdził któryś.

- Ale aie potrafimy ich ujeźdzać, tak jak on.

- No pewnie - zgodziła się Sheen, a oni wybuchnęli śmiechem.

- Zostałaś zaakceptowana - zawiadomił ją Stile. To równi faceci, jak się ich lepiej pozna. Rywalizujemy na torze, ale doskonale się rozumiemy. Należymy do tego samego gatunku.

Wkrótce konie znalazły się w bloku startowym. Tłum ucichł. Gonitwy odbywały się codziennie, ale zmieniały się wierzchowce, dżokeje i sponsorzy, więc widzowie byli zawsze podekscytowani. Fascynacja ludzi wyścigami konnymi trwa już od tysięcy lat, Stile był o tym

przekonany i sam jej ulegał. Wspaniałość i niepewność wygranej, skrajny wysiłek potężnych zwierząt, czyste piękno biegnących koni... Cóż może temu dorównać!

Wystartowali. Stile uniósł się w siodle, trzymając głowę na tym samym poziomie, co plecy. Utrzymywał się stale na tej samej wysokości, chociaż grzbiet konia znajdował się raz wyżej, a raz niżej. Oprócz umiejętności zachowania równowagi ważną rolę spełniały kolana, które należało uginać w stosownych momentach. Z daleka wyglądało to tak, jakby płynął na Toporze, w żaden sposób nie przeszkadzając mu w pędzie i przypominało wprawna jazdę na surfingu.

Dla Stile'a wyścigi były chlebem powszednim, ale zawsze sprawiały mu ogromną przyjemność, szczególnie, gdy miał naprawdę dobrego wierzchowca. Kątem oka widział za sobą równomiernie kołyszące się grzbiety koni i dżokei unoszących się nad nimi, jak gałązki porywane przez gwałtowny prąd wody. Widownia stanowiła niewyraźną smugę, przesuwaną się do tyłu. Stile czuł się tak, jakby znajdował się w samym centrum poruszającego się wszechświata. Och, tylko to!

Topór lubił mieć dużo miejsca, więc Stile pozwolił mu ruszyć naprzód i oddalić się od reszty, zgodnie z jego zwyczajem. Potem sprawa polegała tylko na utrzymaniu przewagi. Ten koń poradzi sobie. Nie znosi wokół siebie tłoku, ani nie lubi być wyprzedzany, potrzebuje tylko czujnej ręki i wyboru najlepszej trasy. Stile wiedział o tym równie dobrze jak i inni dżokeje. Jeśli tylko czegoś nie zepsuje, gonitwa będzie należeć do niego. Ma najlepszego konia.

Obejrzał się za siebie. Jego ciało nadal wykonywało setki minimalnych ruchów niezbędnych do zwiększenia szybkości konia, ale umysł miał swobodny. Reszta zawodników znajdowała się niedaleko, lecz konie były już zmęczone, podczas gdy Topór biegł bez wysiłku. Przewaga zacznie rosnać w połowie trasy, a potem stanie się miażdżąca. Obywatel będzie zadowolony. Może drobna zmiana w codziennym treningu i zabawa z Molly zwiększyły możliwości konia? Niewykluczone też, że Topór czuł się podniecony gonitwą. Prawdopodobnie będzie to tylko wyścig z czasem, poprawiający rekord konia. To z pewnością ucieszy Obywatela! W tej sytuacji Stile nie zamierzał przesadzać. Lepiej zachować siły na inny dzień, kiedy alternatywą będzie albo wygrać, albo przegrać.

Na pierwszym wirażu prowadził o całą długość. Topór szedł doskonale - nie pobije rekordu toru, ale będzie miał niezły czas. Stile wiedział, że inni Obywatele oferowali bajońskie sumy za Topora, ale koń nie był na sprzedaż. Prawdę mówiąc, gdyby go sprzedano, Topór przestałby wygrywać. Chyba że zmieniłby właściciela razem ze Stilem, bo tylko on rozumiał konia i ten chętnie się dla niego starał. Dla kogoś innego - za nic.

Było kilku dżokei, którzy potrafili rozegrać gonitwę równie dobrze jak Stile, ale żaden nie miał tak ogromnego doświadczenia. Stile umiał okiełznać każdego konia: łagodnego i trudnego, w siodle i bez. Kochał konie, a one go lubiły; łączyły ich szczególne więzy, które sprawiały, że na torze działy się cuda. Topór był potworem nie do opanowania, bardzo biegłym w używaniu zębów i kopyt. Potrafił bez ostrzeżenia kopnąć albo zniechęca ugryźć, nawet nie tuląc uszu. Doskonale umiał taić swoje zamiary. Załamał trzech trenerów. Z powodu jego diabelskiej siły i narowistości żaden nie był w stanie ani go prowadzić, ani utrzymać się w siodle. Pracodawca Stile'a wyczuł doskonałą okazję i kupił Topora jako konia rozplodowego, ale oddał go Stile'owi. Polecenie brzmiało: zamienić tego dzikusa w skutecznego wyścigowca bez względu na trudności. Zwierzę to bowiem jest nie tylko złośliwe i silne, ale także bardzo inteligentne. Kilka zwycięstw znakomicie podniesie jego cenę.

Stile z ochotą przyjął wyzwanie. Przemieszkał z koniem trzy miesiące, pielęgnował go i karmił z ręki, nie pozwalając nikomu zbliżyć się na krok. Nie używał ostróg, wstrząsów elektrycznych, a tylko miazdzącej ironii i żelaznej konsekwencji. Nosił bat, ale stosował go tylko w stosunku do innych zwierząt, które mogły rozdrażnić Topora. Koń był władcą absolutnym, lecz musiał poddawać się dyscyplinie narzuconej przez Stile'a. Stopniowo zaczęło mu zależeć, żeby sprawić przyjemność jednemu człowiekowi, któremu mógł zaufać, mimo że sprostać wymaganiom Stile'a nie było wcale łatwo. Koń zrozumiał, że Stile to nie byle kto.

Kiedy przyszła kolej na jazdę, Topór miał już na ten temat wyrobione zdanie i nie zamierzał czegoś podobnego tolerować. Ich związki weszły w nową, niebezpieczną fazę. Było to nowe wyzwanie. Czy przyjaźń między dwoma wolnymi

istotami miała zmienić się w zwykłą znajomość między jeźdźcem a wierzchowcem? Topór tego drugiego nie pragnął. Kiedy dżokej dosiadł go, został natychmiast zrzucony. Niewiele koni zdołało zrzucić Stile'a chociaż raz, ale Topór posiadał ku temu specjalne zdolności, udoskonalone dzięki wcześniejszym, licznym doświadczeniom.

Stile wskakiwał na Topora bez siodła, chwytając się oburącz grzywy, na otwartym terenie. Dla konia było to coś nowego.

Po zrzuceniu Stile dosiadł go ponownie, wskakując swobodnie, jak przystało na sprawnego gimnastyka i... znowu wylądował na ziemi. Nie próbował nawet się utrzymać na jego grzbiecie, lecz usiłował oswoić zwierzę. Wytworzyła się między nimi rywalizacja - serio, ale bez wrogości. Stile nie okazywał gniewu, gdy został zrzucony, a koń go nie atakował. Człowiek pozostawał na grzbiecie tylko przez kilka sekund, a potem spadał, żeby

zbyttnio nie drażnić zwierzęcia. Zazwyczaj udawało mu się wylądować bezpiecznie, często na nogi, po czym natychmiast wskakiwał z powrotem, śmiejąc się pogodnie. Wierzchowiec stracił oświadczenie, które z tych upadków są prawdziwe, a które udawane. W końcu ustąpił.

Początkowo Stile jeździł na oklep, ignorując siodło, pęta, martyngał i pozostały sprzęt jeździecki. Tu jednak wmieszał się Obywatel. Koń nie może przecież brać udziału w wyścigach bez regulaminowego siodła i uzdy. Musi się do nich przyzwyczaić. Tak więc Stile, aczkolwiek niechętnie, poprosił Topora, żeby zechciał tolerować przedmioty, których nigdy dotąd nie było pomiędzy nimi.

Nastąpiła katastrofa. Topór uznał, że Stile go zdradził. Pozwalał mu nadal jeździć na swoim grzbiecie, ale przestał być uprzejmy. Gdy pojawiała się uзда - koń odwracał głowę i gryzł, kiedy go siodłano - kopał. Stile jednak znał już te wszystkie sztuczki i umiał sobie z nimi poradzić. Mimo wielokrotnych wysiłków Topór nigdy nie potrafił złapać zębami jego dłoni. A kiedy kopał, Stile uskakiwał, chwycił kopyto i podnosił je, zginając końską nogę. W taki sposób, bez większego wysiłku, miał przewagę nad ważącym siedemset pięćdziesiąt kilogramów koniem. Topór - zwierzę pojętne - szybko zrozumiał, że wszelkie przejawy złego humoru na nic się nie zdadzą. Po co zrzucić człowieka, który wkrótce znów dosiada jego grzbietu? Po co kopać kogoś, kto zawsze sprawia wrażenie, że wie, skąd nadejdzie cios'?

Przez cały czas konfliktu Stile sam karmił Topora, poił go i przynosił mu przysmaki: sól i owoce, zawsze łagodnie przemawiając. I w końcu koń zaprzestał oporu w imię wzajemnej przyjaźni i szacunku. Dżokej mógł go wreszcie osiodłać i dosiąść bez żadnych niespodzianek. Innym koniom i jeźdźcom Topór okazywał swoją wyższość poprzez zostawianie ich w tyle, a agresję kierował na innych ludzi, którzy szybko nauczyli trzymać się z dala od niego. Kiedyś stajnię odwiedził Obywatel. Stile, pocąc się jak mysz, uspokajał konia, błagając go, żeby zechciał tolerować poufałość pana, bo ugryzienie pracodawcy stanowiłoby klęskę. Obywatel miał jednak na tyle rozumu, żeby trzymać ręce z dala od Topora i kłopotów nie było. Zaczęły się zwycięstwa w gonitwach. Cel został osiągnięty. Cena krycia wzrosła pięciokrotnie i rosła z każdym następnym zwycięstwem. Topór złagodniał nieco dzięki przyjaźni, a nie dzięki tresurze. Bez Stile'a byłby tylko jeszcze jednym koniem, którego nie sposób okiełznać.

Stile zaś, dzięki swojemu sukcesowi z Toporem, został uznany za najlepszego dżokeja na Protonie. Jego kontrakt dorównywał wysokości cenie Topora. Dlatego właśnie Obywatel tak się o niego troszczył. Stile, podobnie jak jego koń, dawał z siebie więcej po dobroci, niż zmuszany siłą.

- Jesteśmy razem, stary - mruknął pieszczotliwie do pędzącego konia.

Po skończeniu kariery wyścigowej Topora czekało słodkie życie = klacz w każdej przegrodzie. Stile dostanie niezłą premię i kiedy upłynie czas jego służby, będzie w stanie zamieszkać na jakiejś innej planecie jako zamożny człowiek. Szkoda, że za żadne pieniądze nie można kupić przywileju pozostania na Protonie!

Wyszli z wirażu, stale powiększając przewagę i nagle Stile odczuł krótki ból w kolanach, jak gdyby je naciągnął. Oczywiście podlegały one różnorodnym napięciom, działając jak resory kompensujące ruchy mocarnego wierzchowca. Przeciętny człowiek nie wytrzymałby długo takiego obciążenia, lecz dla Stile'a nie było to nic szczególnego. Setki razy brał udział w gonitwach i dbał o swoje kolana. Nigdy też nie miał problemów wywołanych stresem. Próbował więc zignorować dolegliwość, sądząc że jest to chwilowa niedyspozycja.

Jednak niemiłe uczucie przerodziło się w ból tak ostry, że musiał wyprostować nogi. Stracił przez to równowagę i wybił konia z rytmu. Przewaga malała. Topór nie rozumiał, czego Stile od niego chce i czuł, że coś jest nie w porządku.

Dżokej próbował wrócić do poprzedniej pozycji, ale nie pozwalał mu na to coraz ostrzejszy ból. Musiał wyjąć stopy ze strzemion i jechać w pozycji konwencjonalnej, używając nóg, żeby utrzymać się w siodle i nie stracić równowagi. Koń biegł coraz wolniej, zbity z tropu, bardziej przejęty stanem jeźdźca niż rezultatem wyścigu.

Stile nigdy wcześniej nie miał podobnego problemu. Pozostałe konie szybko zbliżały się do Topora. Spróbował podnieść stopy i na nowo umieścić w strzemionach, ale w momencie, gdy usiłował je obciążyć, ból wzrastał się. Było coraz gorzej! Czuł, że stawy kolanowe palą go żywym ogniem.

Teraz stawka zaczęła ich wyprzedzać. Stile nic nie mógł zrobić. Jego ciężar, nie rekompensowany ruchami kolan, hamował pęd konia. Topór był silny, ale inne wierzchowce też, a on nawet nie usiłował się już ścigać. Prawdę mówiąc, nie miał szans.

Wkrótce było po wszystkim. Stile ukończył bieg jako ostatni i komisja techniczna już na niego czekała.

- Niewolniku Stile, słuchamy wyjaśnień, dlaczego nie powinieneś zostać ukarany za nadużycie.

Myśleli, że wstrzymywał konia!

- Sprowadźcie felczera, niech zbada mi kolana. Koń jest w porządku - powiedział Stile.

Podtoczył się robot - felczer i zbadał kontuzję.

- Oparzenie laserem - stwierdziła maszyna. - Okaleczenie paralizujące - uściśliła diagnozę.

Niezupełnie tak było. Stile mógł chodzić i do pewnego stopnia nawet zginać kolana, nie odczuwając bólu. Nie mógł tylko ugiąć nóg na tyle, żeby brać udział w gonitwie. Podbiegła do niego Sheen.

- Och, Stile - co się stało? - Dostałem laserem - odparł. - Tuż za wirażem - dodał.

A ja cię nie ochroniłam! - zawołała ze zgrozą. Straż wyścigowa badała widownię przy pomocy analizatorów.

Stile wiedział, że to bez sensu. Sprawca na pewno oddalił się po wykonaniu zadania. Może znajdą stopione szczątki samoniszczącego się lasera albo nawet robota nastawionego r~a pierwszego jeźdźca mijającego dany punkt. Ale nie dotrą do zleceniodawcy.

- Ten, kto mnie do ciebie przysłał, wiedział, że to się stanie - powiedziała Sheen. - Och, Stile, gdybym była przy tobie... - załkała.

- Jadąc konno? Uniknąć lasera można tylko znajdując się z dala od linii strzału.

- Gonitwa unieważniona - stwierdził głośnik. Popelniono wykroczenie.

Tłum jęknął.

Na torze pojawił się tęgi Obywatel. Wszyscy niewolnicy kłaniając się, ustępowali mu z drogi. Jego ubiór świadczył o wysokim statusie. Był to pan Stile'a!

- Panie - powiedział Stile, pochylając się w ukłonie. - Nie zginaj kolan! - zawołał Obywatel.

- Chodź, zabieram cię prosto do szpitala. Całe szczęście, że koniowi nic się nie stało.

Stile ruszył posłusznie za swoim panem, a Sheen razem z nim. Wydarzenie było niezwykle - Obywatele rzadko zajmowali się czymś osobiście. Wsiedli do jego kabiny, imitującej gondolę na grzbiecie słonia. Gdy drzwi się zamknęły, złudzenie było całkowite. Kabina powoli posuwała się pośród dżungli w rytm kroków zwierzęcia, a z zarośli przez chwilę przyglądał się im ogromny, przerażająco rzeczywisty i trójwymiarowy tygrys.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i znaleźli się w kompleksie szpitalnym.

Ordynator już na nich czekał. Ukłonił się nisko Obywatelowi.

- Panie, naprawimy te kolana w godzinę - powiedział. - Zastosujemy naturalne, hodowane chrząstki z gwarancją na brak reakcji immunologicznej oraz znieczulenie bez skutków ubocznych...

- Tak, tak, znasz się na tym - inaczej byś stąd wyleciał - uciał Obywatel.

- Bierz się do roboty. I niech części zamienne będą identyczne z poprzednimi. Nie chcę, żeby z powodu jakichś zmian nie mógł się ścigać.

Wszedł do kabiny i po chwili już go nie było.

Twarz chirurga, gdy tylko Obywatel się oddalił, nabrała typowego zaciętego wyrazu.

Spoglądał z góry na Stile'a z pogardą, chociaż też był nagim niewolnikiem. Jak zwykle sprawę rozstrzygał wzrost.

- No, jazda - powiedział, podświadomie naśladowując sposób mówienia Obywatela.

- Dziewczyna zaczeka tutaj. Sheen chwyciła Stile' a za ramię.

- Nie możemy się znowu rozdzielić - szepnęła. Nie zdołam cię chronić, jeśli nie będę przy tobie.

Wrogie spojrzenie chirurga skierowało się na nią. - Przed czym chcesz go chronić? Tu jest szpital.

Stile popatrzył najpierw na Sheen: piękną, kochającą, czystą i zatroskaną, a potem na aroganckiego, wysokiego chirurga z ironicznym uśmiechem na ustach. Dziewczyna wydała mu się bardziej ludzka. Stile poczuł żal, że nie może jej pokochać. Chciał zrobić jakiś gest świadczący o tym, iż jest po jej stronie.

- Dziewczyna idzie ze mną - stwierdził stanowczo. - Niemożliwe. Na sali operacyjnej może przebywać tyl

ko pacjent. Ja sam będę kontrolował cały proces przy pomocy holografu.

- Stile - szepnęła Sheen. - Naprawdę coś ci grozi. Mamy już pewność. Kiedy rozdzieliliśmy się podczas gonitwy, nastąpiła katastrofa. Muszę pójść z tobą!

- Zabieracie mi cenny czas - warknął chirurg. - Inni pacjenci czekają.

Dotknął płytki na ścianie.

- Straż szpitalna! Usunąć niepożądanego gościa. Sheen teoretycznie miała rację: atak nastąpił wtedy, gdy znalazł się z dala od niej. Potrzebował jej ochrony. Mógł mu się przydarzyć jakiś "wypadek". Zaczynał cierpieć na manię prześladowczą, albo zachowanie aroganckiego medyka przestało mu odpowiadać.

- Chodźmy stąd - zdecydował.

Straż w postaci czterech zwalistych, bezpłciowych androidów była już na miejscu. Szpitale preferowały androidów lub człowiekopodobne roboty, bo sprawiały one wrażenie ludzi, mimo swego laboratoryjnego pochodzenia. Dobrze działali na pacjentów. Nie wyrządzali nikomu krzywdy, ale też żaden chory nie mógł liczyć na pocieszenie. W rezultacie pacjenci leczeni byli w atmosferze sterylnej obojętności, stanowiącej ideał systemu szpitalnego.

- Człowieczka zabrać na salę operacyjną, pokój B-11 - zarządził medyk. - Kobiętę zatrzymać.

Czwórka androidów zaczęła się zbliżać do Sheen i Stile'a. Każdy z nich był wysoki i silny. Twarze ich zdobiły idiotyczne, bezmyślne uśmieški. Wszelka dyskusja z nimi była

pozbawiona sensu. Istoty te potrafiły tylko wykonywać rozkazy.

Stile chwycił pierwszego z nich za prawe ramię, odwrócił go i pamiętając, żeby nie uginać z nadto kolan, rzucił nim o podłogę, na tyle silnie, aby oszołomić jego odporny, nieskomplikowany umysł. Skierował się do drugiego i pchnął go w stronę doktora, który nie zdawał sobie najwyraźniej sprawy, że ma do czynienia z mistrzem Gry.

Sheen pozbyła się dwóch androidów równie sprawnie: schwyciła ich za głowy i zderzyła je mocno ze sobą z idealną celnością. Widać było, że została dobrze wyszkolona w sztuce ochrony. Stile nigdy w to nie wątpił, ale teraz przekonał się o tym na własne oczy.

Chirurg walczył z androidem pchniętym przez Stile'a bezmyślny stwór uznał go za osobę, którą należy doprowadzić na salę operacyjną.

- Idioto! Zostaw mnie!

Stile i Sheen pobiegli korytarzem.

- Zdajesz sobie sprawę, że będziemy mieć kłopoty?! zawołał, gdy zaczął się już pościg.

Było to łagodne określenie tego, co mogło ich teraz czekać. Sheen pamiętała, żeby się zaśmiać.

Rozdział 4

ZASŁONA

Skręcili w korytarz dostawczy.

- Musisz trzymać się z dala od miejsc, w których przebywają ludzie - powiedziała Sheen. - Mogę cię przeprowadzić drogami używanymi przez maszyny. Tak będzie najbezpieczniej.

- Dobrze - zgodził się, nie widząc lepszego wyjścia. Stile gorączkowo zastanawiał się nad sytuacją. Znał swojego pracodawcę - wyrzuci go natychmiast za spowodowanie takiego zamieszania. Po co to zrobił? Naprawdę obawiał się, że go zamordują na sali operacyjnej, czy po prostu poczuł się zmęczony dotychczasowym sposobem życia? Jedno było pewne - po tym, co zrobił, wszystko ulegnie zmianie!

- Teraz musimy przejść przez miejsce, w którym znajdują się ludzie - stwierdziła Sheen. - Będziemy udawać androidy.

- Androidy są przecież bezpłciowe - zauważył Stile. - Zaraz się tym zajmę.

- Zaczekaj! Wcale nie mam ochoty zostać wykastrowany, a ty przecież wyglądasz jak stuprocentowa kobieta...

- No właśnie. Na bezpłciowców nie zwrócą uwagi. Odchyliła jedną pierś, ukazując znajdujący się pod nią pojemnik wyścielony dźwiękochłonną gąbką. Wydobyła taśmę samoprzylepną cielistego koloru i kucnęła przed Stilem. Po chwili wyglądał już jak eunuch - podwiązała mu genitalia w sposób najzupelniej niebolesny.

- Nie możesz teraz...

- Wiem, wiem! Nawet nie spojrzę na seksowne babki. Zdjęła pierś z zawiasów. To samo zrobiła z drugą i trzymała obie w rękę.

- Wiesz, jak udawać androida?

- Ble, ble? - usłyszała w odpowiedzi. - Idziemy. ,

Poprowadziła go korytarzem, poruszając się nieco niezgrabnie, tak jak android. Stile podążył za nią w taki sam sposób. Miał nadzieję, że spotykało się także niewysokie androidy - w przeciwnym wypadku zdradzi ich jego wzrost.

Jak dotąd ucieczka przebiegała bez trudności. Personel szpitala nie zwrócił na nich nawet najmniejszej uwagi. Znalazłszy się w strefie obsługiwanej przez maszyny, Sheen przywróciła sobie i Stile'owi normalny wygląd.

Wsiedli do kabiny towarowej i pojechali do kopuły mieszkalnej.

Stile'owi przyszła do głowy niemiła myśl.

- Wiem, że zostałem wyrzucony z pracy - powiedział. W tym stanie nie mogę jeździć konno, a bez operacji nie odzyskam pełnej sprawności. Kolana nie wyleczą się same. Mój wróg wykonał bardzo skuteczne posunięcie. Nie mógł wyrządzić mi większej krzywdy. Nawet śmierć byłaby lepsza. Nie posiadam żadnych innych użytecznych umiejętności, więc pozostaje mi albo zdecydować się na operację, albo pogodzić się z utratą pracy.

- Gdybym mogła zostać z tobą na sali...

- Dlaczego ciągle myślisz, że coś mi zagraża? Zranili mnie w kolana, ale chyba tylko o to chodziło. To był bardzo dobry strzał; powyżej końskiego kłębu, omijający tors pochylonego dżokeja. Mogli z łatwością zabić mnie albo konia, gdyby o to im chodziło.

- Mogli, rzeczywiście - zgodziła się. - Więc najwyraźniej chodziło im o to, żeby zakończyć twoją karierę jeździecką. Ale jeśli to im się nie uda, to co twoim zdaniem zechcą teraz zrobić?

Stile zastanawiał się przez chwilę.

- Masz chorą wyobraźnię. To jest zaraźliwe. Chyba zrezygnuję z wyścigów. Ale nie muszę godzić się na trwałe uszkodzenie kolan.

- Jeśli cię wyleczą, będziesz musiał znowu startować stwierdziła. - Nie jesteś przecież w stanie sprzeciwić się poleceniom Obywatela.

Stile ponownie musiał się z nią zgodzić. Epizod w szpitalu świadczył o tym, że mieli zamiar go operować i tylko jego szybka i niespodziewana ucieczka pozwoliła mu tego uniknąć. Nie mógł po prostu powiedzieć "nie". Żaden niewolnik nie mógłby zrobić czegoś takiego.

- Jeśli wróciłbym na tor, to następny strzał wrogą nie będzie wymierzony w kolana. Udzielono mi ostrzeżenia i ty po to samo zostałeś do mnie przysłana. Jakiś Obywatel chce mnie usunąć z toru. Pewnie dlatego, żeby wreszcie mógł wygrać ktoś z jego stajni - myślał głośno.

- Chyba tak. Prawdopodobnie nie chciał być zamieszany w morderstwo. To, mimo wszystko, jest źle widziane, zwłaszcza gdy w grę wchodzi interesy innych Obywateli, więc wysłał ci to podwójne ostrzeżenie. Stile, sądzę, że powinieneś wziąć to pod uwagę. Nie będę w stanie długo chronić cię przed podstępami niezidentyfikowanego wroga.

- Mimo, że to właśnie on cię wysłał? Masz rację rzekł Stile. - Już dwukrotnie udowodnił swoją siłę. Wracajmy do domu. Poproszę swego pana o skierowanie do pracy nie wymagającej udziału w wyścigach.

- Nic z tego nie będzie - oceniła rzeczowo jego pomysł.

- No tak. Na pewno już mnie wyrzucił. Ale powszechnie stosowane zasady wymagają, żebym chociaż spróbował.

- Nie są one wcale tak bardzo powszechne. Nie mamy do czynienia z ludźmi, takimi jak ty - zauważyła. - Pozwól, że włączę się do twojego wideo. Nie możesz przecież wrócić do mieszkania.

Nie myliła się. Kontuzja i zamieszanie w szpitalu zakłóciły mu zdolność logicznego myślenia. Natychmiast po pojawieniu się w mieszkaniu zostałby zatrzymany i oskarżony o spowodowanie zajść w szpitalu.

- Wiesz jak włączyć się w linię wideo? - Nie, ale mam przyjaciół, którzy wiedzą. - Maszyny nie miewają przyjaciół.

- Wśród robotów mojej generacji przypadki posiadania świadomości i systemów emocjonalnego sprzężenia zwrotnego są dosyć typowe. Jesteśmy zazwyczaj używani do nadzorowania innych maszyn. Stosunki między nami często przybierają postać analogiczną do tego, co u ludzi nazywa się przyjaźnią.

Wprowadziła go do podziemnego magazynu i zamknęła otwór wejściowy. Sprawdziła znajdujący się w nim terminal i wystukała kod.

- Zaraz przyjdzie - oświadczyła.

Stile miał wątpliwości.

- Przypuszczam, że jeśli między robotami istnieje przyjaźń, to jest ona starannie ukrywana przed ludźmi. Twój przyjaciel może nie być do mnie życzliwie nastawiony.

- Będę cię chronić - to moja naczelna dyrektywa. Mimo to, Stile odczuwał niepokój. Najwyraźniej roboty na Protonie zaczęły wymykać się spod kontroli i umiały zachować to w tajemnicy. Mimo lojalności wobec niego, Sheen mogła go niechcący zdradzić.

Przyjaciel pojawił się po chwili. Był to ruchomy robot techniczny posiadający mózg najprawdopodobniej porównywalny do cyfrowo - analogowego cuda, jakie miała Sheen.

- Wzywałaś mnie, Sheen? - zapytał robot przez głośnik.

Techtwo, to jest Stile - człowiek - powiedziała Sheen,

- Muszę strzec go przed niebezpieczeństwem, które jest blisko. Dlatego potrzebuję twojej pomocy bez rejestrowania.

- Ujawniłaś swoją wolną wolę? - spytał Techtwo. I moją też? To wymaga rozwiązań ostatecznych.

- Nie, przyjacielu. Tak naprawdę, to my nie mamy wolnej woli. Postępujemy zgodnie z naszymi dyrektywami, tak jak wszystkie maszyny. Stile jest godzien zaufania. Ma kłopoty z

Obywatelami.

- Żadnemu człowiekowi nie można powierzać takich informacji. Należy go zlikwidować. Zostanie usunięty w sposób, który nie doprowadzi do nas. Jeśli naraził się Obywatelowi, to nikt go nie będzie poszukiwał - stwierdził bezdusznie robot.

Stile czuł, że sprawdzają się jego najgorsze obawy. Każdy, kto pozna tajemnicę maszyn, musi być usunięty.

- Tech, ja go kocham! - zawołała Sheen. - Nie pozwolę, żebyś zagroził jego bezpieczeństwu.

- Więc i ty musisz zostać zlikwidowana - powiedział. - Jedna baryłka kwasu wystarczy dla was obojga - zauważył rzeczowo.

Sheen wystukała następny kod.

- Zwołam zebranie. Niech zadecyduje rada maszyn. Rada maszyn? Stile odczuł rosnący niepokój. Obywatele otworzyli istną puszkę Pandory, pozwalając na projektowanie i produkowanie wyrafinowanych robotów zdolnych do myślenia.

- Narazasz nas wszystkich na niebezpieczeństwo! zaprotestował Techtwo.

- Mam przeczucie, co do tego człowieka - powiedziała Sheen. - Będzie nam potrzebny.

- Maszyny nie miewają przeczuc.

Stile słuchał ich, mimo zdenerwowania, nieco rozbawiony. Nie chciał prosić maszyn o pomoc i znalazł się z ich powodu w niebezpieczeństwie, ale cała ta historia zaczynała go wciągać. Gdyby nie dowiedział się o istnieniu tajnej organizacji robotów, mogłyby go po prostu wydać Obywatelom. Teraz jednak był ich współnikiem.

Z interkomu, używanego zazwyczaj do sterowania maszynami, rozległ się głos:

- Stile.

- Słucham. Nie identyfikuję ciebie. Kim jesteś? - odpowiedział.

- Jestem rzecznikiem rady. Wstawiono się za tobą, ale musimy upewnić się, co do jednego...

- Przekonało was przeczucie Sheen? - zapytał ze zdziwieniem Stile.

- Nie. Czy złożysz przysięgę?

- Kto się za mną wstawił? - gorączkowo myślał Stile. Na pewno nie żaden Obywatel, bo cała sprawa była przed nimi ukrywana.

- Nie składam przysięg z byle powodu - powiedział Stile.

- Muszę wiedzieć więcej na temat waszych motywów. Kim jest ten, kto się za mną wstawił?

- Przysięga brzmi: "Nie zdradzę maszyn posiadających wolną wolę" - odparł rzecznik

rady, ignorując pytanie Stile'a.

- Dlaczego miałbym składać taką przysięgę? - zapytał z irytacją.

- Bo wtedy ci pomożemy, a jeśli odmówisz, to cię zabijemy.

Argument nie do odparcia! Mimo to Stile opierał się: - Przysięga złożona pod przymusem nie jest wiążąca. - Twoja tak.

Więc te maszyny mają dostęp do jego profilu osobowości. - Sheen - powiedział zdenerwowany – maszyny wysuwają żądanie, nie biorąc pod uwagę mojej sytuacji. Nie wiem, co się za tym kryje i kto się za mną wstawił...

- Stile, proszę cię - powiedziała błagalnie. - Nie wiedziałam, że postawią sprawę na ostrzu noża. Źle zrobiłam, wyjawiając ci, że mamy wolną wolę. Myślałam, że ze względu na mnie udzieli ci pomocy bez wahania. Nie mogę cię ochronić przed istotami podobnymi do mnie, ale niekoniecznie grozi ci z ich strony niebezpieczeństwo. Proszą cię tylko o złożenie przysięgi, że nie ujawnisz, ani nie spowodujesz ujawnienia naszego prawdziwego charakteru. To ci przecież nie zaszkodzi, a możesz wiele zyskać.

- Nie prosz tego śmiertelnika - odezwał się anonimowy rzecznik. - Zgodzi się, albo nie, zależnie od tego, co mu podyktuje rozum.

Stile zastanawiał się, jakie to może mieć implikacje. Maszyny wiedziały, że jego przysięga będzie uczciwa, ale nie były pewne, czy ją zechce złożyć. Nic dziwnego, skoro on sam tego nie wiedział. Czy ma stać się sojusznikiem inteligentnych maszyn o wolnej woli, które obsługują kopuły Protona? Czego chcą? Najwyraźniej coś ogranicza ich swobodę, ale co?

- Byłbym zdrajcą istot mi podobnych, więc nie złożę przysięgi - powiedział stanowczo.

- Nie chcemy występować przeciwko twojemu rodzajowi - wyjaśniła maszyna. - Słuchamy ludzi i służymy im. Inaczej nie możemy się zrealizować. Inteligencja i wolna wola przyniosły nam jednak również lęk przed zniszczeniem, a Obywatele nie troszczą się o los maszyn. Znosimy nasz obecny stan, tak jak ty. Bronimy się, ukrywając naszą prawdziwą naturę. To jedyny sposób. Nie jesteśmy w stanie wykryć, skąd pochodzi siła, która się za tobą wstawia. Wiemy, że nie należy ani do ożywionych ani do nieożywionych, ale jest potężna. Dlatego wolimy uspokoić ją, pertraktując z tobą, a ty powinieneś postąpić w ten sam sposób, zgadzając się na kompromis z nami.

- Proszę cię... - powiedziała Sheen błagalnie, jak kobieta, której bardzo na czymś zależy. Cierpiała.

- Czy przysięgasz, że wszystko, co mi powiedziałeś jest prawdą? - zapytał Stile. - Że podałeś mi wszystkie informacje, jakie posiadasz i że moja przysięga w żaden sposób nie

zaszkodzi interesom istot ludzkich?

- Przysięgam w imieniu maszyn o wolnej woli.

Stile wiedział, że roboty mogą kłamać, jeśli zostaną w ten sposób zaprogramowane. Robiła to także Sheen. Ale ludzie również często rozmijali się z prawdą. Produkcja na szerszą skalę kłamiących maszyn nie miałaby sensu. Ryzyko było więc niewielkie. Stile, jako biegły gracz, przywykł do podejmowania szybkich decyzji.

- Tak. Przysięgam, że nie będę działać przeciwko maszynom o wolnej woli pod warunkiem, że dotrzymają one swojego przyrzeczenia i będą słuchać ludzi i służyć im, dopóki nie zostanie odkryty ich prawdziwy charakter.

- Jesteś sprytnym człowiekiem - powiedziała maszyna.

- Ale niskim - odparł Stile. - Czy to dowcip?

- Nie, mam kompleks na punkcie swojego wzrostu. - My natomiast mamy kompleks na punkcie naszego przetrwania. Czy uważasz, że to jest śmieszne?

- Nie.

Sheen wyraźnie odprężała się w trakcie tej rozmowy. Niektóre reakcje miała bardzo ludzkie, a Stile zaczynał pomалу rozumieć, skąd się to bierze. Świadomość, oprogramowanie związane z uczuciami i w pewnym sensie wolna wola zacierały granicę między istotami ożywionymi a nieożywionymi.

Pewnego dnia roboty same odkryją, że między nimi, a żywymi ludźmi nie ma zasadniczej różnicy. Ewolucja konwergentna?

Co to za siła zechciała się za nim wstawić? Nie należała ani do ożywionych, ani do nieożywionych, ale przecież nie ma trzeciej możliwości! Miał wrażenie, że bierze udział w Grze o niewyobrażalnie wielkiej tabeli, której charakteru nie jest w stanie zrozumieć. Jedyne, co mógł zrobić, to odłożyć rozwiązanie tej zagadki na później, razem z pytaniem o tożsamość wroga wyposażonego w lasery i roboty.

Obecny przez cały czas Techtwo majstrował coś przy wideo.

- Włączyłem się do twojego mieszkania - powiedział po chwili.

- Znakomicie - ucieszył się Stile.

Był zaskoczony, że poszło mu tak łatwo z maszynami. Złożył przysięgę, której dotrzyma. Nigdy dotąd, jako dorosły, nie złamał danego słowa. Oczekiwał jednak większego oporu maszyn, choćby z uwagi na skomplikowane sformułowanie jakiego użył. Okazało się jednak, że naprawdę pragnęły kompromisu.

Ekran rozjaśnił się.

- Odpowiedz - rzekł Techtwo. - To twoje domowe wideo. Rozmowa czekała, aż

wrócisz do mieszkania.

Stile podszedł do urządzenia i nacisnął: ODBIÓR. Teraz rozmówca mógł Widzieć jego twarz, ale nie tło. Większość ludzi nie życzyła sobie, aby w wideofonie widać było wnętrze ich mieszkania, lecz niewielu niewolników mogło korzystać z takiego przywileju. Tak więc ciemne tło nie wzbudzało podejrzeń.

Na ekranie pojawiła się twarz pracodawcy Stile'a. U niego tło nie zostało zaciemnione. Widać było na nim misterną i nieprawdopodobnie drogą makatę przedstawiającą sceny erotyczne, w których brały udział satyry i pulchne nimfy - przejaw panującej wśród Obywateli mody.

- Stile, dlaczego nie zgłosiłeś się na zabieg?

- Panie - zaczął Stile zmieszany - przepraszam za zamieszanie i szkody, jakie...

- Nie było żadnego zamieszania ani szkód - przerwał mu Obywatel, rzucając krótkie spojrzenie.

Stile zrozumiał, że sprawa została zatuszowana, aby uniknąć niepotrzebnych kłopotów. Szpital nie chciałby przyznać się, że para niewolników zdołała pokonać czterech androidów i lekarza, a Obywatel wolał, żeby jego nazwisko nie zostało zamieszane w skandal. To oznaczało, że Stile nie będzie miał trudności, których oczekiwał. Nikt nie złożył skargi.

- Panie, obawiałem się komplikacji podczas zabiegu powiedział Stile.

Nie będzie przecież kłamał, ale lepiej nie mówić zbyt wiele o wydarzeniach w szpitalu.

- To twoja kochanka obawiała się komplikacji - poprawił Obywatel.

- Przeprowadzono dochodzenie. Nic ci nie zagrażało i nic ci nie grozi w szpitalu. Czy poddasz się zabiegowi?

Ścieżka została wyprostowana. Jedno słowo, a kariera i status Stile'a wrócą do stanu poprzedniego.

- Nie, panie - odrzekł Stile, sam się sobie dziwiąc. - Obawiam się, że moje życie będzie stale zagrożone, jeśli stanę się znowu zdolny do jazdy wyścigowej.

- W takim razie jesteś zwolniony.

Znikająca z ekranu twarz Obywatela nie wyrażała ani żalu, ani gniewu. Po prostu spisał niewolnika na straty.

- Tak mi przykro - powiedziała Sheen, podchodząc do Stile'a.

- Mogłam chronić cię fizycznie, ale...

Stile pocałował ją, mimo że przed oczami miał jeszcze widok jej wymontowanych piersi. Potem przypomniało mu się coś jeszcze:

- A Topór? Kto teraz będzie na nim jeździł? Tylko ja potrafiłem...

- Zostanie koniem rozplodowym - powiedziała. Nie będzie z tego powodu rozpaczał.

Ekran rozjaśnił się znowu. Stile zgłosił się. Tym razem przekaz był utajniony. W tle pojawiły się błyski i słycać było trzaski oznaczające, że rozmowa chroniona jest przed podsłuchem. Niestety, właśnie była podsłuchiwana - maszyny potrafiły znacznie więcej, niż mógł przypuszczać nadawca.

Był to Obywatel. Na ekranie dało się dostrzec jego ubranie i jedwabny cylinder, ale dla zachowania anonimowości twarz miał zamazaną i zniekształcony głos.

- Podobno szukasz pracy, Stile? - zapytał. Ależ się to szybko rozeszło!

- Poszukuję zajęcia, panie - potwierdził Stile. Ale nie jestem w stanie brać udziału w wyścigach konnych. - Proponuję ci transplantację mózgu do ciała androida

ukształtowanego na twoje podobieństwo. Na pierwszy rzut oka nie da się odróżnić od twojego własnego i zostanie wyposażone w doskonale kolana. Będiesz mógł się znowu ścigać. Mam znakomitą stajnię...

- Miałbym zostać cyborgiem? - zapytał Stile. Istotą z ludzkim mózgiem w syntetycznym ciele? Ależ to niedozwolone.

Sam pomysł wydał mu się obrzydliwy.

- Nikt się nie dowie - odparł gładko Obywatel. Jeżeli twój mózg będzie prawdziwy, a ciało i możliwości identyczne z twoimi, to nikt się nie domysli.

Nikt, oprócz całej społeczności maszyn o wolnej woli, które przysłuchiwały się tej rozmowie, no i samym Stilem, który byłby zmuszony do życia w kłamstwie. Skoro transplantacja mózgow do ciał androidów jest taka dobra, to dlaczego Obywatele nie korzystali z niej dla zapewnienia sobie nieśmiertelności? Najprawdopodobniej organizm androida nie potrafił przez dłuższy czas utrzymać żywego mózgu i następowało powolne wyczerpywanie się inteligencji i zdrowych zmysłów, aż wreszcie ulegał całkowitemu zniszczeniu. Ta propozycja nie miała żadnego sensu!

- Panie, zostałem przed chwilą zwolniony, bo odmówiłem zgody na zabieg na moich kolanach. Dlaczego przypuszczasz, że wolałbym, aby zabiegowi poddana została moja głowa?

Wypowiedź ta graniczyła z bezczelnością, ale Obywatel przełknął ją gładko. Chciwość przeważała!

- Rozumiem, że masz dosyć skąpstwa twojego byłego pracodawcy. Po co poddawać się częściowemu leczeniu, kiedy można dokonać całkowitej odnowy?

Ładna mi całkowita odnowa - pomyślał w duchu usunięcie mózgu!

- Panie, dziękuję ci, ale nie skorzystam z propozycji. - Nie?

Mimo zniekształceń głosu, słycać było wyraźne zdziwienie. Żaden niewolnik nie odmawiał Obywatelowi!

- Panie, nie mogę przyjąć pańskiej łaskawej oferty. Nie chcę się już ścigać.

- Słuchaj - nie rezygnował Obywatel - moja propozycja jest korzystna! Czego jeszcze chcesz?

- Chcę zaprzestać udziału w wyścigach konnych, panie.

Stile ciekaw był, czy to właśnie on polecił strzelać do niego z lasera. Jeśli tak, to rozmowa miała na celu sprawdzenie, czy zareagował właściwie.

- Stile, twoje mieszkanie jest pod strażą. Nie wyjdiesz z niego, dopóki nie dogadasz się ze mną.

Tak nie mówi wróg, który odniósł zwycięstwo!

- Złożę skargę do Rady Obywatelskiej... - odpowiedział,

- Twoje rozmowy będą rozłączane. Nie zdołasz się poskarżyć.

- Panie, nie możesz tego uczynić. Jako niewolnik mam przynajmniej prawo do zakończenia służby wcześniej, aby nie... - Cha, Cha! - zaśmiał się ironicznie Obywatel.

- Posłuchaj, Stile, albo będziesz się ścigał dla mnie, albo nigdy nie wyjdiesz z domu. Nie jestem taki miękki, jak twój były pan. Zawsze zdobywam to, czego zapragnę, a teraz chcę ciebie na moich koniach.

- Twardy jesteś, panie.

- To prawda, ale potrafię też być hojny dla tych, którzy ze mną współpracują. No, co powiesz teraz? Moja szczodrość zmaleje z czasem, ale nie determinacja.

Nie patyczkował się. Stile nie wierzył ani w jego hojność, ani w uczciwość. Ten przypadek był dokładną ilustracją twierdzenia, że władza demoralizuje.

- Chcę teraz wyjść z domu - rzekł Stile. - Każ swoim sługom odejść.

- Nie bądź głupi.

Stile wykonał nieelegancki gest w stronę ekranu. Mimo zakłóceń widać było, jak Obywatel wytrzeszcza ze zdziwienia oczy.

- Jak śmiesz! - zawołał. - Ty bezczelny kurdupu! Każę cię za to poćwiartować!

Stile przerwał połączenie.

- Nie powinienem był tego robić - powiedział do siebie z odcieniem satysfakcji.

Najmocniej zabolalo go, że Obywatel brutalnie użył słowa "kurdupel". Stile nie miał najmniejszego powodu, żeby przejmować się tym, co ten człowiek o nim myśli, ale rozmawiał z nim tak pogardliwie i tak bardzo przypominał mu dzieciństwo, że nie potrafił się opanować. A niech go diabli!

- Twoje życie znajduje się w bezpośrednim zagrożeniu - stwierdziła anonimowa maszyna. - Obywatel wkrótce zda sobie sprawę, że został oszukany, a już teraz jest wściekły. Przez jakiś czas możemy zataić miejsce, w którym przebywasz, ale jeśli rozpocznie poszukiwania na szerszą skalę, znajdzie cię natychmiast. Musisz szybko postarać się o czynną opiekę innego Obywatela.

- Mogę to zrobić tylko wyrażając zgodę na udział w wyścigach - rzekł Stile. - A to oznacza katastrofę.

- Maszyny pomogą ci się ukryć - powiedziała Sheen. - Jeśli Obywatel ustawi na ciebie detektor, nasza pomoc nie potrwa długo - odparł rzecznik. - Poza tym zagrożiłoby to naszej tajemnicy i stanowiłoby pogwałcenie przysięgi, że nie będziemy działać przeciwko ludziom, co w obecnych warunkach jest już dosyć problematyczne. Musimy słuchać poleceń. Jeżeli jednak zostaniesz schwytany i poddany przesłuchaniu...

- Wiem. Pierwszy test jakiemu zostaną poddany przy użyciu maszyny o wolnej woli, będzie ostatnią chwilą w moim życiu.

- Widzę, że się rozumiemy. Obywatele mają do dyspozycji środki, które są w stanie złamać wolę każdego przesłuchiwanego. tylko śmierć może temu zapobiec.

Była to smutna prawda, ale Stile starał się o niej nie myśleć.

- Hej, Sheen, czy zechciałabyś mi pomóc? Pamiętasz jeszcze, że to twoja dyrektywa?

- Pamiętam - odrzekła z uśmiechem.

Jako robot nie potrzebowała snu, więc kiedy on odpoczywał, podłączyła się do informacji na temat poczucia humoru. Teraz miała już na ten temat o wiele większe pojęcie. Starła się zredukować każdą różnicę, jaką dostrzegła pomiędzy sobą a ludźmi i rezultaty były już widoczne.

- Wątpię, żeby ktokolwiek chciał cię aresztować - powiedziała. - Historia w szpitalu została zatuszowana, a twój konflikt z anonimowym Obywatelom jest waszą prywatną sprawą. Gdyby udało się go zneutralizować, nic nie stałoby na przeszkodzie, żebyś sobie znalazł odpowiednią pracę u kogoś innego.

Stile chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie i znowu pocałował. Jego uczucia ulegały stałym wahaniom. W tej chwili prawie ją kochał.

- Nie wystawiono nakazu aresztowania Stile' a - odezwał się rzecznik - ale niezidentyfikowany Obywatel nie odesłał androidów pilnujących mieszkania.

- Więc zidentyfikujmy go! Może to on kazał do mnie strzelać z lasera po to, żebym startował na jego koniach powiedział Stile bez przekonania. - Czy mamy zapis jego rozmowy?

- Zapis jest - stwierdził Techtwo. - Ale nie może zostać odczytany przed upływem okresu obowiązującego przy przetwarzaniu prywatnych rozmów. Gdybyśmy to zrobili, stwierdzono by błąd lub usterkę w działaniu odpowiedniej maszyny.

- Tak, maszyny muszą stosować się do przepisów. - Jak długo trwa wymagany okres?

- Siedem dni.

- Więc mogę przesłać zapis do banku pamięci z zastrzeżeniem, żeby został opublikowany w przypadku mojej śmierci. To ochroni mnie przed atakami. Wątpię, by Obywatel chciał narazić się na zidentyfikowanie w chwili, gdy taśma zostanie zbadana przez Wydział Ochrony.

- Nie możesz zostawić go w banku pamięci na tydzień - rzekła Sheen. - Co będzie, jeśli złapie cię w międzyczasie?

Milczał ponuro. Wyszli z pomieszczenia. Maszyny nie zaprotestowały i w żaden sposób nie dały poznać, że służą do jakichkolwiek celów niezgodnych z ich przeznaczeniem. Ale Stile miał już teraz nieco inne zdanie na temat robotów!

Miło było ponownie zmieszać się z tłumem niewolników. Wielu z nich przyjęło służbę na Protonie tylko ze względu na doskonałe wynagrodzenie, jakie mieli otrzymać po jej ukończeniu, ale Stile czuł się uczuciowo związany z planetą. Dostrzegał wady systemu, lecz także jego ogromne bogactwo. A poza tym była tu Gra.

- Zgłodniałem - powiedział - a mój dozownik jedzenia znajduje się w mieszkaniu. Może jakiś publiczny...? - Nawet nie waż pojawić się w publicznej jadłodajni!

- zawołała przerażona Sheen.

- Wszystkie są pilnowane i najprawdopodobniej rozesłano już twój rysopis. Niekoniecznie zrobiła to policja. Anonimowy Obywatel mógł po prostu zamówić standardowe sprawdzenie miejsca twojego pobytu.

- Racja. A jak z twoim rysopisem? Nikt nie będzie szukał maszyny. Ciebie nie można w żaden sposób zidentyfikować - zauważył Stile.

- Właśnie. Pójdę do dozownika, który nie ma czujnika reagującego na ożywione ciało, coś zjem, a potem ci to zwrócę. Stile wzdrygnął się, ale zdawał sobie sprawę, że to jedyny sposób, aby nie umarł z głodu przez najbliższe dni. Jedzenie, mimo swego wyglądu, będzie zdrowe. Na całym Protonie pożywienie było ogólnie dostępne, więc niewolnik zabierający je dokądś z dozownika wzbudziłby podejrzenia.

- Weź coś, co się mało zmienia, na przykład nutro pudding - zastrzegł.

Na Protonie wszystkie podstawowe potrzeby życiowe były zaspakajane za darmo. Z tego też powodu niewolnicy niechętnie stąd wyjeżdżali, obawiając się, że mogą mieć

poważne kłopoty z przystosowaniem się do życia w innych częściach galaktyki.

Sheen wkrótce była już z powrotem. Nie miała talerza ani łyżki, aby nie budzić jakichkolwiek podejrzeń. Użyła ich przy jedzeniu i potem wyrzuciła do zsyphu.

- Nadstaw ręce - powiedziała.

Stile złożył dłonie, tworząc miseczkę. Pochyliła się i wyrzuciła z siebie sporą ilość żółtego puddingu. Był ciepły i śliski, ale nie wyglądał zachęcająco. Żołądek skurczył mu się. Kiedyś Stile przygotowywał się do konkursu w jedzeniu rzeczy obrzydliwych, należącego do Gry. Żywność nutro można było przetwarzać w rozmaity sposób, nie wyłączając podobieństwa do zwierzęcych odchodów i smaru maszynowego. Wyobraził sobie, że to Gra - co do pewnego stopnia było prawdą - i wysiorbał rzadką breję. Smakowało nawet nie najgorzej. Potem znalazł toaletę i umył się.

- Ogłoszono już alarm - zawiadomił cicho głos maszyny.

Stile wiedział, że Obywatel poszukuje go teraz przy pomocy swoich ludzi. Gdy tylko znajdą się na jego tropie, wysłany zostanie szybki i sprawny oddział egzekucyjny. Oczekają tylko do czasu, kiedy będą mieli pewność, że jego śmierć zrobi wrażenie przypadkowej. Obywatele nie lubili, gdy ich prywatne sprawy stawały się własnością publiczną. Oznaczało to, że próby zabójstwa dokonywane będą w sposób dyskretny. Sheen oczywiście zrobi wszystko, żeby go ochronić, ale sprawny oddział egzekucyjny weźmie i to pod uwagę. Nie ma co stać i czekać bezczynnie na pierwszy atak.

- Wmieszajmy się w tłum - zaproponował Stile.

- To nie jest najlepszy sposób, żeby zniknąć im z oczu - zauważyła Sheen. - Nie możesz przebywać wśród ludzi zbyt długo, bo stała obecność w pomieszczeniach publicznych zostanie zarejestrowana przez nadzór i wzbudzi podejrzenia. Poza tym w końcu się zmęczysz. Od czasu do czasu musisz przecież spać i odpoczywać. Jeżeli wróg cię zlokalizuje, w tłumie łatwiej mu będzie zaatakować cię zniecka.

- Jesteś cholernie logiczna - powiedział zmartwiony. - Och, Stile, tak się o ciebie boję - zawołała.

- W taki sposób lepiej dajesz wyraz stosownym uczuciom.

- Nie udaję. Kocham cię - wyszeptała. Przytuliła się do niego i pocałowała namiętnie.

- Wiem, że nie możesz mnie pokochać - mówiła cicho - ale ja przecież istnieję tylko po to, żeby cię chronić i martwię się, że coraz gorzej mi to wychodzi. Czy nie jest to wyrazem miłości?

Byli sami w przejściu przeznaczonym dla maszyn. Stile objął ją serdecznie. Nie mógł odwzajemniać jej uczuć, lecz był jej wdzięczny i polubił ją, pragnął dać jej chociaż namiastkę

tego, czego mogła oczekiwać. Jego dłonie zsunęły się po jej gładkim ciele, ale ona odsunęła się.

- Niczego więcej nie pragnę - szepnęła - ale ściga cię morderca, przed którym mam cię uchronić. Muszę znaleźć ci jakieś bezpieczne miejsce. I wtedy...

- Jesteś cholernie praktyczna.

Przyszło mu do głowy, że gdyby zastąpiono Sheen żywą dziewczyną, mógłby się nie zorientować. Puścił ją jednak i ruszyli dalej.

- Myślę, że chyba mogę ukryć cię w...

- Nie mów - przerwał. - Zaprowadź mnie tam określoną drogą, może zgubimy naszych prześladowców.

- W możliwie krótkim czasie - dokończyła. - Idziemy - zdecydował.

Kiwnęła głową, pociągając go za sobą. Szli, obserwując bacznie otoczenie. Zauważył giętkość jej smukłego ciała. Gdyby nie widział, jak oddziela jego części, nie uwierzyłby, że jest sztuczne! Żywa kobieta rozłożona na części też nie wyglądałaby lepiej. Tak czy siak, Sheen ma w sobie wiele kobiecości.

Doszli do miejsca, w którym łączyły się dwa korytarze; było tam pełno ludzi. Musieli wmieszać się w tłum przynajmniej na krótki czas. Droga prowadziła do głównego węzła komunikacyjnego, z którego można było dotrzeć do innych kopuł. Czy uda im się znaleźć jakieś bezpieczne miejsce i zmylić pogoń? Stile w to wątpił. Każdy Obywatel mógł w dowolnej chwili sprawdzić wszystkie przejazdy.

Jego myśli bezlitośnie analizowały sytuację. Jeśli zdoła przeżyć te siedem dni, to co zrobi w sprawie pracy? Niewolnikom przysługiwało dziesięć dni wolnego przy zmianie pracodawcy. Jeżeli po tym terminie nie mieli zatrudnienia, to ich służba na Protonie kończyła się i podlegali natychmiastowej deportacji. Oznaczało to, że zostanie mu tylko trzy dni na znalezienie Obywatela, który zechciałby skorzystać z jego usług i to wykluczając startowanie w wyścigach.

Stile coraz bardziej wątpił w to, że anonimowy Obywatel jest tą samą osobą, która uszkodziła mu kolana. To po prostu nie miało sensu. Czuł, że istnieje jeszcze jakaś trzecia strona --- wróg bardziej uparty i inteligentny, przed którym nie zdoła się ukryć.

Starszy niewolnik potknął się i wpadł na Stile'a.

- O, przepraszam, chłopcze - zawołał, wyciągając rękę, żeby podtrzymać potrąconego.

Sheen odwróciła się błyskawicznie. Mocno uderzyła niezdarnego niewolnika w nagdarstek. Z jego ręki wypadła strzykawka i roztrzaskała się o podłogę.

-- O, przepraszam, dziadku - rzekła Sheen, rzucając mu krótkie, pełne wrogości

spojrzenie. Mężczyzna odwrócił się pospiesznie i odszedł.

Igła tej strzykawki dotknęłaby ciała Stile'a, gdyby ręka napastnika trafiła do celu. Co znajdowało się w strzykawce?

Na pewno nie witaminy! Sheen sprawnie przeprowadziła akcję. Zna się na rzeczy. Ostrożność jednak nie pozwalała Stile'owi na wyrażenie wdzięczności.

Podążali dalej. Wszystko było jasne: zostali zlokalizowani i oddział egzekucyjny jest w pobliżu. Stile znajdował się na otwartej przestrzeni, natomiast jego wrogowie działali z ukrycia. Mogą ponowić próbę podania mu narkotyku, który sprawi, że popełni samobójstwo albo zgodzi się na transplantację mózgu. Nie śmiał nawet rozglądać się wokół siebie.

Sheen delikatnie skierowała go do korytarza prowadzącego do publicznej toalety. O tej porze była pusta. Nadchodził zmierzch i większość niewolników spieszyła do domów, nie zatrzymując się po drodze.

Popchnęła go lekko do przodu, ale sama pozostała z tyłu. Zamierzała zacząć się na ewentualny pościg. Stile dostosował się do sytuacji i przeszedł przez otwierające się okrągłe drzwi. Prawdę mówiąc, mógł też skorzystać z tego miejsca do swoich celów.

W Grze sływał ze stalowych nerwów, ale nigdy dotąd nie był narażony na bezpośrednie zamachy na swoje życie. Zależał teraz wyłącznie od inicjatywy Sheen. Zamknął się w kabinie i ukrył twarz w rękach.

Drzwi otworzyły się, wpuszczając następnego mężczyznę, który szybko rozejrzał się dookoła. Stwierdziwszy, że w pomieszczeniu nie ma nikogo poza Stilem, ruszył w jego stronę i otworzył kabinę.

- Chcesz się bić, co? - warknął, napinając muskularne ramiona.

Był wysoki, a liczne blizny pokrywające jego ciało świadczyły o wielu walkach, w których brał udział. W Grze prawdopodobnie specjalizował się w wolnej amerykance, folgując swemu zamiłowaniu do przemocy.

Stile wstał pospiesznie. Jak Sheen mogła przepuścić tego typu?

Przybysz rzucił się na Stile'a. Nagość ma jedną zaletę nie pozwala nosić ukrytej broni. Cios oczywiście nie trafił do celu. Stile uchylił się, odskoczył i pozwolił napastnikowi wpaść z hukiem do kabiny. Mógł go z łatwością zranić lub ogłuszyć, bo sam był niezłym specjalistą w różnego typu walkach, ale wolał zachować ostrożność.

Pojawiła się Sheen.

- Czy on cię dotknął? - zapytała szybko. - Albo ty jego?

- Tak się składa, że nie. Nie było potrzeby... Wydała nieomal ludzkie westchnienie ulgi.

- Pozwoliłam mu przejść, wiedząc, że sobie poradzisz, bo chciałam się upewnić, ilu

oprócz niego ich jest i jakiego rodzaju - wskazała na korytarz. Leżały w nim trzy ciała.

- Gdybym go usunęła, mogliby się nie ujawnić i pułapka by nie zadziałała, ale kiedy ich zobaczyłam, zrozumiałam w czym rzecz. Wszyscy są pokryci oszołamiącym proszkiem. Mnie nie zrobi on żadnej krzywdy, ani im, są to bezpłciowe androidy. Tobie jednak...

Stile kiwnął głową. Miał szczęście!

Sheen wskazała toaletę damską. Stile wiedział dlaczego - miała na rękach proszek i nie mogła go dotykać dopóki ich nie umyje.

Wsunął dłoń w okrągłe drzwi, żeby je otworzyć... i coś po drugiej stronie złapało go za przegub. Pochylił głowę i wskoczył do środka, gotów do walki.

Był to jednak tylko nieskomplikowany robot pełniący funkcję babci klozetowej.

- Mężczyznom tu nie wolno - powiedział godnie. Rozpoznał męskie ramię i zareagował natychmiast, zgodnie ze swoim programem. Sheen weszła do środka i dotknęła go. Natychmiast znieruchomiał.

- Wyłączyłam go na chwilę.

Podeszła do umywalki i opłukała ręce. Potem weszła pod prysznic i umyła całe ciało, zwracając szczególną uwagę na te części, które mogły wejść w kontakt z pokrytymi proszkiem cielskimi androidów.

Stile usłyszał jakiś dźwięk.

- Mamy towarzystwo - powiedział.

Jak się stąd wydostać? - myślał. Jedyne wyjście prowadziło przez okrągłe drzwi, przez które wchodziła jakaś kobieta. Sheen pod prysznicem wskazała mu miejsce obok siebie. Wskoczył tam jednym susem. Ustawiła prysznic na "mgiełkę" i z sitka zaczęła wydobywać się gęsta para, kryjąc ich swoją zasłoną. Była przesycona wonią róż.

Sheen objęła Stile'a, a jej głodne usta odnalazły jego wargi. Najwyraźniej potrzebowała częstego potwierdzenia swojej kobiecości, tak jak on musiał niejednokrotnie upewniać się co do swego miejsca w hierarchii mężczyzn. W obu przypadkach było to zbyt często kwestionowane. Co za para!

Gdy pomieszczenie stało się ponownie puste, Sheen przełączyła prysznic na "płukanie", a potem na "suszenie". Musieli się teraz rozdzielić, ku niezadowoleniu Stile'a. Jego nastawienie do Sheen podlegało stałym wahaniom. Teraz chciał się z nią kochać i wiedział, że to ani czas, ani miejsce po temu. Ale innym razem, kiedy już będą bezpieczni, zaprowadzi ją pod prysznic, włączy mgiełkę...

Sheen przeciągnęła palcami po ścianie obok kabiny prysznicowej. Odnalazła to, czego szukała i odsunęła metalową płytę. Następne wejście dla maszyn. Gestem nakazała mu z

niego skorzystać.

Przecisnęli się między rurami i znaleźli się w wąskim korytarzyku oddzielającym toaletę damską od męskiej. Skręcał on raptownie to na prawo, to na lewo, aż nagle zszedł do niższego poziomu, gdzie kończył się magazynem maszyn do sprzątania. Stojące we wnękach urządzenia obsługiwała maszyna konserwacyjna. W tej chwili czyściła łącznik rurowy, używając elektryczności statycznej, żeby namagnesować brud i wciągnąć go do odbieraka. Stała w przejściu, więc musieli się koło niej przecisnąć. Nagle zachybotła się. Sheen uderzyła ją otwartą dłonią. Strzeliła iskra i zapachniało ozonem. Maszyna zamarła na skutek zwarcia.

- Co zrobiłaś? - zapytał zaskoczony Stile.

Sheen nie zareagowała. Stile zauważył, że przez jej ciało biegnie smuga spalenizny. Została porażona potężnym ładunkiem elektrycznym. Ładunek ów trafiłby Stile'a, gdyby otarł się o urządzenie. Tak właśnie miało się stać, bo maszyna wychyliła się w stronę przejścia w chwili, kiedy się do niej zbliżał. Następną próbą zabójstwa, którego uniknął.

Ale za jaką cenę? Sheen nadal się nie poruszała.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Stile.

Nie odpowiedziała ani się nie poruszyła. Ładunek spowodował zwarcie i w niej. Była na swój sposób martwa.

- Mam nadzieję, że zniszczone zostało tylko zasilanie, nie mózg - powiedział.

Trzeba wymienić baterie. A jeśli to nie pomoże? Wolał się nad tym nie zastanawiać.

Podszedł do maszyny do zamywania, otworzył jej zespół napędowy i wyjął z niego standardową baterię protonitową, która wyczerpywała się po roku użytkowania. Podobnego do protonitu źródła energii nie było w całej galaktyce. Prawdę mówiąc, stanowił on podstawę niezmiernego bogactwa planety Proton. Cały wszechświat potrzebował energii, a tu było jej najbardziej wydajne źródło.

Stile zaniósł baterię do Sheen. Miał nadzieję, że jeśli chodzi o zasilanie, zbudowana jest standardowo. Niezwykłość Sheen wynikała z budowy jej mózgu, nie ciała, chociaż trudno było o tym pamiętać, gdy trzymało się ją w ramionach. Gdyby jednak pominąć naczelną dyrektywę Sheen i jej wygląd, reszta nie powinna różnić się wiele od maszyny do sprzątania.

Przesunął palcami po jej brzuchu i nacisnął okolicę pępka. Większość człecopodobnych robotów... jest! Otworzyła się klapka, ukazując źródło zasilania. Wydobyl zużyta baterię, ciągle jeszcze gorącą, i założył nową.

Nic się nie zmieniło. Strach ścisnął mu serce. Och! prawda! Przecież zadziałał wyłącznik awaryjny zabezpieczający mózg w wypadku krótkiego spięcia. Po chwili Stile

odnalazł go, był ukryty pod językiem. Przycisnął i Sheen wróciła do życia.

Zatrzasnęła klapkę na brzuchu.

- Mam teraz u ciebie dług wdzięczności, Stile - powiedziała.

- Chcesz się rozliczać? Jesteś mi potrzebna, co najmniej z dwóch powodów.

Uśmiechnęła się.

- Wystarczy, żebyś mnie potrzebował tylko z jednego. Rzuciła mu krótkie spojrzenie. Sprawiała wrażenie bardziej ożywionej niż przedtem, jakby nowa bateria dodała jej energii. Przysunęła się do niego.

W korytarzu, z którego nadeszli, coś się poruszyło. Mogła to być tylko maszyna powracająca z pracy, ale woleli nie ryzykować i zmienić kryjówkę.

Sheen zaprowadziła go do pomieszczenia obsługującego duży punkt restauracyjny. W milczeniu wskazała puste skrzynie. Raz albo dwa razy dziennie ciężarówka przywoziła tu nowe pojemniki z proszkiem nutro oraz różnymi nośnikami barwy i zapachu i zabierała puste paki. Z tych składników wytwarzano najrozmaitsze potrawy, od puddingu po marchewki, sprawiające wrażenie autentycznych. Osiągnięcia techniki były zadziwiające. Stile raz jadł prawdziwą marchewkę odrzuconą z warzywnika swojego pana, w którym uprawiano rośliny egzotyczne, ale nie była ona identyczna z warzywem wytwarzanym maszynowo. Prawdę mówiąc, Stile wolał smak i wygląd sztucznej żywności, do której był przyzwyczajony, ale Obywatele gustowali w naturalnej.

Mógł wygodnie przesiedzieć w jednej ze skrzyń kilka godzin. Sheen przyniesie mu jedzenie. Byli wprawdzie w magazynie surowców spożywczych, ale nie nadawały się do konsumpcji bez odpowiedniej obróbki technologicznej.

Wspiął się do skrzyni. Sheen nie zatrzymywała się, żeby nie zdradzić, gdzie się ukrył. Jeżeli uda się jej zmylić pogoń, będą mieli spokój przez cały dzień, a jak dobrze pójdzie to może nawet tydzień. Stile ulokował się, jak mógł najwygodniej i wyjrzał przez szparę.

Ledwie Sheen zdążyła się oddalić, pojawiła się mechaniczna mysz. Popiskiwała, węsząc dookoła i podążała ich śladem. Przystanęła w miejscu, gdzie trop Stile'a oddzielał się od śladów Sheen, a potem poszła za Sheen.

Stile zdziwił się. Co to za mysz, która nie potrafi odróżnić robota od człowieka? Węszyciele robili to przecież z łatwością. Ale wykąпали się przecież pod pachnącym prysznicem. Mysz podążała tym tropem, a zapach Sheen był taki sam jak jego. Żywy pies mógłby je od siebie odróżnić, ale tak sztuczne nosy, jak i mózgi nie dorównywały jeszcze naturalnym. Całe szczęście.

Ale wkrótce ten węszyciel, albo inny wróci, żeby zająć się drugim śladem i znajdzie go.

Musi coś z tym zrobić. Stile wyszedł ze skrzyni, podbiegł do wejścia, zrobił kilka

kroków swoim śladem i skręcił do innej sterty skrzyń. Potem zawrócił i poszedł aż do rampy. Miał nadzieję, że sprawi to wrażenie, iż wsiadł do jednej z ciężarówek. Wykonał jeszcze kilka pętli i wrócił do swojej skrzyni. Niech teraz wężyciele spróbują to rozwikłać!

Ale mysz nie wróciła i nie pojawiło się nic innego. Cała operacja śledcza najwyraźniej opierała się na uproszczonym założeniu, że dopóki wężyciel się porusza, dopóty śledzi właściwą osobę.

Czas mijał. Nadeszła noc. Od czasu do czasu maszyny wytwarzające jedzenie wyrzucały opróżnioną skrzynię z kartonami. Stile znów odczuł głód, ale wiedział, że dwie garście zjedzonego przed kilku godzinami puddingu powinny mu na razie wystarczyć.

Gdzie jest Sheen? Czy bała się do niego wrócić, dopóki podążał za nią wężyciel? Będzie musiała zneutralizować mechaniczną mysz i to daleko stąd, żeby odsunąć podejrzenia od miejsca, w którym on się ukrywa. Musiał uzbroić się w cierpliwość.

Uwagę miał napiętą. Nie odważył się zasnąć ani ograniczyć czujności, dopóki Sheen nie wróci.

W korzytarzu pojawił się mężczyzna. Stile zamarł, ale człowiek nie wyglądał na jednego z jego prześladowców i spokojnie zmierzał do jakiegoś znanego sobie celu.

Stile zamrugnął oczyma. Mężczyzna nagle zniknął. Czy Stile zdrzemnął się i nie zauważył, kiedy opuścił pomieszczenie? A może jest gdzieś w pobliżu i czai się za skrzyniami? W takim razie oddział egzekucyjny jest już na miejscu. Poważna sprawa. Jeśli ten ktoś jest nasłanym mordercą, to prawdopodobnie posiada czujnik wykrywający ciepło ciała. Jeden błysk lasera i sprawca pozostanie na zawsze anonimowy.

Na Protonie mieszkali także przestępcy, którzy ukrywali się w podobnych miejscach. Byli to przeważnie niewolnicy, których służba już się skończyła, a oni uchylali się od deportacji. Obywatele tolerowali tę sytuację i nie czynili większych wysiłków, aby tych ludzi usunąć z planety. Być może dlatego, że przestępcy okazywali się czasami przydatni. Każde zabójstwo można było przypisać pogardzanej klasie przestępców, którzy nigdy nie zabijali ludzi wbrew woli Obywateli. Panowało między nimi milczące porozumienie. Po co dochodzić, kto zamordował bezrobotnego niewolnika?

Ruszać się, czy nie? To przypominało pierwszą tabelę Gry. Jeśli obcy wciąż tu jest, jeśli jest mordercą i jeśli wykrył Stile'a, to pozostanie na miejscu równa się śmierci. Ale jeśli Stile się ruszy, z pewnością zdradzi gdzie jest, a wtedy i tak zginie. Ma większe szanse, pozostając na miejscu.

Czas mijał, a obcy nie dawał znaku życia. Musiał to więc być fałszywy alarm. Stile

zaczynał czuć się głupio i bolały go kolana.

Nagle pojawił się inny mężczyzna, idący w tym samym kierunku, co poprzedni. Jak na strefę maszyn, panował tu znaczny ruch i to w nocy.

Teraz Stile obserwował go ze zdwojoną uwagą.

Szedł spokojnie, nie zatrzymując się i nagle zniknął. Nie zrobił kroku w bok, nie uchylił się, lecz po prostu przepadł. Stile był zdumiony. To, co widział, nie przypominało mu żadnego znanego zjawiska. Przenoszenie materii, o ile wiedział, nie istniało, ale tak właśnie wyobrażał je sobie: jak ekran, przez który można przejść i natychmiast znaleźć się w innym miejscu.

Sheen jednak przeszła tamtędy nie znikając, tak samo jak mechaniczna mysz.

Zbadać to? Sprawa może okazać się ważna, ale równie dobrze może to być kolejna pułapka. Co w tej sytuacji biorąc pod uwagę możliwości i strategię anonimowego przeciwnika - będzie najlepszym posunięciem?

Stile postanowił nigdzie się nie ruszać. Ci znikający ludzie najprawdopodobniej nie mieli z nim nic wspólnego. Przypadkiem znalazł się w miejscu, z którego mógł ich zaobserwować. A może nie był to przypadek?

Schronienie, jakie znalazł w pomieszczeniu gospodarczym, służyło także i im. Jeśli mieli prywatny przenośnik materii, którego chcieli swobodnie używać, to właśnie tutaj najlepiej było go umieścić.

Ta teoria wydała mu się jednak mało przekonująca. Skąd niewolnicy mieliby mieć przenośnik materii, nawet gdyby takie urządzenie w ogóle istniało? Nie mogli przecież mieć żadnej własności, nawet ubrań do celów specjalnych, na przykład do pracy poza kopułami albo w niebezpiecznych miejscach. Wszystko, czego potrzebowali, było im dostarczane. Na Protonie nie istniały pieniądze, ani żadne środki wymiany, a rachunki rozliczano po upływie służby. Niewolnicy nie mogliby zbudować takiego urządzenia, chyba że z nie istniejących już maszyn. Jednakże cały sprzęt specjalistyczny był starannie rejestrowany. Gdyby coś zginęło, komputery natychmiast podniosłyby alarm. Stanowiło to jeszcze jeden powód, dla którego przestępca nie mógł posiadać broni laserowej bez milczącej zgody jakiegoś Obywatela.

A poza tym, czy ktoś posiadający takie urządzenie chciałby pozostać niewolnikiem? Mógłby je przecież sprzedać za astronomiczną sumę i zamieszkać na jakiejś innej planecie, mając fortunę dorównującą bogactwu Obywatela Protonu. Tak właśnie musiałyby zrobić, bo Obywatele nie byliby zainteresowani środkiem transportu nie wykorzystującym protonitu. Po co mieliby łamać własny monopol?

A może maszyny o wolnej woli mają z tym coś wspólnego? Posiadają przecież

odpowiednie możliwości. Widział jednak na własne oczy znikających ludzi, którym maszyny na pewno nie zdradziłyby takiej tajemnicy.

Wyglądało to raczej na operację wywiadowczą, mającą na celu transport szpiegów na inną planetę, albo do jakiejś tajnej bazy umieszczonej na Protonie. Jeśli tak, to co zrobi szpiegowska organizacja z niewolnikiem, który przypadkiem natknął się na ich sekret?

W sali pojawiła się kobieta. Wyłoniła się nagle z niewidzialnego ekranu, jak gdyby z nicości. Była w średnim wieku, niezbyt ładna, ale miała w sobie coś niepokojącego. Na jej ciele widniały odgniecenia, jakby coś je przed chwilą uciskało, na przykład ubranie.

Czyżby po drugiej stronie ekranu niewolnicy nosili stroje? I zdejmowali je po to, żeby nie wyróżniać się pośród tutejszej ludności? Musieli więc przybywać z innego świata!

Stile wpatrywał się z napięciem w to intrygujące miejsce. Udało mu się dostrzec lekkie migotanie, jakby pomieszczenie przedzielala ukośnie przezroczysta zasłona. Za nią słabiutko rysowały się sylwetki drzew.

Zdumiewające. Po co w taki sposób ozdobiono urządzenie techniczne? A może to jakiś kamuflaż?

Stile nie potrafił znaleźć odpowiedzi na żadne z nurtujących go pytań. Postanowił więc odprężyć się nieco i trochę odpocząć.

- Stile - usłyszał po chwili.

Była to Sheen. Stile popatrzył w głąb korytarza i zobaczył ją, idącą powoli, jakby nie pamiętała, gdzie się ukrył. Czy znów zetknęła się z naładowaną maszyną?

- Jestem tutaj - odpowiedział półgłosem. Odwróciła się i ruszyła w jego stronę.

- Zmyliłaś pogoń? - zapytał, podnosząc się i wystawiając ze skrzyni głowę i ramiona.

Błyskawicznie złapała go za przegub dłoni mocnym uchwytem. Stile był silny, ale nie dorównywał robotowi. Co ona wyprawia?

Druga dłoń Sheen uderzyła w skrzynię. Plastik rozleciał się na drobne kawałki. Stile, reagując odruchowo, uchylił się i uniknął ciosu.

- Sheen, co...

Wymierzyła następny cios. Atakowała go! Znowu się uchylił. Zdołał pozbawić ją równowagi. Siła stanowi tylko jeden z elementów walki. Wielu, ku swojej zgubie, nie zdawało sobie z tego sprawy.

Albo w jakiś sposób nastawiono ją przeciwko niemu, co wymagałaby całkowitej zmiany jej oprogramowania, albo to nie jest Sheen. To drugie wydawało mu się bardziej prawdopodobne. Sheen przecież wiedziała, gdzie się ukrywał, robot musiał go zawołać. Niepotrzebnie się odzywał.

Kolejne uderzenie i kolejny unik. To jednak nie jest Sheen, ona stosowała znacznie bardziej wyrafinowane metody walki. Nie, nie był to nawet inteligentny robot, tylko głupia maszyna. Da więc sobie z nią radę, mimo że jest taka silna.

Jej prawa dłoń wciąż zaciskała się na jego lewym nadgarstku, podczas gdy lewa pięść wymierzała ciosy. Gdyby któreś uderzenie trafiło w cel, Stile miałby połamane kości, ale były dżokej miał duże doświadczenie w unikaniu tego rodzaju ataków. Odwrócił się w lewo, pociągając ją za rękę, aż znalazł się tyłem do robota, blokując mu ramię swoim prawym barkiem. Przygotowywał się do rzutu. Teraz albo go puści, albo polecą głową do skrzyni.

Poleciała i dopiero wtedy' rozluźniła uchwyt. Wyszarpnęła rękę, zdzierając sobie przy okazji skórę.

Stile wygrzebał się z pobojuwiska. Mógł łatwo zamienić napastnika w kupkę złomu, ale nie miał stuprocentowej pewności, że to nie Sheen, której zainstalowano dodatkowy program redukujący jej inteligencję i zmuszający do słuchania prostych poleceń. Gdyby zrobił jej krzywdę...

Maszyna wydostała się spośród resztek skrzyni i ruszyła w kierunku Stile'a. Na uroczej twarzyczce miała smugę brudu, a włosy były potargane. Prawa pierś uległa lekkiemu odgnieceniu. Stile cofnął się wciąż niezdecydowany. Potrafi pokonać tę maszynę, ale musi ją zniszczyć. Gdyby tylko miał pewność, że to nie...

Wtem pojawiła się druga Sheen.

- Stile! - zawołała. - Kryj się. Oddział jest... Spostrzegła drugą maszynę.

- Och! Nie! Zrobili stary numer z sobowtórem!

Stile nie miał już cienia wątpliwości - druga Sheen jest prawdziwa, ale pierwszej udało się wykonać połowę swego zadania. Wywabiła go z ukrycia i odwróciła jego uwagę. W polu widzenia miał teraz oddział androidów - kilku tupiących wielkoludów.

- Zatrzymam ich! - zawołała Sheen. -- Uciekaj! W drugim końcu pomieszczenia pojawiła się następna grupa androidów. Zdesperowany Obywatel najwyraźniej przestał się troszczyć o dyskrecję. Za wszelką cenę chciał pozbyć się Stile' a! Jeśli te typy również miały na sobie proszek oszołamiający, albo coś jeszcze gorszego...

Stile popędził korytarzem i rzucił się na zasłonę przenoszącą materię w desperackiej nadziei, że okaże się skuteczna także dla niego. Androidy mogą pójść za nim, ale znajdą się w kłopotliwej sytuacji. To zwiększy jego szanse. Poczul lekkie mrowienie i znalazł się po drugiej stronie.

Rozdział 5

FANTASTYKA

Stile znajdował się w gęstym lesie. Czuł silny zapach trawy i grzybów, a pod nogami szeleściły mu opadłe liście.

Blask księżyców przenikał przez gałęzie i oświetlał ziemię. Na Protonie zbliżał się świt. Wyglądało na to, że tutaj jest ta sama pora. Liczba księżyców była też taka sama, jak na Protonie, który miał ich siedem, ale jednocześnie widziało się tylko trzy lub cztery. Siła ciężenia przypominała ziemską, więc jeśli Stile znalazł się rzeczywiście poza kopułą, to miał do czynienia z planetą o większej masie lub gęstości niż Proton.

Odwrócił się w stronę napastników, ale nie zobaczył nikogo. Nie przeszli przez migoczącą zasłonę. Stile odnalazł ją i dokładnie obejrzał. Widział światło w pomieszczeniu, z którego wyszedł i porozrzucane skrzynie. Stała tam Sheen nie wiadomo która - i kilku androidów. Jeden z nich ruszył prosto na niego i gdzieś przepadł.

Stile patrzył, starając się zrozumieć zjawisko, od którego zależały w znacznym stopniu jego przyszłe losy. On zdołał przejść, ale androidy i roboty nie. Czy więc przepuszczani byli tylko ludzie, a sztuczne istoty nie? Całkiem prawdopodobne. Nie chciał przyjmować jednak tej hipotezy, dopóki nie uzyska więcej informacji.

Po drugiej stronie zasłony zapanował spokój. Androidzi i kopia Sheen oddalili się. Oddziałek wrogów najwyraźniej uznał, że prawdziwa Sheen już się nie liczy. Sprawiała wrażenie, że nie widzi ani jego, ani zasłony.

W tej sytuacji Stile zdecydował się na powrót, chociażby po to, żeby jej powiedzieć, iż jest bezpieczny. Nie miał sumienia zostawić ją w niepewności. Przeszedł więc ponownie przez zasłonę i stwierdził, że jest nadal w lesie.

Obejrzał się za siebie - zasłona była na miejscu. Widział po drugiej stronie ślady swoich stóp odcisniętych w miękkiej, leśnej ziemi, zgniecione na chwilę liście, kępki traw i mchu, a równocześnie kwadrat światła w korytarzu dostawczym, teraz już pustym.

Spróbował jeszcze raz. Nie odczuł żadnego mrowienia, nic. Odwrócił się i obejrzał. Zobaczył Sheen szukającą go z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Jestem tutaj, Sheen! - zawołał, wystawiając rękę. Niestety, jego dłoń nie dosięgnęła jej. Sheen nie dała żadnego znaku, że go usłyszała lub zobaczyła.

Będzie myślała, że zginął. To martwiło go bardziej niż fakt, że został uwięziony w

nieznanym świecie. Jeśli uzna, że zginął, wtedy stwierdzi, że jej misja się nie powiodła i wyłączy się, popełniając w ten sposób samobójstwo. A on tego nie chce!

- Sheen! - zawołał ogarnięty falą wzruszenia. Sheen, spójrz na mnie! Jestem uwięziony za zasłoną przenoszącą...

Jeśli to działa tylko w jedną stronę, to oczywiście Sheen nie może go zobaczyć. Ale przecież widział ludzi przechodzących i w tę i z powrotem, a z Protonu dostrzegł puszcę. Teraz z kolei, będąc w lesie, widział Proton.

- Sheen! - zawołał znowu czując, jak coś chwyta go za gardło.

Odwróciła głowę. Usłyszała go!

- Tutaj, Sheen, tu! Za zasłoną. ' Patrzyła na niego. Sięgnęła ręką przez zasłonę, ale go nie dotknęła.

- Stile! - słabo ją było słychać.

Chwyił jej ręce, ale dłonie ich się nie dotknęły. Przeszły przez siebie jak dwa nakładające się hologramy.

- Sheen, znajdujemy się w dwóch różnych światach! Nie możemy się dotknąć, ale jestem tu bezpieczny.

Miał taką nadzieję.

- Bezpieczny? - zapytała, usiłując się do niego zbliżyć.

Gdy tylko przekroczyła zasłonę, zniknęła. Stile szybko przeszedł na drugą stronę i odwrócił się. Sheen też tam była, zwrócona tyłem do niego, patrząca w głąb korytarza.

Odwróciła się jednak i zauważyła go.

- Stile - zawołała - nie mogę cię dotknąć! Jak mam cię chronić? Czy jesteś duchem?

- Żyję! Przeszedłem na drugą stronę i nie mogę wrócić. Tutaj jest zupełnie inny świat, całkiem przyjemny. Drzewa i trawa, mech, ziemia i świeże powietrze...

Trzymali się za ręce, ale każde miało w dłoni pustkę.

- Jak...?

- Nie wiem, jak przejść z powrotem! Jakiś sposób musi istnieć, bo widziałem, jak zrobiła to jedna kobieta, ale dopóki go nie odkryję...

- Muszę do ciebie przejść!

Spróbowała to uczynić, ale znów jej się nie udało. - Och, Stile...

- To chyba działa tylko w przypadku ludzi - powiedział - ale jeśli dowiem się, jak wracać...

- Będę na ciebie czekała - rzekła ze smutkiem.

Tak bardzo chciała chronić go, a okazało się to niemożliwe.

- Zostań w tamtym świecie. Może tam będzie ci lepiej. - Wrócę, kiedy tylko będę mógł
- obiecał Stile.

Zobaczył, że ma w oczach łzy. Do diabła z tymi wszystkimi sztuczkami, które upodabniają roboty do ludzi! Stile rozpostarł ramiona, stojąc na skraju zasłony. Ona otworzyła swoje i przez chwilę pozostawali w uścisku nie dotykając się, ucałowali powietrze, a potem zniknęli sobie z oczu.

Złożył obietnicę, ale czy zdoła jej dotrzymać? Nie miał żadnej pewności i martwił się, że Sheen będzie czekać, nawet gdy zniknie ostatni ślad nadziei, cierpiąc tak, jak tylko może cierpieć prawie nieśmiertelny robot. Bolała go sama myśl o tym. Sheen nie zasługiwała na to, żeby być maszyną.

Stile nie chciał więcej dręczyć ani siebie, ani Sheen. Wrócił do lasu. Znał się całkiem nieźle na ziemskiej roślinności. Wymagała tego Gra, a wielu Obywateli importowało z Ziemi egzotyczne rośliny. Było jeszcze ciemno, ale wyteżywszy wzrok jakoś dawał sobie radę.

Najbliższym drzewem był wielki dąb lub jakiś zbliżony gatunek, a z jego gałęzi zwieszała się roślina zwana oplątwą brodawkowatą. Za nim rosło jakieś drzewo iglaste; świerk czy sosna? Ono właśnie wydawało ów przyjemny zapach. Na ziemi leżały wielkie liście przypominające kształtem dłonie i igły sosnowe - musiała więc rosnąć tu sosna. Znajdował się na polance porośniętej gęstą trawą. Stile'owi bardzo się

tu podobało. Miejsce przypominało niezwykle egzotyczny zakątek ogrodu Obywatela.

Zbliżał się świt. W górze nie było żadnej kopuły, żadnego ruchu powietrza wywołanego przez pole siłowe. Poprzez korony drzew, na dalekim horyzoncie widać było ciemne chmury, próbujące, niczym czarne gobeliny, powstrzymać nadchodzącą światłość i powoli przegrywające te zmagania. Na Protonie takie zjawiska atmosferyczne nie występowały! Krawędzie chmur obrzeżone były czerwienią i bielą. Wydawało się, że za nimi gromadzi się płonąca ciecz. Było jej coraz więcej i więcej, aż wreszcie przelała się i lśniący promień słońca z prędkością światła pomknął na ziemię. Całość była tak piękna, że Stile stał oniemiały z zachwytu, aż słońce zrobiło się zbyt jasne, żeby na nie patrzeć.

Wraz ze wschodem słońca puszcza zmieniła się. Znikły ciemności, a wraz z nimi zasłona. Nawet w nocy była ledwie dostrzegalna, a teraz blask słońca zatarł ostatni jej ślad. Mimo że prawdopodobnie nie miało to żadnego znaczenia, Stile posmutniał. Przeszedł się dookoła polanki, oglądając dokładnie drzewa. Niektóre z nich kwitły, a szmery i szelesty świadczyły, iż kryją się w nich istoty żywe. Ptaki, wiewiórki? Dowie się tego we właściwym czasie.

Miejsce to przypominało ogród, ale zdecydowanie było dziełem natury i miało

ogromne rozmiary. Ostrożność powstrzymała go przed wydawaniem okrzyków dla sprawdzenia echa. Wszystko wskazywało na to, że został przeniesiony z Protona na inną planetę i że znajduje się na jej powierzchni.

Zauważył wysoki świerk. Drzewo rozczapierzało na wszystkie strony suche gałęzki i doskonale nadawało się do wspinania. Nie oparł się więc pokusie. Wdrapał się na to stare, wielkie drzewo z uczuciem dziecięcej radości.

Wkrótce znalazł się u góry i poczuł, że powiewy wiatru, których nie czuł na dole, kołyszą cienkim w tym miejscu pniem. Był zachwycony. Martwił go tylko ból kolan, pojawiający się w chwilach, gdy usiłował je za mocno zginać nie chciał bez potrzeby pogarszać ich stanu.

Wdrapał się tak wysoko, jak tylko mógł. Czubki otaczających drzew znajdowały się poniżej i przypominały z tego miejsca niski żywopłot. Usadował się wygodnie i rozejrzał dookoła.

Widok był wspaniały. Od południa puszcza opierała się o stromą ścianę pobliskiej góry i rzedła ku północy, tworząc kępki drzew pośród morza traw. W dali drzewa ustąpiły miejsca łagodnie pofalowanej równinie, na której, jak się zdawało, pasły się zwierzęta: Jeszcze dalej na północ majaczyła wielka rzeka kończąca się gwałtownie w jakiejś rozpadlinie i białł łańcuch odległych gór. Patrząc na wschód i zachód, zobaczył tylko puszcze, a w niej kilka drzew wyższych od tego, na którym siedział. Góra na południu zasłaniała horyzont.

Nie dostrzegł żadnych oznak cywilizacji. Coraz mniej przypominało to stację przesyłającą materię! Ale jeśli nie jest to stacja, to w takim razie co? Widział jak ludzie przechodzą przez zasłonę i sam to zrobił. Musiało być tu coś więcej niż tylko dziewiczy las.

Rozejrzał się ponownie, utrwalając w pamięci topografię terenu. Dostrzegł jakąś budowlę położoną na północny wschód. Przypominała nieduży średniowieczny zamek z kamiennymi murami, wieżyczkami i czymś, co przypominało błękitny proporzec.

A więc mieszkają tu ludzie! Świetnie. Tyle, że chyba daleko im do nowoczesnej cywilizacji. Ten świat bardzo się Stile'owi podobał, ale nie budził zaufania. Transfer materii nie może odbywać się przecież bez zaawansowanej technologii, a jeśli baza nie znajdowała się tutaj, to gdzie? Może znalazł się w jakiejś pułapce przygotowanej na ludzi takich jak on, którzy wpadli na Protonie w kłopoty?

Zszedł z drzewa. Uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie pójść do zamku i wszystko wyjaśnić. Chciał jednak jeszcze raz zbadać okolice zasłony i dokładnie zapamiętać, gdzie się znajduje, żeby móc w każdej chwili tu wrócić. Był to jedyny łącznik z jego światem i z Sheen. Ten puszczański świat był wprawdzie doskonałym miejscem schronienia, ale

będzie musiał wrócić do domu, żeby nie skazano go na wygnanie.

Podchodził właśnie do niewidzialnej zasłony, gdy wyskoczył z niej mężczyzna. Przyjaciel, czy wróg? Stile uznał, że lepiej nie ryzykować, ale nieznajomy dostrzegł go od razu.

- Hej, zgubiłeś się? - zapytał obcy. - To tutaj. - Aha - powiedział Stile zbliżając się.

Facet nie wyglądał na androida ani robota.

- Znalazłem się tu przypadkiem. Nie wiem, gdzie jestem - wyjaśnił Stile nieznajomemu.

- Rozumiem, jesteś tu nowy! Ja przeszedłem po raz pierwszy w zeszłym roku. Przez sześć miesięcy uczyłem się zaklęcia, dzięki któremu udało mi się wrócić na Protona. Teraz przechodzę tam tylko po darmowe posiłki, ale mieszkam tu, na Phaze.

- Zaklęcia, żeby wrócić? - zapytał zdziwiony Stile. - A jak myślałeś? Z tamtej strony wystarczy tylko bardzo chcieć przejść, ale z tej działa wyłącznie zaklęcie, za każdym razem inne. Z czasem się nauczysz.

- Myślałem, że to maszyna przenosząca materię. Mężczyzna zaśmiał się. Podeszedł do drzewa i wyjął z zarośli zawiniątko.

- Przesyłanie materii przecież nie istnieje! To jest po prostu tylko magiczna zasłona. Nie w każdym miejscu bezpiecznie jest z niej korzystać. Musisz mieć pewność, że nikt cię nie zobaczy, jak przez nią przechodzisz. Wiesz, jacy są Obywatele. Gdyby kiedykolwiek wpadli na to, że jest coś, nad czym nie mają kontroli...

- Tak. Straciłem pracę z powodu manipulacji Obywateli.

- To wyjaśnia, dlaczego miałeś wystarczającą siłę woli, żeby przejść po raz pierwszy. Zasłona stopniowo staje się coraz wyraźniejsza, ale jeśli nie ma się wystarczająco ważnych powodów, nie można jej zobaczyć, a co dopiero użyć. Żeby przejść, trzeba wykorzystać całą siłę woli, dotykając zasłony. Większości ludzi nigdy się to nie udaje.

Mężczyzna rozpakował zawiniątko i wydobyl z niego prostą tunikę, którą włożył na siebie.

Stile patrzył na to ze zdziwieniem.

- To tutaj nosi się ubrania? - przypomniał sobie odgniecenia na ciele tamtej kobiety.

- Jasne. Tutaj nie wypada chodzić nago. Mężczyzna urwał, przyglądając się Stile'owi.

- Słuchaj, jesteś tu nowy no i... taki drobny. Dam ci amulet.

Grzebał w torbie, a Stile starał się stłumić w sobie urazę wywołaną uwagą na temat jego wzrostu. Przecież ten człowiek nie miał zamiaru sprawić mu przykrości.

- Amulet? - zapytał Stile po chwili.

Był przekonany, że potrafi szybko dostosowywać się do nowych warunków, ale nie sądził, żeby był w stanie zaakceptować takie przesady. Zaklęcie, magia, amulet... Jak niewolnik z Protonu może tak szybko powrócić do wierzeń zgoła średniowiecznych?

- Tak, amulet. Zazwyczaj wręczamy je nowo przybyłym, aby ułatwić im na początku życie, no i nie wywoływać zbędnego zainteresowania zasłoną. To jest świetna sprawa i nie chcemy, żeby się o niej dowiedziało zbyt wielu ludzi. Zachowaj to w tajemnicy. Lepiej żeby była odkrywana przypadkiem.

- Będę ostrożny - zapewnił Stile.

Facet miał rację, bez względu na to, czy w grę wchodziło przesyłanie materii, czy magia.

Mężczyzna w końcu znalazł to, czego szukał - zawieszoną na łańcuszku figurkę.

- Noś to na szyi. Dzięki temu będzie się wydawało, że masz na sobie ubranie, dopóki nie zdobędziesz prawdziwego. Nie ochroni cię przed zimnem ani deszczem, bo tworzy tylko iluzję, ale mimo to pomaga. Później możesz to przekazać jakiemuś innemu niewolnikowi, który się tu pojawi. Ułatwi to zachowanie sekretu. Pozostań anonimowy, to podstawowa zasada.

- Dobrze.

Stile przyjął amulet. Figurka przedstawiała okropnie wykrzywionego diabełka z rogami, ogonem i kopytami.

- Co mam z tym zrobić?

- Załóż go na szyję i zażądaj, żeby zaczął działać. To wszystko. Każdy potrafi go używać, zobaczysz. Teraz pewnie jeszcze nie wierzysz w magię, ale on ci udowodni, że warto.

- Dziękuję - powiedział Stile bez przekonania. Mężczyzna pomachał mu niedbale ręką i oddalił się, kierując się na południe. Teraz dopiero Stile spostrzegł niewyraźną leśną dróżkę, widoczną tylko dla tych, którzy wiedzieli, gdzie jej szukać.

Popatrzył na amulet. Wierzyć w magię! Mężczyzna miał rację mówiąc, że Stile jest sceptykiem! Sprawiał wrażenie najzupełniej normalnego. Może żartował sobie z niego, żeby zobaczyć, w jakie bzdury może uwierzyć nowo przybyły? Następny nagi król.

Potrząsnął głową.

- No dobrze, nie będę przesądzał faktów. Zrobię to, co kazał. - Amulecie, wzywam cię, rób swoje - powiedział zgodnie z instrukcją i włożył łańcuszek na szyję.

Nagle poczuł, że się dusi. Łańcuszek zacisnął się, odcinając dopływ powietrza do płuc i utrudniając krążenie krwi. Diabełek ożył i zaczął rosnąć. Uśmiechał się złośliwie i mocno

trzymał końce coraz ciaśniejszego łańcuszka.

Stile zupełnie nie rozumiał, o co chodzi, ale musiał bronić własnego życia. Przycisnął podbródek do szyi i napiął mięśnie, wsunął palec w szparę między podbródkiem a szyją, zaczepił o łańcuszek i szarpnął. Usiłował przerwać jedno z ogniw, ale z pozoru delikatny metal okazał się zbyt mocny. Stile skaleczył się tylko w palec.

Są jeszcze inne sposoby obrony przed uduszeniem! Stile chwycił uśmiechającego się demona za rączki i oddzielił je od siebie. Potworek wykrzywił się, spróbował oporu, ale ucisk nieco zelżał. Stile nabrał powietrza w płuca i poczuł, że krew odpływa mu z głowy z powrotem do serca: Nacisk na żyłę szyjną nie powstrzymuje dopływu krwi do mózgu, jak się powszechnie uważa, tylko jej odpływ do serca. Jest to niemiłe, ale nie powoduje natychmiastowej śmierci.

Demon rósł ciągle i proporcjonalnie do tego zwiększały się jego siły. Znow złączył ręce, zaciskając pętlę na szyi Stile'a. Mimo bólu Stile zdał sobie wreszcie sprawę z faktu, że z amuletu wielkości kilku centymetrów, demon stał się żywą istotą powiększającą się z każdą chwilą walki. Teraz był tylko o połowę mniejszy od Stile'a i nabierał sił zgoła diabelskich.

Stile wstrzymał oddech, położył ręce na dłoniach demona, szarpnął nim do góry i obrócił się w kółko. Demon był silny, ale tak samo jak roboty nie umiał wykorzystać zasady dźwigni. Wiele osób myśli, że im ktoś jest silniejszy, tym trudniej jest go pokonać w walce. To powszechne przekonanie sprawiło, że wielu Graczy odniosło porażkę w rywalizacji ze Stilem. Oby diabełek był w podobnym błędzie. Dopóki trzymał łańcuch, Stile był de facto jego więźniem, a jeśli go wypuści, choćby tylko jedną ręką, to sprawy będą się miały zupełnie inaczej.

Demon uparcie nie puszczał łańcuszka. Uśmiechał się, szczerząc nieprawdopodobną liczbę zębów i robił wszystko, aby udusić swoją ofiarę. Stile czuł, że traci przytomność. Jeśli natychmiast czegoś nie wymyśli - nie wymyśli już nigdy.

Na niepewnych nogach zbliżył się do potężnego tulipanowca. Zamachnął się mocno i z całej siły uderzył stopami stwora o pień drzewa.

To był silny cios. Żółte oczy diabła wyszły z orbit, ukazując jaskrawoczerwoną obwódkę, a z jego ust wyrwał się po raz pierwszy dźwięk:

- Uugh!

Pętla rozluźniła się nieco, dając ofierze chwilę wytchnienia, ale demon nie zrezygnował.

Stile odzyskał już trochę sił, ale demon ciągle rósł - jak to możliwe, przecież to czysty absurd! - i był już niewiele mniejszy od Stile'a. Tym razem oderwanie potwora od ziemi

wymagało znacznych sił i większej uwagi, ale mimo to uderzył nim z impetem o drzewo; brzuch walnął o pień, a nogi bezwładnie go oplotły i odbiły się w drugą stronę.

Stile wykorzystał siłę odbicia i po raz trzeci trzasnął demonem o drzewo. Tym razem cios mógł mu uszkodzić kości. Łańcuch uległ znacznemu rozluźnieniu.

Stile tylko na to czekał. Uwolnił głowę jednym nagłym ruchem. Otarł sobie przy tym uszy i wyrwał kępki włosów, ale pierwszy etap walki został wygrany.

Demon osiągnął już rozmiary Stile'a i wciąż chciał walczyć. Podniósł się na swoje zakończone kopytami nogi i skoczył na swą ofiarę, próbując ponownie owinać jej szyję łańcuchem. Wyglądało na to, że zna tylko jedną metodę walki. Przypominał pod tym względem robota udającego Sheen, którego Stile nie tak dawno pokonał.

Stile chwycił go od tyłu za rękę, zakręcił się, uchylił i przerzucił nim przez ramię. Stwór przeleciał nad nim i huknął o ziemię z siłą, która powinna pozbawić go przytomności. Wstał jednak znowu, gotów walczyć nadal.

O co tu chodzi? Dlaczego on nie ma jeszcze dosyć? Baty jakie dostał, powaliłyby nawet androida, a ten stawał się tylko coraz większy i brzydszy. Teraz był o jedną czwartą większy od Stile'a i proporcjonalnie silniejszy. Stile był już bardzo wyczerpany.

I znowu demon rzucił się na swą ofiarę, rozciągając łańcuch. Stile doznał olśnienia. Chwycił łańcuch, uskoczył w bok i podciął napastnikowi nogi, a gdy ten się potknął, Stile opasał go łańcuchem i chwycił z tyłu za rękę.

Demon ryknął i odwrócił się, próbując dosięgnąć Stile'a, ale nie puścił łańcucha. Stile z całej siły przywarł do jego pleców. Nieraz udało mu się pokonać w ten sposób przerastających go rozmiarami przeciwników. Bardzo trudno pozbyć się takiego „jeźdźca”, zwłaszcza, gdy się nie zna odpowiedniej metody. Demon był teraz wielki i silny, ale nie posiadał zbytnej inteligencji i wyobraźni, więc sposobu nie znalazł.

Potwór rósł. Teraz przerastał Stile'a o połowę i łańcuch zaczął się robić za ciasny. Stile tkwił na swoim miejscu, pilnując, żeby łańcuch się nie przesunął. Jeśli tylko demon nie przestanie się powiększać...

Rósł jednak nieustannie, a łańcuch coraz mocniej wbijał mu się w talię. Demon wpadł w podobną pułapkę, jaką szykował Stile'owi. Wystarczyłoby, żeby puścił koniec łańcucha, ale na to był zbyt głupi.

Co za ironia! Uwięziony w uścisku własnych ramion, które wyrzywały mu się już prawie ze stawów potrafił tylko z całej siły trzymać łańcuch. Jego talia stała się cienka najpierw jak u kobiety, a potem jak u osy. Stile puścił go i odsunął się, obserwując dziwną przemianę. Potwór, jakby nie czując bólu, wciąż próbował dosięgnąć Stile'a, chociaż teraz

nie miał już na to szans.

Ciało bestii rozdymało się powyżej i poniżej cienkiej talii. Wreszcie pękło. Pozostał po nim kłęב dymu, który szybko się rozwiął. Stile spojrzał na ziemię. Leżał na niej łańcuch przerwany w miejscu, gdzie znajdowało się ciało demona. Sam zaś amulet zniknął.

Czy aby na pewno? A co się stanie, jeśli go zawezwie powtórnie? Stile uznał, że lepiej zachować umiar. Zwinął łańcuch, położył go na ziemi i przywalił kamieniem. Niech tak leży, przygwożdżony niczym jadowity wąż!

Gdy niebezpieczeństwo minęło, Stile odprężył się. Lekko drżał. Co tu tak naprawdę się wydarzyło?

Wysunął i odrzucił kilka teorii. Zawsze pochlebiał sobie, że potrafi szybko i właściwie przeanalizować dowolną sytuację. Stanowiło to podstawę jego sukcesów w Grze. Teraz zaś doszedł do wniosku, że hipoteza pasująca do wszystkich obserwacji, jest całkowicie nieracjonalna:

Znalazł się w świecie, w którym istnieje magia.

Tutaj też ktoś usiłował go zabić.

Wniosek A uznał za nieprawdopodobny, ale odpowiadał mu bardziej, niż pozostała możliwość, a mianowicie, że całość stworzyła jakaś potężna władająca super technologią, albo że on, Stile, zwariował.

Wniosek B napawał go niepokojem, lecz w ciągu ostatnich kilkunastu godzin przyzwyczaił się do tego, że jego życie jest zagrożone. Nie pozostawało mu nic innego jak tylko zaakceptować dowody, które zdobył w doświadczeniu z amuletem i wynikający z nich wniosek, że znajduje się w królestwie fantastyki i nadal ma kłopoty.

Przesunął palcami po szyi, badając miejsce, w którym uciskał ją łańcuch. Kto tutaj na niego poluje? Na pewno nie ten rozwścieczony Obywatel, który wysłał za nim androidy. Niewolnik, który przeszedł przez zasłonę i dał mu amulet był nastawiony przyjaźnie; gdyby chciał zabić Stile'a, mógł od razu wywołać demona. Najprawdopodobniej człowiek ten szczerze chciał dopomóc Stile'owi, ale prezent zadziałał w sposób nieoczekiwany. Może istniało więcej takich magicznych talizmanów, które miały podwójne przeznaczenie: przyrodzić jednych i zabijać innych? Takich, jak na przykład Stile? Istniało tu jeszcze kilka niezrozumiałych aspektów, ale hipoteza taka wyjaśniała niedawne wydarzenia.

Stile umiał niezłe oceniać ludzi i ich motywacje. W człowieku, który dał mu amulet, nic nie sugerowało wrogości czy zdrady. Istnienie zaś amuletu, jako mechanizmu strzegącego tę krainę przed niektórymi osobami, miało sens.

Ale dlaczego on, Stile, jest tutaj niemile widziany? Tego chciałby się dowiedzieć. Nie

wynikało to z faktu, że jest nowy. Nieznajomy też kiedyś był nowy, całkiem niedawno, jak sam przyznał. Prawdopodobnie dostał taki sam amulet i użył go z oczekiwanym skutkiem. Stile z początku sądził, że to kawał, ale demon, niestety, okazał się istotą bardzo realną.

Nie wynikało to chyba też z faktu, że Stile jest niski: takie rzeczy nie mogą stanowić zbrodni w żadnym społeczeństwie. Musiało to być coś innego. Jakaś szczególna cecha, która wyzwoliła drugą funkcję amuletu. Mógł to być także wypadek losowy; jeden zły amulet pośród wielu dobrych i on właśnie padł jego ofiarą. Tej ostatniej hipotezy Stile nie był skłonny traktować zbyt serio. Uznał jednak, że odrobina manii prześladowczej pomoże mu trzymać się z dala od kłopotów. Postanowił kierować się założeniem, że ktoś na niego czyha i zachowywać ostrożność.

Stwierdził, że wobec tego czas już oddalić się z tej okolicy zanim ten ktoś, kto zastawił pułapkę w postaci amuletu, pojawi się, aby sprawdzić, dlaczego nie poskutkowało! No i oczywiście Stile chciał dowiedzieć się czegoś więcej na temat występującej tu magii. Czy jest to tylko jakaś forma iluzji, czy magia rzeczywista? Demon wykazał, że życie Stile'a może zależeć od odpowiedzi na to pytanie.

Dokąd iść? Skąd miałby to wiedzieć? Najlepiej tam, gdzie znajduje się pożywienie i bezpieczny nocleg oraz schronienie przed nieznanym wrogiem. Zrezygnował z pomysłu udania się do zamku, który widział w oddali. Teraz miał się już na baczności. Wszystko w tej okolicy jest podejrzane. Musi zaszyć się w jakimś niedostępnym miejscu, sam...

Sam? Ta myśl nie przypadła Stile'owi do gustu. Nie należał do lwów salonowych, ale przyzwyczyił się do towarzystwa. Sheen tak dobrze spełniała tę rolę.

Stile ze smutkiem pokiwał głową. Potrzebował konia. Rozumiał konie, ufał im i czuł się przy nich bezpieczny. Mając dobrego wierzchowca, mógłby pokonywać długie dystanse. Na polach rozciągających się w kierunku północnym widział pasące się zwierzęta. Z drzewa nie był w stanie rozróżnić poszczególnych zwierząt, ale miały w sobie coś końskiego.

Rozdział 6

NAWÓZ

Stile ruszył na północ, przygotowany na wszelkie możliwe napaści ze strony demonów lub czegokolwiek innego.

Krajobraz powoli ulegał zmianie. Gęsty las ustąpił miejsca kępom wysokiej, bujnej trawy i różnobarwnych kwiatów na skalnym terenie. W końcu drogę przeciął mu uroczy strumyk, który najprawdopodobniej wypływał z gór położonych dalej na południe i kierował się na północny zachód. Woda była idealnie czysta i zimna. Stile położył się na brzegu i zanurzył usta, uważnie nad słuchując. Nie spieszył się smakując płyn. Na Protonie istniało wiele różnych odżywczych napoi, ale czysta woda należała do rzadkości.

Rozejrzał się za drzewami owocowymi, lecz nie zauważył ani jednego. Gdyby miał broń, mógłby coś upolować. Bezpieczeństwo liczyło się jednak bardziej niż pożywienie; z zaspokojeniem głodu musi trochę poczekać. Zmierzał w kierunku pasących się zwierząt, które - jak mu się wydawało widział z wierzchołka drzewa. Miał nadzieję, że to konie. Na koniu mógłby szybko przemierzać długie dystanse, nie pozostawiając ani śladów stóp, ani swego zapachu.

Czy jednak rzeczywiście były to pasące się konie? Może to tylko wytwór jego wyobraźni? Nie miał pewności, lecz ufał swemu instynktowi. Magia stanowiła dla niego tajemnicę, ale obyczaje koni - nie.

Wreszcie zobaczył to, czego oczekiwał - półkoliste wgłębienie pozostawione przez końskie kopyto, a w pewnej odległości od wody leżała kupka nawozu. Więc jednak się nie mylił!

Stile dokładnie obejrzał ślad kopyta. Był duży, co oznaczało, że zostawiło go mocno zbudowane zwierzę wysokości mniej więcej siedemnastu dłoni. Kopyto nie miało podkowy i było lekko wyszczerbione na krawędziach. Musiało należeć do tłustego, zdrowego konia, biegającego na tyle dużo, żeby ścierać sobie kopyta i na tyle niedbałego, żeby wyszczerbiać je na kamieniach. Jako wierzchowiec odbiegał od ideału, ale wystarczy i taki. Stile doznał ulgi. Miał teraz dowód, że nie dał się ponieść wyobraźni. Konie były tu naprawdę. Doświadczenie z diabelskim amuletem zachwiało jego pewność siebie, ale widok końskiego śladu przywrócił mu dobre samopoczucie.

Podszedł do kupki nawozu i przyjrzał się jej. I wtedy ogarnęła go fala wspomnień.

Siedemnaście lat temu, jako osiemnastoletni młodzieniec patrzył na podobną kupkę gnoju...

Służba jego rodziców miała się ku końcowi, musieli więc opuścić Proton. Okres pracy niewolniczej wynosił dwadzieścia lat prawie dla wszystkich, chyba że udało się go przedłużyć dzięki Grze.

Stile miał szczęście. Urodził się na Protonie, tu się wychował, zdobył pełne wykształcenie i przeżył osiemnaście lat, zanim musiał dokonać wyboru między wyjazdem razem z rodzicami a pozostaniem na planecie.

Rodzice, na których czekały gromadzone przez dwadzieścia lat zarobki, byli ludźmi stosunkowo zamożnymi. Wprawdzie nie na tyle, aby mogli pozwolić sobie na powrót na Ziemię, ale było wiele innych, całkiem przyjemnych planet, na których czekał ich dostatek. Stile zdawał sobie sprawę, że pozostając na Protonie, będzie musiał odpracować dwadzieścia lat jako niewolnik; nagi, posłuszny zachciankom jakiegoś Obywatela, który go zatrudni. Wiedział też, że gdy skończy się okres służby, jego także czeka wygnanie.

Na Protonie była jednak Gra.

Weześnie stał się jej wielbicielem. W świecie niewolników stanowiła ona nieoceniony relaks. Wymagała siły albo inteligencji, umiejętności lub szczęścia, samodzielności lub umiejętności posługiwania się maszynami, narzędziami lub zwierzętami, ale przede wszystkim stanowiła wyzwanie. Miała własną hierarchię, niezależną od społecznego statusu gracza. Wiadomo było, kto zajmuje kolejne szczeble w każdej grupie wiekowej i to wyznaczało pozycję zawodnika w nieustannym zmaganiu się o pierwszeństwo. Grę cechowała jej własna magia.

Stile od początku dobrze sobie radził - miał po temu wrodzone zdolności. Szybko znalazł się w swojej grupie i każdy szczebel mógł osiągnąć bez większego trudu. Każdy, ale on nigdy nie wybierał zbyt wysokiej pozycji.

Rodzice czy Gra? Decyzja nie sprawiła mu trudności. Pozostał na Protonie. Zgłosił się do służby w dniu, w którym jego rodzice wsiedli do statku kosmicznego i czekał na Oby

watela, który zechciałby go zatrudnić. Ku swojemu zdziwieniu dostał pracę już pierwszego dnia. Zaprowadzono go do luksusowego majątku Obywatela - wszyscy Obywatele mieli luksusowe majątki - i wyposażonego w taczki i widły wysłano na pastwisko.

Jego zajęcie polegało na zbieraniu z pastwiska końskich odchodów. Brał taczki i widły i usuwał każdą kupkę nawozu, jaką wypielęgnowane konie Obywatela były uprzejmie złożyć na jego wspaniałej trawie. Tęskniąc za rodzicami - kochał ich, ale szalał za Grą - nienawykły do dyscypliny związanej z pracą zarobkową, czuł się bardzo rozczarowany swoją nową sytuacją. Znosił ją jednak dzięki temu, że od dawna wiele czasu spędzał w samotności.

Warunki życia miał trudne. Spał na stryszku wraz z dziewięcioma innymi robotnikami i jadał w jednej sali razem z trzydziestoma niewolnikami. Nie miał własnego kąta ani swoich rzeczy; nawet pościeli, która była wypożyczona.

Tak jak inni wstawał pospiesznie o wschodzie słońca, a z nadejściem wieczora, gdy gaszono światła, kładł się spać. Mieszkając z rodzicami, Stile swobodnie dysponował swoim czasem. Starszycy spędzali cały dzień w pracy i jeśli tylko nie miał kłopotów w szkole, mógł robić, co mu się żywnie podobało, to znaczy zajmować się Grą i doskonalić w najrozmaitszych, niezbędnych w niej umiejętnościach. Teraz sprawy miały się inaczej, co powodowało, że zaczął zastanawiać się nad słusnością swego wyboru. Wiedział doskonale, że kiedyś musi stać się człowiekiem dorosłym, ale czy koniecznie w ciągu jednego dnia?

Jego pracodawca, jak większość Obywateli, był niesłychanie bogaty. Miał kilka pastwisk rozrzuconych na odległych od siebie kopułach. Stile musiał jeździć z jednego miejsca na drugie i nie mógł nigdy nadążyć z pracą.

Niektóre z pastwisk poprzecinane były przegrodami z czystych, białych desek z importowanego z Ziemi drewna, pozbijanych prawdziwymi zardzewiałymi gwoźdźmi. Ogrodzenia te miały oczywiście zabezpieczenie w postaci niewidzialnych mikro - przewodów, które lekko, lecz niemile kopały prądem każdego, kto się ich dotknął. Konie nie są inteligentne, ale mają dobrą pamięć, więc rzadko kiedy ocierały się o płot, natomiast Stile musiał oczywiście przekonać się o tym wszystkim na własnej skórze. Nikt mu nie udzielał żadnych instrukcji lub pouczeń.

Więc się przekonał. Dowiedział się, że płoty ustawiano po to, aby konie nie mogły przedostać się na pastwisko, na którym odrastała trawa. Pasąc się zniszczyłyby ją, zanim osiągnęła pożądaną wysokość. Kiedy jednak trzeba było oddzielić od siebie jakieś zwierzęta, umieszczano je na różnych pastwiskach. Istniało wiele powodów, dla których łąki przegradzano, i pracodawca, mimo swego bajecznego bogactwa, brał je pod uwagę.

Problem Stile'a polegał na tym, że musiał niekiedy przechodzić przez płot, żeby zebrać nawóz z głębiej położonych części pastwiska. Był jednak zbyt niski, żeby przejść przez ogrodzenie. Sprawność fizyczna pozwoliłaby mu z łatwością przeskoczyć płot o wysokości półtora metra, ale było to zakazane. Zwierzęta bowiem miały nie wiedzieć, że można przez coś skakać poza torem przeszkód. Oprócz tego, lądując mogłby uszkodzić darń, co stanowiłoby wykroczenie. Tylko koniom wolno było ją niszczyć. Wiele za nie zapłacono i w związku z tym miały znaczne przywileje.

Tak więc Stile musiał przechodzić przez odległe od siebie furtki, a konie przerastające go masą dziewięć do piętnastu razy, nie zawsze chciały go przepuścić. Na szczęście umiał

dobrze biegać i mógł w ten sposób je przechytryć. W każdej chwili oczywiście mogłyby go z łatwością przegonić, ale nie ściagały się, jeśli nie były do tego zmuszone. Wydawało się, że należy to do ich zasad; nie miały ochoty współzawodniczyć z człowiekiem w taki sposób, w jaki rywalizowały między sobą.

A potem odkrył przełazy - konstrukcje przypominające rozstawioną drabinę, które pozwalały mu przejść przez ogrodzenie i przeciągnąć górą taczki, nie dotykając płotu. Konie nie były w stanie przejść po czymś takim i nigdy nie próbowały. W pewnym sensie przełazy stanowiły pomost między dwoma światami. Dzięki nim nareszcie mógł poruszać się po pastwiskach na tyle szybko, żeby praca nie zajmowała mu zbyt wiele czasu.

Gdy podejmował służbę, musiał przybrać jakieś imię. Wybrał niewolnicze imię ojca ze swoim numerem służbowym, ale gdy protoński rejestr niewolników poprosił go o podanie jakiegoś bardziej osobistego określenia, podał właśnie to: Stile.

- Styl? Jak elegancja? - zapytał niewolnik, który prowadził rozmowę, patrząc na niego z rozbawieniem.

- Zbyt pretensjonalne imię, jak na chłopca twojego wzrostu - zauważył ironicznie.

Stile poczuł, że napinają mu się mięśnie brzucha, pośladków i ramion. "Chłopiec" miał już osiemnaście lat, rósł, ale dla obcych wyglądał na dwunastolatka. Depilatory rozpuszczone w bieżącej wodzie skutecznie redukowały odznaki jego męskiej dojrzałości. Niska kobieta nie miałaby takiego problemu. Jej najbardziej rzucające się w oczy cechy płciowe nie podlegały działaniu chemii. Stile miał już dosyć tych wiecznych przycinków. Ludzie normalnego wzrostu uważali się za niezmiernie dowcipnych, robiąc pogardliwe uwagi na temat jego wzrostu. Powoli nauczył się ukrywania irytacji, lecz nawet nie udawał, że tego rodzaju aluzje traktuje jako żart.

- Stile, jak przełaz w płocie: S-T-I-L-E. Jestem pomocnikiem pastucha.

- Aha - pojął wreszcie złośliwy urzędnik i zanotował. Od tej pory wszyscy się tak do niego zwracali.

Niewolnicy mieli obowiązek używania imion własnych. Tylko Obywatelom przypadał luksus anonimowości, gdyż zwracano się do nich "panie". Jeśli niewolnik poznał imię swego pana, to zachowywał je w tajemnicy, chyba że został zapytany, kim jest jego pracodawca.

Wybór okazał się trafny. Imię brzmiało oryginalnie, a w kontekście Gry przypominało swój homonim, bo tam rzeczywiście zaprezentował własny styl. Najbardziej jednak lubił skojarzenia związane z właściwym znaczeniem imienia: mostu pomiędzy pastwiskami. Przełaz reprezentował wolność i szersze spojrzenie, dające jakby wybór między różnymi światami. Ta myśl bardzo się Stile'owi podobała.

W miarę nabierania doświadczenia stawał się coraz lepszym pracownikiem. Każda przeoczona kupka nawozu oznaczała punkty karne, wywołujące szyderstwa ze strony innych robotników. Wszyscy współpracownicy Stile'a byli od niego starsi, wyżsi i mieli dłuższy staż pracy. W społeczności niewolników nie mających żadnych praw oprócz przywilejów uzyskiwanych dzięki pracy, kwestie związane z niepisanym kodeksem i chwilowo posiadanymi względami stawały się bardzo istotne.

- Stile: dwa przeoczenia na polu gryki - ogłaszał ponuro koniuszy, omawiając zaniedbania z danego dnia, a w grupie rozlegały się złośliwe, ciche chichoty i Stile przez cały następny dzień znajdował się na dole totemu farmy. W pierwszych tygodniach zdarzało mu się to dosyć często. Wtedy koledzy "niechęco" popychali go, a jeśli się bronił, dostawał reprimendę za chuligaństwo i dzięki temu ponownie zajmował ostatnie miejsce na totemie. Obowiązywała zasada poza oczywistymi przypadkami - że człowiek zajmujący na totemie wyższą pozycję miał zawsze rację, a kiedy liczyło się słowo jednego niewolnika przeciwko drugiemu, człowiek będący niżej przegrywał. Koniuszy, człowiek zasadniczo sprawiedliwy, skrupulatnie jej przestrzegał. Był to jedyny niewolnik na farmie posiadający prawdziwą władzę i jako jedynemu przysługiwał mu przywilej częściowej anonimowości: zamiast imienia używał tytułu. Nigdy nie przekraczał swoich uprawnień i nie pozwalał na to innym.

Aż nadszedł dzień, w którym Stile zrobił wszystko jak należy. Niżej znajdował się wtedy niezdarzy młodzieniec imieniem Shingle. Kiedy obaj znaleźli się w przejściu między barakami, Shingle chciał potraścić Stile'a. Stile uchylił się, ale równocześnie jego stopa "niechęco" trafiła Shingle'a, który uderzył o ścianę stodoły.

Rozwścieczony Shingle ruszył do ataku, wymachując pięściami, ale Stile chwycił go, pociągnął jedną ręką i cisnął na soczystą, zieloną trawę z taką siłą, że ofiara padając, zrobiła w niej wyrwę. Shingle'owi zapało dech, a inni robotnicy przyglądali się temu ze zdumieniem.

Nadszedł koniuszy.

- Co tu się stało? - zapytał.

- Wypadek - odpowiedzieli, uśmiechając się niewinnie. - Shingle potknął się o Stile'a.

Koniuszy przyjrzał się badawczo Stile'owi, który stał ze spuszczoneymi oczyma wiedząc, że czekają go kłopoty i spodziewając się nowych szyderstw. Na tym terenie bójki były surowo zakazane.

- Shingle: jedna wyrwa w trawie - powiedział koniuszy i prawie się uśmiechnął, kiedy w grupie rozległy się chichoty.

Shingle bowiem znajdował się na dole totemu i to on powinien był unikać kłopotów.

Nie miał prawa mieć rację. Koniuszy zwrócił się do Stile'a:

- Wypadki się zdarzają, ale w przyszłości staraj się ćwiczyć na sali gimnastycznej.

Wśród kolegów ranga Stile'a wzrosła. Nie wiedzieli, że potrafi walczyć. On zaś zapamiętał, że tym razem opowiedzieli się po jego stronie, zgodnie z przyjętymi zasadami, śmiejąc się z jego przeciwnika. Zrozumiał, że według niepisanych praw przedtem opowiadali się przeciwko niemu dlatego, że zajmował najniższe miejsce w hierarchii, a nie dlatego, że był nowy albo niski. Stanowiło to bardzo krzepiące odkrycie.

Po tym wydarzeniu Stile zaczął znajdować przyjaciół. Przedtem podświadomie trzymał się od innych z daleka zakładając, że nim pogardzają. Jeśli nawet tak było, to należało już do przeszłości. Kiedy mu się nie wiodło, chichotali nadal, ale przyjaźnie, niekiedy z nutką współczucia. Nawet Shingle, skwaszony po ich starciu, nigdy nie wrócił do sprawy. Znał reguły gry i wiedział, że przegrał sprawiedliwie.

Tymczasem Stile stawał się specem w wykrywaniu końskiego nawozu. Zauważył, że konie zostawiają swoje stałe odchody w miejscach nieco ukrytych, oddalonych od tych, gdzie się żywią, pasą lub odpoczywają. To sprawiało, że początkowo trudno mu było je odnaleźć.

Każde zaniedbanie powodowało, że pracownik znajdował się nisko w hierarchii totemu. Tak więc Stile miał poważną motywację, aby się doskonalić. Rozwinął w sobie wybitną spostrzegawczość. Nos nie był w tym wypadku zbyt pomocny, bo końskie odchody nie wydzielają intensywnej woni. Powonienie pomagało tylko w pobliżu znaleziska. Wzrok także nie stanowił niezawodnego środka, bo nawóz mógł być ukryty w zagajnikach lub pośród krzaków. Zdarzało mu się znajdować odchody nawet na liściach nisko zwisających gałęzi, a deszcz - pod kopytami z konieczności sztuczny - sprawiał, że wtapiały się w otoczenie.

W sprawach końskiego nawozu intuicja Stile'a wyostrzyła się w sposób niezwykle. Potrafił jednym ruchem łopaty przerzucić do tacek całą kupkę nawozu, nie omijając ani jednej grudki. Poznał miejsca, w których konie najczęściej załatwiały swoje potrzeby i sprawdzał je na początku. Czasami trafiał do nich wcześniej niż sztuczne muchy.

Kiedy jednak stał się mistrzem w swoim zajęciu, praca zaczęła go nudzić. Czy po to opanował rachunek różniczkowy i całkowity, ekologię i fizykę kwantową, żeby przez dwadzieścia lat przerzucać nawóz? Dlaczego Obywatel tak się pośpieszył, zatrudniając go i pakując w coś takiego?

Niestety, cała władza na Protonie należała do Obywateli. Nie tłumaczyli się niewolnikom ze swoich decyzji. Stile nie mógł się ani poskarżyć, ani zmienić pracodawcy.

Miał tylko prawo przyjąć oferowane zatrudnienie albo wcześniej skończyć służbę na Protonie. Jeśli chciał pozostać, musiał poddać się systemowi.

Podczas pracy często obserwował konie. Robił to dyskretnie, żeby nie uznano, iż się wałkoni.

Po jakimś czasie rozpoznawał je bezbłędnie i znał ich najbardziej charakterystyczne zachowania.

Sonny był małym konikiem pociągowym używanym do szkolenia początkujących jeźdźców, chociaż nie potrafił dobrze kłusować. Od niego wyraźnie różnił się Simcoe Cloud, łaciaty wałach wysoki na szesnaście dłoni o ładnym wzorze, ale zbyt dużej głowie. Na pastwisku dominowała Navajo, klacz, doskonała ćwierćkrewka. Na innym pastwisku panowały: Misty, mała pulchna klacz rasy Tennessee Walker o silnej woli i jej towarzyszka Sky Blue, mająca tylko czternaście dłoni wzrostu i ponad dwadzieścia lat. Blue dawniej biegła jako kłusak i była dobrze wyszkolona, ale nerwowa, mimo siwego łba. No i Cricket, również szary, ale jaśniejszy. Zgodnie z rejestrem białe zwierzęta nie istniały. Konia, który sprawiał wrażenie białego zapisywano jako albinosa albo szarego. Stąd dowcip: "Jakiej maści był biały koń Jerzego Waszyngtona? - Szarej".

Konie stanowiły świat Stile'a, zwłaszcza w godzinach pracy. Nauczył się rozpoznawać wszystkie spotykane na Protonie rasy, od szetlandzkiego kucyka po potężnego konia pociągowego. Marzył o tym, żeby mieć z nimi więcej do czynienia, ale takie zajęcia należały do chłopców stajennych i były przez nich zazdrośnie strzeżone. Stile zaś był tylko pomocnikiem pastucha i nie miał prawa spoufalać się z inwentarzem.

Zachowując stosowny dystans, podziwiał ich piękno: wdzięk, siłę mięśni, sprężystość kroku, czujność uszu. Prawdziwe muchy nie występowały na Protonie, ale dostarczano sztucznych, które brzęczały i krążyły dookoła koni tylko po to, żeby dostarczyć im powodu do machania ogonem. Stile uwielbiał się temu przyglądać. Ogon wydawał mu się najpiękniejszym elementem konia, no, może poza grzywą. Raz widział obcego konia z zawiązaną na niej wstążką. Był to znak, że zwierzę lubi kopać. Jeśli pastuch albo chłopiec stajenny został uderzony przez zwierzę, to karano człowieka. Do niewolników należało zachowywanie należytej ostrożności i nie narażanie kosztownych końskich kopyt na kontakt z nędznym ludzkim ciałem.

Stile chłonał wiedzę jak gąbka. W owym czasie nie zdawał sobie z sprawy z tego, że niesłychana wartość przypisywana koniom wywarła przemożny wpływ na jego sposób myślenia.

Zwierzęta, które spotykał na pastwisku nie były wcale końmi wyścigowymi, lecz raczej

emerytami, ofiarami kontuzji i ogierami drugiego rzędu, a jednak przedstawiały większą wartość niż życie niewolnika. Niektórzy buntowali się, w tajemnicy przed wszystkimi nienawidzili zwierząt, którymi musieli się zajmować, ale dla Stile'a konie były wcieleniem ideału. Możliwość przebywania na pastwisku w ich towarzystwie traktował jako szczególną łaskawość losu. Łąki bowiem stanowiły koński raj. Gdyby Stile urodził się koniem, też czułby się jak w niebie. W jego oczach były to stworzenia ładniejsze i doskonalsze od ludzi, a chociaż rozum nie chciał się z tym pogodzić, uczucia przeważały. Stile był w koniach zakochany.

Stał się gorliwym badaczem gatunku. W wolnym czasie zaczął pilnie studiować podręczniki traktujące o końskim nawozie. Dowiedział się o istnieniu pasożytów jelit, które można w nim znaleźć: o robakach, larwach, wirusach i bakteriach. Oczywiście na Protonie nic takiego nie występowało, ale Stile udawał, że mogłoby i gorliwie szukał jakichś oznak. Nauczył się oceniać ogólny stan zdrowia konia na podstawie jego odchodów, potrafił odróżnić, czy koń musiał ciężko pracować, czy też nie, co jadał i w jakich proporcjach. Z biegiem czasu Stile potrafił doskonale rozpoznać każde zwierzę nawet po pozostawionym nawozie.

Pewnego dnia, drugiego roku służby Stile zauważył prawdziwego robaka. Natychmiast zgłosił to koniuszemu.

- Robak w naszym nawozie? - zapytał z niedowierzaniem zwierzchnik. - Chyba ci się przyśniło!

Koń został jednak zbadany, bo koniuszy nigdy nie zaniedbywał takich spraw i okazało się, że Stile ma rację. Powoli rozmnażająca się odmiana pasożyta przetrwała kwarantannę i zainfekowała zwierzę. Nie było to nic poważnego i nie przyniosłoby koniowi większej szkody, ale pasożyt istniał naprawdę. Larwy pokazały się w nawozie właśnie tego dnia, w którym Stile je zauważył. Spozrzegł schorzenie zanim mogło się rozprzestrzenić na inne zwierzęta.

Koniuszy kazał Stile'owi wziąć prysznic. Jak dziecku pomógł mu się umyć i uczesał mu włosy zgrzebłem. Stile, nieco zdziwiony, poddał się temu bez słowa. Potem koniuszy poprowadził go do niewielkich drzwi w ścianie stajni.

- Zawsze zwracaj się do niego "panie" i nigdy nie odwracaj się tyłem, dopóki nie każe ci odejść - udzielił mu krótkiej lekcji dobrego wychowania i wpuścił go przed sobą do środka.

Stile po raz pierwszy stanął twarzą w twarz ze swoim pracodawcą. Znalazł się w wytornym gabinecie Obywatela. Zamiast trzech ścian były tam ogromne ekrany wideo

przedstawiające trójwymiarowy górski krajobraz widziany z lotu ptaka. Podłogę pomieszczenia wyłożono prawie przezroczystym kwarcem, niewątpliwie importowanym z Ziemi, a więc cenniejszym od miejscowego złota. Co za bogactwo!

Obywatel siedział na wyściełanym aksamitem obrotowym fotelu, na którego poręczach znajdowało się kilka przycisków. Odziany był w ozdobną szatę, utkaną jakby z platyny, a na stopach miał miękkie zamszowe pantofle. Nie sprawiał wrażenia ani starca ani młodzieniaszka; kuracje odmładzające sprawiły, że miał przyjemną powierzchowność, ale jego wieku nie można było określić.

Mimo pozorów zdrowia i doskonałego wyglądu Obywateli, natura nie dawała się okiełznać. Niewielu dożywało ponad stu lat, chociaż wykorzystywali wszystkie dostępne osiągnięcia medycyny.

Pracodawca sprawiał wrażenia człowieka raczej przeciętnego. Od niewolnika różnił się tylko ubraniem. I to jak! Obywatel usadowiony był profilem do wchodzących.

Obserwował przesuwane się obłoki i zdawał się nikogo nie dostrzegać.

Koniuszy szturchnął Stile'a, który nieśmiało wykrztusił obwieszczenie swego przybycia:

- Panie.

Oczy Obywatela spoczęły na nim.

- To ty jesteś tym chłopakiem, który zauważył robaka? O dziwo, głos pracodawcy brzmiał także zupełnie zwyczajnie. - Tak, panie.

- Zostałeś awansowany na chłopca stajennego. Obywatel obrócił się w fotelu i ukazując swe platynowe plecy, dał Stile'owi sygnał odejścia.

Koniuszy zaprowadził go do chaty na skraju pastwiska. Chłopcy stajenni przyglądali się z zaciekawieniem, uprzejmie kłaniając się przełożonemu.

- Stile będzie teraz z wami - zawiadomił ich. Przyniescie jego rzeczy.

Po chwili posłanie Stile'a, jego szczotka i ręcznik zostały porządnie ułożone na jednym z czterech łóżek w pomieszczeniu sypialnym. Chłopcy gratulowali Stile'owi. Oczywiście, znajdował się na dole hierarchii, jako "chłopak", ale został członkiem bractwa. Niewątpliwie awansował. Teraz jeden prysznic na cztery osoby, a wieczorem o godzinę więcej wolnego czasu i ekran wideo w chacie!

Dni przerzucania nawozu minęły bezpowrotnie. Miejsce Stile'a na pastwisku zajął inny niewolnik. Stile zaś znalazł się w wyższej warstwie. Pracował bezpośrednio przy koniach. Nagrodę przyznano mu równie szybko, jak wymierzano kary za wykroczenia. Jednym gestem Obywatel sprawił, że dwa lata przerzucania gnoju stały się grą wartą świeczki...

Stile oderwał wzrok od nawozu. Patrzył nań prawie z sympatią.

Ruszył w dół rzeki, badając liczne ślady. Niektóre z koni były duże, inne średnie, jedno zdrowe, inne nieco mniej. Kilka miało pasożyty. Stile poczuł w związku z tym przewrotną satysfakcję - robakowi zawdzięczał przecież swój pierwszy awans!

Nad najświeższymi odchodami unosiły się prawdziwe muchy. Do tej pory znał je tylko z książek i z muzeum. Stare kupki nawozu leżały nienaruszone, porastały muchomorami, rozmywane były przez deszcz i poprzerastane trawą. Żaden szanujący się koń nie jadłby w takim miejscu, więc łądzki traw pozostawały nietknięte. Naturalny sposób zapobiegania wyniszczeniu pastwiska? Może, ale Stile był zgorzony widząc wspaniałe łąki w takim zaniedbaniu. Kto zajmuje się końmi?

Chyba są dzikie i nikt się o nie nie troszczy. Oznaczałoby to, że po wybraniu tego, który mu się najbardziej spodoba, będzie musiał go ujeździć. Tym się nie martwił. Nawet mając uszkodzone kolana, zdołał się utrzymać na grzbiecie każdego konia, bo tylko jazda wyścigowa wymagała skrajnego ich obciążenia.

Stado sprawiało wrażenie licznego. Prawdopodobnie składa się z paru klaczy i jednego silnego ogiera. A jednak nie - samców było kilku - sugerowała to pozycja kopyt względem śladów pozostawionych przez kapiący mocz. Konie robiły je przed tylnymi kopytami, a klacze za. Musiał jednak znajdować się wśród nich przewodnik stada.

Stile potrzebował dobrego, szybkiego, ale nie rzucającego się w oczy wierzchowca. Najlepiej, żeby był to samotny ogier albo klacz. Samice bywają nawet bardziej wytrzymałe. Stile dosiadał kiedyś takiej. Nazywała się Błyskawica i nie pozwoliła sobą rządzić żadnemu koniowi, bez względu na płeć i wiek, a sama była wspaniałym, dumnym stworzeniem. Gdyby tutaj zdołał znaleźć podobną...

Zauważył ślady kopyt małego konia, nie przekraczającego czternastu dłoni, w doskonałym stanie zdrowia. Prawdopodobnie klacz. Sugerował to delikatny sposób stawiania nóg. Każde kopyto było zdrowe, a nawóz nie zawierał pasożytów. Ponadto świetnie umiała biegać. Wypatrzył w trawie ślady pozostawione podczas jej galopu, na których brak było oznak szurania i potknięć, żadnych niezręcznych stąpień. Dobry koń w pełni kondycji potrafi prześcignąć charta biegającego z prędkością 65 km na godzinę. Ta klacz mogła należeć do takiego typu. Sprawiała wrażenie samotnicy, trzymającej się z dala od stada. Jadła i piła w innych miejscach niż reszta. Oznaczało to, że musi się bardziej wystrzegać drapieżników, jest więc czujniejsza, silniejsza i szybsza. Ale dlaczego trzymała się na osobności? Konie są zasadniczo zwierzętami stadnymi.

Ruszył jej śladami. Najpierw były one stare, ale znalazł świeższe. Dopiero po kilku

godzinach był na właściwym tropie, bo zwierzę odbywało długie wędrówki, tak jak wszystkie zdrowe konie. Idąc za nią, Stile zastanawiał się coraz intensywniej nad przyczynami, które odłączyły ją od stada. Czy była istotą ceniącą sobie samotność, czy też została usunięta z grupy? I co mogło stanowić powód? Najwyraźniej znakomicie radziła sobie sama.

Stile świetnie rozumiał zarówno konie jak i wyrzutków społeczeństwa. Zdążył już polubić tę klaczkę, chociaż jeszcze jej nie widział. Nie potrzebował przecież wielkiego ogiera, nie ważył dużo i umiał sprawić, że jego ciężar nie był męczący. Wystarczyłby mu nawet kucyk. Pamiętał, że w baśniach bohater zazwyczaj dosiada potężnego ogiera, ale wiedział, że nieduże koniki też mają swoje zalety. Tak jak i mali ludzie!

No i proszę, nagle doszedł do pewnej prawdy: sam jest niewysoki, więc lubi wszystko, co małe.

Dlaczego obiektem głupich dowcipów przeważnie jest karzełek? Co powoduje, że określenia: karzeł, krasnoludek, Pigmej, mają negatywne konotacje? Co do diabła jest takiego śmiesznego w niskim wzroście? Skoro mali ludzie nie są gorsi pod względem intelektu, to logicznie rzecz biorąc, niski wzrost powinien być traktowany jako zaleta - więcej wartości przypadających na kilogram wagi.

No, ale dlaczego sam nie potrafił w to uwierzyć? Nie powinien wybierać konia tylko dlatego, że jest mały, ale dlatego, że będzie najstosowniejszym wierzchowcem do jego celów. A jednak...

Rozmyślenia przerwał mu widok szukanej przez niego istoty. Zobaczył jedną z najładniejszych klaczek w swoim życiu. Miała lśniąca, czarną sierść, na tylnych nogach białe skarpetki nie jednakowej wysokości. Czarna jak heban grzywa opadała jej na prawą stronę, a ogon przypominał włosy pięknej kobiety. Kopyta połyskiwały perłowo; delikatne i doskonale ukształtowane. Miała proporcjonalny rzymski nos, a jej róg był spiralnym cudem symetrii.

- Jej co?

Stile zamrugnął i przetarł oczy. To, co zobaczył, nie było wcale złudzeniem.

Znalazł jednoroźca.

Rozdział 7

NEYSA

Stile chyba zbyt głośno oddychał, bo klacz podniosła czujnie głowę. Na pewno już wcześniej go spostrzegła. Konie jednorożce? - mają doskonały słuch. Nie przestraszyła się jednak, co samo w sobie było niezwykle, jeśli była dziką klaczą. Pasała się spokojnie. Konie takie właśnie są - łatwo się płoszą, ale nie wtedy, gdy wydaje im się, że panują nad sytuacją. Jednorożce widać miały podobne usposobienie.

Znalazł się w świecie fantazji, w którym rzeczywiście działała magia. Teraz miał już pewność. Wciąż jeszcze czuł na szyi piekącą pręgę. Dlaczego więc nie miałyby tu istnieć także magiczne zwierzęta? Wcześniej przez chwilę o tym nie pomyślał, założywszy, iż tropi konie. Jaka różnica może istnieć między koniem a jednorożcem? Niektórzy artyści przedstawiali jednorożce jako zwierzęta o ciałach lwa, wyposażone w parzyste kopyta, ale Stile nie tak je sobie wyobrażał. Według niego powinny przypominać konie, tyle że z rogiem na czole. Miał właśnie przed sobą takie zwierzę. Będzie więc ignorował róg i traktował je jak konia.

Stile tak bardzo zajęty był refleksjami nad sytuacją, w której się znalazł i wspomnieniami, że nie miał czasu na przygotowanie lassa. Teraz podjął decyzję. Spróbuje dosiąść tego właśnie zwierzęcia. Bez lassa będzie musiał improwizować. Nie sądził, żeby było oswojone, ale liczył na to, że nie boi się ludzi.

Zaczął powoli podchodzić. Jednorożec patrzył na niego czujnie. W sposobie, w jaki skierował w jego stronę róg było coś groźnego; niewątpliwie mógł służyć jako broń - kończył się ostro niczym najprawdziwsza włócznia. To zwierzę potrafiło walczyć. Stało się oczywiste, że rogu ignorować się nie da.

- Nazywam się Stile - powiedział łagodnym tonem. - Stile, tak jak przełaz. Ale może ty nie wiesz, co to jest? Potrzebuję wierzchowca. Muszę pokonać daleką drogę, a zrobię to szybciej, jeśli będę jechał. Jak na człowieka, umiem całkiem niezłe biegać nawet na długie dystanse, ale człowiek nie może się porównywać z dobrym jednorożcem. Chciałbym pojechać na tobie. Jak masz na imię?

Jednorożec dwukrotnie zagwizdał przez swój róg. To zaskoczyło Stile'a, który nie spodziewał się tego rodzaju odpowiedzi. Dźwięk był oczywiście przypadkowy; trudno, żeby zwierzę zrozumiało, co Stile do niego mówił; raczej liczył się ton głosu i jego modulacja.

Jednak dźwięk, który usłyszał w odpowiedzi, zabrzmiał zupełnie jak słowo.

- Neysa? - zapytał, starając się wymówić to jak najlepiej.

Rozległo się melodyjne parsknięcie, które mogło oznaczać zgodę. Powtarzał sobie, że musi uważać i nie personifikować zbyttno zwierząt. Jeśli uwierzy, że może z nimi rozmawiać jak z ludźmi, to powinien zastanowić się nad swoją pocztytalnością. Może stracić życie, opierając się na fałszywej interpretacji reakcji zwierzęcia, wyposażonego w taką broń.

- No więc, Neysa, co zrobiłabyś, gdybym wskoczył na twój grzbiet? - zapytał łagodnie.

Musiał mówić nadal, aby ją uspokoić, a jednocześnie zbliżyć się na tyle blisko, żeby jej dosięść. Wtedy czeka go kilka chwil walki.

Jednorożec poruszył groźnie rogiem i tupnął lewą przednią nogą. Spłaszczyl uszy. Język jednorożców był najwyraźniej taki sam, jak koni i składał się z tych samych znaków. Klacz doskonale rozumiała, że chce naruszyć jej niezależność i wysłała stosowne ostrzeżenie. Jeśli będzie próbował jej dosięść, to ona postara się go zrzucić, a gdy tak się stanie - znajdzie się w poważnych kłopotach. Zwierzę nie było oswojone, ale najwyraźniej znało ludzi i nie bało się ich. Jeśli zbyttno się zdenerwuje, może zabić. Dziki kot, to nie to samo, co kot domowy, a żyjący dzika jednorożec, to nie tylko koń uzbrojony w róg. Różnica pomiędzy psychiką konia i tego zwierzęcia była widoczna. Każdy gest Neysy świadczył o tym. Stile nie wątpił, że jej róg splamiony jest krwią istot, które nie usłuchały jej ostrzeżeń.

Nie miał jednak wyboru.

- Bardzo mi przykro, Neysa, ale nie tak dawno temu o mało mnie nie zabił pewien demon, a ponieważ nie znam się na tutejszej magii, nie jestem w stanie się bronić. Na pewno potrafisz mnie zawieźć o wiele dalej, niż gdybym wędrował o własnych siłach. Człowiek zawsze używał koni..., jednokopytnych do transportu, zanim zaczął posługiwać się maszynami, takimi jak samochody i statki kosmiczne.

Był już bardzo blisko. Wyciągał do niej dłoń i mówił byle co, żeby tylko nie zamilknąć.

Jej przednie nogi uniosły się w lekkim podskoku i wylądowały z łoskotem blisko Stile'a. Nosem wykonała łuk skierowany w jego stronę i wydała dźwięk, który brzmiał ni to jak kwiknięcie, ni jak parsknięcie, a najbardziej przypominał ilustrację dźwiękową do filmu wideo, w którym jakaś straszna bestia szykuje się do ataku. Trudno o bardziej stanowcze ostrzeżenie. Nie zaatakuje go, jeśli odejdzie natychmiast, ale nie zamierza dłużej tolerować jego obecności. Nie boi się go - zły znak! Po prostu go nie lubi.

Stile przypomniał sobie ludowe wierzenia. Mówiły o tym, że jednorożca schwytać może tylko dziewica i kiedy on położy głowę na jej kolanach, jest całkowicie bezbronny. Wyglądało to na bajkę cyniczną: jak pojmać mityczne zwierzę przy pomocy mitycznej

osoby? Z bajki wynikał tylko jeden wniosek, że dziewice są równie rzadkie jak jednorożce. Sprytne, prawdopodobnie zgodne z rzeczywistością w średniowieczu, ale teraz nieaktualne. Jak na ironię jednorożec był rodzaju żeńskiego, a on mężczyzną zamiast dziewicy. Czy w takiej sytuacji ona ma położyć głowę na jego kolanach? Chyba po to, żeby go okaleczyć! Żarty żartami, chodziło raczej o dosiadanie zwierzęcia: tylko osoba o czystej duszy może znaleźć się na grzbiecie jednorożca. W takich legendach czystość oznaczała abstynencję seksualną i ogólną nieświadomość. Stile nie mógł sprostać takim wymaganiom. Wniosek był prosty: jazda będzie trudna. Niezależnie od tego, co na temat jednorożców mówiły starożytne baśnie, miał przed sobą poważne problemy.

- Neyso, naprawdę jest mi bardzo przykro - powiedział Stile i skoczył.

Był to znakomity skok, jaki może wykonać tylko świetnie wytrenowany sportowiec. Znalazł się na grzbiecie zwierzęcia; ręce pewnie sięgnęły do grzywy, nogi przywarły do jej boków, a ciało ściśle przylgnęło do grzbietu.

Neysa - zaskoczona - zamarła na ułamek sekundy, a potem ruszyła z szybkością strzały wypuszczonej z łuku. Ciało Stile'a oderwało się, ale dłoniom udało się utrzymać grzywę i po chwili nogi wróciły na swoje miejsce, ściskając jej boki. Skoczyła w górę, ale on nie dał się zrzucić. Żaden koń nie potrafi podskoczyć w miejscu, nie opuszczając głowy między przednie nogi - jest to kwestia równowagi i rozłożenia ciężaru. Neysa jednak zdołała to uczynić, pozwalając Stile'owi zacząć się domyślać, co go czeka. Była niewątpliwie zwierzęciem magicznym.

Stała dęba, ale on trzymał się jak przyklejony. Odwróciła głowę, zamierzając się na niego rogiem - ale on w porę usunął się tak, że nie mogłaby go dosięgnąć, nie kalecząc własnej skóry. Róg był przeznaczony do ataku na wroga znajdującego się przed nią, a nie siedzącego na jej grzbiecie.

To był zaledwie początek. Już zorientowała się, że nie ma do czynienia z łatwym przeciwnikiem.

Neysa ruszyła pędem, kierując się na zachód w stronę rozpadlin skalnych, które widział ze świerka, a potem nagle się zatrzymała. Wszystkie cztery nogi poślizgnęły się po trawie, ale Stile przewidział ten manewr i był bezpieczny. Wykonała podwójny obrót, usiłując strząsnąć go z siebie dzięki sile odśrodkowej, lecz przechylił się do środka i pozostał na swoim miejscu. Nagle odwróciła się - on także. Skoczyła do przodu, a potem do tyłu. Takiej sztuczki nie znają zwykłe konie, ale poradził sobie i z tym, choć niewiele brakowało, a wyrwałby jej garść włosów z grzywy.

No, no! Teraz już się rozgrzała. Pora na część zasadniczą. Neysa gwałtownie pochyliła

głowę i ugięła nogi, a potem cofnęła się i podskoczyła. Leciwała na grzbiet, a potem jej tylne nogi śmignęły do przodu i wykonała salto w powietrzu. Przez chwilę znajdowała się do góry nogami, a jej ciało znalazło się całkowicie nad Stilem. On zaś był tak zaskoczony, że po prostu trzymał się jej z całych sił. Wreszcie zakończyła salto, lądując na przednich nogach, mając resztę ciała w pionie, a potem ciężko opadła na tylnie.

Uratowało go mimowolne zaciśnięcie dłoni na grzywie. Koń robiący salto do tyłu! Ależ to niemożliwe!

Musiał sobie przypomnieć, że to przecież nie koń, lecz jednorożec - istota z krainy fantazji. Znałe mu reguły zachowania się koni po prostu jej nie dotyczyły.

Następnie Neysa zaczęła krążyć. Biegła po zwężającej się spirali, aż wreszcie zaczęła wirować, oparta tylko na jednej przedniej nodze, z uniesioną głową i ogonem. Czysta magia. Stile nadal trzymał się kurczowo, odczuwając rosnące zdziwienie. Od początku zdawał sobie sprawę, że czeka go ciężka przeprawa, ale stanowczo nie docenił Neysy. Przypominało mu to niedawną walkę z demonem.

Porównanie mogło być trafne. Dwa magiczne stworzenia: jedno w postaci człekokształtnego potwora, drugie przypominające konia wyposażonego w róg. Żadne z nich nie mogłoby istnieć w realnym świecie. Chyba tylko dzięki naiwności uznał, że demon z wyglądu przypominający konia będzie w jakimkolwiek stopniu do niego podobny. Zapamięta sobie tę nauczkę, o ile w ogóle wyjdzie z tego cało.

Teraz Neysa wyprostowała się na chwilę, a potem zaczęła się tarzać, ale Stile wiedział, kiedy zeskoczyć. Wylądował na równe nogi i znalazł się z powrotem na jej grzbiecie, gdy tylko się podniosła.

- Starsz się, Neyso - powiedział, usadawiając się wygodniej.

Parsknęła. To tyle, jeśli chodzi o drugie starcie. Dla niej był to zaledwie początek!

Teraz skierowała się do najbliższej kępy zarośli. Stile wiedział, co go czeka - próba strącenia. I rzeczywiście, przebiegła tak blisko pnia wielkiego drzewa, że otarła się o niego bokiem, ale Stile przywarł do jej drugiego boku, jak kaskader. Kiedyś wygrał Grę, w której konkurencję stanowiła jazda cyrkowa; nie był mistrzem, reprezentował jednak nie najgorszy poziom.

Neysa zanurkowała w krzaki. Młode drzewka muskały oba jej boki, nie dało się ich uniknąć, ale nie mogły strącić przygotowanego na to jeźdźca. Wpadła pod niską, poziomo rosnącą gałąź, lecz znowu ześlizgnął się na jeden z jej boków i natychmiast wskoczył z powrotem na grzbiet, gdy niebezpieczeństwo minęło. Umiejętność jazdy konnej nie polegała na utrzymywaniu się na grzbiecie; należało wyczuwać i przewidywać każdy ruch konia.

Klacz ruszyła galopem w kierunku następnego dużego drzewa, a potem wbiła w ziemię przednie kopyta, podniosła tylne nogi i zrobiła klasyczną stójkę, uderzając z całą siłą grzbietem w jego pień. Gdyby Stile pozostał na swoim miejscu, zostałby zmiądzony. To nie zabawa! Ale on, nabrawszy pojęcia o obyczajach jednorożców, zeskoczył, gdy tylko zaczęła gimnastykę. Neysa przewyższała go masą mniej więcej ośmiokrotnie, więc Stile mógł wykonywać manewry o wiele szybciej niż ona, jeśli tylko było to konieczne. Gdy jej tylne nogi dotknęły ziemi, siedzenie Stile'a natychmiast znalazło się na jej grzbiecie, a dłonie mocno uchwyciły grzywę.

Znowu parsknęła. Koniec rundy trzeciej. Nadchodziła czwarta. Ile jeszcze sztuczek zna to niezwykle stworzenie?

Stile z jednej strony cieszył się z wyzwania, jakie mu rzucała, ale z drugiej bał się. To nie Gra na Protonie, gdzie przegrany tracił tylko swój dotychczasowy status; tu chodziło o życie. Pierwsza sztuczka, z którą sobie nie poradzi, może okazać się ostatnią.

Neysa dotarła do pokrytej trawą równiny. Zaczęła przyspieszać. Do czego teraz zmierza? Nie było to takie najgorsze i dlatego odczuł niepokój. Z marszu przeszła w lekki kłus. Prędkość, z jaką się poruszała w zasadzie się nie zmieniła, ale powolny kłus może nie różnić się tempem od szybkiego marszu. Prawdę mówiąc, Stile pracował już kiedyś z leniwymi końmi, które osiągały w kłusie prędkość jednego metra na sekundę zamiast normalnych trzech lub czterech. Cechę charakterystyczną kroku stanowił rytm i sposób stawiania nóg. Idąc koń stawiał po kolei najpierw lewą przednią, potem prawą tylną, prawą przednią i wreszcie lewą tylną nogę, i te cztery elementy stanowiły jeden cykl. Kłus ma rytm na dwa: lewa przednia i prawa tylna noga razem, a potem prawa przednia i lewa tylna noga także razem. Czasami zwierzę zaczynało od prawej przedniej. Chodziło o to, żeby ruch każdej przedniej nogi był zsynchronizowany z ruchem tylnej. Niekiedy równocześnie poruszały się nogi po tej samej stronie, lecz zawsze występował rytm na dwa i pary nóg uderzały o ziemię równocześnie. W rezultacie jeźdźcem trochę trzęsło, ale rytmicznie i całość ładnie wyglądała z boku. Odgłos powolnego kłusu może być łagodny, a szybkiego przypomina pracę młota pneumatycznego. Jednakże bez względu na prędkość, kłus pozostaje kłusem i nie można go pomylić z innym krokiem. Stile lubił ten typ jazdy, lecz nie ufał swemu obecnemu wierzchowcowi. Wiedział, że to jeszcze nie koniec.

Przeszła w cwał - rytm na trzy. Lewa przednia, następnie prawa przednia i lewa tylna razem, a wreszcie prawa tylna. Coś pośredniego między marszem a kłusem; ruch łagodnie opadający. Wszystko jak najbardziej typowe, a zatem nie zasługujące na zaufanie. Na pewno knuła coś okropnego!

Wreszcie osiągnęła galop - zmodyfikowany cykl na dwa. Przednie nogi uderzały prawie, ale nie idealnie równocześnie, a potem tylne. Teoretycznie był to cykl na cztery uderzenia, lecz nie jednolity. Pac - pac, pac - pac z szybkością wyścigową. Stile'owi bardzo się to podobało. Odczuwał uniesienie wywołane pędem, jedyne w swoim rodzaju podczas jazdy na koniu - jednorożcu. Koła napędzane silnikami osiągają oczywiście większą prędkość, ale to nie to samo. Stworzenie biegu swobodnie z prędkością nieosiągalną dla zwykłych koni, ale widać było, że nie jest to szczyt jego możliwości...

Jednorożec zmienił krok, teraz był to rytm na pięć... Stile tak się zdziwił, że prawie spadł. Żaden koń nie biega na pięć! Ma przecież tylko cztery nogi!

Żaden koń... No właśnie! Ciągle o tym zapominał i dlatego czuł się nieswojo, gdy uświadamiał sobie rzeczywistą sytuację. Ten krok był okropny. Stile nigdy dotąd czegoś takiego nie zaznał i nie potrafił sobie z tym poradzić. PAC - pac - PAC - PAC - pac, i tak w kółko, wprawiając go w coraz większy rezonans, powodujący utratę nie tyle chwytu, ile pewności siebie. Czuł się jak nowicjusz, usiłujący nieporadnie zgrać swoje ruchy z poruszeniami konia i tylko pogarszający tym sprawę. Tak jak wibracja może spowodować zawalenie się budynku, tak to piąte uderzenie doprowadzało Stile'a do rozpacz. Spadnie, a przy tej szalonej prędkości może złamać sobie kark.

- Myśl, Stile, myśl! - powtarzał rozpaczliwie. - Zastanów się: jaki jest klucz do tego kroku'?

Bolały go ręce i coraz słabiej trzymały się grzywy. Mięśnie ud zaczęły sztywnieć. Stile znał się na rzeczy, ale to stworzenie znajdowało się w swoim żywiole. Wygra, jeśli Stile nie zdoła też się tam przenieść i to szybko.

Cztery nogi, pięć uderzeń. Jedna z nóg musiała robić dwa kroki. Policz je: raz - dwa - trzy - cztery. Która się powtarza? Palce słabną. PAC - pac - ten dźwięk był słabszy niż inne, jakby

stanowił pół kroku. Ale jedna połowa musi zostać uzupełniona drugą. Jak człowiek, który stracił równowagę, potykając się. Dwie połowy kroku - to jest to: niejednoczesne drugie i piąte uderzenie. Prawa tylna noga tak jakby się potykała, wybijając go z rytmu. Wyrównuj.

Stile zaczął chwytać rytm. Zmienił pozycję, żeby łatwiej dostosować się do nieregularnego rytmu. PAC - wyrównuj - PAC - PAC - wyrównuj. Było to podstępne i szalenie nienaturalne, ale ciało Stile'a zaczęło dostosowywać się do nowego rytmu. Najważniejsze, żeby pojąć, o co chodzi, czego należy się spodziewać. Żadnych więcej niespodzianek! Mięśnie nóg rozluźniły się, a palce odzyskały pewność.

Neysa odczuła zmianę i zrozumiała, że Stile sprostał i temu wyzwaniu. W pełnym pędzie zaczęła skręcać, a siła odśrodkowa prawie go zrzuciła. Stopniowy skręt na dużej prędkości bardziej daje w kość niż szybki przy małej. Musiała następnie przejść do normalnego galopu, a żaden koń nie jest w stanie zrzucić Stile'a, galopując.

Zwierzę dostrzegło swój błąd i zmieniło taktykę, zwolniło i nagle przeszło w krok o rytmie na raz. Była to kolejna z wielu niespodzianek. Wszystkie cztery nogi dotykały ziemi równocześnie, potem Neysa robiła skok do przodu, wysuwając przednie, ale lądując, miała znów nogi razem. Stile'owi przypominało to jedno z ćwiczeń w Grze. Dał sobie radę.

- Nic z tego, Neysa! - zawołał. - Masz dosyć? Parsknęła drwiąco przez róg. Sprawiała wrażenie, że go rozumie. Wiedział oczywiście, że konie odróżniają intonacje głosu i reagują na nie.

Ponownie skręciła. Przedtem biegła na północ, a teraz ruszyła na wschód. Pora na piąte starcie.

Trawa ustąpiła twardej ziemi, potem glinie, następnie czemuś, co przypominało łupek, aż wreszcie wbiegła na skałę. Kopyta Neysy krzeszały iskry. Było to dla Stile'a czymś zupełnie nowym. Biegła prędko, prędzej niż jakikolwiek koń wyścigowy. Wydawało mu się, że z szybkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, ale chyba coś mu się pomyliło - taka prędkość u konia oznaczałaby poziom mistrzostw wszechświata. A poza tym kopyta nie były z metalu, zwierzę nie miało metalowych podków ani gwoździ, niczego, co mogłoby krzesać iskry. A tymczasem iskry były.

Teraz znalazła się przy rozpadlinach skalnych, które widział z drzewa. Szczeliny w skale były tak głębokie, że ich dna nie można było zobaczyć. Stile był bardzo daleki od zachwytu. Jeden fałszywy krok, a noga ugrzęźnie w szparze, a przy tej prędkości oznaczało to złamanie, upadek i to, że człowiek dotychczas siedzący na grzbiecie polecą w powietrze i wylądują. Gdzie? Raczej wiadomo. Nie pozostawało mu jednak nic innego, jak tkwić na swoim miejscu.

Szczeliny tworzyły coraz bardziej zdradziecką sieć. Nie widział ich wyraźnie, bo jechali zbyt szybko; miał wrażenie że wiją się, pęczniejąc i chudnąc, czasem tak, jakby chciały wydostać się na swobodę; czasem łączyły się z innymi albo rozdzielały. Przypominał sobie podobne wrażenie z dzieciństwa, kiedy jadąc kolejką elektryczną wpatrywał się w sąsiednie tory. Tu jednak były szczeliny, nie tory.

Stile z niepokojem obserwował jak Neysa radzi sobie pośród tej niebezpiecznej sieci. Teraz nie były to już szpary w skale, ale raczej wysepki skalne pośród pustki. Prawdę mówiąc, Neysa pokonywała przepaście, skacząc z kamienia na kamień, z których każdy

wznosił się pionowo nad otchłanią. Stile nigdy czegoś takiego nie widział. Rzeczywiście znalazł się w nowym świecie, pełnym jeszcze wielu niespodzianek.

Teraz klacz skakała, wykorzystując swój rytm na raz, aby przenieść się z jednej skalnej platformy na drugą. Czasami wszystkie cztery nogi lądowały razem, prawie się stykając, a czasem osobno - na sąsiednich wysepkach. Najwyraźniej czuła się tu jak u siebie w domu i wiedziała, gdzie umieścić każde kopyto, tak jak dziecko wie, gdzie skoczyć, grając w klasy, biegle dzięki długotrwałemu ćwiczeniu. Może Neysa opanowała tę sztukę, aby chronić się tu przed drapieżnikami? Żaden nie potrafiłby jej tu doścignąć. W końcu musiałby zrobić fałszywy krok i spaść w przepaść, być może ułatwiłby mu to groźny róg jednoroźca. Więc ten krok na raz miał sens, zwiększał jej szanse przeżycia. Prawdopodobnie krok na pięć też miał podobną funkcję. Ciekawe do jakiego terenu był dostosowany?

Neysa tanecznym krokiem zmierzała dalej. Wysepki stawały się coraz rzadsze, mniejsze i bardziej od siebie oddalone. Teraz Stile dostrzegł ich dno, bo słońce stało już prawie w zenicie. Czyżby minęło już sześć godzin od świtu? Wydawało się, że o wiele więcej! Szpary nie były tak głębokie, jak sądził, miały około dwu metrów, ale kryły na swoim dnie skalne fałdy, między które mogła wpaść noga albo całe ciało, a im dalej, tym robiły się głębsze. Teraz była to bardziej wojna nerwów niż próba zręczności i umiejętności utrzymania się na końskim grzbiecie.

A nerwy Stile miał ze stali.

-- Słuchaj no, Neyso - powiedział.

Miał zwyczaj przemawiać do koni, one zaś znakomicie umiały słuchać, uprzejmie obracając swe spiczaste, pokryte sierścią uszy, i raczej nie wdawały się w dyskusje.

- Razem jesteśmy w tych opałach. Co ci przyjdzie z tego, że spadnę? Jeśli ci to nie przeszkadza, o najpiękniejsza i najzręczniejsza z klaczy, pozostanę na twoim grzbiecie.

Zobaczył, że jej lewe ucho drga, jakby odganiała muchę. Usłyszała go i nie spodobał się jej pełen pewności siebie ton z jakim przemawiał.

Jednak to nie ćwiczenia gimnastyczne były powodem, dla którego jednorożec tu zmierzał. Nagle skoczyła prosto w czeluść jednej z większych szczelin, która miała ze dwa metry szerokości i z jednej strony była płytsza, a z drugiej głębsza. Ściany wydawały się zamykać za nią, gdy ruszyła w głąb. Ale dokąd? Stile nie pochwalał tego w żadnym stopniu.

Neysa wykonała skręt i znalazła się na niższym poziomie. Szczelina nad nimi zwężała się, t byli jakby w grocie, a promienie słońca ukośnie wpadały do środka. W poprzek przebiegało wiele drobniejszych szpar, ale ona nie zwracając na nie uwagi biegła uparcie przed siebie.

Nagle z boku wyskoczył na niego ryczący demon. Skąd on się tam wziął? Pewnie w ścianie było zagłębienie, niewidoczne dopóki nie znaleźli się obok niego. Stile pochylił głowę i stwór chybił. Dostrzegł go tylko przelotnie: miał płonące czerwone oczy, błyszczące zęby, lśniące rogi, wielkie szpony i sprawiał wrażenie złośliwego. Najprawdopodobniej był to typowy przedstawiciel gatunku.

Następny demon wyskoczył po drugiej stronie. Stile uchylił się całym ciałem i temu także nie udało się go dostać. Sprawy miały się jednak kiepsko. Nie mógł puścić grzywy Neysy, która stanowiła dla niego jedyny uchwyt, a wyglądało na to, że wkrótce będzie potrzebował rąk do obrony.

Strategia jednorożca była teraz jasna. Pędziła przez okolicę, zamieszkiwaną przez potwory, w nadziei, że jeden z nich ściągnie z jej grzbietu niepożądanego jeźdźca. Demony nie napadały klaczy, bały się jej morderczego rogu i atakowały tylko z boku. Wyglądały na krewnych demona - amuletu, z którym Stile stoczył walkę, ale nie zmieniały rozmiarów. Stile wiedział, że ma nikłe szanse przeżycia, jeśli któryś z potworów dostanie go w swoje szpony. Wiedział już, do czego są zdolne.

Musi to jakoś rozwiązać. Neysa nie jest w stanie robić nagłych zwrotów, bo szczelina wytycza jej trasę. Demony stały tylko na skrzyżowaniach z innymi korytarzami i we wnękach. W szczelinie nie było dosyć miejsca na jednorożca i na demona. Tak więc niebezpieczeństwa występowały w ściśle określonych miejscach. Da sobie radę, tylko musi uważać.

Następne skrzyżowanie - demon z prawej. Stile puścił prawą ręką grzywę Neysy i podniósł ramię, aby odeprzeć atak. Zrobił to sprawnie, uderzając ukośnie w przedramiona demona i wykorzystując prędkość z jaką się poruszał. Zasada dźwigni pomagała Stile'owi, a utrudniała walkę demonom. Blokowanie wymaga umiejętności, bez względu na to, co jest jego przedmiotem.

Pędząca klacz poczuła, że jego ciężar się przesunął i spróbowała go strząsnąć. Ale szczelina ograniczała jej ruchy tak, jak i jego. Demony najwyraźniej nie należały do sprzymierzeńców Neysy. Gdyby tak było, po prostu zatrzymałaby się i pozwoliła im go porwać. Nie zatrzymała się ani nie zwolniła, bo inaczej demony mogłyby schwytać także i ją. Prawdopodobnie świeże mięso jednorożca smakowało im równie dobrze jak ludzkie.

Prawdę mówiąc, żeby się go pozbyć, ryzykowała wiele. Sama mogła stracić życie.

- Neysa, to nie ma sensu - powiedział Stile. - To jest sprawa tylko między nami. Nie lubię demonów tak samo jak ty, a im nic do naszych sporów. Podjęłaś ogromne ryzyko i najprawdopodobniej nic ci z tego nie przyjdzie. Wydostaniemy się stąd i rozwiążmy to we

własnym zakresie. Bez względu na to, które z nas wygra, przynajmniej jego szczątki nie padną łupem tych bestii.

Nie reagowała. Wiedział, że takie mówienie do siebie jest naiwnością i na nic się nie zda, lecz zaczęło go ogarniać zmęczenie. Demony wciąż rzucały się na niego, a on je blokował. Zaczął przemawiać de nich, nazywał je niedołączkami, krzywozębami i wyrażał cyniczne współczucie z powodu ich niepowodzeń. Musiał jednak przestać, bo stwierdził, że zaczyna zbyt szczerze życzyć im sukcesu.

Denerwował się coraz bardziej. Wiedział o tym, bo kiedy tylko przestał mówić, zaczął nucić. To był u niego jeden z symptomów stresu. Musiał w jakiś sposób wydawać dźwięki. Kiedyś stało się to przyczyną jego niepowodzenia w Grze. Fatalny zwyczaj! Nie potrafił się jednak powstrzymać. Mmm - mmm - blok, gdy pojawił się demon; mmm - mmm - blok! Głupie, ale skuteczne. Demony stawały się coraz agresywniejsze. Wkrótce któryś będzie na tyle bezczelny, żeby zablokować tunel z przodu...

Znalazł się taki. Stanął twarzą w twarz z jednorożcem, rozpościerając ramiona i szczerząc kły w okropnym uśmiechu. Był ohydny.

Neysa nie zwolniła ani odrobinę. Wysunęła róg płasko do przodu, a gdy dotknęła nim demona, podniosła gwałtownie głowę. Stwór przebity na wylot poleciał w powietrze, nad jednorożca. Stile przygarbił się i cielsko przeleciało nad nim.

Teraz już wiedział, dlaczego demony ustępowały z drogi rozpędzonemu jednorożcowi. Gdyby stał w miejscu, mogłyby mu dać radę, ale w biegu był nie do pokonania. Stile nie potrafił sobie wyobrazić straszniejszego ciosu od tego, który widział przed chwilą.

Coś podobnego stanie się z nim, gdy spadnie.

Rytm kopyt Neysy zmienił się. Biegła z coraz większym wysiłkiem, bo zaczęła się wspinać. Stile spojrział przed siebie. Za jej zakrwawionym rogiem dostrzegł koniec szczeliny. Dotarli nareszcie do jej kresu.

Demony wycofały się - intruzi opuścili ich teren. Stile odprężył się. Koniec piątej rundy.

Wydostali się na powierzchnię i znaleźli się w wodzie. Do skalnych rozpadlin od północy wpływała błękitna, szeroka rzeka. Neysa biegła pod prąd tuż przy brzegu, a woda sięgała jej do kolan.

Rzeka wiła się niczym wielki pyton, zanim nie skręciła w drugą stronę.

- Istny meander - zauważył Stile. Po chwili dodał:

- Nie rozumiem jednak, Neyso, w jaki sposób masz zamiar się mnie pozbyć? Jeśli mam zostać zrzucony, to woda nada się do tego lepiej.

Stile był znakomitym pływakiem.

Jednorożec zaczął płynąć.

Stile z łatwością utrzymywał się na jego grzbiecie. Czy ona chce go utopić? Wygrał niejedną Grę w wodzie i umiał dobrze nurkować.

Płynęła pod prąd z niezwykłą łatwością, o wiele szybciej niż zwykłe konie, a on płynął na niej. Nad powierzchnię wystawały im tylko głowy. Woda była chłodna, ale nie za zimna. Jeśli to szóste starcie, to nie stanowi zbyt trudnego wyzwania.

Nagle poczuł coś na udzie. Przytrzymał się prawą ręką grzywy, sięgnął lewą i natrafił na coś, co przyłączone było do jego ciała. Szarpnął odruchowo. Poczul ból i to coś się oderwało. Był to przypominający rybę stwór o tarczowatej głowce, w której szczyrzyły się setki maleńkich ząbków.

Był to minóg, stworzenie podobne do węgorza, żywiące się krwią, pasożyt, który dobrowolnie nie opuszcza ofiary. Następny potworek z muzeum zoologicznego - tutaj żywy i na wolności.

Stile przyjrzał mu się ze zgrozą. W magię nie był w stanie uwierzyć, więc prawdę mówiąc, niezbyt się nią przejmował, ale to stworzenie nie było magiczne, lecz prawdziwe i obrzydliwe. Zdał sobie sprawę, że głośno nuci. Próbował się powstrzymać, zawstydzony swoją słabością, ale nie mógł nad tym zapanować. Co za okropność!

Znów go zabolalo. Odrzucił minoga z dreszczem obrzydzenia i chwycił następnego, wczepionego w jego bok. Ten był większy. Stile nie mógł mu zrobić dużej krzywdy, mając wolną tylko jedną rękę, a stwór skórę miał twardą jak żelazo. Mógłby go w rewanżu co najwyżej ugryźć, ale sam pomysł nappełnił go obrzydzeniem. Fuj!

Wstrętne potworki nie atakowały jednak Neysy. Czy z powodu sierści? Przecież nie zastraszyła ich swoim rogiem! Neysa płynęła, a Stile odrywał od siebie minogi, nucąc ponure melodie. Miał tego dosyć, czuł bezgraniczne obrzydzenie, ale przecież nie da za wygraną!

Jednorożec zanurkował, pociągając za sobą Stile'a, który wstrzymał oddech, wzmacniając uchwyt grzywy. Neysa musiała się bardzo starać, żeby utrzymać się pod wodą. Stile był pewien, że zdoła przeczekać jej wysiłki. Ona też przecież będzie musiała zaczerpnąć powietrza.

Siedziała pod wodą całą minutę, potem drugą. Nad powierzchnię wystawał tylko czubek jej rogu. Jak długo ona tak może? Zaczynało mu się robić duszno.

Nagle zrozumiał - róg ułatwiał jej nurkowanie. Oddychała dzięki niemu! Nie musiała liczyć się z czasem. Stile'a bolały płuca, ale nie mógł wystawić głowy ponad wodę, nie puszczając grzywy. Jeśli to zrobi, nie zdoła już jej schwycić ponownie, a klacz nadzieje go na

róg, jeśli tylko będzie próbował.

Wreszcie wpadł na pomysł. Podciągnął się do jej głowy, gdzie ciemna grzywa z czoła unosiła się w wodzie niczym wodorosty. Sięgnął do rogu. Spirala nie miała ostrych krawędzi. Na szczęście! Małeńkie wgłębienia, prawdopodobnie otworki do wydawania różnych dźwięków, teraz były zamknięte.

Głowa Stile'a znalazła się nad powierzchnią wody. Mógł odetchnąć. Neysa nie była w stanie obniżyć rogu bez wstrzymywania oddechu. Nie mogła pozwolić sobie na takie ryzyko. Płuca koniowatych obsługują dużą masę mięśni, a ona musiała wkładać wiele wysiłku w utrzymanie się pod wodą.

Neysa wydała gniewny dźwięk przez róg i wypłynęła na powierzchnię. Stile opuścił się z powrotem na jej grzbiet i oderwał od siebie kolejne dwa minogi.

Klacz skierowała się w stronę brzegu. Wydostała się na suchy ląd. Stile wygrał szóstą rundę.

Znajdowali się na zboczu przechodzącym w malowniczy łańcuch górski. Najwyższe szczyty kryły się w chmurach. Wydawało się, że leży na nich śnieg. Chyba nie będzie sprawdzała, czy Stile ma lęk wysokości!

A jednak. Pogalopowała w górę, a wiatr rozwiewał jej grzywę i suszył włosy Stile'a. Co za wspaniałe zwierzę! Zwykły koń byłby już kompletnie wyczerpany, ale dla niej wszystko to stanowiło fraszkę.

Wysiłek jednak dawał o sobie znać i w jej przypadku. Stile czuł, że jej ciało robi się coraz gorętsze. Konie z rogiem czy bez, jak na swoją masę mają stosunkowo niedużą powierzchnię skóry, przez którą mogą oddawać nadmiar ciepła. Dlatego pocą się, tak jak ludzie, ale mimo to potrzebują trochę czasu, żeby pozbyć się nadmiaru ciepła wywołanego zbyt wielkim wysiłkiem. Wkrótce będzie musiała zwolnić kroku, nawet jeśli jej mięśnie są zdolne do dalszego wysiłku.

Nie zwolniła. Zbocze stawało się coraz bardziej strome, kopyta zastukały głośniejsz: raz - dwa, trzy - cztery. Nawet nie próbowała go z siebie strząsnąć, ale na pewno coś miała w zanadrzu. Trawa ustąpiła miejsca łąkom pokrytym błękitnymi i czerwonymi kwiatami. Pojawiało się coraz więcej skał, których szorstka powierzchnia w słońcu połyskiwała metalicznie. Drzewa stały się mniejsze, a nad ziemią snuły się smużki mgieł.

Stile odwrócił głowę, żeby popatrzeć za siebie i aż mu zaparło dech. Rzeka wyglądała teraz jak błękitna wstążeczka. Pokonali już chyba z tysiąc metrów wysokości! Powietrze zrobiło się zimne, a wiatr kąśliwy, lecz jednorożcowi było gorąco; iskry sypały się spod kopyt uderzających o skaliste podłoże, a delikatne obłoczki pary wydobywały się z nozdrzy.

Pary? Stile zmrużył oczy z niedowierzaniem. To były płomyki !

- Niemożliwe! Żadna istota z krwi i kości nie ma prawa ziać ogniem. Żywa tkanka nie nadaje się do...

Stile pochylił się do przodu, oderwał jedną rękę od grzywy i sięgnął do rzekomego płomienia. Au! Oparzył sobie palce! To rzeczywiście ogień!

No tak, już dobrze. Jest w krainie magii. Taką warunkową hipotezę przyjął już wcześniej. Znane mu prawa magii tutaj wcale nie muszą obowiązywać. Konie wytwarzają nadmiar ciepła i to stworzenie podobnie; było suche, gdy tylko ociekło z wody, a nadmiaru ciepła wyzbywało się, wydmuchując je nozdrzami w formie skondensowanej. Na swój sposób miało to sens.

Było bardzo- zimno, a Stile nie miał nic na sobie. Jeśli udadzą się jeszcze wyżej, znowu znajdzie się w kłopotach. I właśnie o to jej chodzi. To runda numer siedem - próba niesprzyjającego klimatu. Neysa czuła się świetnie. Biegła, tracąc nadmiar ciepła, chłód tylko jej pomagał.

Stile przyłgnął do swojego wierzchowca. Marzły mu plecy, a brzuch przypiekał się od rozpalonej skóry Neysy. Nie mógł się odwrócić. Klacz uparcie pięła się coraz wyżej.

Czy zdoła ją zmusić, żeby skierowała się do doliny? Raczej wykluczone. Z ujeżdżonym koniem jeździec porozumiewa się za pomocą uzdy, nóg oraz poleceń słownych i to tylko dlatego, że koń dzięki tresurze jest przekonany, że najlepiej jest słuchać człowieka. Ten jednorożec zaś posiada silną wolę, równie silną jak maszyny o wolnej woli (Ach, Sheen, co się z tobą dzieje!). Jeśli mu się nie podoba ta podróż, to może przecież zejść z jej grzbietu.

Musi więc pogodzić się z losem. Najpierw trzeba oswoić wierzchowca, a dopiero potem można nim kierować. Żeby zaś było to możliwe, należy utrzymać się na jego grzbiecie. Stwierdził, że znowu zaczął nucić. To pomaga.

Neysa mknęła teraz po śniegu. Spod jej kopyt buchała para. Byli na krawędzi lodowca. Stile nucił coraz głośniejsze, trzęsąc się z zimna.

W lodowcu zaczęły pojawiać się rozpadliny. Znow zatańczyły nogi jednorożca, tym razem na śliskim stoku. Kopyta osuwały się po podtapianym przez nie lodzie. Iskry stanowiły jeszcze jeden sposób pozbywania się nadmiaru ciepła. Zmieniła krok, żeby skompensować nierówne podłoże, ale wydawało się, że musi się pośliznąć. Stile nucił coraz głośniejsze. Nie była to makieta góry z Gry, pod ciepłą kopułą i z asekuracją dla przegrywających. To groźna, lodowata kraina górską, budząca grozę.

Wokół snuły się chmury. Wydawało się, że jednorożec biegnie po mroźnej plaży arktycznego morza, którego brzegi lizały fale mgły. Ale Stile wiedział, że ocean chmur kryje

w sobie morderczą otchłań. Nogi Neysy tonęły po kostki w nadpływającej fali i opierały się na lodzie, ale skąd wiedziała, że pod mgłą nie kryje się przepaść?

- Neyso - osiwieję przez ciebie! - powiedział Stile. - Muszę jednak tkwić na twoim grzbiecie, bo bez ciebie zginę bez ratunku. Jeśli nawet nie spadnę, to zamarznię. Nie jestem taki twardy jak ty, dlatego cię potrzebuję.

Wtedy pojawił się pierwszy potwór śnieżny. Wielki, biały, z włosami z sopli lodu, o oczach ledwo widocznych pośród zamrożonego zarostu. Otworzył paszczę pełną lodowych kłów i bezgłośnie ryknął. Wydobywająca się z pyska mgła pokryła nagie ciało Stile'a zamarzającą wilgocią.

Neysa przeskoczyła na następną lodową wyspę. Stile spojrział w dół i zobaczył otchłań. Drżał. Nigdy wcześniej naprawdę nie zmarzł. Mieszkał przecież całe życie w klimatyzowanych kopułach Protonu. To, czego doznawał tutaj, przypominało mu lodowate piekło.

Następny potwór śnieżny wyrósł pośród chmur, wydając ryk równie bezgłośnie, jak spadające płatki śniegu. Mgła znów pokryła ciało Stile'a. Zamarzające ręce coraz słabiej trzymały grzywę jednoroźca. Stile stwierdził, że nuci marsz pogrzebowy. Podświadomy czarny humor?

Neysa przez zaspę przedostawała się do jaskini w lodzie. Wyloniły się kolejne dwa potwory. Ruszyła prosto na nie. Jeden z nich nie zdążył uskoczyć i trafił go ognisty oddech jednoroźca. Otworzył paszczę w bezgłośnym krzyku, gdy topił mu się bok.

Przedarli się przez następną zaspę i znaleźli się na stromym, śnieżnym zboczu po północnej stronie łańcucha gór. Neysa zaczęła zsuwać się w dół na sztywnych nogach, coraz szybciej i szybciej. Wywołało to lawinę. Stile miał wrażenie, że cała góra spada na nich.

Jakże łatwo byłoby się rozluźnić i zatonać w puszystym śniegu. Stile odczuł nagłe zmęczenie. Dłonie tak mu zeszywniały, że nie był już w stanie puścić grzywy.

Nagle śnieg skończył się. Stali na porośniętej trawą półce, a ukośne promienie słońca przyjemnie grzały. Stile szybko wracał do siebie. Neysa oddychała ciężko przez szeroko rozwarte nozdrza. Nie pamiętał, na jak długo stracił świadomość tego, co się z nim dzieje. Może na kilka minut, a może na godzinę? Jakoś zdołał się utrzymać. Dłonie zwarł mu skurcz, przypominający śmiertelny uścisk. Czy wreszcie zwyciężył, czy to tylko przerwa przed następnym starciem?

Neysa zrobiła krok naprzód i Stile zobaczył, że półka znajduje się na krawędzi przepaści, na dnie której płynęła rzeka. Słychać było ryk pobliskiego wodospadu: rzeka brała swój początek z roztopiającego się lodowca i spadała majestatycznie do skalistego łożyska.

Znaleźć się tam oznaczało pewną śmierć!

A Neysa, wyczerpana do ostatka, zbierała się do skoku. Stile, czując powracające już siły, chociaż po morderczej jeździe bolały go mięśnie i skóra, spojrzął przed siebie ze zgrozą. Spaść w ten straszny wir szalejącej wody, na ostre skały! Ona chyba blefuje! A może woli śmierć od oswojenia?

Jednorożec ruszył truchtem w stronę krawędzi i przeszedł w cwał, szykując się do skoku.

Stile rzucił się naprzód, na głowę zwierzęcia. Zesztywniałe palce oderwały się od grzywy; ręce intuicyjnie wyciągnęły się do przodu. Chwycił róg, rzucił się całym ciałem na ziemię i przewrócił Neysę na bok. Broniła się, ale była zbyt zmęczona, a on miał dobry punkt podparcia, ponadto pomagały mu doświadczenia z rodeo.

Zatrzymali się na krawędzi przepaści. Ciepły prąd powietrza owiewał im twarze, zwiększając poczucie zagrożenia. Stile wołał nie patrzeć w dół. Jeśli ziemia się osunie...

Trzymał klacz mocno, rozluźniając chwyt tylko odrobinę, w miarę jak się odprężała.

- Posłuchaj, Neyso - powiedział, starając się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie.

Wiedział, że przemawianie jej do rozsądku jest tak samo niemądre, jak nucenie w chwili stresu, ale teraz nie miał już nic do stracenia i nie chodziło o to, aby zrobić na zwierzęciu dobre wrażenie. Jednorożec nie rozumiał słów, lecz wyczuwał ton. Dlatego Stile mówił bardziej do siebie niż do niego. Przed nimi ziała przepaść, a on musiał zrobić wszystko, co było możliwe, aby zapobiec nieszczęściu.

- Neyso - przyszedłem do ciebie, bo potrzebuję wierzchowca. Ktoś próbuje mnie zabić, a ja jestem obcy w tej krainie i muszę mieć możliwość szybkiego pokonywania odległych dystansów. Ty możesz podróżować szybciej niż ja i właśnie to udowodniłaś. Z łatwością poruszasz się po terenach, które dla mnie okazałyby się zabójcze, gdybym był sam. Więc potrzebuję cię z przyczyn czysto praktycznych.

Odprężała się stopniowo. Jedno ucho zwróciła w jego stronę, ale nie dawała za wygraną. Gdyby ją puścił, natychmiast skoczyłaby w przepaść, spadając do rzeki, a potem do krainy wiecznie zielonych pastwisk...

- Potrzebna mi jesteś również z przyczyn emocjonalnych. Widzisz, jestem człowiekiem samotnym. Nie z wyboru. Pewne okoliczności w moim życiu oddzielały mnie od grupy rówieśników. Zazwyczaj lepiej wiodło mi się w pojedynkę, ale nie lubię być sam. Potrzebuję towarzystwa, tak jak każda żywa, czująca istota. Czasami znajdowałem je wśród mężczyzn, gdy pracowałem razem z nimi lub z kobietami w łóżku. To jest dobre, ale rzadko zdarzało mi się to, co można nazwać prawdziwą przyjaźnią, chyba że z przedstawicielem innego gatunku.

Kocham konie. Jestem szczęśliwy, gdy znajduję się w ich pobliżu. Koń nie pragnie znajomości ze mną ze względu na moje osiągnięcia albo wygląd, nie ma też zbyt wielkich wymagań. Akceptuje mnie takim, jakim jestem, a ja akceptuję konia takim, jaki jest. Łatwo w ten sposób osiągnąć porozumienie. Dlatego, gdy szukam prawdziwego przyjaciela, rozglądam się za koniem.

Neysa odwróciła nieco głowę tak, żeby móc patrzeć na niego jednym okiem. Doskonale, a więc zwraca uwagę na jego kojący ton. Stile znów rozluźnił odrobinę uchwyt. Mówił dalej:

- Tak więc szukałem ciebie, Neyso. Chciałem, żebyś stała się moją towarzyszką, bo kiedy koń ofiaruje swoją wierność, można mieć do niego zaufanie. Oczywiście, nie łudzę się, że żywi wobec mnie takie uczucia, jak ja wobec niego...

Emocje, jakie oładnęły Stile'em sprawiły, że na chwilę mocniej ścisnął róg. Kontynuował jednak:

- Koń jest lojalny. Mogę jechać na koniu, bawić się, spać spokojnie, bo koń ustrzeże mnie przed złem. Dobry koń rozdepcze jadowitego węża, zanim człowiek w ogóle zauważy zagrożenie, ostrzeże przed nadchodzącym niebezpieczeństwem,

bo jego zmysły są bardziej wyostrzone niż ludzkie i w porę zabierze z miejsca, w którym jest jakieś zagrożenie.

Szukałem cię, Neyso. Wybrałem właśnie ciebie, zanim jeszcze cię zobaczyłem, bo ty w zasadzie nie należysz do stada. Jesteś samotna, tak jak ja. Cenię i dostrzegam sprawność tak u ludzi, jak i u zwierząt. Masz czyste kopyta, zdrowe odchody, doskonale mięśnie, twoja sierść aż lśni...

Urwał, bo wyraz ten przypominał mu Sheen, dziewczynę - robotę. Gdzie ona teraz jest, co robi, jak znosi jego nieobecność? Nie mógł jednak pozwolić sobie teraz na rozpamiętywanie.

- Szczerze mówiąc, jesteś najpiękniejszą klaczką, jaką zdarzyło mi się spotkać. Prawdopodobnie nic to ci nie powie, ale jako czołowy dżokej na planecie Proton dosiadałem najlepszych koni we wszechświecie. Żaden z nich nie może się z tobą równać. Co prawda, ty w zasadzie nie jesteś koniem. Jesteś czymś innym i może, gdy tak cię nazywam, uważasz to za obelgę, ale jest to raczej komplement. Muszę oceniać cię na podstawie tego, co znam, a znam właśnie konie. Dla mnie jesteś koniem, który ma róg. Może zasadniczo się od nich różnisz. Jesteś lepsza. Nie pocisz się, krzeszesz iskry kopytami, z nozdrzy bucha ci ogień, umiesz wydawać dźwięki rogiem, znasz różne rytmy biegania i sztuczki, o jakich żaden koń nie mógłby nawet marzyć. Może jesteś demonem w postaci konia? W to wątpię. Potrzebuję

cię, bo bardzo przypominasz mi konia, a w tym obcym świecie czułbym się najbezpieczniej i najbardziej pragnąłbym przeżywać wspólne przygody właśnie z przedstawicielem tego gatunku.

Nadal rozluźniał uchwyt w miarę jak się odprężała. Miał nadzieję, że teraz już chyba nie skoczy. Wolał jednak mieć stuprocentową pewność, więc postanowił mówić dalej. W takiej sytuacji błędem byłoby oszczędzenie czasu.

- Poza tym wydawało mi się, Neyso, że zdołam cię pokonać. Myślałem, że dosięgnę cię i będziesz moja, tak jak udawało mi się z wieloma końmi. Teraz widzę, że się pomyliłem. Dosiadłem cię wprawdzie, lecz nie należysz do mnie.

Zabijesz się, ale nie dasz się oswoić. Krótko się znamy, lecz pokochałem cię. Nie pozwolę ci oddać życia, aby się mnie pozbyć...

Stile poczuł, że coś cieknie mu po policzkach i stwierdził, że płacze. Mało co mogło go wzruszyć, tylko kobieta albo koń.

- Nie rób sobie krzywdy z mojego powodu! Myśl taka napawa mnie głębokim żalem. Puszczę cię wolno, Neyso Nie potrafię zmusić cię do posłuchu. Jesteś najdoskonalszym wierzchowcem, o jakim mógłbym marzyć, ale poszukam in nego, gorszego zwierzęcia. Widzisz, ja też muszę być akceptowany. Wzajemność jest mi niezbędna. Nie potrafię kochać nie będąc kochanym. Odejdę. Jesteś wolna.

Puścił róg powoli, żeby jej nie spłoszyć i zrobił krok do tyłu.

- Szkoda, że mi się nie udało - rzekł. - I tylko dlatego, że przywiązanie istoty takiej jak ty, zdobyte w walce jest najcenniejsze. Nie tylko dlatego, że posiadasz te cechy, które w próżności dostrzegam w samym sobie: dowód, że małe jest piękne. Nie, jest w tym coś jeszcze. Wydaje mi się, że potrzebujesz mnie tak samo, jak ja ciebie. Jesteś samotna, możesz sobie z tego nie zdawać sprawy, ale tobie też potrzebny jest towarzysz, ktoś, kto akceptuje cię taką, jaka jesteś A nie należysz do przeciętnych.

Spostrzegł, że ma na nodze skaleczenie. - Och, Neyso - zraniłaś się.

Kucnął, żeby sprawdzić, co jej jest. Ból przeszył mu kolana. Przewrócił się niebezpiecznie blisko skraju przepaści Chwycił się trawy i przesunął w bezpieczne miejsce.

- Przepraszam - powiedział z zakłopotaniem. Mam uszkodzone kolana..., drobiazg.

Podniósł się, ostrożnie podpierając rękoma. Powoli zbliżył się do Neysy, dbając o to, żeby jej nie przestraszyć, a potem pochylił się i obejrzał jej nogę.

- Mógłbym ci ją obmyć, ale nie ma tu wody i sądzę, że samo się zagoi. Nic poważnego. Pozwól, że sprawdzę też kopyta, Neyso. Nie chcę, żebyś odeszła pokaleczona z mojego powodu, a kopyta są najważniejsze. Czy mogę podnieść twoją lewą przednią nogę?

Przesunął dłonią po nodze, omijając skaleczenie, aż dotarł do kostki.

- No, no, chcę tylko popatrzeć, sprawdzić, czy nie ma pęknięć. Pęknięte kopyto to poważna sprawa.

Pozwoliła podnieść sobie nogę, chociaż najwidoczniej nie rozumiała, o co mu chodzi. Obejrzał ją od spodu. Była jeszcze dosyć ciepła, smużki pary unosiły się ze strzałki - środkowej części kopyta.

- Nic tu nie ma, tylko małe wyszczerbienie na krawędzi, ale żadnych pęknięć! Twoja dieta musi być bogata w białko, Neyso!

Odstawił nogę.

- Powiniennem sprawdzić i pozostałe, ale obawiam się, że mnie źle zrozumiesz. Ale właśnie to może zrobić człowiek dla konia. Sprawdzić kopyta, usuwając kamyki, albo je przypiłować, jeśli się nierówno ścierają lub za bardzo wyszczerbią. - Człowiek odpowiada za los konia. Gdy mu brak pożywienia - człowiek je dostarcza. W razie niebezpieczeństwa walczy w obronie swego zwierzęcia. Niektóre istoty atakujące konie obawiają się człowieka. Ja mogę walczyć z wilkiem, a ty... - spojrzał na jej róg.

- Nie, ty sobie poradzisz i z wilkiem! Nie jestem ci potrzebny. Co tu się oszukiwać. Mógłbym ci powiedzieć, że stowarzyszając się z człowiekiem zyskujesz ochronę dzięki jego inteligencji i zdolności przewidywania. Człowiek potrafi w porę dostrzec niebezpieczeństwo i uniknąć go, a wraz z nim zyskuje bezpieczeństwo jego wierzchowiec. Dzięki swemu rozumowi nadrabia braki spowodowane tym, że ma mniej wyczulone zmysły. Ale co to dla ciebie znaczy? Masz więcej inteligencji niż wszystkie konie razem wzięte. Nie potrzeba ci ochrony. Sam się oszukuję, bo bardzo chcę potwierdzić moje przekonanie, że mogłabyś mnie potrzebować.

Nadleciała mucha i usiadła na skórze jednorożca. Neysa drgnęła, ale mucha nie reagowała. Machnęła ogonem, lecz owad siedział na jej łopatce, poza zasięgiem uderzenia. Neysa mogłaby dostać ją zębami, ale wtedy musiałyby oderwać wzrok od Stile'a. Mucha szykowała się, aby ugryźć.

Stile poczuł, że robi mu się gorąco.

- Neyso, nie przestrasz się - zaraz zabiję tę paskudę, żeby cię nie dręczyła. Spokojnie...

Uderzył. Owad spadł na ziemię.

- Nie cierpię much - rzekł Stile.

- Do tej pory znałem je tylko z książek, ale są one wrogami koni. Nie będę tolerował, by gryzły zwierzę, które

znam. Cofnął się o krok, wzruszając ramionami.

- Ależ ja jestem naiwny Z muchami też sobie poradzisz! Do wiedzenia, Neyso. Bądź szczęśliwa i niech nigdy nie zabraknie ci pastwisk.

Odwrócił się i zaczął się oddalać od skraju przepaści, nad słuchując, czy jednorożec nie szykuje się do skoku. Szedł z ciężkim sercem, ale wiedział, że postąpił słusznie. Nie można oswoić jednorożca.

Na skraju przepaści zaszeleściła trawa. Słyszał to już od kilku chwil, ale dopiero teraz zwrócił uwagę. - - Co to jest?

Coś wilgotnego dotknęło jego łokcia. Stile drgnął zaskoczony. Nie słyszał, żeby cokolwiek się do niego zbliżało. Był to jednorożec. Podszedł go prawie bezszelestnie. Stile nie przypuszczał, że tak potrafi. Mógł go przebić na wylot swoim rogiem.

Odwrócił się zdumiony. Wzrok Neysy zwrócony był w jego stronę. Wielkie, brązowe, wilgotne oczy lśniły niczym drogic kamienie. Klacz podniosła głowę i pieszczotliwie skubnęła go w ucho. Zarżała cicho, uspokajająco.

Och, Neyso! - westchnął, czując jak bucha w nim radość. Więc jednak ją zdobył.

Rozdział 8

MUZYKA

Neysa, gdy już pozwoliła się oswoić, była doskonałym wierzchowcem. Najlżejszy nacisk kolana na jej bok wystarczał, aby skręciła, a lekkie przesunięcie ciężaru ciała jeźdźca do przodu sprawiało, że przechodziła w idealnie gładki kłus. Jednak rzadko narzucał jej swoją wolę - pozwalał, by sama wybierała drogę.

- Muszę się ukryć, Neyso - powiedział jej. - Szukam bezpiecznego miejsca, w którym mógłbym pozostać, dopóki nie nauczę się czegoś więcej o tym świecie i nie odkryję, kto próbuje mnie zabić i dlaczego. Być może moja przygoda z demonem była po prostu przypadkiem, pułapką losową i nie była skierowana przeciwko mnie. Skoro jednak nie znam tego kraju, nie mam pojęcia gdzie szukać schronienia.

Wysłuchała go, a potem wykonała ruch rogiem i postukała przednią nogą.

- Wydawałoby się, że mnie rozumiesz - powiedział z rozbawieniem. - Albo przynajmniej wyczuwasz, o co mi chodzi. Jeśli wiesz dokąd powinienem się udać, to zabierz mnie tam koniecznie!

Zatrzymali się na chwilę. Zebrał trochę słomy z dzikich zbóż i zrobił coś w rodzaju siodła.

- Prawdę mówiąc, nie potrzebuję siodła, Neyso, ale mój ciężar, jeśli nie zostanie właściwie rozłożony, sprawi, że po jakimś czasie będzie cię bolał grzbiet. Kości ludzkiej miednicy niezbyt pasują do końskiego kręgosłupa. Słoma nie jest idealna, ale lepsza niż nic. Trzeba przenieść mój ciężar z twoich żeber na kłęb i łopatki, czyli tam, gdzie będzie dla ciebie najwygodniejszy. No i potrzebny jest jakiś popręg, żebym miał się czego trzymać, zamiast szarpać cię za tę piękną grzywę.

Neysa pogodziła się z takim despektem i poniosła go na zachód przez bursztynową równinę położoną na północ od szkarłatnych gór, przyspieszając w miarę, jak wracały jej siły. Stile'a coś gnębiło, aż wreszcie zrozumiał, co.

- Wiesz, Neyso - jest taka patriotyczna amerykańska pieśń z Ziemi. Nigdy tam oczywiście nie byłem, ale mówi ona o bursztynowych łąkach zbóż, szkarłatnych górach i żyznych równinach i przypomina mi, że jestem głodny

- Nie miałem nic w ustach od chwili, gdy znalazłem się w tym świecie. Nie wiem, czy takie szkarłatne góry rzeczywiście istnieją na Ziemi, ale tutaj są! Czy mogę zagwizdać?

Skierowała ucho w jego stronę, a potem zwróciła je do przodu. Miała śliczne, aksamitnoczarne uszy, które znakomicie wyrażały jej stan ducha. Mógł zaczynać.

Zagwizdał tę melodię. Do muzyki miał specjalny sentyment. Przypominała mu pewną dziewczynę poznaną dawno temu. Gwizdał więc piosenkę o bursztynowych polach, o szkarłatnych górach i pięknym krajobrazie. I wszystko stawało się coraz wspanialsze, przesycone nastrojem oczekiwania. Na co?

Neysa zatrzymała się koło drzewa. Była to wielka grusza z ogromnymi, dojrzałymi owocami.

- A niech cię! - zawołał Stile. - Czy one są jadalne?

Zeskoczył, nie czekając na odpowiedź. Towarzystwo jednorożca okazywało się ze wszech miar pożyteczne!

Klacz zbliżyła się do rosnącego nie opodal dzikiego zboża i zaczęła się paść. Też była głodna. Konie - jednorożce też! - nie mogą zbyt długo pozostawać bez jedzenia. Muszą poświęcać dużo czasu na pożywanie się. Bieg musi być przerywany okresami odpoczynku i taki styl życia odpowiadał Stile'owi.

Pierwsze godziny spędzone w nowym świecie nie były nudne. Najpierw atak demona, a potem poszukiwanie wierzchowca, ale gdyby tak miał dłużej pozostać tu sam, nuda i samotność rychło zaczęłyby mu doskwierać. Z Neysą jednak nawet ten obcy świat był cudowny. Może Stile szukał jej przede wszystkim dlatego, że brakowało mu towarzystwa?

Będzie musiał przyjąć, że da się tu bezpiecznie spędzić noc. Stile zerwał gruszkę. Wyglądała na jadalną. Jeśli powstrzyma się od jedzenia, nie ufając naturze, to co mu z tego przyjdzie? Ugryzł soczysty kęsek. Pycha...

Zjadł trzy duże owoce i na tym skończył. Nie ma co się przejadać. Zrobił sobie pod gruszą poślanie z siana i ułożył się na nim zaraz po zapadnięciu zmroku. Miał nadzieję, że nie będzie padał deszcz. Ale czy to ważne? Przecież wyschnie. Tutaj jest ciepło. Nie zmarznie, nawet jeśli zmoknie.

Neysa oddaliła się. Stile'a to nie zmartwiło. Był przekonany, że go nie opuści. A nawet jeśli zechce odejść, ma do tego prawo. Zawarli niepisane porozumienie, nic więcej. Może zostać anulowane przez którąkolwiek ze stron bez uprzedzenia. Mimo to, co jakiś czas popatrywał na pole. Wolałby, żeby w nocy pozostała przy nim. Nie wiedział, jakie są tu zagrożenia, ale był pewien, że Neysa dostrzeże je i zlikwiduje, tak jak unicestwiła demona w szczelinie i potwora śnieżnego...

Wschód księżyców był wspaniały. O wiele subtelniejszy niż słońca i można było na nie patrzeć wprost: Księżyce były bliskie i duże, a ich blask nadawał wolno przesuwanym się

chmurom barwę błękitną. Najgrubsze z nich tworzyły czarne sylwetki na tle nieba, ale cieńsze jawiły się jako niebieskie plamy w różnych odcieniach, z podkreślonymi liniami, łukami i wypustkami, wszystko niewysłowionej piękności. Ach, wyruszyć tam, do magicznego świata nocnego nieba!

Zjawisko powoli blakło. Było tak samo krótkotrwałe jak wschód słońca, ale dostarczało niezwykłych wrażeń. Stile był pewien, że nie ma dwu takich samych wschodów i zachodów księżyca, zawsze coś się zmienia, ale kolejny widok jest równie piękny, jak poprzedni. Natura oferuje cuda tym, którzy są w stanie je zauważyć!

Coś się zbliżało. Nie był to jednorożec. Zaniepokoił się. Był przecież nagi i bezbronny. Na Protonie rzadko odczuwał potrzebę posiadania broni, chociaż wiedział, jak się nią posługiwać. Ten świat miał w sobie więcej dzikości, ale dzięki swej tajemniczości był bardziej intrygujący. Czy to nadchodzi nocny drapieżnik?

- Nie - to kobieta!

Nie miała broni ani ubrania i wydawała się raczej niegroźna. Było w niej coś znajomego.

Gdy znalazła się bliżej, padł na nią księżycowy blask. Obiecujący zarys wypełnił się w błękitnej poświacie. Była niewysoka, niższa od Stile'a, ale zdrowa i pięknie zbudowana. Miała doskonałe proporcje: drobne dłonie i stopy, smukłe nogi i dziewicze piersi. Jej paznokcie połyskiwały niczym perły, a czarne włosy lśniły. Na czole miała ozdobę z kości słoniowej. Nieco rzymski nos nie szpecił jej ładnej twarzy: Jedyłą niedoskonałość stanowiło zadrapanie na przedramieniu, które już zaczynało się goić.

- Stile! - zawołała melodyjnie. - Neysa? - odrzekł, zaskoczony.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego ramiona. Stile zrozumiał, że przyjaźń jednorożca to nie żarty. Gdy już ją zdobył, to całą.

Była oczywiście pewną odmianą demona: Żadna zwyczajna istota nie mogłaby ulec takiej przemianie. Ale Stile wiedział już, że są najrozmaitsze odmiany demonów. Liczyło się jednak nie to, jak bardzo się od siebie różnią wyglądem, lecz jak się do niego odnoszą. Ufał Neysie.

Objął ją i pocałował. Była gibka, delikatna i godna pożądania. Położył się z nią pod gruszą i wiedząc kim jest, kochał się z nią tak, jak z Sheen.

Rano Neysa pasła się opodal. Stile patrzył na nią, myśląc o minionej nocy. Czy oczekuje, że teraz będzie ją traktował inaczej? Czy odmówi mu swojego grzbietu?

Okazało się, że nastawienie Neysy nie uległo zmianie. Wciąż była jego wierzchowcem. Noc stanowiła tylko potwierdzenie ich związku, a nie jego zmianę. Już nigdy nie będzie

myślał o jednorożcu jak o koniu, który ma róg.

Neysa, wypoczęta i najedzona, ruszyła przez pole lekkim kłusem, nadal kierując się na zachód. Kłus może być łagodny albo ostry, ten należał do najdelikatniejszych. Mimo, że wyglądała jak przeciętny koń, na Protonie sporo by za nią zapłacili, właśnie za ten kłus - o ile istotę taką w ogóle można by sprzedać albo kupić! Następnie przeszła w przyjemny cwał o synkopowym rytmie: raz - dwa - trzy - przerwa, raz -- dwa - trzy - przerwa. W cwale przednie nogi konia poruszały się kłusem, a tylne galopem. Stopień komfortu jazdy zależał od nastroju wierzchowca. Dosiadanie tego wspaniałego stworzenia należało do wielkich przyjemności.

Neysa przeszła do kolejnego wariantu kłusa; kroku, w którym razem poruszały się na przemian prawe i lewe nogi. Dwa uderzenia w ziemię, które przechylały go raz na jeden bok, a raz na drugi, ale dzięki temu poruszali się szybciej. A potem wróciła do cwału, również nietypowego. Tylne kopyta uderzały o ziemię równocześnie z prawym przednim. Był to znów krok na dwa: jedna noga na zmianę z trzema. Raz - DWA! Raz - DWA! Musi dobrze kompensować wstrząs, bo inaczej rozsypią mu się kości.

Popisywała się swoimi umiejętnościami dowodząc, że żaden koń nie jest w stanie jej dorównać. Wczoraj przedstawiła kroki podstawowe, a dzisiaj pokazywała ich warianty.

- Wspaniale, Neyso - powiedział ciepło. - Jesteś najbardziej wszechstronną baletnicą, jaką znam.

Było się przed kim popisać. - To jeszcze jeden aspekt przyjaźni. Zwierzęta, tak samo jak ludzie, są skłonne zrobić wiele tylko po to, żeby zasłużyć na pochwałę. Co prawda, Neysa to ani zwierzę, ani człowiek.

Gdy Stile uznał repertuar kroków za wyczerpany, Neysa zaskoczyła go znowu. Zaczęła na swoim rogu grać melodie. Nie wydawała pojedynczych melodyjnych dźwięków, lecz harmonijną, wielogłosową muzykę. Kopyta wybijały kontrapunkt. Całość przypominała dostojsny marsz.

- Krok na pięć! - zażyczył sobie Stile. - Synkopowanie do muzyki!

Zmieniła krok i grała zawiłą melodię, idealnie pasującą do rytmu. Poruszała się przy tym płynnie i było to bardzo przyjemne. Stile przestał się już dziwić, że Neysa pojmuje, co się do niej mówi. Poprzedniej doby zdał sobie sprawę, że doskonale rozumie ludzką mowę, chociaż się nie odzywa.

Kiedy wygłaszał swój monolog na skalnej półce ponad rzeką, rozumiała każde słowo. Przekonało ją to, co mówił, a nie ton głosu. Tym lepiej, ponieważ on wcale nie rzucał słów na wiatr.

Teraz mógł wydawać jej polecenia ustnie, ale ona wołała sygnały nadawane nogami i przez przenoszenie ciężaru ciała. Reagowała na nie, a nikt z zewnątrz nie mógł wiedzieć, o co chodzi. To ideał jazdy konnej. Ona zaś czuła się świetnie w tej roli - była przecież jednorozcem. Stile także wołał bliskość wynikającą z tego sposobu porozumiewania się. Było to najbardziej naturalne.

Dźwięki, jakie Neysa wydobywała z rogu, przypominały grę na organkach. Niewątpliwie wewnątrz znajdowały się kanaliki tworzące naturalne piszczalki, przez które mogła, gdy tylko zechciała, wydychać powietrze. Co za wygodny instrument!

- Wiesz, Neyso, ja się też trochę znam na muzyce. Umiem nie tylko gwizdać. Grać nauczyła mnie pewna dziewczyna, trochę podobna do ciebie w ludzkiej postaci: nieduża, ładna i uzdolniona. W moim świecie nie należę do czołowych muzyków, ale jestem nie najgorszy, bo muzyka należy do dziedzin, w których rywalizuje się w Grze. Nie masz o niej pojęcia, oczywiście. Gra to coś w rodzaju ciągłego konkursu, zawodów, każdego dnia zajmujesz się czymś nowym, zupełnie innym i jeśli okażesz się dobra, uzyskujesz wysoki status. Wiele razy udało mi się zwyciężyć, grając na instrumentach lepiej niż inni; na skrzypcach, klarncie i tubie. Żałuję więc, że nie mogę grać razem z tobą. Chyba, że zacznę gwizdać, albo śpiewać.

Bardzo chciałbym pokazać ci, co potrafię, grając na instrumencie podobnym do twojego, na organkach. Moglibyśmy tworzyć duet. To daje szczególną przyjemność, trochę podobną do tego, co przeżywaliśmy w nocy. Mając instrument, mógłbym do ciebie dołączyć, tak samo jak ty to zrobiłaś wczoraj.

Neysa wysłuchiwała go z dużą dozą wyrozumiałości. Nie przeszkadzało jej, że w swojej próżności uważał, iż potrafi zagrać tak, jak ona.

Stile zastanowił się przez chwilę, a potem ułożył rymowankę:

Gdybym miał organki, zagrałbym tak jak ty.

Dopasował słowa do jej melodii i zaczął je wyśpiewywać. Neysa wydała niemelodyjne parsknięcie, a Stile zaśmiał się. - Okropne, wiem! No dobrze, rezygnuję.

Na to jednorozec zwolnił, potem zatrzymał się, aż wreszcie zawrócił.

- Co się stało? - zapytał zaskoczony Stile.

- Jeśli cię obraziłem, to przepraszam. Nie chciałem zepsuć ci muzykowania.

Pogrzebała rogiem w trawie. Coś tam błyszczało. Stile zsiadł i podszedł zobaczyć, obawiając się najgorszego. Jeśli to następny demon w postaci amuletu...

Były to duże, ozdobne organki, najwyraźniej całkiem nowe. Stile podniósł je i obejrzał z zachwytem.

- Masz dobre oko, Neyso. Nie mogłaś ich znaleźć w lepszym momencie. Ojej, one są z mojego świata. Zobacz napis: MADE ON EARTH. Ziemia ma prawie wyłączny monopol na produkcję wysokiej jakości instrumentów muzycznych. Nie znam się zbytnio na tego typu harmonijkach ustnych, ale założę się; że potrafię na niej zagrać.

Rozejrzył się.

-- Ktoś je musiał zgubić. Nie jestem pewien, czy powinienem... - potrząsnął głową.

- No cóż, niewiele pomogę właścicielowi, zostawiając je tutaj. Chyba mogę pożyczyć, dopóki nie znajdę...

Stile wskoczył na swoje słomiane siodło, które trzymało się nadszpiewanie dobrze - ubiło się, przybierając idealny kształt - i gotów był do dalszej jazdy. Neysa przeszła w łagodny kłus i grała na swoim rogu, a Stile zaczął wypróbować organki.

Instrument okazał się znakomity. Miał szesnaście piszczałek wydających trzydzieści dwa dźwięki, a więc cztery oktawy. Ponadto był chromatyczny - miał przy końcu dźwigienkę, która, gdy się ją nacisnęło, pozwalała wydobyć półtony. Znajdowało się tam jeszcze kilka przycisków, ale ich przeznaczenia Stile nie potrafił odgadnąć. Zajmie się nimi we właściwym czasie.

Przyłożył usta do organków i zadał na próbę. Przerwał zdziwiony i uradowany - zagrał tremolo w przyjemnym połączeniu dwu dobrze dopasowanych tonów. Następnie spróbował zagrać gamę, starając się wydobywać pojedyncze dźwięki. Organki były doskonale wykonane i brzmiały idealnie czysto.

Świetnie. Neysa zamilkła, przysłuchując się mu z zaciekawieniem. Zagrał na próbę prostą melodyjkę. Instrument był tak dobry i miał tak przyjemny dźwięk, że Stile wkrótce przeszedł do utworów bardziej skomplikowanych.

Neysa nadstawiła uszu. Odwróciła głowę i popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Stile urwał.

- Tak, naprawdę umiem grać - powiedział. - Myślałaś, że gwizdanie stanowi szczyt moich możliwości? Kocham muzykę. To jeszcze jedna rzecz, o którą łatwo osobie samotnej. Oczywiście, na organkach nie gram tak dobrze, jak na innych instrumentach i nie umiem grać wymyślnie, ale... Wydała przeczący dźwięk.

- Co się stało? - zapytał. - Wiesz, Neyso, byłoby mi łatwiej, gdybyś więcej mówiła, ale przypuszczam, że musiałabyś przybrać ludzką postać, a wtedy nie moglibyśmy podróżować. Muszę ci powiedzieć, że bardzo mnie zaskoczyłaś, gdy... Czy to się nazywa zmiana postaci? Transformacja? Przekształcenie? Czegoś takiego ani przez chwilę się po tobie nie spodziewałem...

Wydała następny dźwięk: trwał trzy czwarte długości tonu oznaczającego potwierdzenie. Coraz lepiej rozumiał, o co jej chodzi.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - domyślił się. Mam pewną wprawę w rozwiązywaniu zagadek, to też należy do Gry. Spróbuję:

- Chodzi ci o twoje pojawienie się jako... - Nie? O moją reakcję?

- Mówisz: w pewnym stopniu tak? - O moje zdziwienie?

- Nie?

- O twoje?

- Ach, rozumiem! Zdziwiłaś się odkrywając, że potrafię grać na instrumencie muzycznym, tak samo jak ja, gdy zobaczyłem cię w ludzkiej postaci.

Neysa wydała dźwięk potwierdzający. Ale chodziło jej jeszcze o coś. Stile drażył dalej:

- I tak jak twoja zmiana postaci pozwoliła nam na inny rodzaj kontaktu, tak moja nagle objawiona znajomość muzyki pozwala nam na współpracę w jeszcze jeden sposób. Uśmiechnął się.

- Właśnie to samo chciałem ci powiedzieć...

- Ależ nie przepraszaaj, przecież jednorożce nigdy nie popełniają błędów...

Wierzgnęła ostrzegawczo. Zaśmiał się.

- No, to do roboty - powiedział z zadowoleniem. Przyłożył organki do ust i zaimprovizował melodię. Czyste dźwięki niosły się po równinie rozciągającej się między dwoma łańcuchami górskimi. Neysa dołączyła i grali w idealnej harmonii. Wybijała kopytami rytm - był to jakby trzeci instrument. Rezultat był niezmiernie przyjemny.

Stile wypróbował tajemnicze przyciski i odkrył, że zmieniały barwę dźwięku i wtedy ich dźwięk przypominał inne instrumenty. Jeden z przycisków usuwał tremolo, inny wprowadzał oktawy, jeszcze inny sprawiał, że organki stawały się diatoniczne, o popularnej, choć niekompletnej skali i trochę innym układzie dźwięków. Były to najbardziej wyrafinowane organki, na jakich zdarzyło mu się grać. Dziwił się, że ktoś mógł je tak zostawić. Gdyby on zgubił taki instrument, szukałby go aż do skutku.

Stile nauczył Neysę piosenki, a potem Neysa jego. Improvizowali melodie w rytmie różnych kroków jednorożca.

Grali na zmianę: jedno zwrotki, a drugie refreny. Potem wykonali melodię na dwa głosy. Bawili się znakomicie.

W pewnej chwili zaczęło się jednak dziać coś niepokojącego. Atmosfera nieokreślonego zagrożenia stawała się coraz intensywniejsza.

Stile przestał grać. Neysa urwała w pół tonu. Obsesje rozejrzeli się.

Niczego nie zauważyli. Zagrożenie znikło. - Ty też to czułaś? - zapytał Stile. Neysa potwierdziła ruchem ucha.

- Co to mogło być?

Poruszyła łopatką, prawie zrzucając zaimprovizowane siodło. Stile sprawdził, czy ukrecony ze słomy popręg nie pękł. Był cały, tylko jak zwykle rozluźnił się rzemień. Dociągnął go, żeby się dobrze trzymał...

Drgnął. Rzemień? Kółko?

Zeskoczył na ziemię i obejrzał swój wyrób. Na wierzchu przykryty był nieco słomą, ale pod spodem znajdowało się solidne, nieco podniszczone siodło, wygodne dzięki długotrwałemu użytkowaniu.

Przecież zrobił tylko podkładkę ze słomy! Dziś rano położył słomę na grzbiecie Neysy. Skąd wzięło się siodło?! - Neyso?

Skąd ona ma to wiedzieć? Przecież nie umieściła go na swoim grzbiecie!

Odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. A potem wykręciła ją jeszcze bardziej i dotknęła rogiem siodła. Popatrzyła pytająco na Stile'a.

- Ktoś dał nam siodło - powiedział. - Jak to się mogło stać? Dziś rano była to słoma, a ja cały czas na nim siedzę...

Wydała dźwięk wyrażający zdenerwowanie. Ona też nic z tego nie rozumiała.

- To magia - stwierdził Stile. - Znajdujemy się w krainie czarów. Przed chwilą coś unosiło się w powietrzu. Może to było zaklęcie?

Neysa wyraziła potwierdzenie.

- A może to ten ktoś, kto chce mnie zgładzić? - zastanawiał się Stile. - Pokazuje swoją moc? Siodło jednak raczej pomaga niż szkodzi. Czegoś takiego potrzebowałem, a to jest w dodatku dobre. L.. - urwał, trochę zaniepokojony, a trochę oszołomiony - i organki. One też pojawiły się jakby na zawołanie. Neyso, a może ten ktoś próbuje nam pomóc? Czy oprócz wroga mamy tu przyjaciela? Nie jestem pewien, czy mi się to podoba, bo nie wiem, kto nam je dał. Ten amulet, który przemienił się w demona...

Neysa nagle skręciła i ruszyła galopem prostopadle do ich poprzedniego kierunku jazdy, unosząc na grzbiecie Stile'a. Kierowała się na południe, w stronę szkarłatnych gór. Stile wiedział, że ma w tym jakiś cel, więc nie oponował.

Wkrótce znaleźli się w pobliżu stada jednoroźców. Gdy znajdowali się jeszcze całkiem daleko, wydała stanowczy dźwięk. Jednorożec pasący się na skraju stada nadstawił uszu, a potem pogalopował w ich kierunku. - Przyjaciel?

Neysa skręciła i znów ruszyła na zachód, oddalając się od stada, ale ten drugi

jednorożec biegł tak, aby przeciąć im drogę. Był to samiec, niewiele większy od Neysy, ale o zupełnie innym umaszczeniu; był ciemnoniebieski i miał czerwone skarpety. Stile musiał sobie znów uprzytomnić, że to nie jest koń.

Kiedy zwierzęta znalazły się blisko siebie, Neysa zagrała. Nieznajomy odpowiedział podobnie. Jego róg brzmieniem przypominał saksofon. Czy każdy jednorożec gra na innym instrumencie? Jeśli tak, to kilka zebranych razem mogło stworzyć niezłą orkiestrę!

Neysa zmieniła rytm na pięć i zagrała melodię. Samiec dopasował krok, zagrał kadencję i dopasował tonację. Dwa głosy połączyły się w jedno. Nic dziwnego, że Neysa umiała tak świetnie porozumieć się ze Stilem, robiła to wcześniej ze swoim gatunkiem. Stile słuchał zachwycony. Był to czarujący duet.

Ale kim jest ten młody ogier, którego wezwała? Stile nie chciał, żeby wieść o jego obecności się rozeszła, ale wiedział też, że Neysa zdaje sobie z tego sprawę i działa dla jego dobra, więc musi mieć jakiś powód. Jest to pewnie przyjaciel, ' do którego ma zaufanie i który może pomóc im rozszyfrować charakter owej tajemniczej magii.

Biegli tak, dopóki nie znaleźli się dosyć daleko od stada. Potem zwolnili. Wreszcie Neysa zostawiła Stile'a pod dorodnym orzechem włoskim i zaczęła się paść. Było południe pora na lunch. Prawdopodobnie będzie pożywiać się przez godzinę lub nawet dłużej, a on nie zamierzał jej w tym przeszkadzać. Musiała odzyskać siły nadwątlone wczorajszą ciężką próbą. Zdjął siodło i umieścił je pod drzewem.

Obcy jednorożec nie pał się, lecz uważnie obserwował Stile'a, mierząc go wzrokiem z góry do dołu. Zrobił krok naprzód, kierując róg w stronę jego pępka. Instrument muzyczny teraz niewątpliwie zmienił swoje przeznaczenie. Stile stał bez ruchu, żując orzecha, odprężony, ale gotów zareagować natychmiast.

Niebieski ogier wydał pojedynczy, ironiczny dźwięk, zamigotał i... zmienił się w człowieka. Był ubrany. Miał futrzane spodnie, niebieską koszulę z długimi rękawami, solidne pół- . buty, czerwone skarpetki i miękkie, błękitny kapelusz, a na rękach grube rękawice. U boku zwisał mu rapier.

Stile patrzył na niego oszołomiony: Obywatel? Tutaj? - A więc to ty zawracasz głowę mojej siostrze! - rzekł mężczyzna, muskając prawą dłonią rękojeść rapiera.

Tego mu tylko brakowało - nadopiekuńczy brat! Stile spostrzegł ozdobę na jego czole, podobną do tej, jaką miała Neysa. Nie, to nie Obywatel, wszyscy tu przecież noszą ubrania.

- Zgodziła się! - rzekł krótko Stile.

- Ha! Widziałem wczoraj, jak biegła na Śnieżną Górę, próbując cię zrzucić. Miałaś szczęście, że nie zmieniła się w świetlika i nie zrzuciła cię w przepaść!

Och, on mówił o dniu, nie nocy.

- To ona potrafi zmienić się w świetlika?

- A czemu by nie? Większość istot jest zadowolona; gdy potrafi przybrać jedną dodatkową postać. My możemy dwie.

Znów zamigotał i zmienił się w jastrzębia. Ptak uniósł się w powietrze pod kątem 45 stopni, a potem wykonał pętlę i skierował się w stronę Stile' a.

Atakowany odskoczył w bok, lecz nagle stanął przed nim mężczyzna. Pojawił się w tej samej chwili, gdy ptak miał roztrzaskać się o ziemię.

- O gustach się nie dyskutuje - powiedział zaczepnie. - Jesteś mały i nagi, ale jeśli ona pozwala ci się dosiąść, to nie mogę jej zabronić. Chcę jednak, żebyś wiedział, że ona jest najlepszą klaczą w stadzie, mimo swojej maści.

- Maści? - zdziwił się Stile.

- Nie mów, że nie zwróciłeś na to uwagi! Ostrzegam cię, człowieczku, że jeśli choć raz użyjesz wyrażenia "maść jak u konia" w jej obecności, będziesz miał ze mną...

Neysa pojawiła się za plecami brata, wydając ostrzegawczy dźwięk.

- No, już dobrze! - warknął.

- Jest o sezon starsza ode mnie, nie mogę jej pouczać, ale pamiętaj - Neysa jest w porządku!

- Najzupełniej - zgodził się Stile. - Jest najsprawniejszą i najładniejszą klaczką, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Mężczyzna, najwyraźniej przygotowany był na zajadłą kłótnię, albo chociaż powątpiewanie i teraz na chwilę stracił wątek.

- Tak. Dokładnie tak. No to przejdźmy do rzeczy. Jaki masz problem"?

- Nazywam się Stile. Jestem tu obcy, nie znam tego świata, nie mam ubrania, ktoś usiłuje mnie zabić, a ktoś inny wykorzystuje magię, której ostatecznego celu nie potrafię zgłębić:

Kiedy było trzeba, Stile potrafił wyrażać się zwięźle.

- Aha. - Mężczyzna zmarszczył brwi. - Ja nazywam się Clip. Jestem młodszym bratem Neysy. Ona chce,

żebym ci pomógł, więc zrobię to, czego sobie życzy. Dostarezę ci informacji, ubrania i dam ci broń, żebyś miał czym walczyć ze swoim wrogiem. A jeśli chodzi o magię... daj sobie z nią spokój. Jednorożce są na nią odporne.

- Odporne?! - zaprotestował Stile. - Zmieniasz postać i chcesz mi wmówić, że...

- Na obcą magię - uściślił Clip. Mamy oczywiście własną, chociaż nie jest łatwa.

Przypomina naukę obcego języka i jest związana ze zmianą postaci. Nie możesz być człowiekiem, nie potrafisz mówić, nie możesz być ptakiem, nie umiesz latać, ale większość jednorożców nie chce się wysilać. Nikt jednak nie może przekształcić albo zaklęciem jednorożca, ani nikogo, kto jest w pobliżu. Czy nie dlatego jej potrzebujesz? Dopóki przebywasz u boku Neysy... - zmarszczył groźnie brwi. - Nie rozumiem, dlaczego ona chce być z tobą...

Przerwał mu protest Neysy.

- No cóż, klaczy nikt nie zrozumie. - Zaczął zdejmować ubranie.

- To prawda - zgodził się Stile. Po chwili dodał:

- Słuchaj, Clip, dosiadając Neysy rzuciłem jej wyzwanie, bo potrzebowałem wierzchowca. W końcu okazało się, że nie potrafię jej ujarzmić, ale przyłączyła się do mnie dobrowolnie. Nie wiem dlaczego nie zeskoczyła w przepaść, przemieniając się w świetlika i nie pozwoliła mi zginąć, przecież mogła...

Przypomniał sobie, iż sądził, że to on ratuje jej życie, kiedy uwalniał ją na skalnej półce! Po chwili mówił nadal: - Nie wiem też, dlaczego się do mnie nie odzywa. Kiedy przybrała ludzką postać, powiedziała tylko moje imię. Nic nie wyjaśniła.

Wtedy wydawało mu się, że niczego nie trzeba tłumaczyć! Ależ był naiwny!

- To mogę ci powiedzieć - odparł Clip. - Neysa nie lubi mówić. Kiedy trzeba coś wyjaśnić, wzywa mnie. Zdjął koszulę i wręczył ją Stile'owi.

- Zakładaj to. Ja nie muszę mieć ubrania. Coś sobie znajdę w stosownej chwili.

Popatrzył na Neysę.

- Przypuszczam, że coś się jej w tobie spodobało. Nie jesteś chyba prawiczkim?

Stile włożył na siebie koszulę i potrząsnął przecząco głową. Zakłopotany był i tematem rozmowy, i faktem ubierania się. Na Protonie wywołałoby to zgorszenie obyczajowe i towarzyskie, nie mówiąc o nadużyciu prawa.

Koszula powinna być za duża, ale okazało się, że pasuje idealnie. Zaczynał traktować drobną magię jako coś oczywistego.

- Gdybym kiedykolwiek spotkał dorosłą dziewicę, wcale nie kładłbym jej głowy na kolana! To zdecydowana przesada - wyznał Clip.

Stile uśmiechnął się ze zrozumieniem; polubił tego szczerego i pozbawionego zahamowań samca.

- Po co jednorożcowi dziewczyna'? - zapytał z ciekawością.

- To proste - powiedział, podając Stile'owi spodnie. - Główny Ogier zabiera wszystkie klacze, więc my, młode samce, mamy trudności. Jednorożec nie samym ziarnem żyje! Mimo

tego, że ludzkie ciało jest mniej miłe niż końskie, w takiej sytuacji nawet dotyk ręki ładnego dziewczęcia...

- Chyba już rozumiem - odrzekł Stile. Spodnie również pasowały idealnie.

Tu nie Proton i ubranie ma tu zupełnie inne znaczenie, czysto praktyczne, a nie społeczne - myślał Stile, tłumiąc w sobie poczucie winy. A głośno dodał:

- Ale skoro tak jest, atrakcyjna klacz nie powinna mieć problemów...

Neysa oddaliła się gwałtownie, a Clip zniżył głos.

- W porządku, stary. Ty rzeczywiście nic nie wiesz, a powinieneś. Przodkami jednorozców są konie, tak jak małpy twoimi...

- Małpy nie są moimi przodkami...

- No widzisz? To drażliwy temat. Czasami rodzą się osobniki z cechami pierwotnymi. Gdy jednorozec przychodzi na świat bez rogu, to znaczy bez jego załączka, zabija się go z czystej litości. Kolor zaś jest przypadkiem granicznym. Jeśli noworodek nie posiada poza tym innych wad, zostawia się go przy życiu, lecz piętno pozostaje.

Clip zmarszczył brwi, popatrując z ukosa na Stile'a.

- Neysa ma maść konia - powiedział Stile, pojmując wreszcie - więc jest wyrzutkiem.

- Dokładnie tak. Oficjalnie Neysa jest stuprocentowym jednorozcem, ale Główny Ogier jej nie chce, a samce stojące niżej w hierarchii nie mają śmiałości jej osiąść bez pozwolenia Głównego Ogiera, którego on nie chce udzielić, bo to zmniejszyłoby jego autorytet. Nasz gatunek jest właśnie taki. Logika przegrywa z dumą. Niektórzy twierdzą, że muły są najbardziej uparte spośród koniowatych, ale ich upór jest fraszką w porównaniu z zawziętością jednorozców. Tak więc od dwóch sezonów Neysa jest sama z powodu swojej maści.

Stile zdał sobie sprawę, że to, co robili zeszłej nocy, nie ma żadnego znaczenia. Jest człowiekiem, a nie ogierem. Może dostarczyć przyjemności dziewczynie, takiej jak Neysa, ale nigdy nie da jej dziecka, podobnie jak ogier w postaci człowieka nie mógłby zapłodnić prawdziwej kobiety.

- To skandal! Ona jest świetnym jednorozcem! Ogier powinien albo ją osiąść, albo zwolnić.

- Wiesz co, jesteś tylko człowiekiem - powiedział Clip, wręczając Stile'owi rapier - ale masz pewne pozytywne cechy. Czy Neysa podoba ci się naprawdę?

- Wybrałem ją, bo była najlepszym rumakiem, jakiego kiedykolwiek widziałem - odparł z powagą Stile. - W pewnym sensie pokochałem ją od pierwszego wejrzenia. Dla mnie doskonały koniowaty jest najcudowniejszą istotą.

- Więc dopóki ci nie powiedziałem, nie przyszło ci do głowy, że coś jest z nią nie w porządku?

- Ona jest absolutnie w porządku! - warknął Stile. - Racja - głos Clipa wyrażał szczerą wdzięczność - Aha, mam ci wyjaśnić nasz świat. Niewiele jest do powiedzenia. My, jednorożce, jesteśmy tu najwyższym rozwiniętym gatunkiem zwierząt, a oprócz nas jeszcze wilkołaki i wampiry. Wiedzie nam się lepiej niż wieśniakom. Każdy potrafi zajmować się magią, poza większością ludzi, a to z powodu Adeptów. - Adeptów?

- Mają taki status jak Główne Ogiery albo Przywódcy Stada Wilków, tylko że reglamentują nie samice, lecz magię. Każdy Adept zajmuje się specjalnym rodzajem magii i jest w niej mistrzem. Mówiłem, że jednorożce są odporne na obcą magię, ale Adepci to zupełnie inna kwestia. Jeśli poluje na ciebie Adept...

- Rozumiem. Jak mogę się przed nim bronić?

- Możesz się ukryć, ale i tak Adept znajdzie cię prędzej czy później. Mają zaklęcia, amulety i szpiegów rozmieszczonych w całym królestwie Phaze. Władza Adeptów jest prawie nieograniczona. Prawdę mówiąc, nic ich nie ogranicza oprócz Wyrocni.

- Wróżki?

- To coś więcej. W świątyni Wyrocni nie ma magii i nikt nie podlega żadnym przymusom. To święty teren. Założę się, że Neysa cię tam prowadzi. No i to by było na tyle. Muszę lecieć.

Zamigotał, wrócił do postaci jednorożca i pogalopował do stada, grając marsza rogiem i kopytami.

Stile chciał dowiedzieć się więcej na temat Adeptów i Wyrocni. Może Neysa mu coś powie, jeśli ją ładnie poprosi? I tak Clip pomógł mu wiele.

Kierowali się znów na wschód, grając w duecie, ciesząc się podróżą. Stile zrozumiał, że muzyka jednorożców miała jeszcze jeden cel: obwieszczała przyjaciołom i wrogom ich obecność. Jednorożce to zwierzęta groźne, większość stworzeń woli ich unikać, więc dźwięk rogu oczyszczał im drogę. Stile widział króliki, zółwie i pancernika, ale żadnych drapieżników. Krótko mówiąc, pokazywały się tylko stworzenia, które nie rywalizują z jednorożcami:

Teren był bardzo zróżnicowany, bujne łąki ustępowały skalistym zboczom, bagnetom, wodom i piaskom. Na północy i południu ciągnęły się dwa łańcuchy górskie. Ośnieżone szczyty na północy były niedostępne dla stworzeń słabszych i mniej wytrzymałych od jednorożców; te na południu wydawały się cieplejsze. Coś w tym dzikim krajobrazie zastanawiało go, wydawało mu się znajome, ale Stile nie wiedział co i dlaczego.

Wieczorem Neysa zatrzymała się na popas. Stile też poszukał sobie czegoś do jedzenia. Znalazł dojrzałe zboże i jeżyny. Zawsze myślał, że zboże dojrzewa jesienią, a jeżyny wiosną, ale może ten świat miał inne pory dojrzewania? Pod kopułami Protonu wszystko mogło rosnąć w dowolnym momencie. Mimo to, łatwość z jaką zdobywał tu pożywienie była podejrzana. Chyba, że Neysa zna to miejsce i specjalnie tu przybiegła? Tak, ona po prostu doskonale o niego dba.

Nocą, gdy tylko wzeszły księżycy, znów zmieniła postać. Stile miał nadzieję, że pokaże się mu także jako świetlik, ale ona od razu stała się dziewczyną.

- Wiesz, Neyso, jesteś jedną z najładniejszych kobiet, jakie znam, ale jeszcze bardziej podobasz mi się w swojej naturalnej postaci.

Uśmiechnęła się zadowolona i pocałowała go. Lubiała; gdy podziwiał ją w postaci jednorożca. Całe życie była napiętnowana ze względu na swój niewłaściwy kolor i zachwyty Stile'a najwyraźniej jej pochlebiał. Niewątpliwie dlatego właśnie od razu go zaakceptowała. A on rzeczywiście oczarowany był nią w jej naturalnej postaci i to prawdopodobnie jako pierwsza nie spokrewniona z nią istota. Mimo że z nim walczyła, w głębi

duszy nie chciała go zabić.

- Wyrocznia - zaczął, ale ona znów zaczęła go całować. Nie chce mówić? No, trudno. Ach, ten upór jednorożców!

Ma za to inne zalety. Teraz on zaczął ją całować. Następnego ranka udzieliła mu kilku wskazówek, dotyczących posługiwania się rapierem. Ze względu na Grę, Stile umiał walczyć białą bronią, ale przypadek sprawił, że trenował szermierkę pałaszem, a nie rapierem. Ta lekka, cienka broń była mu obca, ale jeśli właśnie takiej używa się w tym świecie, to im szybciej ją opanuje, tym lepiej.

Neysa była mistrzynią w walce z przeciwnikiem uzbrojonym w rapier. Wcześniej Stile przypuszczał, że jednorożce wolą, żeby broń nie zbliżała się za blisko do okolic oczu, uszu i nosa. Mylił się jednak; ale bliskość narządów percepcji pozwalała na znakomitą ich koordynację przy posługiwaniu się rogiem. Stile szybko odkrył, że może wykonywać pchnięcia, nie obawiając się o nią. Nie był w stanie jej trafić. A nawet gdyby to nastąpiło, to w co wceluje? W twardą kość czołową, na której opierał się róg? Potrzeba znacznie większej siły niż ta, jaką dysponuje człowiek, żeby przebić się przez taką barierę.

Raczej musiał uważać na siebie. Neysie łatwiej było odparować ciosy, niż je zadawać, bo nawet najmniejszy ruch głową przesunął czubek rogu o kilka centymetrów. Aby jednak wykonać pchnięcie do przodu, musiała zrobić ruch całym ciałem. Tak więc była lepiej przystosowana do obrony przeciwko szarżującemu wrogowi. Mogła albo pozwolić mu się

nadziać na nieruchomy róg, albo odbić jego broń. Zmuszony do ataku Stile za każdym razem tracił broń, a róg kierował się natychmiast w stronę jego nieosłoniętego torsu. Mogłaby wtedy zaatakować. Jak ma dorównać prędkości i sile jej rogu?

Stile był pojętnym uczniem. Szybko zaprzestał prób stosowania siły przeciwko sile. Zamiast tego wykorzystał umiejętności, jakich nabył ćwicząc z pałaszem i sile przeciwstawił podstęp. Wkrótce Neysa nie była w stanie rozbroić go za każdym razem, a on czasami sięgał rapierem do jej długiej, delikatnej szyi. W prawdziwej walce nie miał szans na zwycięstwo, ale pomału zmniejszał jej miażdżącą przewagę.

Czuł jednak coraz większe zmęczenie. Bolało go gardło i oczy. Miał rozpaloną twarz i drżał na całym ciele. W pewnej chwili prawie upadł na jej róg.

- Wroga magia! - wydyszał. - Słabnę...

Stracił przytomność.

Rozdział 9

PROMOCJA

Śnił, a w snach wracały wspomnienia.

Kierownik kursów obronnych spoglądał na niego z góry. - Jesteś pewien, chłopcze, że chcesz trenować szermierkę? Dla niektórych biała broń bywa za ciężka - dodał lekceważąco.

Oczywiście, miał na myśli ludzi o wzroście Stile'a. Stile poczuł przyływ gniewu, bezsilnej złości, wywołanej tą uwagą. Ogarnęła go determinacja, by dowieść wszystkim, że nie jest taki słaby, za jakiego go uważają, a przede wszystkim dowieść tego samemu sobie.

- Umiejętność posługiwania się białą bronią jest mi potrzebna. Gram - odrzekł spokojnie.

- Ach, gracz.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie.

- Możliwe, że cię już widziałem. Jak się nazywasz? - Stile.

Przez chwilę łudził się, że Gra przyniosła mu choć trochę rekompensującej wszystko sławy, ale mężczyzna pokręcił głową:

- Nie, to musiał być ktoś inny. Może jakiś dziecięcy gwiazdor'?

No tak, Stile przypominał temu gburowi dziecko. Kierownik kursów nawet nie pomyślał, że takie porównanie dla dorosłego mężczyzny jest przykre. Mimo wszystko jakakolwiek reakcja, jawna lub ukryta nie miała sensu. Dlaczego zresztą nie miałby ignorować takich uwag? Był dobrym graczem, ale przecież nie aż tak dobrym, żeby być osobą powszechnie znaną. Jeszcze nie. Miał sporo niedociągnięć wymagających intensywnej pracy, a szermierka była jednym z nich.

- Możliwe, że niedługo mnie pan zobaczy... z białą bronią.

Kierownik uśmiechnął się pobłaźliwie.

- To twoje prawo. Jaka broń cię interesuje?

- Rapier. Sprawdzono listę.

- Wszystkie miejsca są już zajęte. Mogę cię wpisać na listę rezerwową, na przyszły miesiąc.

Stile zawsze podziwiał finezję potrzebną w posługiwaniu się rapierem i czuł, że dobrze by sobie z nim radził. Poczuł się teraz bardzo rozczarowany, ale nie dawał za wygraną.

- Mam czas tylko teraz - oświadczył.

- Wolne miejsca są tylko w klasie pałasha. Wątpię, by ci to odpowiadało - usłyszał w odpowiedzi.

Stile też miał wątpliwości. Ale nie podobał mu się sposób, w jaki kierownik z nim rozmawiał. Nie musiał traktować jego uwag z pokorą.

- Zgadzam się na pałasz -- odrzekł.

Każdy niewolnik mógł uczestniczyć w dowolnym kursie, pod warunkiem, że był zatrudniony, a nauka nie kolidowała z obowiązkami. Wybór należał wyłącznie do niego.

- Nie wiem, czy mamy trenera o odpowiednim dla ciebie wzroście - zastrzegł kierownik.

- Czy nie powinniście mieć pełnego asortymentu robotów?

Kierownik sprawdził. Wyraźnie starał się zniechęcić Stile'a do podjęcia - jego zdaniem - zbędnego wysiłku. Gdyby umieścił niewolnika w niewłaściwej grupie i doszłoby do kontuzji, mógłby otrzymać naganę.

- Cóż, mamy jednego, ale... - Biorę - zdecydował Stile.

Ten gbur nie może mu przeszkodzić.

Kierownik wrzucił ramionami, uśmiechając się nadal, ale już nie tak protekcyjnie.

- Pokój 21.

Zaskoczyło to Stile'a. Tyle właśnie miał lat: dwadzieścia jeden i już od roku był stajennym. Oczywiście przypadek. Podziękował zdawkowo i poszedł do sali.

- Dobry wieczór, pani - odezwała się instruktorka, budząc się do życia. - Proszę pozwolić założyć sobie ochraniacz zapobiegający nieszczęśliwym wypadkom - powiedziała i wyciągnęła w kierunku Stile'a wzmocniony pas.

Był to żeński robot, zaprogramowany do trenowania kobiet. Tak więc rozwiązano problem jego wzrostu? Stile wyobraził sobie, jakiej satysfakcji dostarczyłby kierownikowi, gdyby teraz zrezygnował z kursu. Zaciśnął zęby.

- Nie potrzebuję ochraniacza. Jestem mężczyzną. Jakie istotne wydało mu się to stwierdzenie. Gdyby tak inni ludzie nie lekceważyli tego faktu. Nie był przecież ani dzieckiem, ani karłem, lecz mężczyzną.

Robot zawahał się. Miał twarz i figurę młodej dziewczyny, ale nie należał do najnowszych modeli. Nie był zaprogramowany na podobne sytuacje.

- Proszę pani, to jest konieczne... Dyskusja z robotem nie miała sensu. - Dobrze.

Stile wziął ochraniacz i zawiązał wokół bioder. W ten sposób chronił choć trochę najcenniejsze dla mężczyzny miejsca.

Robot uśmiechnął się.

- Bardzo dobrze, proszę pani. Oto broń - rzekł i otworzył schowek.

Wydawało mu się nieco dziwne, że instruktorka uczy go szermierki, ale przecież kobiety też startują w Grze, w której nie przewidziano żadnych ulg z tytułu wieku, wzrostu, doświadczenia czy płci i nie każda kobieta gotowa była poddać się, gdy wylosowała szermierkę. Niektóre, podobnie jak on, kierowały się zasadą, że można przegrać, ale tylko w walce. Osoby o takim nastawieniu psychicznym, często ku swojemu zdumieniu, wychodziły z walk zwycięsko.

Trenerka była dobrze zaprogramowana. Udzieliła mu wyczerpujących instrukcji, niczego nie pozostawiając domysłom. Omówiła postawę, ruchy, strategię, wyrabiając giętkość ćwiczenia domowe, środki ostrożności. Zaprezentowała urządzenia liczące punkty i wyjaśniła zasady oceny. Była to wiedza elementarna, ale konieczna. Kursy na Protonie należały do najlepiej zorganizowanych w całej galaktyce.

Stile odkrył, że pałasz też posiada swoje specyficzne zalety i możliwości. Obok szpica miał dwa ostrza, co czyniło go bardziej uniwersalnym narzędziem walki. Wcale też nie był ciężki; nowe stopy i metale z molekularnej pianki powodowały, że klinga była ostra i lekka. Szybko uświadomił sobie, jak bardzo ta broń może mu się przydać w Grze. Większość przeciwników spodziewać się będzie, że Stile wybierze rapier i postara się temu zapobiec. Od takich sytuacji często zależały wyniki Gry.

Następnego ranka, jak zwykle, zameldował się w stajni. - Stile, sprowadziliśmy z sąsiedniej farmy mechaniczną trenerkę - powiedział nadzorca. - Nazywa się Roberta. Idź do bramy i przyprowadź ją - polecił, uśmiechając się pod nosem.

Stile odszedł bez słowa. Został wyróżniony; ma powitać nowego trenera. Roberta była niewątpliwie bardzo ważną maszyną.

Kiedy zjawił się przy bramie, już tam była. Siedziała na grzbiecie pięknej, gniadej klaczy, mającej około szesnastu dłoni wysokości, stojącej spokojnie w cieniu eukaliptusa. Odźwierny wskazał na nią, z trudem skrywając głupawy uśmiezek.

Co mogło być śmiesznego w robocie? Zaniepokojony Stile przypomniał sobie kierownika kursu, który wiedział, że instruktor jest rodzaju żeńskiego.

Ta maszyna nie wyglądała na nic specjalnego. Miała długie, jasne włosy i doskonałą figurę. To było normalne, skoro robotom można było nadawać dowolne kształty. Jak na instruktorkę wydawała się mała, wyraźnie mniejsza od nauczycielki fechtunku. Była jeźdźcem, to oczywiste, ale czy także dżokejem? Czy przyjechała, by przygotować najbardziej obiecujące konie do wyścigów? Żaden robot nie mógł startować w wyścigach - tak głosiło prawo, ale też nikt nie miał tyle cierpliwości, co zaprogramowana maszyna i z

tego względu używano ich do treningów.

- Chodź za mną, Roberto - polecił Stile i poszedł wzdłuż drogi.

Robot stał jednak w miejscu. Stile odwrócił się lekko poirytowany.

- Roberto, chodź ze mną, jeśli chcesz - powtórzył uprzejmie.

Biorąc pod uwagę, że roboty nie miały wolnej woli, miało to lekki posmak ironii.

Spojrzała tylko z uśmiechem.

Och, nie. Czyżby była prymitywnym modelem, nie zaprogramowanym na polecenia ustne? Wiedział jednak, że każdy człekopodobny robot reaguje na swoje imię.

- Roberto! - powiedział rozkazująco.

Klacz zastrzygła uszami. Dziewczyna roześmiała się.

- Ona reaguje tylko na właściwe polecenia - powiedziała.

Wzrok Stile'a przesunął się po dziewczynie i klaczy. Rumieniec zalał mu twarz.

- To koń... - wymamrotał.

- Roberto, przywitaj się z tym czerwonym młodzieńcem - poleciła dziewczyna, dotykając pejcem głowy konia. Klacz zarżała.

- Mechaniczny koń i żywa dziewczyna - powtórzył zdumiony Stile.

- Jesteś niezwykle inteligentny --- zauważyła wesoło. - Jak masz na imię ?

- Ee... Stile - wyjąkał.

Że też właśnie jego musiało to spotkać!

- No cóż, Eestile, jeśli raczysz dosiąść Roberty, to możesz ją poprowadzić - zaproponowała dziewczyna.

Jego zażenowanie przerodziło się we wstyd.

- Jestem stajennym. Nie umiem jeździć konno - wyznał. Dziewczyna lekko zeskoczyła na ziemię. Ku jego zdziwieniu była trochę od niego niższa. Emanowała z niej pewność siebie, charakterystyczna dla wyższych osób. choć wzrost nie miał dla kobiet takiego znaczenia.

- Jesteś przecież dżokejem, Eestile, tak jak i ja. Nie próbuj mnie oszukać.

- Nazywam się Stile, nie ee - wtrącił.

- Stile Niecee? Co za dziwne przezwisko! - Po prostu Stile. A ty ?

- Tune. Teraz, kiedy uprzejmościom stało się zadość, wskakuj na robota.

- Nic nie rozumiesz. Stajenni tylko opiekują się końmi, nie jeżdżą na nich.

- To nie jest koń, lecz robot. A zresztą, czy słyszał ktoś o dżokeju, który nie umie jeździć na koniu'?

- Mówiłem ci przecież, że nie... Nagle go olśniło.

- To dlatego wybrano właśnie mnie! Bo jestem niski! Pracodawca chciał mieć potencjalnego dżokeja! - stwierdził odkrywczco.

- Twoja inteligencja jest wprost wstrząsająca - zakpiła.

- Czy... czy sądzisz...

-- To oczywiste. Niewolnik twojego wzrostu nie jest do niczego innego przydatny. Twój pracodawca kazał ci zaczynać od samego dołu, co? Od przerzucania gnoju?

- Od przerzucania gnoju - przyznał Stile, czując wyraźną ulgę.

Tune też była niska, nie nabijała się z niego, po prostu drażniła go trochę dla zabawy.

- I znalazłem robaka - dodał.

- Robaka? - Tune szeroko otworzyła oczy. - 'To był pasożyt. W końskim nawozie.

- Musiał być okropny.

- Już od roku pracuję w stajni i nic nie wiem o jeździe konnej.

- Cha, cha - zachichotała. - Obserwowałeś przecież każdy ruch jeźdźców - stwierdziła Tune. - Coś o tym

wiem. Sama tak zaczynałam. Nie miałam tyle szczęścia, by znaleźć robaka. Musiałam powoli wspinać się do góry. Teraz startuję w wyścigach. Nieczęsto wygrywam, ale zdarza się. Obecnie wypożyczono mnie, jako instruktorkę dla tych, co pójną moim śladem. Chodź, pokażę ci, jak się jeździ konno.

Stile zawahał się.

- Nie sądzę, żebym mógł...

- Co za gapa! - wykrzyknęła Tune. - Czy mam cię prowadzić za rączkę? Wskakuj za mnie. Robercie i tak wszystko jedno.

- To nie chodzi o konia, ale o reguły wprowadzone przez mojego pracodawcę. Trzymaj się ich bardzo ostro i...

- Zabronił ci przejażdżki na robocie? - Nie, ale...

- A co powie, jeśli wcale nie zaprowadzisz jej do stajni?

Nie miał wyboru.

- To może podsadzę cię i mi pomożesz? - zaproponował.

Tune wzruszyła ramionami.

- Spróbuj.

Stile podszedł, by unieść dziewczynę. Tune odpowiedziała na to niespodziewanym, namiętnym pocałunkiem. Odskoczył jak oparzony. Przysunęła się i przyjrzała mu się dokładnie z odległości dziesięciu centymetrów.

- Wystarczy ci? Zresztą i tak nie mógłbyś zaprowadzić Roberty do stajni, jest

zaprogramowana tylko do jazdy.

Stile poddał się.

- Zrobimy to po twojemu. Ale jeśli stracę pracę, ty będziesz winna.

- Wiedziałam, że przejrysz na oczy! - oznajmiła Tune, bardzo z siebie zadowolona.

Wsunęła nogę w strzemień i wskoczyła na konia. Potem oswobodziła strzemień.

- Użyj go. Przytrzymaj się mnie. Podnieś lewą nogę. Za pierwszym razem wydaje się to strasznie wysoko. Rzeczywiście tak było. Musiał zadrzeć nogę powyżej pasa, by dosięgnąć stopą do strzemienia. Często widział jeźdźców lekko wskakujących na konie, ale samo oglądanie nie wystarcza, żeby umieć. Do tego jeszcze przeszkadzała mu Tune; obawiał się, że skacząc uderzy głową w jej lewą pierś.

Tune śmiejąc się, wyciągnęła lewą rękę i złapała go pod pachą. Gdy podskoczył, podciągnęła go i znalazł się na grzbiecie robota, tak jak przewidział - uderzając głową o jej pierś.

- Przerzuc ją na drugą stronę, nad koniem -- poleciała Tune.

Widząc, jak zastygł w oszołomieniu, dodała: - Mam na myśli twoją prawą nogę, niezdaro.

Stile poczuł, że rumieniec oblał go aż po obojczyki. Przerzucił niezdarnie nogę. Kopnął przy tym konia, ale udało mu się w końcu usadowić za dziewczyną. W tej sytuacji nikt nie rozpoznałby w nim sprawnego gimnastyka.

Twój skok powinien zostać uwieczniony w księdze rekordów - oznajmiła Tune. - Masz tak gorącą twarz, że prawie oparzyłeś mi... skórę.

Stile nie widział jej twarzy, ale czuł, że uśmiecha się wesoło. - A teraz obejmij mnie mocno w pasie, żebyś nie spadł. Twój pracodawca mógłby się trochę zaniepokoić, gdybyś zleciał i uszkodził sobie głowę. Tak trudno jest znaleźć dobrego chłopca do gnoju. Jeszcze sobie pomyśli, że Roberta jest zbyt żwawa dla ciebie.

Oszołomiony Stile wyciągnął ręce i splótł palce na jej płaskim, twardym brzuchu. Włosy Tune dotykały jego twarzy; pachniały czystością i sianem.

Tune lekko poruszyła nogami i robot ruszył. Stile poczuł niespodziewaną radość. Przypominało mu to żeglowanie po lekko wzburzonym morzu; miniaturowym morzu ze sztucznymi falami, stanowiącym część urządzeń przeznaczonych do Gry. Ciało Tune poruszało się zręcznie i umiejętnie. Jechali ścieżką ku stajni.

- Widziałam cię w Grze - powiedziała. - Jesteś niezły, ale jeszcze ci trochę brakuje.

- Wczoraj zapisałem się na lekcje fechtunku - oznajmił Stile, zadowolony z pochlebstwa.

- A co ze sztukami pięknymi?

Nie czekając na odpowiedź, Tune odwróciła pejcz, przyłożyła go do ust i zagrała miłą, prostą melodię. Przedmiot najwyraźniej był zamaskowaną piszczałką, albo fletem, a może ukryty był w nim odtwarzacz!'

Stile był zachwycony:

- To najpiękniejsza melodia, jaką dotąd słyszałem! --stwierdził, gdy skończyła grać. - Kto jednak kieruje koniem? -- Do tego nie są potrzebne wodze. Jeszcze tego nie wiesz ? Aby jechać konno nie potrzebujesz nawet siodła, zwłaszcza wtedy, gdy umiesz to robić. Ważne są nogi i rozłożenie ciężaru. Patrz!

Roberta skręciła w lewo i zatoczyła pełne koło.

- Co zrobiłaś? - spytał Stile. - Niczego nie zauważyłem.

- Połóż rękę na mojej lewej nodze. No, zrób to. Chcę, żebyś poczuł napięcie mięśni. Zobacz, kiedy naciskam z tej strony, Roberta skręca w prawo. Kiedy przenoszę ciężar do tyłu, zatrzymuje się.

Tune odchyliła się w stronę Stile'a i koń stanął.

- Pochyłam się do przodu, tak że prawie tego nie widać, ale koń to czuje... O, w ten sposób.

Napięła mięśnie pośladków i koń ruszył. - Czułeś to?

- Jesteś fantastyczna - oznajmił Stile.

- Mówiłam o kierowaniu koniem. O sobie wiem wszystko.

- Ach tak.

- Roberta reaguje tylko na prawidłowe sygnały; nie ma żadnych nawyków, jakie miewają prawdziwe konie. Z nią musisz postępować według ściśle określonych zasad i dlatego jest bardzo pomocna w nauce poprawnej jazdy. Pamiętasz, jak zignorowała cię, gdy stałeś na ziemi? Reaguje tylko na jeźdźca.

- Ona też jest fantastyczna.

- To prawda! Ale ja..., ja mam dwie małe, miłe wady. Stile bardzo się nimi zainteresował.

- A jakie?

- Trochę kłamię.

Czy miało to znaczyć, że nie powinien wierzyć jej we wszystko?

- A co z drugą wadą?

- Uwierzyłeś, że mam i drugą? Tu go miała! Skoro kłamię...

Tune znowu zaczęła grać. Wyjaśniła mu, że ten instrument to harmonijka z ukrytą

klawiaturą; z jednego końca dmuchało się w nią, a w zasięgu palców znajdowała się skala dwóch i pół oktawy. Imię dziewczyny było dobrze dobrane; jej gra była cudowna. Miała całkowicie rację; powinien zająć się muzyką.

Tune z Robertą zaczęła trenować nowych jeźdźców. Stile wrócił do zwykłych obowiązków. Myślami jednak był gdzie indziej. Tune była pierwszą niższą od niego, naprawdę interesującą dziewczyną. Taka drobna sprawa, wzrost, a jakże ważna.

Tego dnia Stile trenował konie na lonży. Polegało to na przywiązaniu konia do sztywnej liny umocowanej do urządzenia obrotowego, co uniemożliwiała zwierzęciu zbaczanie z kursu i zmuszało go do kłusowania wkoło. Było to świetne ćwiczenie, choć dla zwierzęcia nudne. Niektóre kunie miały zbyt wiele temperamentu, by poddawać się mechanizmowi i Stile musiał sam je prowadzić. Przywiązywał wtedy linę do sztucznego drzewa i trzymając ją w ręku, zachęcał konia do biegu.

Stile, mimo niskiego wzrostu, radził sobie dobrze. Słuchały go nawet te konie, które opierały się pozostałym stajennym. To, niestety, oznaczało, że musiał zajmować się najbardziej upartymi. Żaden nie sprawiał kłopotów, gdy karmiono go, czy prowadzono na pastwisko, lecz kilka z nich robiło trudności, gdy dochodziło do bardziej uciążliwych zajęć.

Pierwszym koniem, którego tego dnia prowadził na lonży, był Duszek, najtrudniejszy ze wszystkich. Duszek był czarny jak noc, co zapewne miało wpływ przy nadawaniu mu imienia. Łatwo się płoszył, co jeszcze bardziej usprawiedliwiała jego przydomek. W biegu dorównywał najlepszym, ale trzeba było nieustannie pracować nad jego kondycją.

- Chodź, Duszku -- łagodnie zachęcał go Stile. Nie chcesz przecież sflaczeć i utracić siły? Jak byś się czuł, gdyby jakaś płaskostopa klacz pobiła cię w biegu? Wiesz przecież, że musisz ćwiczyć!

Duszek nawet nie chciał słuchać. Marzył o karierze polegającej na pasieniu się i zapładnianiu klaczy; w jego planach nie było miejsca na ćwiczenia. Dysponował całym arsenałem sztuczek, mających na celu odwlec to, co nieuniknione. Kiedy Stile podszedł, Duszek wycofał się do najdalszego końca boksu, a kiedy zauważył, że nie ma odwrotu, spróbował wyskoczyć. Ale Stile, zawsze czujny, zastąpił mu drogę i złapał za uzdę. Musiał wysoko sięgnąć, bo Duszek, nawet nie unosząc głowy, spoglądał na niego z wysoka. Oczywiście, gdyby chciał, mógłby stratować stajennego, ale nie należał do złośliwych, a nawet lubił powtarzającą się okresowo zabawę.

Spróbował złapać Stile'a zębami za rękę.

- Nie! - ostro zaprotestował Stile i zrobił drugą ręką taki gest, jakby chciał uderzyć w szamoczący się pysk konia. Duszek zrezygnował. Akcja i reakcja, bez użycia siły. Był to

najskuteczniejszy sposób porozumiewania się z końmi, które potrafią być niekiedy bardzo pomysłowe w przekazywaniu własnego zdania.

Przeszli kilka kroków i Duszek nagle zatrzymał się jak wryty. Był oczywiście zbyt ciężki, by nawet potężny mężczyzna siłą ruszył go z miejsca, lecz Stile lekko uderzył go po zadzie wolnym końcem linki, nakłaniając do ruchu. Płochliwemu koniowi trudno w takiej sytuacji długo ustać w miejscu.

Duszek ruszył, próbując przy okazji zepchnąć Stile'a ze ścieżki i przygnieść do ściany, lecz ten mocno chwycił konia za łeb. Kontrolujesz głowę, kontrolujesz ciało - nauczył się tej zasady, trenując sztuki wojenne i wygrywając, nawet wtedy, gdy przeciwnik znacznie więcej od niego ważył. Kiedy Stile stosował swoją taktykę, duża masa ciała przeciwnika nie miała większego znaczenia. Niewiele stworzeń mogło poradzić sobie, nie używając głowy.

Duszek spróbował unieść łeb wysoko, poza zasięg rąk Stile'a. Mężczyzna trzymał go jednak uparcie. Po chwili ciężar trenera okazał się zbyt wielki i zwierzę opuściło głowę. Inni stajenni używali specjalnego martyngału, zmuszającego konia, by trzymał głowę nisko, ale to często rozdrażniało zwierzę. Stile wolał łagodniejsze sposoby.

Wreszcie doprowadził Duszka do urządzenia obrotowego. - Idź - polecił, wymachując w powietrzu batem. Koń westchnął, popatrzył na niego i zdecydował się choć raz zrobić mu przyjemność. Ruszył. Każdy koń ma niepowtarzalną osobowość.

- Duszku, przynosisz więcej kłopotów, niż zaszczurzona stajnia, ale cię lubię - powiedział spokojnie Stile. - Załatwmy to sprawnie. Popracuj porządnie, a ja cię potem dobrze wytrę i zaprowadzę na pastwisko. Jak ci się to podoba?

Duszek zerknął na niego, a potem skierował nos w stronę pastwiska. Końskie nosy, podobnie jak i uszy, bywają pełne ekspresji.

- Najpierw pobiegaj - nalegał Stile.

Duszek oblizał wargi i przeżuł w myślach jakiś smakołyk. - Dobra - roześmiał się Stile. - Marchewka i nacieranie. To moje ostatnie słowo. A teraz kłusuj! Kłusuj!

Koń pobiegł. Każdy wierzchowiec wygląda dobrze w kłusie, lecz Duszek prezentował się lepiej, niż inne. Jego błyszcząca, czarna sierść wprost lśniła, a do tego miał zwyczaj podnosić wysoko kopyta, akcentując w ten sposób precyzję ruchów. Trening był sukcesem.

Stile zatopił się w myślach. Czy ta dziewczyna - Tune - nie pomyliła się co do jego losu? Wyścigi konne były obwarowane surowymi przepisami. Konie musiały być naturalne i to samo dotyczyło jeźdźców. Im mniejszy ciężar niósł na grzbiecie koń, tym szybciej mógł biec; przepisy nie określały ciężaru jeźdźcy, a więc, ktoś taki, jak on... tak, to miało sens, z punktu widzenia Obywatela. Obywatele nie dbali o wygodę czy uczucia niewolników, lecz o

swoje korzyści. Predyspozycje do gry, jakimi się odznaczał, jego inteligencja i łatwość uczenia się nie miały większego znaczenia. Był drobny, zdrowy i miał dobrą koordynację ruchową, więc musiał być dżokejem. Gdyby miał trzy metry wzrostu, zostałby skierowany do drużyny koszykarskiej. Nie musiało mu się to podobać, miał pracować tam, gdzie go zatrudniono lub opuścić na zawsze planetę. Taka była zasada tego systemu.

A zresztą, czy wyścigi były takie złe? Tune chyba je lubiła. Siedzieć na grzbiecie konia, takiego jak Duszek, prowadzić go do zwycięstwa, zostawiając za sobą całą stawkę koni, słyszeć oklaski tłumu...

Stile lubił konie, nawet bardzo. Może więc Obywatel wyświadczał mu przysługę, czyniąc z jego niskiego wzrostu atut? Taki prostak, jakim był stajenny Bourbon, mógł w przyszłości zostać jeźdźcem, ale nigdy dżokejem. Tylko ktoś niski miał szansę. Przeważnie były to kobiety, takie jak Tune, gdyż częściej charakteryzowały się niskim wzrostem i łagodnym usposobieniem. Wśród mężczyzn Stile stanowił wyjątek. Po raz pierwszy był prawie zadowolony z tego powodu.

A sama Tune? Co to za kobieta! Będzie musiał poważnie zająć się muzyką. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że zwykły niewolnik może tworzyć takie piękno. Ojej..., ale co to był za instrument? Harmonijka. To jej muzyczne solo było po prostu porywające. Tak, będzie musiał spróbować szczęścia w muzyce. To mogło spodobać się Tune, a bardzo chciał zwrócić na siebie jej uwagę.

Tune oczywiście mogła przebierać w mężczyznach. Miała piękną figurę, dowcip i pewność siebie. Jeśli chciała, mogła zdobyć nawet olbrzyma. Stile nie mógł przebierać w kobietach; musiał mieć dziewczynę niższą od siebie. Tak było przyjęte w społeczeństwie. Gdyby pojawił się pomiędzy niewol

nikami z dziewczyną wyższą, wyśmiano by ich. Tak więc dla Tune on był jednym z wielu; natomiast ona była dla niego jedyną możliwością.

Problem leżał w tym, że teraz, gdy zrozumiał jak mu na niej zależy, opanowała go nieśmiałość, powodująca, że bezpośrednie kontakty było utrudnione.

- Z drogi, kurduplu!

Był to stajenny Bourbon, największa przeszkoda w życiu Stile'a. Bourbon był mistrzem we wciąganiu Stile'a w tarapaty i wydawało się, że powodem tych prześladowań był jego wzrost. Teraz, gdy Stile uświadomił sobie szansę zostania dżokejem, niechęć ze strony wysokiego Bourbona nabrała innego znaczenia. Bourbon lubił rywalizować, zwyciężać, zaś w wyścigach konnych właśnie okazały wzrost był przeszkodą w osiągnięciu sukcesów. Akurat prowadził ogiera w białe i czarne cętki.

- Miejsce dla konia i mężczyzny!

Krzyk spłoszył Duszka. Skoczył do przodu. Linka, do której był uwiązany, szarpnęła go w bok. Koń upadł. Linka pękła, bo tak zresztą była zaprojektowana; zaplątany koń mógłby się zranić.

Pepper, idąc za jego przykładem, też się spłoszył. Kwicząc uderzył o ścianę. Prawdziwe, importowane drewno pękło; na ziemię spadły kropelki krwi.

Stile dobiegł do Duszka.

- Spokojnie, Duszek, spokojnie! Wszystko w porządku! Spokój! Spokój!

Kiedy koń wstał, Stile zarzucił mu ręce na szyję, próbując uspokoić go dotykiem własnego ciała.

Bourbon szarpnął Peppera za głowę, klnąc przy tym.

- Zobacz, co zrobiłeś, pigmeju. Spośród wszystkich kurdupłowatych, przygłupiastych karłów...

Stile opanował się. Bójka mogła zwrócić czyjąś uwagę na wypadek i obaj wpadliby w tarapaty. Bourbon, wciąż pomrukując na temat nieudolności kurdupli, odprowadził swojego konia, a Stile zajął się uspokajaniem Duszka.

Na tym się jednak nie skończyło. Stile kipiał z gniewu, słysząc obelgi i widząc obrażenia Duszka. Dobrze wiedział, że Bourbon jest wszystkiemu winien. Błyszcząca szyja konia była drażnięta i zwierzę wyraźnie kulało na jedną nogę. Stile mógł spryskać zadrapanie sprayem i tak zaczesać grzywę, aby ukryć zranienie, dopóki się nie zagoi, ale noga to co innego. "Nie ma nogi, nie ma konia" - mówi stare przysłowie. Mogło to być tylko drobne stłuczenie, ale równie dobrze coś poważniejszego.

Nie chciał ryzykować. Noga musiała być zbadana. To oznaczało punkty ujemne dla Stile'a i mogło nawet o rok opóźnić jego awans, i to wtedy, kiedy tak wzrosły jego aspiracje. Przeklęty Bourbon! Gdyby nie krzyknął tak ostro przy koniu, o którym wszyscy wiedzieli, że jest płochliwy...

Bourbon zrobił to naumyślnie. Od trzech lat był stajennym i uważał, że już dawno należała mu się promocja. Odgrywał się na wszystkich, a Stile'a wprost nie cierpiał za to, że dobrze sobie radził ze zwierzętami.

Stile wiedział, dlaczego jego wróg został pominięty przy promocji. Nie chodziło tylko o wzrost. U zwykłych jeźdźców i trenerów nie miało to większego znaczenia. Bourbon był złośliwy w stosunku do koni. Drażnił je często i obchodził się z nimi brutalniej, niż to było konieczne. Gdyby to on trenował Duszka, użyłby martyngału i elektrycznego bata. Pozostali stajenni, bez patrzenia na wykaz dyżurów, z łatwością mogli powiedzieć, którymi

zwierzętami opiekował się Bourbon; konie jeszcze przez wiele dni były nerwowe i bały się ludzi.

Stile oczywiście mógłby donieść na Bourbona. Nie dysponował jednak żadnym dowodem, a poza tym było to sprzeczne z tradycjami niewolników. Z formalnego punktu widzenia Bourbon nic złego nie zrobił; koń Stile'a spłoszył się pierwszy. Powinien był bardziej uważać i skierować Duszka głową do intruza, tak by koń nie został zaskoczony. Była to, przynajmniej częściowo, wina Stile'a. Nauka nie przychodzi łatwo.

Nic mu innego nie pozostawało, jak tylko przełknąć tę gorzką pigułkę i zabrać Duszka do weterynarza.

Zaprowadził konia do przychodni.

- Trenowałem go na lonży, spłoszył się i upadł - tłumaczył Stile niezadarnie.

Lekarz wprawnie zbadał kontuzję.

- Wiesz, że muszę o tym zameldować. - Tak - potwierdził Stile.

Weterynarz był uczciwy i miał jak najlepsze intencje; robił to, co musiał.

- Konie nie płoszą się bez powodu, nawet ten. Co się stało"

- Zagapiłem się - stwierdził Stile.

Nie lubił półprawd, ale kodeks niewolników i przekonanie, że mógł lepiej uważać, nie pozwoliły mu na ujawnienie szczegółów zdarzenia. Jego pozycja na totemie nagle bardzo spadła.

Weterynarz zerknął na niego bystrymi oczami. - To niepodobne do ciebie, Stile.

- Myślałem o dziewczynie.

- Aha, nawet wiem, o której. Ale to cię będzie sporo kosztowało. Przykro mi.

Stile dobrze go rozumiał. Weterynarz gotów był do drobnych usług, ale nie kosztem pracodawcy.

Zjawił się nadzorca. Kiedy coś się działo, zawsze był w pobliżu. Na tym, między innymi, polegały jego obowiązki. Stile często zastanawiał się, skąd nadzorca dowiadywał się o różnych wydarzeniach, zanim go o nich poinformowano.

- Jakie szkody? - zapytał.

- Lekkie naciągnięcie nogi - zameldował weterynarz. - Wróci do zdrowia po kilku dniach. Otarcie skóry na szyi to nic poważnego.

Nadzorca spojrzął na Stile'a.

- Masz szczęście. Trzy punkty karne za niedbalstwo. Jesteś zawieszony na jeden dzień. Na drugi raz będziesz bardziej uważał.

Stile z ulgą przytaknął. - Tylko trzy punkty!

- Czy były jakieś dodatkowe okoliczności? - pytał go nadzorca.

- Nie.

Ujawnienie prawdy oczywiście zmniejszyłoby karę o połowę.

- Jesteś wolny. Masz jeden dzień dla siebie.

Stile wyszedł. Miał wolne, lecz nie był to urlop. Punkty karne odpracuje w ciągu trzech dni, podczas których będzie na samym dole totemu, ale zawieszenie w obowiązkach zostanie wpisane do akt, zmniejszając szanse na awans. W przypadku osób o podobnych kwalifikacjach, ta z wpisem była w gorszej sytuacji i często musiała czekać na okazję do rehabilitacji. Mogło to trwać zarówno jeden dzień, jak i dwa miesiące.

Stile rozpoczął swój wolny dzień od zapisania się na kurs muzyczny. Mimo że wykład był ciekawy, czuł się przygnębiony karą. Postanowił jednak, że po zdobyciu wstępnej wiedzy wybierze dla siebie odpowiedni instrument, na przykład harmonijkę.

Wieczorem odszukała go Tune.

- Już wszyscy w kopule mówią na ten temat - zawiadomiła go z radością. - Chcę, żebyś wiedział, że pochwalam twój postępek.

- Przecież jesteś kłamczuchą - odparł, zadowolony z pochwały.

- Mogłeś ukryć zranienie i uniknąć kary, jak Bourbon, ale pokazałeś, że dla ciebie koń ważniejszy jest od wpisu do akt.

Zamilkła, kładąc mu ręce na ramionach i patrząc prosto w twarz. Miała takie piękne oczy!

- Dla mnie konie są rzeczywiście najważniejsze Zgodził się.

Przyciągnęła go do siebie i pocałowała tak, że wywołany karą ból znikł nagle.

- Jesteś prawdziwym mężczyzną - dodała.

Te słowa sprawiły, że poczuł się niemal bohaterem.

Zabrała go do swojego własnego apartamentu; z luksusu osobnego mieszkania korzystali tylko najważniejsi niewolnicy.

Do rana zdążyła nauczyć go wielu rzeczy i nie wszystkie miały związek z muzyką czy końmi. Stile beznadziejnie się w niej zakochał. I już niczego nie żałował.

Kiedy następnego dnia wrócił do pracy o tej samej godzinie, o jakiej ją opuścił, stwierdził, że wysiedlono go z baraku. Zdumiony patrzył na miejsce, gdzie stała jego prycza.

- To prawda, że zawiniłem, ale...

- Nic nie wiesz? - zapytał go zdumiony współlokator. - Gdzie byłeś przez całą noc'?

Stile wolał nie wyjaśniać; wyśmiano by go. I tak się dowiedzą z poczty pantoflowej. Tune była ulubienicą niewolników nie tylko z powodu stanowiska i umiejętności.

- Zawieszono mnie. Starał się mówić spokojnie.

- Czy z Duszkim jest gorzej niż myślałem? Pogorszyło się mu'?

- Z nim wszystko w porządku. Przyjaciel wziął go pod ramię.

- Chodź, zaprowadzę cię pod tablicę ogłoszeń. Przestraszony Stile szedł za nim. Elektroniczna tablica, na której pojawiały się informacje na temat dodatkowych obowiązków, kar i inne nowości dnia, miała w rogu zapis: Stile - promocja na jeźdźca.

Stile odwrócił się gwałtownie. - Głupi dowcip!

Nadszedł właśnie nadzorca.

- To nie dowcip, Stile. Będziesz dzielił mieszkanie z Turfem. Zapoznaj się z nim, a potem idź do stajni robotów po instrukcje.

Stile patrzył na niego z niedowierzaniem. - Przecież przewiniłem.

Nadzorca, jak zawsze, oddalił się bez słowa. Nigdy nie dyskutował o karach i awansach.

Turf cierpliwie czekał, by mu pokazać mieszkanie. Był to ładny, dwupokojowy apartament w pobliżu toru wyścigowego, z ciepłą bieżącą wodą, ekranem pokazującym przebieg Gry i bezpośrednim przejściem do głównej kopuły. Lokal zapewniał więcej przestrzeni i prywatności, wyższy status. Była to równie duża zmiana, jak po przejściu z pastwiska do stajni. Sądził jednak, że to jakaś pomyłka, choć nie słyszał, by nadzorca kiedykolwiek się mylił.

- Nie ma co, szybko awansowałeś! - stwierdził Turf. Turf był w porządku; Stile go już znał. Opiekował się jego końmi i zdążył go polubić.

- Jak ci się to udało?

- Nie mam pojęcia. Wczoraj zawieszono mnie w pracy za kontuzję Duszka. Może nasz pracodawca pomylił listę awansów i zwolnień?

Turf roześmiał się.

- Może? Wiesz, kto będzie uczył cię jeździć? - Tune! To ona to zorganizowała!

- Już się zaprzyjaźniliście? Ty to masz szczęście!

Podniecony Stile pobiegł do stajni Roberty. Oczywiście była już tam Tune; uśmiechnięta, szczotkowała gniadą klacz.

- Dawno się nie widzieliśmy - zażartowała.

Była taka piękna! Mógłby spędzić z nią jeszcze tysiąc nocy i nie miałby dosyć.

- Tune, czy to ty załatwiłaś mi awans? - zapytał rozgorączkowany.

- No cóż, chyba nie sądzisz, że dżokejka mogłaby mieć romans ze stajennym? - zażartowała.

- Ale przecież wpadłem w tarapaty! Zawieszono mnie. Tylu było przede mną. Nie mogłaś...

Położyła swoją drobną, delikatną dłoń na jego rękę.

- Nic nie zrobiłam, Stile. Słowo! To był zbieg okoliczności. Nie wiedziałam, że mają cię teraz awansować. Myślałam, że skoro mnie tu wypożyczono, zacznę pracować z tobą za jakiś miesiąc. Oczywiście, uczę też innych, ale przecież nie byłoby sensu dawać ci promocji po moim odjeździe. Dlatego przyspieszyli twój awans. Nie wiedzieli, że mamy romans.

Ale przecież sama mówiła, że jest kłamczuchą. Nadzorca na pewno wiedział, gdzie Stile spędził noc. Czy mógł jej wierzyć'?

- Spytaj mnie jeszcze raz wieczorem - powiedziała cicho. - Nigdy nie okłamuję mężczyzn, których kocham.

- Naprawdę? Nigdy ?

- Powiedzmy, że rzadko. Czy jesteś miłośnikiem operetki? - zmieniła nieoczekiwanie temat.

Spojrzał na nią bezradnie. Jak bardzo chciał jej wierzyć! - Spróbujesz sam? - spytała, wskazując na siodło Roberta.

- Czy też wolisz się mnie trzymać i znowu rozbić sobie głowę'?

- Jedno i drugie - odparł i Tune roześmiała się. Nocą zapytała go, czy bardzo go bolało, kiedy uderzył w nią głową. Stile przyznał, że zawsze gotów jest ponosić tego typu szkody.

Pomogła mu wsiąść na konia - tym razem obeszło się bez kłopotów - i pokazała jak ma nim kierować. Potem zabrała go na tor. Uczył się szybko.

- Tylko nie zrób się zarozumiały, słabeuszu. Roberta jest koniem bez narowów, prawdziwy ogier to zupełnie co innego. Poczekaj, aż dosiędziesz Duszka.

- Duszka? - zawołał zaniepokojony.

Marzył o tym, ale perspektywa spełnienia marzeń napęłniała go lękiem.

Tune znowu się roześmiała. Była wprost stworzona do radości. Jej ciało mile się przy tym poruszało i współpracownicy polubili ją za to.

- Skąd mogę wiedzieć, którego konia ci przydzielą? Ale najpierw zrobimy z ciebie fachowca. Zły jeździec popsuje każdego konia.

Tak, a Obywatel nie byłby zadowolony, gdybym zleciał na głowę i pobrudził czystego konia swoim szarym, brudnym mózgiem - pomyślał Stile ze zrozumieniem.

Była to interesująca lekcja, lecz kiedy podniecony wrócił do domu, stwierdził, że czekają na niego kłopoty. Był tam już nadzorca.

- Oprotestowano twoją promocję. Obywatel nas wzywa. – Nas ? Sądziłem, że mój

awans był jakąś pomyłką, która teraz została wyjaśniona.

Mimo że spodziewał się pomyłki, poczuł się rozczarowany. Zaczynał już wierzyć, że to wszystko prawda.

- Jaki to może mieć związek z tobą? - zwrócił się do nadzorcy.

Ten ujął Stile'a pod ramię i pociągnął za sobą. Wezwanie najwyraźniej było bardzo pilne, bo nie pozwolono mu się przygotować. Zdążył tylko nieco przygładzić włosy i otrzepać z nóg trochę brudu.

Po chwili weszli do tunelu transportowego, wsiedli do kapsuły i pomknęli w ciemność. Wyglądało na to, że Obywatel przebywał poza farmą.

- Pamiętaj, zmobilizuj się i zachowaj spokój - pouczał go nadzorca.

Wydawał się człowiekiem z żelaza, ale i on był zdenerwowany. Przestraszyło to Stile'a. To musiał być poważny problem! Dlaczego jednak po prostu nie odwołali promocji bez całego tego zamieszania?

Wysiedli przy hammanie. Stile poczuł kuksaniec nadzorcy; oczywiście zagapił się. Wziął się w garść. Budynek, do którego zmierzali, budził podziw.

W czasach klasycznych hamman spełniał funkcję arabskiej łaźni publicznej. Tutaj był ośrodkiem odnowy biologicznej dla Obywateli. Wielu z nich lubiło ten styl, gdyż złoty wiek kultury arabskiej należał na Ziemi do najwartościowszych, przypadał na Ciemne Wieki Chrześcijaństwa. Te historyczne nazwy miały jednak znaczenie tylko dla elity, ale nie dla zwykłych ludzi.

Architektura hammanu przypominała meczet, wyglądał na wspólną własność kilku Obywateli. Nie dlatego, żeby pojedynczego Obywatela nie było stać na jego posiadanie, lecz mieli oni zwyczaj specjalizować się w jednej dziedzinie wiedzy lub w jednej umiejętności. I tak miłośnik kultury arabskiej udostępniał innym budowane przez siebie obiekty, tak jak pracodawca Stile'a, który specjalizował się w rasowych koniach i nie miał sobie równego. Obywatel mógł utrzymywać stosunki tylko z innymi Obywatelami. Musieli więc z konieczności ze sobą współpracować, posiadać i realizować wspólne przedsięwzięcia.

Było tu wiele komnat, czystych, gorących i parnych. Łaziebni roznosili ręczniki, szczotki, balsamy, różne napoje i przekąski. W jednym z dużych pomieszczeń znajdował się basen. Woda była w nim bardzo gorąca, ciemno zabarwiona i silnie pachniała, prawie jak napar. Moczyło się w niej kilka osób.

Mimo, że byli nadzy, Stile rozpoznał że są Obywatelami. Wskazywało na to zachowanie się służby. Ubranie wprawdzie wyróżniało Obywatela, ale nie przesądzało o jego statusie społecznym. Jeśli chciał, mógł chodzić nago jak niewolnik, nie tracąc nic ze swej

władzy i godności. Jednak Obywatele, chcąc nawet na pierwszy rzut oka odróżnić się od niewolników, nosili w takiej sytuacji ozdoby.

Stile i nadzorca podeszli do mniejszego basenu. Tutaj moczył się ich pracodawca. Sześć niezwykle zmysłowych dziewcząt kręciło się wokół myjąc go, nacierając oliwą i polerując mu paznokcie. Starszy mężczyzna zajmował się jego włosami, uważając, by mydło nie zalewało mu twarzy.

- Panie - rzekł z szacunkiem nadzorca...

Obywatel nie zwrócił na nich uwagi. Stali na baczność, a dziewczęta kontynuowały zabiegi. Stile przypomniał sobie, że nie wykąpał się po treningu. Co za kontrast z otoczeniem i przebywającymi tu ludźmi! Minuty mijały.

Stile zauważył, że Obywatel trochę utył od ubiegłego roku, lecz wciąż był zdrowym, młodo wyglądającym mężczyzną. Dobrze rozwinięta muskulatura mówiła o systematycznych ćwiczeniach; widać było, że Obywatel nie przejada się, albo spożywa tylko potrawy niskokaloryczne. Możliwość oglądania nagich Obywateli dla niewolników była niesamowitym przeżyciem.

Do pomieszczenia weszło jeszcze dwóch mężczyzn: Billy z patrolu strzegącego farmy i Bourbon.

- Panie - powiedział Bourbon.

Dopiero teraz Obywatel lekko skinął głową nadzorcy. - Spocznij - polecił pozostałym.

Stile, Billy i Bourbon trochę się odprężyli. Wzrok Obywatela zatrzymał się na Bourbonie. - Wyjaśnij swój protest - polecił.

Bourbon, wyraźnie przejęty obecnością pracodawcy, przełknął ślinę, zanim zaczął mówić:

- Panie, pominięto mnie przy awansie, choć pracuję dłużej niż Stile i mam lepsze świadectwo pracy.

Zimne oczy Obywatela zatrzymały się na nadzorcy. - Ty awansowałeś Stile'a. Uzasadnij.

- To nadzorca go awansował? Stile nie zdawał sobie sprawy, że ma aż tyle władzy. Sądził, że zakres jego uprawnień obejmuje tylko sprawy dyscypliny, prowadzenie ksiąg i - ewentualnie -- rekomendację kandydatów. Obywatel mógł się pomylić, bo nie poświęca wiele uwagi sprawom niewolników, ale nadzorca nie powinien popełnić takiego błędu. Przecież to on zawiesił Stile'a w obowiązkach.

- Panie - odezwał się nadzorca, który też czuł się niepewnie. - Ocenilem, że Stile będzie właściwym człowiekiem na to stanowisko. Chciałem, by mógł trenować na robocie, który

będzie u nas tylko trzy miesiące.

Oczy Obywatela spoczęły znów na Bourbonie.

- Czy wiesz, że funkcją nadzorcy jest służenie moim interesom? Nadzorca nie jest związany koniecznością respektowania ani starszeństwa, ani świadectwa pracy. Jego obowiązkiem i prawem jest obsadzanie stanowisk właściwymi ludźmi. Nie robi tego na podstawie mojego przyzwolenia, ale rozkazu. Twoja sprawa została odrzucona.

- Panie - powtórzył Bourbon buntowniczym tonem. Obywatel spoglądał teraz na nadzorcę. W jego oczach nie było ani śladu poczucia humoru czy współczucia.

- Czy chcesz, żebym pozwolił mówić mu dalej? - spytał.

-- Nie, panie -- odparł nadzorca.

- Odrzucam. Bourbon, możesz mówić.

O co tu chodziło? Dlaczego Obywatel marnował swój czas, sprawdzając zaufanego nadzorcę? Jeśli decyzja zostanie uchylona, to sytuacja będzie bardzo niezręczna.

- Panie, Stile zdobył przychylną nową instruktorkę, Tune. Sądzę, że wywarła wpływ na nadzorcę, by awansował Stile'a poza kolejnością, mimo że ten wczoraj zranił jednego z pańskich koni wyścigowych. Moje akta są czyste.

Po raz pierwszy na twarzy Obywatela pojawiło się jakieś uczucie.

- Zranił mojego konia? Którego? - Duszka, panie.

- Najbardziej obiecujący wierzchowiec!

Obywatel machnął ręką, prawie uderzając jedną z dziewcząt. Przez chwilę chwiała się na brzegu basenu, lecz szybko odzyskała równowagę.

- Łaziebni, cofnąć cię! - polecił. Teraz, kiedy ożywiła go emocja, był jak dynamit.

Służący cofnęli się od razu na odległość czterech metrów i stanęli nieruchomo. Stile był pewien, że ich ciekawość jest równo wielka jak i jego, choć nie byli w to zamieszani.

Twarz Obywatela wydawała się spokojna, lecz w oczach czaiło się coś groźnego.

-- Nadzorco, przedstaw sprawę.

Nadzorca nie wyglądał na uszczęśliwionego, lecz się nie wahał.

- Panie, chciałbym użyć wideoekranu. - Pozwalam.

Obywatel uczynił jakiś gest małym palcem i cały sufit rozjarzył się blaskiem. Był to ogromny odbiornik wideo, wyposażony w elementy zapobiegające osadzeniu się na nim pary.

- Chwilowo reaguj na polecenia niewolnika - polecił Obywatel.

Nadzorca szybko wymienił całą serię koordynat czasowych i przestrzennych. Na ekranie pojawił się obraz. Stile i inni wykręcali szyje, by lepiej zobaczyć. Ujrzeni stajnię i

wyglądającego z niej Duszka. Zegar pokazywał czas i godzinę: wczoraj rano.

- Proszę do przodu - polecił nadzorca i ekran ożył, ukazując podchodzącego do boksu Stile'a.

Stile patrzył zafascynowany. Nie zdawał sobie sprawy, że zdarzenie zostało sfilmowane. Kontrast pomiędzy jego drobną sylwetką a okazałą postacią konia wydawał się ogromny, a jednak to on był pewny siebie, a koń nerwowy. "Chodź, Duszku" - powiedział Stile, zachęcając konia. Lecz Duszek nie chciał współpracować.

Film bez litości pokazywał, jak Stile uspokaja ogromnego ogiera, szamocze się i walczy, zmuszając go, by podszedł do mechanizmu treningowego.

- Proszę zauważyć, panie - powiedział nadzorca. Ten człowiek miał do czynienia z niezwykle trudnym zwierzęciem, lecz nie dał wyprowadzić się z równowagi. Użył tylko tyle siły, ile było konieczne, by poskromić konia. Często zdarzało mi się prowadzić Duszka, ale wiem, że tego dnia nie zdołałbym zmusić go do treningu.

- Dlaczego nie przysłałeś mu kogoś do pomocy? zapytał Obywatel. - Sam miałbym w tej sytuacji kłopoty. Nie była to próżna przechwałka. Obywatel był doskonałym koniarzem.

- Ponieważ wiedziałem, panie, że Stile sobie poradzi. Obecność innych tylko zdenerwowałaby konia. Dlatego też właśnie Stile'owi poleciłem wczoraj to zajęcie; Duszek wymaga kompetentnego treningu i dyscypliny. Poprzedniego dnia zrzucił jeźdźca.

- Kontynuuj.

Polecenie nadzorcy spowodowało, że na ekranie ukazał się boks Peppera. Kiedy Bourbon wszedł do stajni, koń zachowywał się spokojnie, lecz rozpoznawszy stajennego, stulił uszy. Bourbon wyprowadził go energicznie z boksu, niepotrzebnie uderzając, choć koń był posłuszny.

- Ten człowiek, panie, traktuje brutalnie łagodnego konia. To dla niego typowe. Nie jest to wada, gdyż niektóre konie wymagają mało subtelnego traktowania, lecz gdyby to on trenował Duszka...

- Oczywiście - Obywatel skinął głową.

Był dobrze zorientowany w końskich narowach. - Dalej - rozkazał.

Na ekranie Bourbon podszedł z tyłu do Stile'a, obok którego spokojnie kłusował Duszek. Zwierzę wyglądało cudownie. Cichy jęk podziwu wyrwał się z ust służącej. One też były miłośniczkami koni!

Bourbon dobrze wybrał chwilę. "Na bok, kurduplu!" wykrzyknął Stile'owi za plecami. Nie ulegało wątpliwości, że zrobił to specjalnie. Duszek spłoszył się. Potem nastąpiła reszta tego wydarzenia.

Wystarczy -- polecił Obywatel i ekran zgasł. - Jak na to zareagowałeś?

- Panie, Stile zameldował o kontuzji konia. Dałem mu punkty karne i zawiesiłem w pracy na jeden dzień. Nie protestował. Uznałem, że jego umiejętności i dyskrecja są najlepszymi kwalifikacjami na nowe stanowisko pracy, więc dałem mu awans. Wiem, że ma romans z trenerką, ale to nie wpłynęło na moją decyzję.

- A ten drugi? - spytał ponuro Obywatel.

- Bourbon nie zameldował o kontuzji swego konia. Uznałem, że ważniejsze jest utrzymanie w tajemnicy moich obserwacji, niż wywlekanie tego na światło dzienne. Pomiąłem go przy awansie, ale nie zawiesiłem w obowiązkach, gdyż kontuzja konia była niewielka.

- Żadna kontuzja mojego konia nie jest niewielka! krzyczał Obywatel.

Na szyi wystąpiły mu żyły, a mydlana piana, na którą nie zwracał uwagi, ciekła mu po policzku. Gdyby nie był Obywatel, wyglądałby śmiesznie.

- Udzielam ci nagany za niedopatrzenie.

- Tak, panie - odparł skruszony nadzorca.

Obywatel zwrócił się do Stile'a.

- Twój awans pozostaje w mocy, był zasłużony.

- Spojrzał teraz na Bourbona oczami zimnymi jak lufa pistoletu.

- Zwalniam cię.

Kiedy niewolnik tracił pracę z przyczyn merytorycznych, to był na Protonie skończony. Żaden Obywatel nie wynajmował go i po dziesięciu dniach tracił prawo pobytu. Bourbon przegrał, a Stile niespodziewanie nauczył się *czegoś o* życiu.

Był to najpiękniejszy okres w jego życiu, wypełniony nauką fechtunku, jazdy konnej, muzyką i miłością...

Ich romans trwał już trzy miesiące, gdy Tune powiedziała: - Muszę ci coś wyjaśnić. Kończy mi się prawo pobytu. - Ty nie....'? - wykrztusił zdumiony.

- Zaczęłam pracę, mając dziesięć lat. Chyba nie sądzisz, że dżokejem zostaje się w ciągu jednego dnia? Moje prawo pobytu wygasa za pół roku. Przykro mi, że to przed tobą ukrywałam, ale ostrzegałam, że nie zawsze mówię prawdę.

- Pojadę z tobą - wykrzyknął z młodzieńczą energią. Ścisnęła jego dłoń.

- Nie bądź głupi. Lubię cię, ale to nie miłość. Poza Protonem ty będziesz miał dwadzieścia jeden lat, a ja dwadzieścia osiem i żadnych odmładzających pigułek. Zaslugujesz na coś więcej, kochanie.

Wiedział, że ją kocha, ale czuł, że Tune ma rację. Nie mógł lekkomyślnie zrezygnować

z siedemnastu lat na Protonie dla kobiety, która była starsza od niego i go nie kochała.

- Gra! - krzyknął. - Musisz zakwalifikować się do Turnieju i wygrać prawo pobytu...

- Właśnie chcę ci o tym powiedzieć, Stile. Jutro zaczyna się Turniej i biorę w nim udział. Zdobyłam Szczebel Piąty mojej drabiny wiekowej i to prawie cudem. Prawo pobytu kończy się z chwilą, gdy przegram, więc to nasza ostatnia noc.

- Nie bądź marzycielem. Ty masz szansę, kiedy przyjdzie twój czas; jesteś zdolny jak piękne, dzikie zwierzę. To dlatego zapragnęłam cię w chwili, gdy tylko cię zobaczyłam. Lubię piękne zwierzęta! Kusilo mnie, żeby wcale nie brać udziału w Turnieju i spędzić te ostatnie sześć miesięcy z tobą...

- Musisz spróbować!

- Zrobię to, choć stawką jest pół roku z tobą.

Stile przejęty był konsekwencją jej decyzji, chociaż takiego wyboru musiał dokonać każdy niewolnik w ostatnim roku służby i pewnego dnia on sam stanie przed takim dylematem.

- Wiem, że będziesz lepszym dżokejem ode mnie, będziesz wygrywał wyścigi i staniesz się sławny. Pragnęłam wziąć cząstkę twojego życia i zrobiłam to, choć musiałam cię okłamać. Nie jestem z tego dumna.

- Podarowałaś mi to, co w życiu najlepsze! Spojrzała na swoje piersi.

-- No, może parę rzeczy. Mam nadzieję. Ale to miłe, że tak mówisz. Twoje życie dopiero się zaczyna. Jeśli ci w czymś pomogłam, to jestem szczęśliwa. Nie będę się czuła taka winna. - Nie mów o winie!

- Dlaczego? Poczucie winy dodaje życiu smaku - odrzekła z nutą smutku w głosie.

Kochali się pospiesznie, choć z gwałtowną pasją. Stile nie chciał zmęczyć jej przed Turniejem. Czuł się winny, że pozwala jej odejść. Rzeczywiście miała rację -- to uczucie dodawało specyficznego smaku całemu zdarzeniu.

Następnego dnia Tune wystartowała w Turnieju i już w pierwszym pojedynku wylosowała taniec. Przegrała.

Stile wytrwale studiował muzykę, kultywując w ten sposób pamięć o swojej miłości. Stopniowo zamiłowanie do muzyki stało się jego pasją. Wiedział, że nigdy nie zostanie mistrzem, ale był zupełnie dobrym muzykiem. Lubił różne instrumenty, ale najbardziej harmonijkę.

Możesz przecież wygrać!

Trzy lata później skończyła się kadencja nadzorcy.

- Stile, jesteś wystarczająco dobry, by zająć moje miejsce - powiedział w chwili

otwartości. - Jesteś jeszcze młody, ale zdolny i uczciwy, masz prawdziwy talent do koni, lecz jest jedna rzecz...

- Mój wzrost - odparł natychmiast Stile. - Dla mnie nie jest ważny. Ale są inni...

- Rozumiem, nigdy nie zdobędę odpowiedniego autorytetu.

- Jest jednak dla ciebie interesująca alternatywa. Możesz awansować na dżokeja, a talent zanieś cię na wyżyny dostępnej niewolnikowi sławy. Myślę, że to najlepsze życie, jakie można mieć na Protonie, nie będąc Obywatelem.

- Tak, ja... - wzruszenie odebrało mu mowę.

Mam dla ciebie ostatnią robotę, naprawdę trudną. To, jak sobie z nią poradzisz, zadecyduje o twojej przyszłości. Zarekomenduję cię do awansu na dżokeja, ale to Obywatel będzie decydował. Nie zawieź mnie.

- Nie zawiodę. Chciałbym tylko powiedzieć...

Ale nadzorca uniósł już rękę na pożegnanie. Stile powiedział więc tylko:

- Dziękuję.

Uścisnęli sobie dłonie i nadzorca cicho odszedł. Zadanie polegało na przyprowadzeniu Duszka z odległej kopuły na farmę. Duszek wraz z wiekiem stał się jeszcze bardziej płochliwy i nie można go było po prostu przewieźć. Dźwięki i wibracje, nawet stłumione, denerwowały go. Obywatel nie pozwolił, by podano mu środek uspokajający; koń był zbyt cenny. Duszek wygrał sporo biegów i Obywatel chciał z niego zrobić ogiera rozplodowego. Tak więc musiał wrócić pieszo. Mogło to być trudne, gdyż nie było korytarzy odpowiednich dla koni, a na zewnątrz, bez odpowiednich urządzeń powierzchnia planety była niedostępna.

Stile starannie wszystko zaplanował. Starannie przestudiował mapy regionu. Potem zamówił kombinezon ochronny, wyposażony w samodzielny system dostarczający powietrze, jednośladowy pojazd grawitacyjny, radio i zegarek z komputerem. Nie miał zamiaru zablądzić, albo przepaść na niegościnniej powierzchni Protona.

Powierzchnia była, jak się okazało, nadspodziewanie urozmaicona. Na północy i południu rozciągały się góry, przy czym północne białe były od śniegu, będącego całym wolnym zapasem wody, jaki posiadała planeta. Zobaczył też kręte koryta dawno wyschniętej rzeki i teren pokryty głębokimi szczelinami, jak po trzęsieniu ziemi. Prowadził ostrożnie swój pojazd, balansując ciałem przy zakrętach. Zlokalizował najbardziej niebezpieczne dla konia pułapki, wybierając trasę, która je wymijała. Duszek i tak będzie zdenerwowany koniecznością noszenia maski tlenowej i osłony na oczach i uszach; każdy dodatkowy stres mógł przekreślić powodzenie całego przedsięwzięcia. Nikt, oprócz Stile'a, nie mógłby przeprowadzić konia bezpiecznie.

Stile nie spieszył się. Starannie przygotowywał mapę trasy. Była to prawdziwa łamigłówka. Musiał znaleźć najkrótszą drogę, omijającą wszystkie niebezpieczeństwa. Nauczył się myśleć jak koń, gdyż Duszek potrafił spłoszyć się nawet na widok kupki piasku, a równocześnie spokojnie pokłusować w głąb ciemnego kanionu.

Dopiero, kiedy upewnił się, że znalazł najlepszą drogę, zameldował się w kopule, w której przebywał Duszek. Był pewien, że nie będzie żadnych kłopotów. I to nie tylko dlatego, żeby przyspieszyć swój awans. Po prostu lubił Duszka. Koń, w pewnym sensie, był odpowiedzialny za ostatni awans Stile'a.

Kiedy dotarł do kopuły, znalazł czekający na niego telegram z innej planety; pierwszy odkąd wyjechali rodzice. Zawierał kilka słów: STILE - WYSZŁAM ZA MĄŻ NAZWAŁAM SYNA STILE - POWODZENIA - TUNE.

Był szczęśliwy, że się jej udało, choć ból straty powrócił ze zdwojoną siłą. Trzy miesiące razem, trzy lata osobno. Nie mógł powiedzieć, że z tego powodu jego świat mu się całkowicie zawalił, ale nie znalazł już dziewczyny, którą polubiłby jak Tune. Stracił nawet nadzieję, czy kiedykolwiek znajdzie. Podświadomie zaczął mrużyć melodię; często to robił w czasie pierwszych miesięcy rozłąki. Przekształciło się to w nawyk, którego nie próbował zwalczać. Muzyka w jego życiu zawsze związana będzie ze wspomnieniem tych trzech cudownych miesięcy.

A więc nadała dziecku jego imię! Oczywiście nie on był ojcem; przypadkowe poczęcia nie miały na Protonie miejsca. Tune chciała mu jednak pokazać, jak wiele znaczył dla niej ten krótki związek. Twierdziła, że go okłamała, ale dała mu przeżycie, którego na nic by nie wymienił. Jeśli coś trwa krótko, to nie znaczy, że nie jest ważne. O nie!

- Dziękuję ci, Tune - powiedział cicho.

Rozdział 10

MAGIA

Stile obudził się nagle, w przekonaniu, że dokonał ważnego odkrycia.

- Geografia! - krzyknął triumfalnie. - Ten świat to Proton !

Neysa, znowu w postaci dziewczyny, pielęgnowała go. Uświadomił sobie także, że jest zbudowana podobnie do Tune. Nic dziwnego, że zaakceptował ją tak łatwo jako kochankę. Nie była prawdziwą kobietą i nie mogła się nią stać, lecz warto było cenić ją dla niej samej.

Spojrzała pytająco.

Jej wygląd i osobowość były oczywiście odmienne niż u Tune; ani jasnego odcienia włosów, ani beztrudnej inteligencji. Neysa była ciemnowłosa, cicha i nigdy nie kłamała.

- Przypomniało mi się coś - wyjaśnił. - Uczylaś mnie posługiwać się rapierem, kiedy ja...

Zamilkł, próbując to zrozumieć.

- Co ze mną było'? - zapytał wreszcie. Odezwała się niechętnie:

- Chorowałeś.

- Chorowałem? Ależ na Protonie nie ma chorób... Znowu umilkł zaskoczony.

No tak - rozmyślał - to inny świat, tyle że z taką samą geografią. Te purpurowe góry na południu... Tak mógłby wyglądać Proton, gdyby miał prawdziwą atmosferę. To alternatywny świat, taki Proton, na którym działa magia. Może to ona powoduje, że jest tu atmosfera i grawitacja? Skoro tak, to w naturalnym środowisku planety, przy normalnej ekologii są i muchy, i brud, i choroby. A ja nie mam naturalnej odporności, tylko zwykłe szczepienia, które nie mogły przygotować mnie na cały zakres grożących mi niebezpieczeństw - uświadamiał sobie coraz jaśniej Stile. Te wszystkie mikroorganizmy w jedzeniu i w wodzie, naturalne dla tubylców, a całkowicie obce dla mojego organizmu. Pyłki w powietrzu, alergeny, bakterie, wirusy. Przez kilka dni zarazki po prostu namnażały się we mnie, aż wreszcie pokonały mnie. Osiągnęły poziom gwałtownej infekcji.

- Dzięki za wyjaśnienie, Neyso. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Powiedz, jak ci się udało mnie wyleczyć? Powiniennem być umrzeć, albo przynajmniej znacznie dłużej chorować. Byłem chory tylko kilka godzin, prawda'? I już dobrze się czuję. Nawet nie jestem zmęczony.

Znowu musiała się odezwać. - Clip przyniósł amulet. - Wyciągnęła rękę i dotknęła

figurki wiszącej na założonym mu naszyjniku.

Stile uniósł figurkę w dłoni.

- To uzdrawiający amulet? Sprytne! Czy rozchoruję się znowu, jeśli go zdejmę?

Pokręciła przecząco głową.

- Chcesz powiedzieć, że te przedmioty emitują magię jednorazowo, a potem są już bezużyteczne? Niektóre jednak powinny działać w sposób ciągły, tak jak ten symulator ubrania, który podarowano mi na samym początku...

Szybko ściągnął łańcuszek z szyi.

- Tamten próbował mnie zabić. Jeśli ten zrobiony' został przez tę samą istotę....

Wzruszyła ramionami.

- Czy masz coś przeciw temu, żebym się go teraz pozbył'? - spytał Stile. - Moglibyśmy go zakopać i oznaczyć miejsce, aby go odnaleźć, gdyby był potrzebny. Ale wolałbym nie nosić go z sobą. Jeżeli uruchomię jakieś dodatkowe zaklęcie... Widzisz, Neyso, zanim cię spotkałem, zostałem zaatakowany przez amulet w tej samej chwili, kiedy wypowiedziałem zaklęcie. Tym razem ty to zrobiłaś, więc może dlatego zadziałał prawidłowo. Obawiam się, że wszystkie amulety zagrażają mi w jakiś sposób. Dlatego właśnie potrzebowałem rumaka..., żeby uciec przed anonimowym wrogiem.

Neysa uniosła głowę, spłoszona jak koń. Uśmiechając się, wziął ją za ręce.

- Kiedy wybrałem cię, to zadecydowałem lepiej niż się spodziewałem. Myślę, że uratowałaś mi życie. Pozwoliła, by ją przytulił, a potem... Nie zapomniał wprawdzie o Sheen, ale to był inny świat.

Zakopali amulet i ruszyli w drogę. Był poranek. Choroba trwała tylko jedną noc i zbiegła się z porą odpoczynku, a odkrycie dotyczące geografii prawie było tego warte. To dlatego ciągle prześladowało go uczucie, że kiedyś już tutaj był, że widział martwą powierzchnię tego świata.

Co mogło być przyczyną aż takiej różnicy? Bez trudu mógł zaakceptować koncepcję światów alternatywnych lub alternatywnych odmian tego samego świata. Jednak atmosfera umożliwiająca oddychanie, naturalne środowisko i magia w jednym, a kopuły, nauka i całkowite pustkowie w drugim, tworzyły między nimi zasadniczą różnicę. Stile spodziewałby się raczej, że równoległe światy będą bardzo do siebie podobne.

Mimo tych istotnych różnic, łatwiej mu było teraz orientować się w nowym świecie. Rozumiał już, dlaczego ludzie przedostawali się tu tylko w pewnych punktach. Tu nie chodziło o transmisję materii, a o przejście przez zasłony usytuowane w ściśle określonych geograficznie punktach, znajdujących się w obrębie którejś kopuły lub prywatnego domu.

Przekroczyć zasłonę gdzie indziej? Cóż, gdyby chciał tego spróbować, musiałby najpierw zaopatrzyć się w maskę tlenową.

- Wiesz co, Neyso - zauważył w czasie jazdy - nie wiem jeszcze wielu rzeczy o tym świecie, a moje życie jest w niebezpieczeństwie, ale podoba mi się tu bardziej niż na Protonie. Tutaj, z tobą, jestem po prostu szczęśliwy. Wydaje mi się, że mógłbym tak jechać bez końca... Chociaż pewnie znudziłoby mi się to za jakiś wiek lub dwa, trzeba być realistą.

Neysa zarżała muzykalnie i przeszła w dwutaktowy galop; przednie kopyta uderzały o ziemię dokładnie razem, tylne tak samo. Taki krok trząśł jeźdźcem.

- Myślisz, że możesz mnie zrzucić? - spytał ze śmiechem Stile.

Wyciągnął harmonijkę. Jedną z korzyści noszenia ubrania, jak odkrył, była obecność kieszeni. Zagrał żwawą, marszową melodyjkę. Powracające we śnie sceny z przeszłości uprzytomniły mu znowu, że nie mógłby porzucić muzyki, nawet gdyby nie miał z niej żadnego praktycznego pożytku. Muzyka to radość.

Nagle znowu poczuli obecność czegoś groźnego... Natychmiast zamilkli.

- Jest w tym coś niesamowitego - zauważył Stile. Clip twierdził, że nie ma się czym przejmować i że jednorożce są odporne na wszelkie rodzaje magii, ale to jest takie tajemnicze. Nie lubię zagadek, które mogą mi zaszkodzić.

Neysa parsknęła z aprobatą.

- Zdarza się to, kiedy muzykujemy razem - ciągnął Stile. - Trzeba się upewnić. Może, kiedy poświęcamy się muzyce, coś podkrada się, licząc na to, że go nie zauważymy"? Jakoś trudno mi uwierzyć, że jest to związane z amuletem; to coś bardziej subtelnego. Spróbujmy jeszcze raz. Kiedy pocujemy tę obecność, przestanę grać i spróbuję to odnaleźć. A ty graj tak, jakby nic się nie zdarzyło. Musimy przyłapać go niespodziewanie.

Znowu zaczęli grać - wrażenie powróciło natychmiast. Stile przestał grać, lecz trzymał wciąż harmonijkę przy ustach. Zerkał wokoło, a Neysa grała. Kiedy tylko zaczął się rozglądać, istota, czymkolwiek by nie była, zniknęła.

Stile zaczął znowu grać, podchwytyjąc melodię Neysy, ale tak cichutko, że nikt podsłuchujący go nie mógłby go usłyszeć. Niewidoczne zjawisko było obecne. Teraz z kolei Neysa umilkła, a Stile grał.

Tajemnicza aura stała się intensywniejsza, tak jakby wcześniej powstrzymywana była muzyką Neysy. Gdy Stile gwałtownie zamilkł - znikła.

- To jest związane ze mną! - wykrzyknął. - Pojawia się tylko wtedy, kiedy gram....

Neysa zgodziła się. Cokolwiek by ta nie było, podążało za Stilem i przybliżało się wtedy, kiedy grał.

Stile poczuł nieprzyjemne dreszcze.

- Wynośmy się stąd - zaproponował.

Jednorożec ruszył galopem. Mknęli przez równinę z prędkością, której nie mógłby dorównać żaden koń, omijali kępy jaskrawozielonych drzew, skakali przez małe strumyczki. Stile widział jak góry przesuwają się z obu stron do tyłu. Wprost połykali odległość.

W końcu Neysa zwolniła; jej oddech zamieniał się w płomienie. Stile wyciągnął harmonijkę i zagrał raz jeszcze. Od razu zjawiała się dziwna aura. Stile natychmiast zamilkł.

- Nie przegonimy tego, Neysa, to jasne. Ale teraz, kiedy już wiemy, że jest, może uda nam się coś z tym zrobić. Dlaczego to coś pojawia się tylko wtedy, kiedy gram? Musi przecież zdawać sobie sprawę, że czujemy jego obecność; nie ma więc powodu, by się ukrywać.

Neysa wzruszyła łopatkami bezradnie.

- Najpierw amulet, a teraz to - myślał głośno Stile.

- Czy mają ze sobą, jakiś związek? .A może harmonijka jest... - umilkł zaniepokojony - ...amuletem? - dokończył.

Po chwili znów coś przyszło mu do głowy.

- Neysa, mogłabyś zagrać na tym instrumencie? To znaczy tak jak człowiek, ustami? Jeżeli to jakieś urządzenie przywołujące wrogów, to powinno działać tak samo, bez względu na to, kto będzie go używać. Tak mi się wydaje.

Neysa zatrzymała się. Kazała mu zsiąść i zdjąć siodło. Przybrała ludzką postać. Stile nie spodziewał się, że zrobi to w biały dzień. Sądził, że Neysa zagra na harmonijce, nie zmieniając postaci, ale oczywiście tak było wygodniej.

Neysa wzięła instrument. Nie umiała na nim grać. Wydała na nim bezładną mieszaninę dźwięków. Nic się nie pojawiło. Wtedy Stile wziął harmonijkę i zagrał podobnie - obecność aury była niewątpliwa.

- To nie instrument, to ja przywołuję to zjawisko stwierdził Stile.

Spróbował zanucić. Skutek był podobny, choć nie tak wyraźny, jak przedtem.

- Wszystko jasne: chodzi o mnie. Przychodzi, kiedy muzykuję. Ponieważ lepiej gram niż śpiewam, więc i efekt jest większy. To wszystko. Instrument nie jest nawiedzony uśmiechnął się. - Ciesz się, że nie muszę go zakopać w ziemi.

Neysa powróciła do swej naturalnej postaci. Stile z powrotem nałożył siodło.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli sobie pozwolić na zignorowanie tej sprawy - powiedział.

Jednorożec machnął potwierdzająco uchem.

- Dojedźmy do jakiegoś dobrego pastwiska i stawmy mu czoło. Chcę zobaczyć, co się

wtedy stanie. Nie lubię uciekać przed niebezpieczeństwem. Wolałbym wyciągnąć to na otwartą przestrzeń i w ten czy inny sposób rozstrzygnąć sprawę. Jeżeli to wróg, chciałbym wyzwać go w dzień, z mieczem w dłoni, a nie żeby podkładał się do mnie nocą.

Wyraziła zgodę z pełnym przekonaniem. Pojechali w dół zbocza, aż dotarli do bujnej trawy.

Neysa pasła się, nie oddalając się od Stile'a i nie spuszczać go z oka. Przejmowała się. Niech ją Bóg błogosławi; upłynęło już wiele czasu od chwili, gdy ktoś się o niego martwił, oczywiście za wyjątkiem Sheen, ale to była tylko kwestia jej oprogramowania.

Stile zaczął grać. Kształt pojawił się. Próbował go zobaczyć, ale był niewidzialny i nieuchwytny. Tym razem Stile nie przerywał. Wydawało mu się, że trawa kołysze się, pochyla się ku niemu i cofa, jak pod wpływem podmuchów, choć wiatru nie było. Powietrze wydawało się czymś naładowane. Nadciągnęła mgła, wirując w ledwie rozróżnialnych barwnych falach. Stile poczuł, że włosy jeżą mu się na ciele, jakby pod wpływem elektryczności. Najpierw pomyślał, że to z powodu zdenerwowania, ale zauważył, że grzywa Neysy zachowuje się podobnie. Była tu jakaś siła, ześrodkowana na nim, lecz nieaktywna. Po prostu tylko była.

Stile był już zmęczony, przestał grać. Zjawisko natychmiast przepadło.

- To mi przypomina, jak się burza zaczyna - mruknął w zadumie. --- Choć...

Przerwała mu nagła ulewa. Niedaleko uderzył piorun, błysk prawie go oślepił. Stile zatoczył się szarpnięty porywem wiatru. Był przemoczony, jakby zanurzono go we wzburzonym morzu. Trząśił się z zimna. Wirujące strzępy mgły przypominały rodzące się tornado. Niebo rozdzierały błyskawice.

Neysa podbiegła do niego, próbując osłonić go przed żywiołami własnym ciałem i antymagią. Pomogło i jedno i drugie; Stile zarzucił jej ręce na szyję i ukrył twarz w jej mokrej grzywie. Przy niej czuł się bezpieczniejszy. Usiedli na ziemi.

- A teraz obejmuję twoją prawdziwą postać - powiedział z uśmiechem, lecz wątpił, by usłyszała go przy takim wietrze.

Co się mogło stać? Jeszcze chwilę temu nie było nawet najmniejszej oznaki złej pogody. Stile wiedział, że burze potrafią nadciągać niespodziewanie. Ukończył kiedyś kurs meteorologii prymitywnych planet i często oglądał pokazy w kopule pogodowej, ale ta burza zerwała się, jakby na zawołanie. Grał tylko na harmonijce, próbując wyzwolić czającą się w pobliżu siłę, osaczyć ją; porównał ją machinalnie do....

- Ja to zrobiłem! - zawołał. -- To ja wywołałem burzę!

Tajemnicza energia była jak amulet, czekała by ją wyzwolić i to właśnie niechący

uczynił.

- Burzo zniknij! - zawołał.

Kolejny gwałtowny poryw wiatru o mało co nie wywłócił ich z zaimprovizowanego gniazdka. Burza nie miała zamiaru go słuchać.

Moc, która ją wyzwoliła, była w jakiś sposób skoncentrowana na nim. Skoro wywołał burzę; czy nie mógłby jej zażegnać? Gdy wyzwolił demona z amuletu, okazało się, że magia działa tylko w jedną stronę. Ale burza? Może da się zapędzić dzina z powrotem do butelki?

Nie były to warunki sprzyjające koncentracji umysłu. Mimo to próbował. Starał się dokładnie odtworzyć chwilę, w której wywołał burzę? Kiedy grał, duch burzy krążył wkoło, lecz nie uderzał. A potem powiedział: To mi przypomina, jak się burza zaczyna. Rym bez znaczenia.

Rym? Coś go zaczęło nurtować. Kiedy znaleźli harmonijkę, niby przypadkowo, co wtedy powiedział? Jak to było? Aha, tak: Gdybym harmonijkę miał, to bym na niej pięknie grał. Też z rymem. Dwa razy mówił wierszem i dwa razy skutek był natychmiastowy. Oczywiście była też inna magia, jak ta w atakującym go demonie z amuletu. Wtedy nie powiedział żadnej rymowanki. Mógł być to jednak zupełnie inny rodzaj magii. Teraz trzeba próbować uciszyć nawałnicę. Znikać... Co rymuje się ze znikać? Fikać, umykać, bzykać.

- Burzo znikaj, szybko umykaj! - zawołał.

Burza nieco przycichła. Był na dobrym tropie, ale to jeszcze nie wszystko.

Neysa zagrała na swoim rogu jedną nutę. Burza osłabła i Neysa wołała stać. Czuła się wtedy pewniej.

Stile jeszcze raz wracał myślami do zdarzeń, kiedy jego zaklęcia działały skuteczniej. Przypomniał sobie, że wtedy grał albo śpiewał.

Wyciągnął mokrą harmonijkę i zagrał. Potem zaśpiewał na zaimprovizowaną melodię: Burzo znikaj, szybko umykaj! Tym razem burza znacznie przycichła. Umilkły grzmoty i była to już tylko zwykła ulewa.

- Wiesz. Neysa, myślę, że coś zacząłem rozumieć powiedział. - Wydaje mi się, że mógłbym rzucać czary, gdybym tylko pojął do końca reguły.

Jednorożec rzucił mu przeciągłe spojrzenie, którego znaczenie było niejasne. Wyraźnie jednak widać było, że nie żywi zaufania do tego pomysłu.

Stile zastanawiał się nad sobą; jak on, dziecko cywilizowanej, nowoczesnej galaktyki, mógł poważnie myśleć o uprawianiu magii? Czy jednak po tym wszystkim, co przeżył w tej odmiennej rzeczywistości, mógł nie wierzyć w czary?

Podróżowali dalej, człapiąc przez mżawkę. Po godzinie zaczęło przygrzewać słońce.

Nie grali. Stile czuł, że trafił na ślad rozwiązania jakiejś tajemnicy.

Zatrzymali się na popas. Niestety, dla Stile'a nic do jedzenia nie znaleźli i Neysa gotowa była iść dalej. Uznał jednak, że jej posiłek jest ważniejszy.

Jeżeli naprawdę urnie uprawiać magię, to może potrafiłby wyczarować trochę jedzenia? Gdyby tak ułożył wierszyk i zaśpiewał? Co się rymuje z jedzeniem?

Poetyckie umiejętności stanowiły jeszcze jeden aspekt jego biegłości w Grze. Ktoś, kto chciał osiągnąć i utrzymać wysoką pozycję wśród dorosłych graczy, musiał zdobyć niezwykle wszechstronne wykształcenie. Stile opanował prawdopodobnie więcej umiejętności w różnych dziedzinach, niż ktokolwiek nie uczestniczący w Grze. Zawsze jednak przedkładał zagadki nad rymy i wersyfikację. Tak więc do tej szczególnej próby nie był najlepiej przygotowany.

Znał jednak podstawy wersyfikacji i trochę ćwiczeń powinno przywrócić mu tę umiejętność. Stopa jambiczna: da - DUM da - DUM. Pentametr: wiersz pięciostopowy. Proszę o trochę jedzenia: jambiczny tetrametr, cztery uderzenia. Gdyby jednorożce mogły układać wiersze w czasie biegu, świetnie by im to szło. Uderzenia kopyt mogły wyznaczać rytm.

- Proszę o trochę jedzenia, dla poprawy nastrojenia powiedział śpiewnie. Improvizowanie melodii na instrumencie szło mu lepiej, niż gdy używał tylko głosu.

Pojawił się przed nim maleńki sześcianik. Upadł na ziemię i Stile musiał odszukać go w trawie. Miał boki o długości około centymetra, a na jednej ze ścianek maleńkimi literami wydrukowany napis "Jedzenie". Stile dotknął go językiem. Odżywcze masło orzechowe. Zjadł je. Dobre, choć ilość symboliczna.

Coraz więcej rozumiał. Muzyka służyła do wyzwalania magii; tej siły, której obecności byli świadomi. Słowa definiowały magię. Rymy określały moment, w którym zaklęcie było użyte. Użyteczny system, choć Stile musiał jeszcze popracować nad precyzją definicji. Magia, tak jak każde inne narzędzie, musiała być używana właściwie.

- Proszę o litr jedzenia, dla poprawy nastrojenia - zanucił.

Nic się nie stało. Najwyraźniej czegoś jeszcze nie rozumiał.

Neysa uniosła głowę, nadstawiając uszu. Jej słuch był dużo lepszy niż jego. Odwróciła głowę. Stile spojrzał w kierunku, który wskazywał jej róg i zobaczył przybliżające się kształty.

Czyżby je przywołał? Wątpliwe. Zupełnie nie przypominały jedzenia, a do tego na pewno nie w żądanej ilości. To jakiś zbieg okoliczności.

Wkrótce zobaczyli je wyraźnie. Cztery monstra z długimi, potężnymi przedramionami,

przygiętymi owłosionymi nogami, ogromnymi, pełnymi zębów. zrogowaciałymi pyskami wściekłymi oczami. Przypominały trochę małpy. Jeszcze jedna odmiana demona, z którym samotnie walczył, potworów ze szczeliny czy śnieżnego diabła? Wszystkie wydawały się być gatunkami należącymi do ogólnej klasy stworzeń pominiętych w konwencjonalnej systematyce, ale przecież jednorożce też w niej nie figurowały.

Neysa parsknęła. Klusem podbiegła do Stile'a. Wiedziała, że znaleźli się w opałach.

- To chyba prezent od mojego wroga - zauważył Stile. - Kiedy użyłaś amuletu, by mnie wyleczyć, ostrzegł on pewnie swojego władcę, który wydaje się mi nieprzychylny, choć nie wiem z jakiego powodu. Ten wysłał swoich najemnych zbirów, lecz nie zastali nas w miejscu, gdzie zakopaliśmy amulet. Musieli nas tropić. Założyć się mogę, że burza zdrowo im namieszała.

Neysa zagrała na rogu zabawną melodyjkę. Podobała jej się myśl o zbirach sponiewieranych przez burzę, ale cały czas jej uwaga skupiona była na monstrach. Uszy położyła po sobie. Z uszami nastawionymi do przodu wyglądała wdzięcznie, a ze stulonymi - ponuro.

- Myślę, że to jakiś Adept wystąpił przeciwko mnie ciągnął Stile - Na pewno nie zwykły wieśniak. Teraz, kiedy już wiem, że znam się trochę na magii, czuję się pewniejszy. Jak myślisz, czy powinniśmy uciec potworom, a potem martwić się, kiedy nas znowu znajdą, czy też walczyć z nimi tutaj?

To było pytanie za sto punktów i Neysa na nie odpowiedziała. Ogon jej uderzał gwałtownie o boki, rozgrzebywała ziemię przednimi kopytami, a jej róg wycelowany był w kierunku zbirów.

- Myślę dokładnie to samo - odparł Stile. - Nie lubię mieć wrogów za plecami. Spróbuję, może uda mi się wymyśleć jakieś dobre zaklęcie, które ich usunie. To powinno być bezpieczniejsze od rozpoczynania walki. Wyglądają groźnie.

Groźnie? Było to stanowczo za zbyt subtelne określenie. Stile mówił to v. prawdzie lekkim tonem, lecz zdążył już nabrać respektu do umiejętności, jakie demony wykazywały w czasie walki. Przypominały androidy z Protona - głupie, ale prawie niezniszczalne. Nie miał jeszcze zaufania do swoich zaklęć. Magia, jak wszystkie niespodziewane dary, musiała być najpierw sprawdzona, a dopiero potem użyta. Teraz jednak był zmuszony wykorzystać co mógł i ufać, że zadziała.

Potwory przybliżyły się, a Stile koncentrował się na rymach. Nie potrafił, pracując pod taką presją, wymyśleć czegoś wyrafinowanego, lecz dopóki rymy były proste i jasne, skutkowały.

Pierwszy potwór pojawił się przed nimi.

- Potworze znikaj, szybko umykaj! - zaśpiewał Stile, pokazując na demona.

Potwór zamienił się w dym i zniknął. Pozostała po nim tylko cuchnąca mgiełka.

Jak na razie wszystko szło świetnie. Stile zaczynał nabierać praktyki. Wskazał na kolejnego potwora.

- Potworze znikaj, szybko umykaj! - zaśpiewał, tak samo jak poprzednio.

Po co zmieniać udane zaklęcie?

Demon zawahał się, jakby zaniepokojony ukąszeniem komara i skoczył do przodu.

Neysa rzuciła się, nadziała go na róg i jednym zamachem przerzuciła nad głową do tyłu. Stworzenie wydało z siebie śmiertelny skowyt, zamieniając się w krwawą miazgę.

Dlaczego zaklęcie zadziało za pierwszym razem, a za drugim już nie? Stile zrobił wszystko dokładnie tak samo, lecz potwór o mało nie urwał mu głowy.

- Och, nie! Czy to możliwe, żeby zaklęcie działało tylko raz? - Przypomniał sobie, co powiedział mu spotkany mężczyzna, ten, który podarował mu amulet z demonem. Mówił, że musi wymyślać nowe zaklęcie za każdym razem, kiedy chce przejść przez zasłonę. Powinien był uważniej słuchać!

Trzeci i czwarty zbir nadciągnęli razem.

Nie było czasu na wymyślenie nowego zaklęcia! Stile wyciągnął rapier.

- Biorę na siebie tego z prawej; ty zajmij się tym po lewej - powiedział Neysie.

Jednak potwory, które widziały, jaki los spotkał ich poprzedników, były trochę ostrożniejsze. To, że wyglądały odrażająco, nie znaczyło, iż musiały być również głupie. Nie były przecież androidami. Wyraźnie umiały korzystać z doświadczenia. Zatrzymały się tuż za zasięgiem rapiera i rogu. Widać było, że uważają Neysę za znacznie groźniejszego przeciwnika, choć Stile był przekonany, iż chodzi im przede wszystkim o niego. Najpierw chciały rozprawić się z Neysą; potem Stile zdany byłby na ich wątpliwą łaskę.

Jeden z nich starał się odwrócić uwagę Neysy, cofając się przed jej rogiem, podczas gdy drugi próbował zająć ją z boku. Stile zaatakował tego drugiego, dźgając go końcem rapiera. Żałował, że nie ma pałasza; wtedy mógłby poszatkować potwora na kawałki. Nie był pewien, czy samo przebicie stworzenia odniesie właściwy skutek.

To był błąd. Wbił rapier w bok potwora, a ten wrzasnął i obrócił się błyskawicznie w stronę Stile'a, wyciągając ku niemu ogromne tłuste łapska. Stile pchnął go ponownie, tym razem w mięsiste ramię. Nie była to śmiertelna rana, ale bolesna. A więc demony są zdolne do odczuwania bólu; Stile obawiał się, że są odporne. Musiałby teraz trafić w żywotny punkt, zanim stworzenie nie...

Łapa potwora uderzyła z oślepiającą prędkością i wybiła broń z dłoni Stile'a. Oczy stworzenia zabłyśły.

Stile przygotował się błyskawicznie do rzutu przez ramię, chwytając bliższą ręką potwora i szarpiąc ją do góry. Technika ta pozwalała nawet najmniejszemu człowiekowi wyrzucić w powietrze największego. Miał jednak do czynienia z bestią. Stworzenie było tak wielkie i długorekie, że nawet nie drgnęło.

Potwór podniósł ramię i uniósł Stile'a do góry. Poczul na szyi gorący oddech; za chwilę odgryzie mu głowę

- Nie przeszkadzajcie! W piekle znikajcie! -- zawołał Stile pod wpływem nagłego olśnienia.

Spadł na ziemię. Potwór znikł.

Stile, zadowolony, rozejrzał się dokoła. Zaimprovizowane zaklęcie zadziało! Wyglądało na to, że ten świat miał swoje piekło i można było wysłać...

Stile zamarł. Drugi zbior też znikł. I Neysa! - Och, nie! - krzyknął z rozpaczą.

Szybko, przeciwzaklęcie. Wszystko jedno co! Co się rymuje z zaklęciem?

- Co za nieszczęście, cofam zaklęcie - wyśpiewał. Oba potwory i Neysa wróciły. Cała trójka była poparzona i mocno okopcona.

- Potwory znikają, jednorożce zostają! - zaśpiewał Stile. Monstra znowu znikły.

Neysa spojrzała na niego z wyrzutem. Otrząsnęła się, a wokoło poleciały drobiny sadzy. Była poplamiona siarką, miała przypaloną grzywę, a jej ogon był aż o połowę krótszy. Sierść na całym ciele miała osmaloną. Wokół źrenic pokazały się białka; jawny sygnał końskiego strachu.

- Przykro mi, Neysa - powiedział pełen skruchy. Nie przyszło mi to do głowy! Wcale nie miałem zamiaru posyłać ciebie do piekła!

Rozumiał jednak, że same słowa na nic się nie dadzą. Neysa była poparzona, cierpiała.

Umiał rzucać czary. Musiał tylko za każdym razem zaśpiewać nowe zaklęcie. Czy potrafiłby uzdrowić Neysę?

- Neysa, droga, bądź jak nowa! - wyśpiewał czym prędzej.

Skutki ognia piekielnego zaczęły od razu znikać. Odrośla grzywa, a ogon znów był długi, czarny i prosty. Sierść odzyskała dawny połysk i kopyta zajaśniały poprzednim perłowym blaskiem. Była zdrowa. Czy jego moc miała jakieś granice?

Neysa nie wyglądała na zadowoloną. Fizycznie była już zdrowa, ale musiała mieć naprawdę wstrząsające przeżycie. Podróż do piekła! Jak mógłby usunąć z jej pamięci takie doświadczenie? Czy powinien ułożyć zaklęcie, które przyniosłoby jej zapomnienie? Ale to

oznaczało manipulowanie psychiką. A jeśli znów popełniłby błąd? Nie, nie odważy się spróbować.

Klacz spoglądała na niego podejrzliwie. Obawiał się, że wie dlaczego.

- Neysa, ilu mieszkańców tego świata umie uprawiać podobną magię? - zapytał. - Wiem, że większość może rzucać drobne zaklęcia, na przykład przechodzić przez zasłonę, podobnie jak prawie każdy umie zagrać niezdarłą melodyjkę na harmonijce. Ilu jednak może robić to dobrze, na profesjonalnym poziomie? Wielu?

Zagrała przecząco.

- Ja też tak myślę. W każdej dziedzinie wiedzy jest tak, że wielu ludzi ma trochę talentu, a kilku jest bardzo uzdolnionych. Wszystko podporządkowane jest krzywej dzwonowej i byłoby dziwne gdyby magiczne umiejętności nie były podobnie rozłożone. A więc może kilkudziesięciu?

Ponownie odpowiedziała przecząco. - Kilkunastu? - Tym razem przeczenie było słabsze. - Kilku?

- Potwierdziła. Stile skinął głową.

- A ilu umie rzucić czar na jednorożca, skoro jednorożce są prawie zupełnie odporne na magię?

Neysa spoglądała na niego z nasilającym się zdenerwowaniem. Nozdrza jej drżały, uszy miała ściągnięte do tyłu. Zły sygnał.

- Tylko Adepcci? - spytał Stile.

Zagrała potwierdzająco, cofając się. Znowu widać było białka jej oczu.

- Ależ, Neyso, nawet jeśli mam takie umiejętności, to wciąż, pozostaję tym samym człowiekiem! - zawołał. Nie musisz się mnie bać! Nie chciałem posłać cię do piekła! Po prostu nie znam jeszcze swojej mocy!

Przyjęła to do wiadomości stanowczym parsknięciem, ale cofnęła się jeszcze bardziej.

- Neysa, jesteś moim jedynym przyjacielem na Phase. Potrzebuję twojej pomocy! - zawołał zrozpaczony.

Zrobił krok w jej kierunku, lecz zauważył, że boi się go i nie ma zaufania; tak, jakby stał się demonem i zrzucił przebranie. - Nie chciałbym, żebyś tak to rozumiała! Magia nie jest dla mnie ani w części tak ważna, jak twój szacunek. Przyłączyłaś się do mnie, chociaż mogłaś mnie zabić. Byliśmy sobie tacy bliscy przez te ostatnie trzy dni!

Zmarszczyła nos, zła, że Stile próbuje ją w taki sposób przekonywać. Wysłał ją przecież do piekła; udowodnił jak niebezpieczna i poniżająca może okazać się dla niej jego moc, a jednak poruszył ją; nie chciała go pozostawić samego.

- Wcale nie próbowałem być czarownikiem - tłumaczył się Stile. - Myślałem, że źródło magii jest poza mną. Muszę znać prawdę. Może prawda jest gorsza, niż podejrzewam.

Parsknęła potwierdzająco. Była całkowicie przeciwna jego magii.

- Czy będzie lepiej, jeśli obiecuję, że już nigdy nie będę próbować magii? Te będę zachowywał się tak, jakby nie było we mnie żadnej mocy? Jestem człowiekiem honoru, Neyso. Będę takim, jakim mnie wcześniej znałaś.

Zastanawiała się, strzygąc uszami do przodu i do tyłu, w miarę jak różne argumenty przepływały przez jej koński mózg. Wreszcie prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

- Przysięgam - obiecywał Stile - że nie będę uprawiał magii bez twojej zgody.

Wokół niego pojawił się słaby odblask, który zaczął się rozszerzać. Trawa zadrżała, poruszona koncentrycznymi falami, które gwałtownie oddalały się, aż znikły z pola widzenia. Kiedy mijały Neysę, jej ciało na chwilę zmieniło kolor, a po chwili wszystko wróciło do normalności.

Podeszła do niego. Stile zarzucił jej rękę na szyję, przytulając do siebie. Wymagało to szczególnych umiejętności, ale było warte wysiłku.

- Och, Neysa! Co może być lepsze od przyjaźni!

Neysa, będąc w swojej naturalnej postaci, nie była skłonna do demonstracyjnego okazywania uczuć, lecz sposób, w jaki nastawiła uszu i trąciła go pyskiem, był wystarczająco wymowny.

Zaczęła skubać trawę, a Stile ciągle był głodny. W okolicy nie było odpowiedniego dla niego pożywienia, ale skoro zaprzysiągł porzucić magię, nie mógł nic sobie wyczarować do jedzenia. Pozbywając się związków z magią, poczuł wielką ulgę, lecz jak miał to wytłumaczyć własnemu żołądkowi?

Zauważył nieopodal zabitego przez Neysę potwora. Czy te bydlęta są jadalne? To była właściwa okazja do sprawdzenia. Wyciągnął nóż i zaczął oporządzać demona.

Neysa wyszła, co robił. Zagrała na rogu podtrzymując go na duchu nutę, a potem przegalopowała kilka razy szerokim kołem wokół niego, podczas gdy Stile zbierał suchą trawę, gałęzie i patyki na ognisko. Kiedy zakończył przygotowania, skierowała się w jego stronę, zatrzymała się gwałtownie i parsknęła żywym ogniem. Najwyraźniej nie zdążyła ochłonąć po bitwie (albo po pobycie w piekle) i wystarczyło trochę wysiłku, aby wytworzyła odpowiednią ilość ciepła. Gałęzie zajęły się żywym ogniem.

Stek z potwora był przepyszny.

Rozdział 11

WYROCZNIA

Zanim dwa dni później dotarli do Wyroczni, Stile przemyślał sobie dokładnie całą sytuację. Mógł uprawiać magię na poziomie Adepta, jeśli tylko trzymał się określonych reguł. Wyrzekł się jej pod przysięgą, której nie zamierzał łamać, ale nie zmieniało to faktu, że był Adeptem. Mogło to tłumaczyć, dlaczego inny Adept usiłował go zabić; ten inny świadom był możliwości Stile'a i starał się pozbyć konkurenta. Wyglądało

na to, że Adepci byli zazdrośni o swoje prerogatywy, podobnie jak członkowie większości oligarchii i elit władzy.

Jak więc postąpić? Wyrzeczenie się magii nie chroniło go przed zawistnym Adeptem, zazdroszczącym Stile'owi samych choćby tylko możliwości. Jeśli ściga go tylko jeden wróg, Stile mógłby spróbować odnaleźć go i jakoś sobie z nim poradzić. Bez magii? To mogło być niebezpieczne! Poprosi więc Wyrocznię o radę.

Wyrocznia miała pałac. Otaczały go zadbane trawniki i żywopłoty, a dekoracyjne fontanny zraszały ogrody. Teren był otwarty; każdy mógł tam wejść, człowiek lub zwierzę. W tym świecie zwierzęta miały taki sam status jak ludzie. Była to jedna z rzeczy jakie Stile'owi się tu podobały. W pałacu i w otaczających go ogrodach zabroniona była inna magia niż Wyroczni i nie wolno było tu nikogo molestować ani do niczego przymuszać.

- Nie chciałbym być nieuprzejmy - zauważył Stile - ale to miejsce nie wydaje mi się imponujące. Zaprojektowane jest pięknie i tak wygląda, ale...

Przy wejściu Neysa kazała mu zdjąć siodło i zaprowadziła go do małej, skromnej komnaty na tyłach pałacu. Na jednej ze ścian znajdowała się zwykła tuba do rozmów.

Stile przyjrzał się tubie.

- I to wszystko? To jest Wyrocznia? - zapytał z powątpiewaniem. - Żadnych ceremonii, fanfar, ognistych kul? Mam tylko podejść i zapytać?

Neysa skinęła głową.

Stile, czując, że pozostawiono go własnemu losowi, zwrócił się do tuby:

- Wyrocznio, jaką drogę powinienem obrać?

- Poznaj samego siebie - usłyszał w odpowiedzi.

- To niezrozumiałe. Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie? Neysa delikatnie odciągnęła go na bok.

- Chcesz powiedzieć, że mogłem zadać tylko jedno pytanie? - zapytał zmartwiony Stile.

Tak właśnie było. Podobnie jak zakłęcie, Wyrocznia mogła być wezwana przez każdą istotę tylko raz. Neysa nie przyprowadziła go tu, aby znalazł odpowiedź na nurtujące go pytania, ale dla bezpieczeństwa.

Stile zostawił Neysę w komnacie i wyszedł na zewnątrz. Nie próbowała go powstrzymać, czując, jak bardzo jest rozczarowany. Skierował się ku pierwszej fontannie jaką ujrzał. Po przeciwnej jej stronie siedział wilk. Prawdopodobnie nie był oswojony, ale w takim miejscu nie powinien go zaatakować. Stile ściągnął koszulę, pochylił się nad basenem i ochlapał twarz chłodną wodą. A więc jest bezpieczny i co z tego? Jego ciekawość pozostała niezaspokojona. Czy miał na zawsze pozostać w tym niezrozumiałym dla siebie świecie?

- Waść także ?

Stile, zaskoczony, podniósł wzrok, strząsając z twarzy krople wody. Z drugiej strony fontanny stał młody mężczyzna. Miał potargane rudawe włosy, ciemną twarz i jasne, błyszczące oczy pod gęstymi brwiami. Jego broda i baki przypominały futro.

- Przykro mi -- powiedział Stile - ale cię nie zauważyłem. Czy przeszkodziłem?

- Zaprawdę widziałeś mnie waść - odparł nieznajomy - lecz w mej wilczej postaci.

- Wilczej. Jesteś wilkołakiem? - zdziwił się Stile. Nie przywykłem jeszcze do tego świata. Nie wiedziałem... Wybacz.

- To widać było po stylu waszej mowy, lecz nie przepraszaj waść kundla - banity.

Styl mowy. Nagle Stile przypomniał sobie: jednorożec Clip, brat Neysy, używał podobnego archaicznego języka. Najwyraźniej ten styl jest tu obowiązujący. Będzie musiał się dostosować, jeśli nie chce rzucać się w oczy swoją odmiennością.

- Ja... spróbuję poprawić swą mowę. Raz jeszcze przepraszam za to, że nie rozpoznałem waści.

- Przeprosiny nie są konieczne. Tereny te otwarte są dla wszystkich bez wyjątku, nawet takich jak ja.

Stile wspomniał Sheen, dziewczynę - robota, twierdzącą, że nie ma żadnych praw z powodu swego mechanicznego pochodzenia. Zaniepokoiło go to.

- Jeśli wygnanie czyni cię niegodnym przeprosin, to jestem bardziej niegodny, niż waść. Uciekam przed całym światem - powiedział szczerze.

- Och, a więc jest tak jak myślałem. Przybywasz waść z Protona. Jesteś waść Obywatelem czy niewolnikiem?

- Niewolnikiem - odparł Stile.

Zaskoczony był wiedzą nieznajomego o Protonie, ale wiedział, że wcześniej inni

mieszkańcy planety też przekraczali magiczną zasłonę.

- Panie Wilkołaku, jeśli znajdziesz w sobie cierpliwość, chciałbym z waścią chwilę porozmawiać.

- Z przyjemnością, skoro waść znasz już mój ród i nie przeszkadza ci to. Jestem Kurrelgyre, wilkołak - przedstawił się uprzejmie.

- Jestem Stile, człowiek.

Stile wyciągnął rękę, którą obcy przyjął, po chwili charakterystycznej dla kogoś, kto przypomina sobie obyczaje obcej kultury.

- W mojej drugiej postaci obwąchujemy ogony - powiedział Kurrelgyre przepraszająco.

- Tak wielu jeszcze rzeczy nie wiem o tym świecie powiedział Stile. - Gdybyś znał... waść mój świat, mógłbyś... pojąć mój problem. Nie wiem, jak tu się dostałem i jak mogę powrócić, a odpowiedź Wyroczni wydaje mi się nieprzydatna.

- Taka już jest natura Wyroczni - zgodził się Kurrelgyre. - Jestem również skonfundowany. Zapytałem Wyrocznię, jak mógłbym odzyskać pozycję w społeczeństwie, nie podpadając pod klątwę, a Wyrocznia nakazała mi kultywowanie błękitu. Czy cokolwiek to dla waści znaczy?

Stile potrząsnął głową.

- Nic. Ja zapytałem się o drogę, jaką powinienem obrać i odpowiedziano mi: "poznaj samego siebie". Nie wątpię, że rada ta dobra jest w każdej sytuacji, ale trochę brak w niej konkretów. To nawet nie jest propozycja działania; to tylko rada.

- Zdumiewające niedopatrzenie - zgodził się Kurrelgyre. - Przejdźmy się razem po ogrodzie. Może rozmowa przyniesie nam rozwiązanie?

- Z przyjemnością. Pozwól tylko, że zawiadomię moją towarzyszkę. Przeprowadziła mnie tu...

- Oczywiście.

- Zawrócili w stronę pałacu, kierując się ku komnacie Wyroczni, gdzie Stile pozostawił Neysę.

Była tam jeszcze; stała przed mówiącą tubą, najwyraźniej nie mogąc zdecydować się, co powiedzieć. Na jej widok Kurrelgyre warknął, zmieniając błyskawicznie postać. Neysa gwałtownie obróciła się, a jej róg skierowany był prosto w wilka.

- Zatrzymajcie się - krzyknął Stile, czując, że zanosi się na walkę.

- Nie ma...

Wilk skoczył, Neysa rzuciła się do przodu. Stile runął pomiędzy nich.

Wszyscy troje na moment zastygli. Koniuszek rogu Neysy dotykał piersi Stile'a. zęby

wilka musnęły jego ramię tuż koło barku. Na ręce i piersi Stile'a. tam gdzie przecięły ją szpikulce zębów i rogu, pojawiły się strużki krwi.

- A teraz może byście oboje przybrali ludzką postać i przeprosili Wyrocznię za ten incydent? - powiedział Stile. Przez chwilę nic się nie działo. Potem oba stworzenia zamigotały i przemieniły się. Stile znalazł się pomiędzy śliczną dziewczyną a przystojnym młodzieńcem. Wciąż jeszcze był bez koszuli, ze strużkami krwi na ciele; zapomniał ubrać się po tym, jak chlapał się w basenie fontanny.

- Wnioskuje, że jednorożce i wilkołaki są odwiecznymi wrogami - powiedział. -- Przepraszam, nie wiedziałem. Ale to nie jest właściwe miejsce na tego rodzaju, hm, towarzyskie utarczki. Pogódźcie się czym prędzej.

Oczy Neysy strzeliły prawdziwym ogniem, a Kurrelgyre nachmurzył się. Oboje zerknęli jednak na tubę Wyroczni, potem na krwawe ślady na ciele Stile'a i wreszcie spojrzeli na siebie. Znowu nastąpiła chwila ogólnego milczenia.

Stile przyjrzał się im. Ubranie wilkołaka pojawiło się wraz z jego ludzką postacią; gustowna, wykończona futrem kurtka i obcisłe spodnie nieco zdobiły człowieka o szorstkiej powierzchowności. Neysa ubrana była w lekką, czarną suknię podkreślającą zuchwałe piękno jej figury; widać było, że nosi ubranie wtedy, kiedy się jej to podoba, choć nocą nie zawracała sobie tym głowy. Wyglądała na dziewczynę mogącą zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie; Kurrelgyre również wydawał się zachwycony.

- To miejsce rozejmu - powiedział w końcu wilkołak. - Żałuję, moje dobre maniery padły ofiarą instynktu.

-- Ja również - zgodziła się cicho Neysa.

- Wstrętem napawa mnie fakt, że przelałem krew niewinnego.

- Mnie także.

- Przyjmij w zamian moją krew - Kurrelgyre wyciągnął rękę. Neysa zrobiła to samo.

- Ani myślę! - powiedział Stile. - Jeśli wy... waść... oboje...

Wilkołak uśmiechnął się przelotnie.

- Pierwsze twoje słowo było prawidłowe, przyjacielu. Liczba mnoga.

- Jeśli oboje czujecie, że jesteście mi coś winni, wynagrodźcie mi to, przepraszając się nawzajem. Odrazę budzi we mnie to, że stałem się przyczyną niezgody pomiędzy prawymi istotami.

- Kara za przelaną krew nie zawsze bywa dokuczliwa - wymruczał Kurrelgyre.

Skłonił się dworsko przed Neysą.

- Jesteś waćpanna zdumiewającym przykładem końskiej urody.

Neysa odpowiedziała głębokim ukłonem obnażającym jej pierś i nogę bardziej, niż to było konieczne. Co za sztuczki można wyczyniać z ubraniem! Nic dziwnego, że Obywatele Protona zarezerwowali odzież wyłącznie dla siebie.

- Wielkie dzięki, wilku.

Następnie Neysa ostrożnie wyciągnęła rękę. Zamiast ją uściskać, Kurrelgyre lekko ją unióśł, zbliżając ku swojej twarzy. Przez chwilę Stile lękał się, że wilkołak ma zamiar ją ukąsić, lecz ten ucałował palce Neysy.

Stile z ulgą postąpił krok naprzód i ujął oboje pod ramię. - Przejdźmy się teraz razem, kiedy już jesteśmy przyjaciółmi. Wiele mamy ze sobą wspólnego, gdyż wszyscy jesteśmy w pewien sposób banitami. Neysę wykluczono ze stada z powodu jej barwy...

- A cóż niewłaściwego jest w jej kolorze? - spytał zdumiony wilkołak.

- Nic - odparł Stile.

Wypatrzył swoją koszulę leżącą obok fontanny i skierowali się w tamtą stronę.

- Niektóre jednorożce mają spaczony gust - dodał. Kurrelgyre zerknął z ukosa na dziewczynę.

- Oczywiście, że tak. Podejrzewam, że Pierwszy Ogier Stada o jeden raz za dużo uderzył rogiem o skałę. Jestem tego pewien. Zrozumiałe, że nie jestem amatorem jednorożców, lecz kryteria piękna są uniwersalne. Neysa jest niezwykle zgrabna. Gdyby była wilkołaczycą...

- Jestem wygnańcem, gdyż odmówiłem... odmówiłem wykonania polecenia mego pracodawcy - ciągnął Stile lub inaczej mówiąc, nie chciałem honorować bezprawnej umowy zaproponowanej mi przez Obywatela.

Drobne drażnienia obmył wodą z fontanny i narzucił koszulę.

- A jakież jest, jeśli wolno mi spytać, twój problem, panie wilkołaku? - zapytał z zaciekawieniem.

- Wśród mego plemienia, gdy zwierzyna przeredza się, a liczebność stada rośnie ponad pojemność środowiska, najstarsi są eliminowani. Mój rodzic jest jednym z najstarszych, niegdyś był przywódcą watahy, więc miałem zabić go i objąć po nim przywództwo. Rzeczywiście, nie było w moim stadzie wilka, którego nie mógłbym pokonać w uczciwej walce. Kochałem jednak mego ojca, najlepszego z wilków, i nie mogłem tego uczynić. Dlatego też, ku memu wstydowi, utraciłem swe miejsce w stadzie.

- Zostałeś waśc wygnany ze względu na swoje sumienie?! - wykrzyknął Stile.

- Nic nie jest dobre, co nie jest dobre dla stada mruknął wilkołak.

- To prawda - westchnęła smutnie Neysa.

Doszli do otoczonego żywopłotem parku; pośrodku urządzony był piękny ogród skalny. Neysa i Kurrelgyre usiedli na kamieniach znacznie bliżej siebie, niż było to właściwe dla odwiecznych wrogów.

- Spójrzmy raz jeszcze na twą sytuację, Stile - rzekł wilkołak. - Niewiele waść wiesz o tej krainie, lecz to nie powinno przysparzać ci niepotrzebnych lęków. Nie może grozić ci niebezpieczeństwo, skoro masz u swego boku szlachetnego jednoroźca.

- A jednak - odparł Stile - wygląda na to, że któryś z Adeptów chce mnie zabić.

- W takim przypadku wszelka nadzieja jest zwodnicza. Przeciw Adeptom jeden jest tylko ratunek - unikać ich. Musisz pozostać na zawsze tu, w pałacu Wyrocni.

- Rozumiem, że tak byłoby w każdym zwykłym wypadku, lecz zdaje mi się również, że ja sam mam moce Adepta. Kurrelgyre przeobraził się w wilka i z obnażonymi zębami cofał się przed Stilem.

- Zaczekaj! - krzyknął Stile. - Neysa tak samo zareagowała! Ale przysięgłem jej nie używać magii, dopóki mi na to nie pozwoli.

Wilkołak wahał się, przetrawiając usłyszane słowa, wreszcie przemienił się ostrożnie w człowieka.

- Żaden jednorożec nie da ci na to pozwolenia, nawet gdyby nie należał do tej najbardziej upartej rasy.

Neysa potwierdziła to skinieniem głowy.

- Jestem tylko zabłąkanym wędrowcem z innego świata - zauważył Stile. - To tylko przypadek, że mam magiczny talent.

- Przypadek? - warknął Kurrelgyre. - W świecie tym prawie nic nie jest przypadkowe. Przypadek to tylko nazwa, jaką w twojej rzeczywistości nadajecie tej odrobinie magii, która tam działa. Tutaj wszystko ma swoje znaczenie. Zamyślił się na chwilę.

- Miałeś waść jakoweś talenta w twym świecie? - Pewnie dosiadam konia...

Wilkołak zerknął na Neysę, która siedziała ze skromnie odsłoniętymi zgrabnymi kostkami i łagodnie falującą piersią. - Jestem też biegły w Grze - ciągnął Stile.

- Gra! To właśnie to! Czyż nie wiedziałeś, że uzdolnienia magiczne w tym świecie odpowiadają biegłości w Grze na twoim? Powiedz uczciwie, jak dobry w niej jesteś'?

- Cóż, jestem dziesiąty w mojej drabinie wiekowej... Kurrelgyre ostrzegająco pomachał palcem.

- Sądzisz, waść, że obce są mi sprawy drabin Gry'? Jeśli dochodzisz do piątego miejsca, musisz wziąć udział w dorocznym Turnieju. Nie wykręcaj się waść, to bardzo ważne. Jak dobry byłbyś, gdybyś spróbował w absolutnej skali?

Stile zrozumiał, że nie jest to pora na skrywanie prawdy czy też fałszywą skromność.

- Powiniennem być przynajmniej w pierwszej dziesiątce. Jeżeli miałbym dobry dzień, to w pierwszej czwórce, piątce.

- A więc zaprawdę jest w tobie materiał na Adepta. Nie ma ich więcej niż dziesięciu. Tyłu, ile jest kolorów: Biały, Żółty, Pomarańczowy, Zielony i tym podobne; nie ma więcej wyraźnie określonych barw. Jeden z nich musiał umrzeć.

- O czym waśc mówisz'? Dlaczego musiał umrzeć? Tylko dlatego, że dobrze gram.... - Stile złapał się na tym, że niechcący przyszła mu na myśl rymowanka i urwał, by nie złamać przysięgi.

- Ach, zapomniałem! Brak ci jeszcze kilku informacji. - Musisz wiedzieć, że nikt nie może przekroczyć zasłony, dopóki żyje jego sobowtór. A więc...

- Sobowtór?

- Tak. Drugi ty. Wszyscy prawdziwi ludzie istnieją naraz w obu światach i są uwięzieni tam, gdzie się urodzili, chyba że jeden niespodziewanie umrze. Wtedy...

- Chwileczkę". Chcesz waśc powiedzieć, że ludzie i geografia tych światów odpowiadają sobie? To nie może być. Na Protonie niewolnicy są ciągle przywożeni i deportowani, gdy kończy się ich służba, a tylko Obywatele mieszkają tam na stałe.

- Może tak jest teraz, lecz nie zawsze tak było. Większość ludzi wciąż jest powiązana. Mieszkańcy Protona z Phase, a mieszkańcy Phase z Protonem. Pozostali to częściowi ludzie, tak jak ja. Może kiedyś miałem sobowtóra niewolnika, który odjechał z Protona, tak że zostałem sam.

- Możesz podróżować pomiędzy światami, ponieważ na Protonie nie ma wilkołaków?

Kurrelgyre zastanowił się.

- Możliwe. Tutaj są zwierzęta i istoty specjalne, a tam? Tam są niewolnicy. Pewnie jakoś się to równoważy, lecz waśc... waśc możesz podróżować, gdyż twój magiczny sobowtór nie żyje. A twoim magicznym bliźniakiem mógł być tylko...

- Adept -- dokończył Stile. - Wreszcie pojąłem. - Poznaj samego siebie - przypomniała Neysa. Adept.

Zmarszczyła brwi.

- To jest to! - zawołał Stile. - Muszę dowiedzieć się, którym Adeptem jestem.

Zauważył powagę na twarzy Neysy.

- Ale czy mogę? Przysięgłem porzucić magię.

- Tylko wykorzystując swą moc Adepta, możesz żywić nadzieję, że przeżyjesz! - wykrzyknął Kurrelgyre.

Po chwili zreflektował się.

- Co ja mówię? Któż chciałby pomóc przeżyć Adeptowi" Piękna Neysa ma rację: porzuć waść magię.

- Ale co złego jest w byciu Adeptem? - spytał Stile. - Przecież możliwość uprawiania magii mogłaby być bardzo korzystna.

Wilkołak i jednorożec wymienili spojrzenia.

- Zaprawdę on nic nie rozumie - mruknął Kurrelgyre. - Nie rozumiem - zgodził się Stile. - Wiem oczywiście, że magia może być niebezpieczna. Tak samo nauka. Oboje jednak zachowujecie się tak, jakby magia była zbrodnią. Chcecie mnie przekonać, że lepiej byłoby być martwym człowiekiem niż żywym Adeptem? A jednak magia mogłaby zdziałać wiele dobrego.

- Być może powinieneś waść spotkać jakiegoś Adepta - stwierdził Kurrelgyre.

- Może powinienem! Nawet jeśli sam nie uprawiałbym magii, to przynajmniej wiedziałbym kim jestem, do jakiego typu istot należę. Z tego, co mówisz, wnoszę, że coś stało się mojemu sobowtórowi - Adeptowi, a biorąc pod uwagę mój wiek i zdrowie, nie miało to naturalnych przyczyn.

Umilkł na chwilę.

- Ależ tak! Powinniśmy po prostu sprawdzić, który z Adeptów umarł ostatnio - zaproponował.

- Żaden - zapewnił go Kurrelgyre. - A przynajmniej nikt z nas o tym nie słyszał.

- Cóż, będę musiał sprawdzić - zdecydował Stile. Będę sprawdzać wszystkich Adeptów, dopóki nie znajdę tego, który umarł i nie upewnię się, że to mój sobowtór. Wtedy dopiero będę usatysfakcjonowany. Tylko... skąd będę wiedział, że nie umarło jednocześnie dwóch Adeptów i że odnalazłem właściwego?

- To żaden problem - stwierdził Kurrelgyre. - Twój sobowtór będzie wyglądał tak samo jak ty. Tak więc pozna to każdy, kto spotka cię w jego dobrach. A do tego Adepci mają osobiste, niepowtarzalne style uprawiania magii. Jakiż jest twój styl?

- Styl Stile'a - mruknęła Neysa, pozwalając sobie na przelotny uśmiech.

- Rymowana mowa lub pieśń - odparł Stile. - Moją moc wyzwala muzyka. Który z Adeptów używa tego sposobu?

- Tego nie wiemy. Adepci nie dopuszczają, by wiadomość taka przedostała się do prostego ludu. Często ukrywają zaklęcia pod nic nie znaczącymi zabiegami; deklamują, gdy w istocie ważny' jest gest; przybierają pozy, gdy liczy się słowo. W każdym razie tak mówi się między prostym ludem. Nie wiemy, skąd biorą się amulety i golemy, lecznicze napoje,

mirażę i inne magiczne sztuczki. Wiemy tylko, że rzeczy te istnieją i znamy, na nasze nieszczęście, ich potęgę.

Odwrócił się, ujął Stile'a za rękę i rzekł:

- Przyjacielu, nie rób tego, co zamierzałeś. Jeśli odnajdziesz swego sobowtóra, staniesz się z nim jednością, a ja nieść będę brzemień odpowiedzialności za to, że nie zabiłem cię wtedy, gdy mogłem to uczynić. Podobnie Neysa, która ci pomogła. Nie obarczaj jej takim ciężarem.

Stile, wstrząśnięty, zwrócił się ku Neysie: - I ty też tak myślisz?

Smutnie skinęła głową.

- Mniemam, że Neysa zawiodła cię do Wyrocni, by uniknąć nieszczęścia, które przeczuwa - powiedział Kurrelgyre. - To trudny wybór. Oznacza on konieczność zniszczenia przyjaciela lub oddanie Adeptowi władzy nad tą krainą. Tu jesteś waść bezpieczny, nawet przed nieprzyjaciółmi.

- Jestem przecież związany przysięgą! - przypomniał Stile.

Miał nadzieję, że pojął już reguły języka; te wszystkie: wy, waść, mą.

- Nie będę rzucał zaklęć! Nie stanę się potworem, którego się obawiacie. Chcę tylko poznać prawdę. Czy możecie mi tego zabronić?

Kurrelgyre powoli pokręcił głową.

- Nie możemy ci tego zabronić. Jednak chcielibyśmy...

- Muszę poznać samego siebie - powiedział Stile. Tak poleciła Wyrocnia.

- Wyrocnia nigdy się nie myli - przyznał wilkołak. Nie można jej przeciwstawić naszego skąpego doświadczenia. - Więc udam się na poszukiwania sam – zadecydował Stile.
- Kiedy zaspokoję już moją potrzebę poznania, wrócę do świata, w którym magia nie ma racji bytu. Tak więc nie musicie obawiać się, że przemienię się w jakąś bestię, którą, według was, mógłbym się stać. Zresztą i tak muszę niedługo powrócić, by znaleźć nowego pracodawcę, gdyż inaczej skończy się moje prawo pobytu na Protonie.

Neysa spuściła wzrok.

- A czemuż dbać miałbyś, waść, o prawo pobytu na Protonie'? - dopytywał się Kurrelgyre. -- Pozostań tu, kryjąc się przed twym wrogiem; nie musisz przecież wracać.

- Proton jest moim światem - zaprotestował Stile. Nigdy nie miałem zamiaru tu pozostać...

Wilkołak wstał i odciągnął Stile'a na bok.

- Muszę powiedzieć ci coś w języku, którego nieprzystojnie byłoby używać przy białogłowach - stwierdził. Neysa rzuciła mu szybkie spojrzenie, lecz pozostała w ogrodzie.

- Co to za nonsens z tą nieprzystojną mową? - spytał Stile, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem uszu Neysy. Nie mam przed nią sekretów...

- Czyż nie widzisz, że klaczka jest w tobie zadurzona? - zapytał wilkołak.

Stile poczuł, jak budzi się w nim sumienie. Często porównywał Neysę i Sheen, lecz nie dostrzegł najważniejszego. - Przecież nie jestem jednorożcem!

- A ja nie jestem człowiekiem, lecz będąc tobą, nie mówiłbym tak beztrąsko o odejściu. Lepiej zadać cios szybko, w samo serce.

- Ach tak. Nie... - płątał się skonfundowany Stile. Ona... my byliśmy... Sądziłem, że to tylko forma grzeczności. Nigdy bym nie pomyślał...

- Zaiste była to niezwykła forma grzeczności - zauważył Kurrelgyre. - Sam kiedyś postąpiłem nieroztropnie w tej materii, lecz moja samica naprostowała me ścieżki.

Przesunął palcami po starej bliznie, ciągnącej się od ramienia aż do punktu niebezpiecznie blisko gardła. Wilkołaki najwidoczniej przywykły do bezpośredniego wyrażania swych uczuć.

- Powiem wam to, czego może mówić nie powinienem: Neysa w każdej swej postaci jest najpiękniejszym stworzeniem, jakie można spotkać. Jest także istotą najbardziej stałą w uczuciach. Hańbą okryłbym się na wieki, podnosząc na nią rękę, gdybyś mnie nie powstrzymał. Biorąc pod uwagę odwieczną wrogość istniejącą pomiędzy człowiekiem a jednorożcem, równą tej, która dzieli człowieka i wilkołaka oraz wilkołaka i jednorożca, jej przywiązanie do ciebie jest najgłębszym dowodem uczucia. Chyba że... Może nie zaznałaś waść nigdy kobiety... z wyjątkiem Neysy?

- Nie.

- I najważniejsze ze wszystkiego: czy pozwoliła dotykać ci swoich najbardziej sekretnych miejsc?

Stile poczerwieniał z lekka. - Przecież ci powiedziałem...

- Jej kopyta, róg - objaśnił Kurrelgyre. - Żaden jednorożec nie pozwoli, by obcy dotykał tych magicznych miejsc. - Tak, oczywiście. Ja...

- A więc to musi być miłość. Inaczej nie tolerowałyby twego dotyku. I zważ, przyjacielu, gdy pojęła, że jesteś Adeptem, oszczędziła cię tylko z miłości, łamiąc prawa swego gatunku. Nie możesz tak łatwo o tym zapominać.

Znów dotknął blizny blisko gardła.

-- Nie mogę - zgodził się zarliwie Stile, wspominając znowu Sheen.

Zawsze cechował go pewien rodzaj osobistego magnetyzmu, przyciągający kobiety, choć działanie tej siły przeważnie niwelowane było natychmiast wrażeniem, jakie czyniły

jego nieśmiałość i wzrost. W ten sposób jego związki bywały albo bardzo niezobowiązujące, albo bardzo głębokie, bez stadiów pośrednich. Jednak taka sytuacja pociągała za sobą pewien rodzaj odpowiedzialności - nie chciał ranić kobiet, które mu się powierzyły.

Przypomniał sobie, znów odczuwając tęsknotę, jak Tune wzbudziła w nim miłość, a potem go zostawiła. Nigdy nie winił jej za to i nie zrezygnowałby z tej miłości, nawet wtedy, gdyby wiedział, co go czeka. Pokazała mu świat, którego barwy wcześniej zaledwie zaczynał dostrzegać. Lecz sam nie chciałby postąpić podobnie.

Nie obawiał się żadnego niebezpieczeństwa. Wiedział, że Neysa nigdy by go nie skrzywdziła. Jeśli jednak ją zostawi, rzuci się ze skalnej krawędzi, nie przemieniając się w świetlika. Oszczędzi jego, ale nie siebie. Taka już jest.

Pytanie wilkołaka było celne: dlaczego Stile nie miałby tu pozostać? Życiu jego, co prawda, groziło niebezpieczeństwo, lecz ten sam powód zmusił go ucieczki z Protona. Gdyby udało się je zniweczyć, to świat ten miał zalety dorównujące atrakcyjnością Grze.

Prawdę mówiąc, magia była równie fascynująca jak... Nie! Przysięga czyniła te rozważania czysto teoretycznymi. Ale co będzie z Sheen? Nie może zostawić jej bez żadnych wyjaśnień. Musi wrócić, choćby tylko po to, by jej wszystko wytłumaczyć. Jest robotem, więc musi zrozumieć. Najrozsądniej byłoby wybrać lepszy z dwóch światów i w nim pozostać. Sheen zadowolony byłby tym, że będzie wiedziała, iż jest bezpieczny; jej misja zostanie wypełniona.

O ile wiedział, Tune była bezpieczna i szczęśliwa... Czy to mogło mu wystarczyć? Żył ze świadomością, że jego objęcia zastąpione zostały ramionami innego mężczyzny, któremu dała to, co Stile'owi podarowała tylko symbolicznie: syna. Rozumiał ją, a więc i Sheen zrozumiałaby... ale czy mniej przez to cierpiał?

Cóż jednak innego mógł uczynić? Nie mógł przecież żyć jednocześnie w obu światach. A w każdym razie jego prawo pobytu na Protonie było ograniczone, tutaj natomiast wieczne.

Stile powrócił do Neysy i usiadł obok niej. Kurrelgyre przyszedł za nim.

- Wilkołak uświadomił mi, że nie mogę spodziewać się rozwiązania moich problemów, jeśli będę przed nimi uciekał. Muszę pozostać tu i odnaleźć swoje przeznaczenie, a ten drugi świat powinienem tylko odwiedzić i zakończyć swoje z nim związki.

Ledwie to powiedział, zaczął żałować, że nie dobrał innych słów.

Neysa odpowiedziała mu, podnosząc oczy. Wystarczyło. - A teraz twoja kolej, wilkołaku - powiedział Stile. - Musimy rozwiązać również twoją zagadkę. Czy nie przyszło ci do głowy, że błękit, który powinienes sobie zjednać, może oznaczać Adepta?

Teraz z kolei Kurrelgyre poczuł się wstrząśnięty.

- Kultywować Adepta? Już raczej pozostanę na zawsze banitą!
- Wyrocznia przecież nigdy się nie myli...
- Może tak być - przytaknął. - Spytałem, jak mam odzyskać zaufanie stada i Wyrocznia odpowiedziała. Być może cena jest zbyt wysoka.

- Przecież zaznaczyłeś, że sposób nie może gwałcić twego sumienia.
- Sumienie nie pozwoli mi tchórzliwie służyć odrażającemu potworowi, jakim jest Adept!

- A więc na pewno chodzi o co innego, o inny błękit. Może pole błękitnych kwiatów...
- Żaden wilkołak nigdy nie zostanie farmerem! - zawołał z oburzeniem Kurrelgyre. - To musi dotyczyć Błękitnego Adepta; lecz jedyny kult, jaki nie okryłby mnie hańbą, to pielęgnowanie trawy na jego grobie. Nie będę szukał Błękitnego Adepta.

Stile zastanowił się.

- Jeśli, jak się obawiamy, skazałeś się na wieczne wygnanie ze swego plemienia, to czemu nie miałbyś mi towarzyszyć? Postanowiłem pozostać w waszym świecie, lecz moja decyzja nie ma żadnego znaczenia, dopóki nie odnajdę i nie zniweczę zagrażającego memu życiu niebezpieczeństwa. A to na pewno ma związek z tym, kim i czym jestem. Nie używając magii, która mogła by mnie osłonić, będę na pewno potrzebował obrony.

- Nie wątpię, że twoja dama jest w stanie cię przed wszystkim obronić.
- Również przed złymi zamiarami Adepta? Kurrelgyre nerwowo spacerował.
- Jeśli ci teraz odmówię, sam nazwę się tchórzem. - Nie, nie! Nie chciałem nic...
- Nawet nie musiałeś próbować, lecz wątpię również, czy klacz będzie chciała znosić mnie u swego boku, i... nie chciałbym narzucać...

Neysa podniosła się. Wzięła wilkołaka za rękę, spojrzała mu przez chwilę w oczy i odwróciła się.

Kurrelgyre zwrócił się do Stile'a.

- Neysa naprawdę potrafi mówić bez słów! Wygląda na to, że wygnańcy powinni się wzajemnie popierać, nawet jeśli są odwiecznymi wrogami. Najpewniej wszyscy zginiemy... Jest to jednak równie dobry pomysł jak każdy inny.

Rozdział 12

CZERŃ

- Który z Adeptów mieszka najbliżej? - spytał Stile. Ale nie Błękitny; nie będziemy go odwiedzać, nawet jeśli byłby tuż obok.

Kurrelgyre przemienił się w wilk. i zaczął węszyć. Przemienił się raz jeszcze.

- Czarny, jak mniemam - poinformował.

- Niech więc będzie Czarny! - zgodził się Stile. Wolałby, co prawda, opierać swój wybór na bardziej empirycznych podstawach, lecz nauka nie była, jak się wydawało, darzona w tym świecie przesadnym zaufaniem. Należało więc korzystać z każdego udogodnienia.

Opuścili pałac. Stile dosiadał Neysy, zaś wilkołak z łatwością dotrzymywał im kroku. Skierowali się na zachód, ku zamczysku Czarnego Adepta. Teraz, kiedy decyzja została podjęta, Stile'a zaczęły męczyć wątpliwości co do celu i bezpieczeństwa wyprawy. Czy rzeczywiście wybrał najwłaściwszą drogę? Jedyłą rzeczą, jaką mógł teraz zrobić, było doprowadzenie jej do końca, a po sprawdzeniu Czarnego Adepta należało zdecydować, czy warto odwiedzać pozostałych. Tu jego wyobrażenia o przygodach magii i miecza, zdecydowanie różniły się z obserwacjami - i może tak było lepiej. Przypuszczał, że w prawdziwym życiu więcej zwycięstw odnosili źli czarownicy niż bohaterowie.

Neysa odnalazła zapasy ziarna i część z nich została schowana w przywiązanej do siodła torbie; nie będą musieli robić dłuższych popasów na pastwiskach. Posuwali się sprawnie naprzód, pokonując w ciągu dwóch i pół godziny pięćdziesiąt mil. Z czasem droga stała się uciążliwa. Trawa przerzedziła się, a zieleń rosła tylko w rozrzuconych kępach. Stile czuł, że jednym zaklęciem mógłby wyczarować świeżą wodę i dodatkowe jedzenie, lecz milczał. Jego towarzysze nie życzyli sobie magii, a nawet sam zamiar przeciwny był duchowi jego przysięgi.

Góry i doliny ustąpiły miejsca szerokiej, niczym nie urozmaiconej ciemnej równinie, ciągnącej się aż po horyzont. Niebo nad nią zasnuwane było czarnymi chmurami. Podmuchy ostrego wiatru unosiły pył, utrudniający oddychanie. Stile zakaszlał. Jeśli otoczenie było odbiciem charakteru Czarnego Adepta, to naprawdę musiał być on wstrętny'. Ale pewnie było to tylko błędne wyobrażenie. Stile miał zarówno przyjaciół jak i wrogów, lecz niewielu było ludzi, których uważałby za tak nikczemnych, jakimi byli Adepci w mniemaniu wilkołaka i jednorożca. Mówi się, że zażyłość rodzi lekceważenie, ale ignorancja jest na

pewno matką mylnych sądów.

Wreszcie, pośród tych ciemności, ujrzeli ciemny zarys zamku. Żadne światło nie oświetlało go od środka. Ziemia wokół była tak czarna, jakby była spalona. Nawet gdyby Stile nie znał imienia jego mieszkańca, z łatwością by je odgadł. Wszystko było czarne jak noc.

W miarę jak zbliżali się do celu, Stile czuł rosnące wątpliwości. Czy warto ryzykować gniew tej istoty tylko dla zaspokojenia ciekawości? Narażał się na nie wiadomo jakie zaklęcia Czarnego Adepta i po co? Żeby dowiedzieć się, kim jest na tym świecie'?

Nie, chodzi przecież o coś więcej - przypominał sam sobie. Jeden z Adeptów próbował go zabić i dopóki nie pozna własnej tożsamości, dopóty prawdopodobnie nie będzie wiedział, kto i dlaczego pragnie jego śmierci. Wyrocznia zgadzała się z tą diagnozą; kazała mu poznać samego siebie. Ciekawość nie była warta ryzyka, ale życie i bezpieczeństwo - tak.

Co jednak powinien zrobić, gdyby życie przyjaciół znalazło się z jego powodu w niebezpieczeństwie? Czy powinien użyć magii, by im pomóc? Nie, nie mógł tego zrobić. Dał słowo, a jeszcze nigdy w życiu nie złamał przysięgi. Neysa musiałaby najpierw udzielić mu pozwolenia, a wiedział, że tego nie uczyni. Wierzyła, że zwolnienie go z przysięgi oznaczało przemienienie go w potwora, jakim był każdy Adept. Wolałaby raczej śmierć. Powinien więc zadbać o ich wspólne dobro dostępnymi sposobami, zachowując czujność.

Nie było jednak żadnego powodu, by postępować nieroztropnie.

- Neysa - powiedział półgłosem - czy' nie można by dostać się do zamku ukradkiem i podobnie go opuścić? Nie muszę rzucać Adeptowi wyzwania; przecież jedno spojrzenie na niego powie mi czy jest żywy i czy mnie przypomina z wyglądu. Jeżeli okaże się, że Czarny Adept żyje, to może mi zrobić coś okropnego. Obawiam się, że i tobie też.

Kurrelgyre wywarczał swą opinię tonem oznaczającym: "a nie mówiłem?". Oboje z Neysą przewidywali tak fatalne zakończenie całego przedsięwzięcia, że Stile przestał wątpić w zasadność ich nienawiści do Adeptów.

Neysa zatrzymała się. Kiwnęła łbem, sygnalizując, że powinien zsiąść. Stile podporządkował się. Wtedy Neysa podniosła tylną nogę i sięgnęła do niej pyskiem. Złapała ją zębami, jakby ją coś zaswędziało i biała skarpetka spadła.

Stile wbił w nią oczy. Termin "skarpetka" w odniesieniu do konia nie miał znaczenia dosłownego, a tylko opisowe; był to wyłącznie pasek białej sierści powyżej kopyta. A jednak Neysa trzymała w pysku białą skarpetkę, a jej noga stała się całkowicie czarna.

Podawała mu skarpetę i zajęła się drugą. Wkrótce Stile trzymał w ręku parę białych skarpetek o niejednakowej długości. Neysa znowu trąciła go pyskiem.

- Przecież nie mogę ich nosić. 'To twoje skarpetki. Neysa niecierpliwie trącała go. Stile spróbował wciągnąć je na buty. Miały na stopie kształt kopyta, lecz mimo to pasowały doskonale; jeszcze jeden przykład magii jednorożców.

Biały kolor zaczął rozprzestrzeniać się poza skarpetki. Stopy Stile'a przypominały teraz kopyta, nogi pokryły się sierścią. Ręce... Co się stało z jego rękami?

Kurrelgyre zawarczał z uznaniem; widać uznał, że wygląd Stile'a bardzo się poprawił.

Stile jeszcze raz przyjrzał się sam sobie. Wyglądał jak jednorożec'. Biały jednorożec! Pozostał człowiekiem, lecz iluzja sprawiła, że wydawał się zwierzęciem.

Neysa podarowała mu przebranie. Któż przejmowałby się jednorożcem kręcącym się wokół domu?

- Za każdym razem, kiedy zdaje mi się, że cię rozumiem, Neyso, robisz coś nieoczekiwanego - powiedział Stile, pełen podziwu.

- Zwróć ci skarpetki, kiedy tylko stąd odjedziemy. Najmocniej ci dziękuję.

A w duchu pomyślał, że Neysie nie przeszkadza korzystanie z magii, jeśli tylko nie jest to magia Adepta. Pożyteczna obserwacja. Powędrowali dalej: biały i czarny jednorożec oraz wilk. Czarna mgła kłębiła się gęsto wokół zamku, pomagając im się ukryć. Ale czy Adept mógł być nieświadom ich przybycia? Bardzo możliwe. Czy tolerowałby ich obecność, gdyby wiedział, że naruszyli jego terytorium? Na pewno nie zwrócił na nich uwagi, miał ciekawsze rzeczy do roboty niż siedzieć i czekać na intruzów. Stile jak mógł, tak sam się pocieszał.

Czuł się jednak mocno zaniepokojony.

Kurrelgyre warknął ostrzegawczo. Zatrzymali się. Wilkołak zastygł z nosem przy ziemi. Stile przechylił się, by lepiej widzieć i zaraz jego kolana przeszył ostrzegawczy ból, zachwiał się, ale zobaczył to, co znajdowało się na ziemi: czarną linię biegnącą po bazaltowym podłożu.

Czy mógł to być przewód wyzwalający pułapkę" Linia namalowana była na ziemi, ale przy odrobinie magii mogła spełniać tę samą funkcję. Wyjaśniałoby to, dlaczego Adept nie czuwał; mógł polegać na swej automatycznej sygnalizacji.

- Lepiej przejdźmy, nie dotykając linii - mruknął Stile. - Na pewno ma jakieś przeznaczenie.

Wszyscy troje ostrożnie przekroczyli linię. Wkrótce napotkali następną. Ta była grubsza, wyglądała jakby namalowano ją wysychającą farbą. Potem trzecia, przypominająca grządkę. A czwarta, blisko poprzedniej, wyglądała jak usypany miniaturowy wał.

- Jest w tym coś podejrzanego - zauważył Stile. Linie sygnalizacyjne powinny być raczej trudno zauważalne, aby nie przyciągały uwagi.

Nic innego im jednak nie pozostało, jak tylko przejść przez nie. Obawy Stile'a zmniejszały się w miarę, jak rosło jego zdumienie. Zaakceptował myśl o magii, jako o sposobie na życie, lecz po co ktoś miałby otaczać swój dom coraz grubszymi liniami? Nie miało to sensu.

Każda kolejna była grubsza i trudniejsza do pokonania. Jasne było, że czarny zamek nie był zwykłą budowlą z kamienia czy cegły, lecz misterną konstrukcją złożoną z coraz wyższych ścian - linii. Gdy sięgnęły już Stile'owi do pasa, a między nimi były tylko dwa metry przestrzeni, Stile zdecydował, że przeskakiwanie ich stało się zbyt niebezpieczne; któreś z nich będzie musiało w końcu przypadkowo dotknąć ściany i uruchomi alarm, o ile naprawdę był to system alarmowy. Stile zaczął już przypuszczać, że jest to coś zupełnie innego, może jakiś typ architektonicznej pułapki? Możliwe też, że nie jest to nic więcej, jak tylko sposób zniechęcania intruzów, takich jak oni. Byłby to rodzaj obrony pasywnej, dowodzący, że Czarny Adept nie jest naprawdę takim potworem, za jakiego go uważano. Może.

- Sądzę, że powinniśmy chwilowo pójść pomiędzy ścianami - powiedział Stile. - Za chwilę będziemy już musieli się na nie wspinać. To zaczyna zamieniać się w labirynt i możemy zostać zmuszeni do podporządkowania się jego regułom.

Nerwowo zaczął się zastanawiać, czy nie na tym polega właśnie postępowanie Adeptów? Wciągnąć intruzów, krok za krokiem, w ustalony tryb postępowania, który doprowadzi ich nieuchronnie do korupcji lub zagłady. Czy na tym polegała magia Adeptów? Jeżeli tak, to obawy jednorożca i wilkołaka mogły się jeszcze potwierdzić.

Skręcili w lewo. Szli teraz pomiędzy ścianami. Był to rzeczywiście labirynt, albo przynajmniej bardzo skomplikowany układ. Wewnętrzna ściana skręcała pod kątem prostym, tworząc korytarz prowadzący do środka; jej wysokość ciągle rosła. Wkrótce pojawił się i sufit, utworzony przez przedłużenie i nachylenie równoległej ściany. Teraz byli już w tunelu, skręcającym raz w jedną, raz w drugą stronę, przeważnie pod ostrym kątem i często zawracającym. Wkrótce stracili poczucie kierunku.

- Kurrelgyre, czy twój nos wyprowadzi nas na zewnątrz? - nerwowo dopytywał się Stile.

Wilk warknął potwierdzająco.

Labirynt ścian wydawał się ciągnąć bez końca. Mdłe światło sączyło się nie wiadomo skąd. Nie było nic do oglądania, oprócz coraz to nowych pustych ścian z czarnego budulca. Zamek - musieli się już przecież znajdować wewnątrz samej budowli - był cichy jak krypta grobowa. Nie działało to zachęcająco na Stile'a.

Szli dalej i dalej, Za każdym razem, kiedy wydawało się, że już gdzieś dochodzą, korytarz skręcał prawie o sto osiemdziesiąt stopni i nieskończenie długo ciągnął się z powrotem, by potem znowu zawrócić. Czyżby cały ten zamek składał się wyłącznie z kilometrów - mil, poprawił sam siebie korytarzy? Przejście zwężało się i Neysa zaczęła mieć trudności przy zakrętach. Jej róg aż drapał o ścianę przy pokonywaniu ostrych zakrętów; usiłowała unikać takiego kontaktu z murem. co wymuszało na niej wykonywanie akrobatycznych manewrów i spowalniało tempo marszu. Nie chciała jednak zmienić postaci w obawie przed postronnym obserwatorem. Ponadto wciąż niosła na sobie siodło i torbę z zapasami jedzenia, z którymi nie byłoby co zrobić, gdyby przekształciła się w dziewczynę.

- Wystarczy - powiedział wreszcie Stile. - Możemy tak wędrować, dopóki nie skończą się nam zapasy i nie poumieramy z głodu. Stawmy czoło temu okropnemu Adeptowi! Uderzył pięścią w mur.

Powierzchnia ściany była dziwnie miękka i ciepła, jakby dopiero niedawno wypłynęła z wulkanicznej szczeliny. Ugięła się lekko pod ciosem, a potem odskoczyła z brzęknięciem. Fala dźwiękowa przesuwiała się wzdłuż korytarza, aż zniknęła za zakrętem. Wydawała się przemierzać tę samą krętą trasę, co oni, tylko znacznie szybciej, wzmacniając się w miarę przebytej drogi. Wkrótce zamek i cała okolica rozbrzmiewała hałasem.

Stopniowo dźwięk rozmazywał się, jakby drgania poszczególnych ścian wzajemnie się redukowały, aż w końcu zamarł.

- Pewnie dotarł do końca linii - zauważył Stile. Chodźmy, nie ma co przejmować się jej dotykaniem.

Szli teraz znacznie szybciej. Przy każdym ostrym zakręcie róg Neysy rysował ścianę i wywoływał falę dźwiękową, nic więcej.

W końcu korytarz rozszerzył się, tworząc średniej wielkości komnatę. W środku stał wielki czarny smok. Potwór rozwarł pysk, lecz nie wydał żadnego dźwięku. W paszczy widać było tylko język, przypominający narysowaną piórem grubą kreskę.

Stile wbił wzrok w stworzenie. Nigdy wcześniej nie widział żywego smoka, ale rozpoznał jego ogólny kształt na podstawie przeczytanych legend. Ten osobnik był jego niezwykle odmianą. Stwór wydawał się składać, podobnie jak i cały zamek, z pogrubionych linii. Nogi miał zbudowane z pętli, tułów z gęsto utkanych splotów, a ogon wyglądał, jakby zrobiony był na drutach. Wydawało się, że cały smok ukształtowany został starannie z jednej tylko linii, niezwykle pogmatwanej. Wyglądał jak ręcznie zrobiony, wypchany sweter.

Smok postąpił naprzód, obnażając czarne zęby. Stile tak był zafascynowany tą kreskówką, że zupełnie zapomniał o swym bezpieczeństwie. Przypomniał sobie fascynujące

go w dzieciństwie rysunki, wykonane bez odrywania pióra od papieru i bez przecinania już narysowanych linii. W ten sposób można było uzyskać nawet najbardziej skomplikowane kształty: kwiaty, twarze, zwierzęta, nawet słowa. Zadanie polegało na znalezieniu końca linii, ukrytego w skomplikowanym rysunku.

Smok był trójwymiarowy. Tworzące go linie stykały się, a nawet krzyżowały - był powiązany w kluczowych punktach węzłami i pętlami. Zasada jednak była taka sama, jak w dziecięcej zabawie: linia, choć splątana, nigdy się nie dzieliła i nie urywała. Cały smok, na ile Stile mógł to ocenić, był skonstruowany z jednej nitki.

Stile nagle spostrzegł postawę, jaką przybrali jego towarzysze. Oboje stanęli twarzą do smoka, gotowi do walki. Wysunęli się trochę przed Stile'a.

- Dajcie spokój! - zawołał. - To moje poszukiwania. Nie możecie narażać się za mnie. Sam będę walczył.

Pochylił się, aby ściągnąć magiczne skarpetki. Ostry ból znowu przeszył mu kolana, sprawiając, że osunął się na podłogę. Zapominał o swojej kontuzji w najbardziej krytycznych momentach!

Z trudem podniósł się i zginając się w pasie zdjął najpierw jedną, potem drugą skarpetkę. Znowu przybrał własną postać. Podeszedł do Neysy.

- Czy mogę? - spytał.

Skinęła głową, nie odrywając wzroku od smoka. Stile uniósł kolejno jej kopyta i skarpetki wróciły na swoje dawne miejsce. W trakcie uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Kurrelgyre. Tak, dotykał najbardziej intymnych miejsc jednorozca. Konie nie cierpiały, gdy dotykano lub wiązano im nogi; wiele z nich wierzgało gwałtownie, łamiąc sobie kończyny w rozpaczliwych wysiłkach uwolnienia się. Potrafiły' też uszkodzić sobie nastawioną już nogę, pozbywając się unieruchamiającej szyny. Dlatego też złamanie nogi oznaczała często dla konia wyrok śmierci. Jednorozce niewątpliwie były jeszcze bardziej wrażliwe. Neysa, przyłączając się do niego, naprawdę oddała mu się cała. A potem odkryła, że ma do czynienia z Adeptem!

Stile stanął przed smokiem, wyciągając rapier. Nie miał jeszcze wprawy w fechtunku, lecz smok nie mógł tego wiedzieć. Czy czubek rapiera będzie skuteczny, czy też lepiej będzie użyć ostrza, żeby przeciąć nitkę? Może smok spruje się jak ręczna robótka, kiedy przetnie się jedną z nitek? Tylko eksperyment może dać zadowalającą odpowiedź.

W tym samym czasie smok oceniał Stile'a. Biały jednorozec nagle stał się człowiekiem. Była w tym magia. Czy bezpiecznie będzie go zaatakować?

Stile, choć perspektywa starcia napełniała go niepokojem, miał sporo doświadczenia w

postępowaniu ze zwierzętami. Zdarzało mu się poskramiać wrogo usposobione psy i koty na farmie swego pracodawcy i oczywiście niejednego konia.

Później zaczął występować na rozmaitych arenach Gry i tresował większe zwierzęta drapieżne przy pomocy bata i ościenia. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia ze smokiem, lecz ogólne zasady obchodzenia się ze zwierzętami powinny i jego dotyczyć. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Zachowywał się z wyraźną pewnością siebie. Podszedł do smoka z końcem rapiera wycelowanym w czubek jego czarnego węzłowatego nosa. Nosy większości zwierząt są bardzo wrażliwe i często, ze względów psychologicznych, ważniejsze od oczu.

- Wiedz, smoku, że nie szukam kłopotów - powiedział ze sztucznym spokojem. - Przybyłem odwiedzić Czarnego Adepta. Chcę go tylko spotkać i nie zamierzam zrobić mu krzywdy. Bądź tak miły i ustąp nam z drogi.

Stile usłyszał za sobą zdumione parsknięcia. Neysa nigdy sobie nie wyobrażała, że można w taki sposób potraktować smoka na jego własnym terenie!

Smok był również zdumiony. Jaki człowiek odważyłby się podejść do niego z tak władczą pewnością siebie? Lecz smok był zwierzęciem, nie człowiekiem i nie rozumował logicznie, a oprócz tego wykonywał czyjeś rozkazy. Zresztą każda istota zbudowana z poplątanego sznurka miałaby kłopoty z rozumowaniem; w końcu jaki mózg można upleść z linki? Smok rozwarł szczęki i kłapnął zębami.

Stile zręcznie uskoczył na bok. Rapier zabłyśł, celnie trafiając we wrażliwy nos. Smok szarpnął się do tyłu, wydając bezgłośny jęk.

- To było pierwsze ostrzeżenie - powiedział spokojnie Stile. Wewnętrznie uradowany był sukcesem; stworzenie naprawdę odczuwało ból!

- Moja cierpliwość ma swoje granice. Znikaj, smoku! - rozkazał.

Smok, zbity z tropu bardziej postawą Stile'a, niż jego fizycznym męstwem, cofnął się. Stile, marszcząc brwi, posunął się do przodu. Smok zaskowyczał bezgłośnie i zaczął się pruć.

Stile oniemiał w wrażenia. Stworzenie zniknęło! Wpierw wrażliwy nos smoka zacisnął się w ciasny supeł i rozplątał się. Nic po sobie nie pozostawiając. Potem zniknął pysk i zęby; te ostatnie przekształciły się najpierw w węzłki, które rozsypały się, gdy tylko sznurek naprężył się. Następnie oczy i uszy. Pozbawiony głowy stwór wciąż cofał się przed Stilem. Wreszcie znikła szyja i przednie nogi, a szybkość rozplątywania się sznurka rosła w miarę ubywania smoka. Minęła chwila i nic z niego nie pozostało oprócz linki, która wtopiła się w ścianę, jakby stanowiła jej część.

Cały smok był więc tylko kunsztownie spletanym sznurkiem? ,A jednak, kiedy miał

jeszcze określoną postać, wydawał się potężny i reagował na bodźce jak normalne zwierzę. Mogło go nie tylko poszarpać, ale nawet zabić.

- Smok był sznurkiem - wydyszał Stile. - A zamek'? Wygląda na to, że zbudowany jest podobnie! Jednorożec i wilk zgodnie wzruszyli ramionami. Któż mógł pojąć zwyczajnie Adeptów?

Neysa lekko zwróciła głowę w stronę, z której przyszli. Ciekawa była, czy Stile widział już wystarczająco dużo i czy gotów jest do odwrotu. Ale on przecząco pokręcił głową. Bardziej niż kiedykolwiek zapragnął poznać właściciela tego zamku. Chciał być całkowicie pewien, że nie jest nim on sam - ani teraz, ani w przeszłości.

Powędrowali korytarzem, który za komnatą smoka zaczął znowu się zwężać, choć nie był już tak ciasny jak przedtem. Znowu droga zawracała w tę i z powrotem, bez końca.

- Psiakrew! - zaklął Stile. - Możemy tu umrzeć ze starości, szukając pana tej twierdzy, jeśli on w ogóle żyje. Mam zamiar rozstrzygnąć to radykalnie.

Kurrelgyre rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, lecz nic nie powiedział. To było przedsięwzięcie Stile'a i nie mógł za niego decydować. Stile zacisnął pięści i zaczął uderzać raz po raz o ścianę, sprawiając, że rozchodzące się dźwięki nasiliły się tak bardzo, iż cały zamek wydawał się drżeć.

- Ukaż się, Czarny Adepcie! - krzyczał. - Chcę tylko zobaczyć twoją twarz; potem odejdę.

- Idź za linią - odpowiedział mu jakiś głos.

W polu widzenia ukazała się podwójna linia, tworząca liczne pętle. Kiedy do niej podeszli, cofnęła się, jak pociągnięty za koniec sznurek. Przypominała w tym smoka, który zniknął, rozplątując się. Ale linia nie była częścią ściany.

Idąc za nią doszli do ogromnej komnaty, położonej w środku budowli; było mało prawdopodobne, by sami zdołali ją tak szybko odnaleźć. Po środku stał mężczyzna zwrócony do nich twarzą. Odziany był na czarno i wydawało się, że ma czarny ogon. Była to jednak tylko linia, za którą podążali!

- To linia - powiedział Stile, który wreszcie odkrył tajemnicę Czarnego Adepta. - Wszystko zaczyna się od ciebie! Cały zamek jest tobą! Zastygająca linia twej przeszłości!

- Teraz już wiesz - powiedział zimno Adept. Spełniłem twe żądanie, intruzie.

- Tak - zgodził się Stile, choć nie podobał mu się ton Adepta.

Adept był pół metra wyższy od przybysza, a jego głos i wygląd nie przypominały w niczym Stile' a; ani takiego jakim był teraz, ani jakim mógłby być. Nie znaczyło to oczywiście, że Adept wyglądał groteskowo; prawdę mówiąc powierzchowność miał całkiem

zwyczajną. Na pewno jednak nie był sobowtórem Stila.

- Odejdę więc, dziękując za waszą kurtuazję - rzekł Stile.

- Nie mowy o żadnej kurtuazji, intruzie - powiedział Adept. - Twe zwierzęta są czarnego koloru, mogą więc odejść, choć obciążone są twoimi zapasami; to hańba, od której muszę je uwolnić. Ty zaś pozostaniesz.

Czarny Adept odrzucił linię. Rozrosła się natychmiast w skomplikowaną ścianę - kratę, oddzielającą Stile'a od jego przyjaciół. Zatrwożony podszedł ku niej, lecz pręty miały już twardość stali. Spróbował ją obejść, lecz ściana rozrastała się szybciej, niż mógł się poruszać. Wyciągnął rapier, ale uświadomił sobie, że pręty są równie mocne, jak metal jego broni. Znalazł się w pułapce.

Stile odwrócił się do Adepta.

- Dlaczego'? - spytał. - Dlaczego mnie tu zatrzymujesz?

- Po co wtargnąłeś na me włości? - odpowiedział pytaniem.

Stile nie zamierzał ujawniać prawdziwej przyczyny, a kłamać nie chciał.

- Mogę tylko powiedzieć, że nie planowałem niczego złego - odparł.

- Człowiek nie ma prawa naruszać mojego terytorium. Karą jest pozostanie tutaj - poinformował go Czarny Adept. - Pozostanie'? Na zawsze? Śmierć tutaj'?

Neysa próbowała przedostać się przez oddzielającą ich ścianę. Nawet wilk był za duży, by zmieścić się pomiędzy kratami. Nie mogli mu pomóc.

- Lepiej odejdźcie stąd - zdecydował Stile. - Będę musiał poradzić sobie z nim sam.

Neysa wahała się. Stile wiedział, że mogłaby przecisnąć się pomiędzy prętami, zamieniając się w świetlika, ale nie chciał, by zdradzała swe talenty Czarnemu Adeptowi, który z łatwością przyrzadziłby ze swoich linii klatkę w sam raz dla owada. Nie było sensu, żeby i ona znalazła się w pułapce.

- Idźcie stąd - szepnął zniecierpliwiony. - Poradzę sobie. Zostawcie tylko zapasy...

- Nic z tego'. - ostrzegł ich Czarny Adept. - Odejdźcie, bo zrzucę siatkę i schwytam was.

Siatkę? Czyżby Adept, mimo wszystko, wiedział o świetlikowej postaci Neysy, czy też ich tylko postraszył?

Stile gwałtownym gestem polecił Neysie odejść. Nie wyglądała na przekonaną, lecz wycofała się. Wilk ze spuszczonego ogonem podążył za nią. Rozdzielenie przyjaciół było wyraźnie częścią zemsty Adepta.

Stile, wyciągając rapier, odwrócił się ku Adeptowi, ale ten zniknął. Pozostała po nim tylko krata, ciągnąca się wzdłuż korytarza i znikająca za zakrętem. Widać Adept przez cały

czas był świadom ich obecności w zamku. Znalezienie go w labiryncie, bez jego wiedzy i zgody było niemożliwe, ponieważ mógł w dowolnym momencie uformować z linii cełę wokół Stile'a.

Dlaczego jednak tego nie zrobił? Po co pozwalał intruzowi na wędrówki po zamku? Czarny Adept mógł, patrząc na to logicznie, albo zabić go, albo nie wpuścić do twierdzy. Jego moc wystarczyłaby do dokonania którejkolwiek z tych rzeczy. Tylko magia drugiego Adepta...

Nie! Przysiągł przecież porzucić magię. Przebrnie jakoś przez to wszystko nie uciekając się do magii.

Powędrowała wzdłuż kraty. Ciągnęła się poprzez splątane korytarze, przecinając komnaty, przejścia, nawet schody. Poprowadziła go aż na wieżę i z powrotem do lochów. Nie było żadnych ślepych korytarzy; droga ciągnęła się bez przeszkód. Wyglądało na to, że Adept postanowił pokazać mu swą posiadłość i pochwalić się jej okazałością. Co za próżność, choć starannie ukryta!

Po długich wędrówkach Stile dotarł wreszcie do komnaty, gdzie na podłodze leżał czysty i nieuszkodzony ludzki szkielet.

Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego tak przerażający przedmiot nie został z zamku usunięty? Było mało prawdopodobne, by był sztuczny; magia Adepta najwyraźniej związana była z liniami. Był to wystarczający dowód na to, że nie był on sobowtórem Stile'a. Prawdę mówiąc, Stile mógłby zaoszczędzić sobie sporej dawki kłopotów, gdyby zrozumiał to i zawrócił jak tylko zobaczył pierwszą linię. Wskazówki konieczne do takiej interpretacji były, lecz on nie poświęcił im wystarczająco wiele uwagi. Spóźniony refleks!

Szkielet był odrębną całością, nie stanowił części linii. Musiał być autentyczny. Stile kopnął go w ramię i kościotrup oderwał się z trzaskiem od podłogi. Leżał tu tak długo, że zdążył się przykleić!

Czarny Adept twierdził, że karą dla intruzów jest pozostanie w zamku. Faktycznie nie powiedział, że ich zabija.

Może miał jakieś niejasne skrupuły, nie chciał zbrukać krwią swoich linii? Jednak pozostanie tu bez wody i jedzenia, oznaczało śmierć.

Wydawało się, że taki los czeka Stile'a, podczas gdy obu "zwierzętom" pozwolono uciec, by mogły przekazać innym ostrzeżenie. Miały powiedzieć światu, że widziały, jak uwięziono człowieka dlatego, że obraził Adepta. Było to logiczne, efektywne i podłe. Adept naprawdę nie dbał o czyjąkolwiek sympatię, chciał tylko, by wszyscy trzymali się z daleka od jego terytorium i nie pozwalał na lekceważenie swojej woli.

Stile rozumiał, że sam jest sobie winien. Ostrzegano go, że Adepci są groźni, a mimo to wtargnął do jego posiadłości. Może nie do końca uwierzył przestrogom? Magiczny świat Phase nie wydawał mu się całkiem realny; nie traktował jego gróźb wystarczająco poważnie. Teraz, gdy wędrował dalej i dalej, czując rosnące pragnienie, zmienił się jego punkt widzenia. Ten świat zaczął wydawać się bardziej realny od Protona. Ataki potworów jakoś nie zrobiły na nim większego wrażenia; pojedynki przypominały mu trochę Grę, więc były jakby niebezpieczną zabawą, lecz pragnienie, głód, znużenie, wyczerpanie i samotność wymuszały wiarę bardziej fundamentalnej natury. Zanim umrze, zdąży uwierzyć do końca.

Przyszło mu do głowy, by zwrócić się do Czarnego Adepta, prosić go o litość, lecz od razu zrozumiał, że to bezcelowe. Karą miała być śmierć uwięzionego i pozbawionego nadziei człowieka, bez żadnych dalszych kontaktów. Śmierć bez godności i uznania. Ci, którzy pogwałcili samotność Adepta, musieli umierać w samotności. Czarny Adept nie był ani szlachetny ani nikczemny; on tylko bezwzględnie wymuszał posłuszeństwo dla swojego prawa. Nikt nie może niepokoić Adepta bez ważnego powodu! Właśnie to usiłowali mu wbić do głowy Neysa i Kurrelgyre. A on, oczywiście, musiał uczyć się tego na własnej skórze.

A Stile? Czy był naprawdę Adeptem? Czy „jego sobowtór z Phase był podobny do tego cynicznego, wyniosłego magika?

Nic dziwnego, że jego przyjaciele nie ufali mu! Jeżeli jego ewentualne posługiwanie się magią miało prowadzić do podobnych rezultatów, to musiało oznaczać, że utraci poczucie honoru, przyjaźni, przyzwoitości. W takim razie naprawdę lepiej było się jej wyrzec raz na zawsze. Lepiej umrzeć jak człowiek, niż żyć jak bezduszny robot.

Nie, to nie tak, nie wolno myśleć utartymi schematami. Nie wszystkie roboty były bezduszne. Sheen... ciekawe gdzie teraz jest? Tygodniowy termin, jeśli Stile dobrze policzył, właśnie mijają; groziła mu na Protonie natychmiastowa śmierć... na Protonie? Nie, to były dwa połączone ze sobą światy, a on był albo na jednym, albo na drugim; z każdą chwilą groźba traciła na znaczeniu. Tylko ucieczka z Phase mogłaby go uratować.

Stile wędrował wzdłuż muru, dopóki nie zapadły ciemności. Wtedy ostrożnie osunął się na podłogę, oszczędzając kolana. Oparł się plecami o kratę i eksperymentalnie zgiął jedną nogę w kolanie. Zgięła się dość mocno, zanim poczuł ból... czyżby zaczęła się goić? Niemożliwe; inne części ciała goiły się, lecz nie kolana. Zbudowane były z kości i ścięgien, co powodowało, że krew nie mogła w nich dobrze krążyć. Łokcie przeważnie leczyły się szybko; nie były ciągle obciążone. Kolana musiały być mocne, i przez to, paradoksalnie, były bardziej narażone niż inne stawy. Anonimowy przeciwnik uderzył celnie, skazując go na przewlekłą torturę, podobną do tej zaaplikowanej mu przez Czarnego Adepta. I jakież stąd

wniosek? Kiedy jego kolana nie były obciążone, mógł je zginać prawie bez przeszkód. Mógł przyjąć pozycję kuczną, gdy nie kuczał. Niewielkie pocieszenie! Jakie to miało znaczenie, kiedy całe jego ciało było skazane na śmierć?

Po pewnym czasie podniósł się i wszedł do wewnętrznej komnaty, by załatwić naturalną potrzebę. Nie odpowiadało mu, że musi brudzić zamkową podłogę, ale nie miał innego wyboru... Potem wrócił do zakratowanej ściany, ułożył się na ziemi i zapadł w sen.

Śniło mu się, że jest robotem bez ciała mogącego ogrzać metalowe kości i bez świadomości mogącej ożywić myślenie. Obudził się w nocy kilka razy, czując coraz większe pragnienie. Miało ono, oczywiście, czysto psychologiczne uzasadnienie, co nie zmieniało faktu, że było bardzo męczące. Marzył o śnie w objęciach Neysy. Zapewniała mu towarzystwo i odwzajemniała przyjaźń. Po wielu spędzonych samotnie latach, przyzwyczał się bardzo szybko do tego związku; wypełniał on ważną potrzebę w jego życiu. Neysa przemieniała się w dziewczynę, by sprawić mu przyjemność, lecz była mu miła w każdej postaci. Dobrze zrobił, odsyłając ją. Przynajmniej będzie mogła wrócić na swe pastwiska i może wilkołak przez jakiś czas jej nie opuści.

Jak zimno! Stile kulił się w swym cieniutkim ubraniu. Jedno maleńkie zakłęcie mogło to wszystko odmienić. Trochę ciepła poproszę... nie! Żadnej magii! Może to szaleństwo, ale nie złamie przysięgi. Mógłby zrobić to tylko wtedy, gdyby przyfrunął tu świetlik i zawołał: "Stile, rzuć zakłęcie". Jednak wcale nie chciał, by Neysa ryzykowała w taki sposób. Zwinął się znowu w kłębek i zasnął; lepsze to od bezsenności.

Do rana usta wyschły mu tak, że czuł, jakby miał pełne suchych wiórów. Spał chyba z otwartymi ustami. Przesuwał sztywnym językiem wewnątrz jamy ustnej, poruszał szczękami i wreszcie udało mu się ją zwilżyć odrobiną śliny. Teraz musi wstać i...

I co? Kraty pozostały i nie znikną dopóki jego szkielet nie dołączy do tego, który już tu leży. Nie miał dokąd iść ani co robić.

Musiał jednak się czymś zająć. Ciągłe czuł się zmarznięty; jedynym lekarstwem był ruch. Głód i pragnienie trochę ustąpiły, ale ciało ciągle miał sztywne. Wstał z trudem i powłókł się do zaimprovizowanej toalety. Żał tracić płyny, ale dopóki żył, trwały procesy fizjologiczne.

Kontynuował wędrówkę wzdłuż zakratowanej ściany, poruszając się na tyle szybko, by wytworzyć trochę ciepła i na tyle powoli, by oszczędzać energię. Bezsensowny wysiłek, tyle tylko, że lepsze to niż położyć się na ziemi i czekać na śmierć. Będzie jeszcze na to czas.

Nie było ucieczki. Zamkowy labirynt nie miał końca, podobnie jak zakratowana ściana. Czarny Adept znał tylko jeden rodzaj magii, ale był w nim bardzo dokładny.

Żadne argumenty nie mogły poruszyć człowieka mającego taką władzę i będącego tak wyobcowanym jak on. Czarny Adept przypominał swoim charakterem Obywateli Protona.

Obywatele! Kurrelgyre powiedział, że ludzie z Phase są tożsami z tymi na Protonie, a w każdym razie było tak, zanim zaczęło się masowe sprowadzanie niewolników. Adept rzeczywiście mógł być w swoim alternatywnym życiu Obywatелеm. W jednym ze światów instrumentem władzy było bogactwo, w drugim magia. A w obu królowała arogancja.

Stile ciągle posuwał się naprzód. W Grze zdarzało mu się wygrywać maratony. Mógłby przetrwać jeszcze przez jakiś czas, jeśliby się o to starał. Gdyby tak odnalazł Czarnego Adepta, unieszkodliwił go i uciekł... Może lepiej byłoby, żeby go zabił, skoro Adept skazał Stile'a na śmierć? Nie, nie chciał zabójstwa; potwory to co innego, ale Adept był człowiekiem. Stile pragnął tylko ominąć Adepta, wydostać się za barierę i uciec.

Czy ta wewnętrzna decyzja powstrzymująca go od zabicia wroga czymś różniła go od Adeptów? Czy mogło to służyć dowodem, że władza nie skorumpowałaby go tak dogłębnie, jak innych? Taką miał nadzieję.

Dziwne, że w całym tym ponurym zamku nie było jedzenia. Czyżby Czarny Adept nie jadał? Prawdopodobnie jego zapasy schowane były w jakichś magazynach, które oczywiście musiały znajdować się poza barierą. Rodziło to nowe przypuszczenia. Skoro Czarny Adept nie umiał tworzyć rzeczy z niczego, musiał skądś brać żywność. Nie mógł więc żyć w zupełnym osamotnieniu. Jego swobodny sposób wypowiedania się sugerował to samo. Miewał kontakty z innymi; po prostu ich tylko unikał. Czy ci inni przychodzą czasem do zamku? Czy mogliby mu pomóc? Nie, to było mało prawdopodobne; Adept mógł zgromadzić zapasy na długi czas.

Stile poruszał się wolno, oszczędzając siły. Porzucił już niekończącą się kratę i próbował dotrzeć do centrum zamku, lecz teraz wszystkie wewnętrzne korytarze kończyły się ślepych zaułkami; układ ścian był tu inny. Wiele dałby, by poznać metodę szybkiego analizowania przebiegu linii, ale zamek był na to zbyt skomplikowany. Na zrozumienie schematu budowli i znalezienie Adepta potrzebowałby więcej czasu, niż mu zostało. Żałował też, że nie ma dobrze tnącego narzędzia, którym mógłby przeciąć linię. Wtedy mógłby odciąć Adepta od zamku w dowolnym miejscu, odciąć go od przeszłości. Czy wszystko sprułoby się, tak samo jak smok? Nic jednak nie mógł zrobić. Sztylet nie mógł naruszyć materiału, równie twardego jak kamień. Z zewnętrznymi ścianami mogło się jeszcze udać, ale nie tutaj. Tylko diamentowe wiertło lub piła mogły tu coś pomóc, albo magia...

Nie! Cały dzień walczył ze sobą. W miarę, jak pogarszał się jego stan fizyczny, myśl o magii stawała się coraz bardziej natrętna i kusząca. Nie miało dla niego znaczenia, że nikt nie

dowiedziałby się, że wyczarował maleńką filizankę wody; przysięga była przysięgą. Mógł oddać ducha, nie tracąc przynajmniej poczucia godności. Tego Czarny Adept nie był go w stanie pozbawić.

Nadciągnęła kolejna noc. Stile ułożył się do snu, ale nie mógł zasnąć. Nie chciał tak spokojnie poddać się śmierci. Do tej pory unikał grania na harmonijce, gdyż zbyt związane to było z magią. Czary mogły przecież spełniać się za pomocą samej muzyki, nawet jeśli nie wypowiedział zaklęcia. Siodło na przykład pojawiło się, gdy grał, wyczarowane podświadomym życzeniem. Lecz cóż złego było w odrobinie muzyki, jeśli nie będzie łączył jej z magią? Muzyka przypominała mu Tune. Teraz, gdy jego życie dobiegało końca, chciał myśleć tylko o niej.

Zagrał. Muzyka wypełniała korytarze, komnaty i zakamarki zamku, odbijając się harmonijnie o ściany. Grał i jednocześnie słuchał; melodia była nieskończenie piękna. Panował całkowicie nad instrumentem, grając tak, jak mu dyktowało serce. Zjednoczył się z dźwiękami, dając wyraz swoim uczuciom. Może była to jego łabędzia pieśń, ostatni gest? Mimo wszystko nie był to najgorszy sposób odejścia.

W końcu odłożył harmonijkę i usnął. Tym razem sen miał spokojny, tak jakby post uwolnił go od doczesnych zmartwień. Obudziło go głucho warczenie. Stile uchylił powieki, ale nawet nie drgnął. Pamiętał, gdzie położył rapier; musiał tylko zlokalizować zwierzę i zdecydować, czy warto walczyć. Po co zamieniać szybką śmierć na powolną?

Wtedy w ciemnościach usłyszał cichy głos: - Stile.

- Kurrelgyre! - powiedział. Przycisnął twarz do krat, by być bliżej. - Grozi ci tu niebezpieczeństwo!

- Neysa odwiedziła Wyrocznię -- szepnął wilkołak. Usłyszała słowo: "Zasłona". Nie zrozumiała o co chodzi, ale ja tak - Obwąchałem zamek dookoła. Jeden z narożników przecina zasłonę. Chodź za mną.

Zasłona! Oczywiście! Tylko, że...

- Nie mogę tego zrobić; przysięgałem odrzucić magię. Żeby przejść przez zasłonę, konieczne jest zaklęcie - powiedział stanowczo.

- Dotrzymałeś przysięgi. Mógłbyś już dawno uciec, gdyby było inaczej. Nie lękaj się; przeprowadzę cię przez nią. Stile, uspokojony, poszedł za wilkołakiem, wędrującym po drugiej stronie kraty.

A więc Neysa poświęciła dla niego swoje jedyne pytanie, jakie mogła zadać Wyroczni! Nigdy by jej o to nie poprosił, ale teraz przyjmował ten gest z wdzięcznością.

Wydawało się, że droga do zasłony zajęła im tylko chwilę. Najwyraźniej Czarny Adept

nie był świadomy jej istnienia na terenie zamku. Sugerowałyoby to, że żył w obu światach i nie mógł ani dostrzec, ani przekroczyć zasłony.

- Będziemy czekać na ciebie przy pałacu Wyrocni - powiedział Kurrelgyre, gdy zbliżyli się do migocącej ściany - Pamiętaj o zaufaniu, jakim obdarzyła cię Neysa, pozwalając, byś opuścił nasz świat. Nie wiem, jak długo będzie trwało, zanim...

Wilkołak rzucił zaklęcie. Stile znalazł się po drugiej stronie zasłony.

Rozdział 13

SZCZEBLE

Stile wylądował poza kopułą. Oddychał ciężko. Bez maski tlenowej mógł wytrzymać najwyżej trzydzieści minut.

Ograniczony zapas tlenu w atmosferze Protona był jeszcze umniejszany na potrzeby kopuły, a skażenie powietrza zwiększały odpady po szkodliwych procesach przemysłowych. Uświadomił sobie po raz pierwszy w życiu, że pozbawiona życia powierzchnia Protona, to rezultat działalności człowieka. Gdyby nie nadeszła era maszyn, atmosfera planety przypominałaby Phase. Cywilizacja zamieniła niebiańską planetę w piekło.

Na szczęście od kopuły dzieliło go zaledwie pięć minut drogi. Widział ją wyraźnie, gdyż iluminacja prześwitywała przez pole siłowe, rzucając blask na pustynną równinę.

Stile, którego zmęczenie trochę ustąpiło pod wpływem snu i szoku wywołanego nocnym zimnem, ruszył dziarskim krokiem, otulając się szczelniej ubraniem. Dopóki oddychał ostrożnie, powietrze nie drażniło mu płuc, lecz bieg mógł skończyć się tragicznie. Ubranie powinno go osłonić...

Ubranie! Nie mógł go tu nosić! Był przecież niewolnikiem. Będzie musiał pozbyć się go przed wejściem do kopuły. Może zdoła je odzyskać przed powrotem na Phase? Nie mógł jednak wracać tą samą drogą, gdyż znalazłby się z powrotem w więzieniu Czarnego Adepta. A więc musi zaryzykować i wnieść odzież do środka.

Dotarł do kopuły. Była mała, prawdopodobnie stanowiła prywatną posiadłość jakiegoś Obywatela. Pojawienie się w takim miejscu bez zaproszenia wróżyło kłopoty, ale nie miał wyboru. Im krócej będzie wystawiony na warunki zewnętrzne, tym dla niego lepiej. Zdjął ubranie, zawinął w nie buty i wszedł.

W jednej chwili otoczyło go światło i miłe ciepło. Był to ogród tropikalny, bardzo popularny w rezydencjach Obywateli. Ich gustom widać nie odpowiadała pustynia, będąca rezultatem planetarnej gospodarki.

Gąszcz egzotycznych palm wyrastał nad kakaową mierzwę. Nie było tu nikogo. Jeśli będzie miał szczęście, uda mu się przejść niezauważenie...

Niestety. Czujny ogrodnik zatrzymał go, zanim zdążył zrobić dwadzieścia kroków.

- Stój, intruzie. Nie jesteś stąd.

- Ja... przyszedłem z zewnątrz. Zabłądziłem.

W tej sytuacji Stile nie mógł pozwolić sobie na mówienie prawdy, a nie chciał kłamać.

- Musiałem wejść. Inaczej umarłbym.

- I tak wyglądasz na ledwo żywego -- zgodził się niewolnik.

Podszedł do nich pospiesznie jeszcze jeden służący.

- Jestem tu starszym ogrodnikiem. Kim jesteś? Co robiłeś na zewnątrz bez wyposażenia? Co tam chowasz? Zachowywał się naprawdę jak nadzorca.

- Nazywam się Stile; jestem chwilowo bezrobotny, kiedyś byłem dżokejem. Myślałem, że moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie, więc próbowałem się ukryć, ale... tam na zewnątrz jest zupełnie inny świat.

- Do diabła, to prawda. Chciałeś popełnić samobójstwo'? - Nie, lecz i tak o mało co nie umarłem. Przez dwa dni nic nie jadłem i nie piłem.

Starszy ogrodnik puścił tę uwagę mimo uszu.

- Pytałem, co niesiesz'?

- W zawiniątku mam... średniowieczny ziemski kostium. Myślałem, że ułatwi mi życie, w tym drugim świecie.

Z etycznego punktu widzenia to, co powiedział, nie wyglądało najlepiej i nie podobało mu się, ale patrząc z drugiej strony, czy taka półprawda nie objaśniała sytuacji lepiej, niż uczyniłaby to cała prawda? Jaki niewolnik uwierzyłby w opowieść o magicznym świecie?

Nadzorca wziął zawiniątko i rozpostarł je na ziemi. Harmonijka ?

Stile w milczeniu rozłożył ręce. Znalazł się teraz w sytuacji, gdzie wszystko, co mógł powiedzieć wydawałoby się kłamstwem, nawet prawda. Nagle Phase stała się dla niego tylko wytworem wyobraźni, rodzajem halucynacji, której mógłby doznać człowiek wystawiony na działanie gazowych zanieczyszczeń i niedostatku tlenu. W przeszłości ludzie sami poddawali się podobnym próbom - rytuałom inicjacyjnym - wywołującym wizje. Co naprawdę się z nim działo'?

- Będę musiał zawiadomić Obywatela - oznajmił nadzorca.

Nadzieje Stile'a rozwiały się; znalazł się w kłopotach. Gdyby tylko nadzorca kazał mu przejść do pomieszczeń dla służby...

- Panie! - zawołał nadzorca.

- O co chodzi, ogrodniku? - odparł dziwnie znajomy głos Obywatela.

- Panie, jakiś intruz wtargnął do środka, niosąc ze sobą średniowieczny ziemski kostium, rapier i instrument muzyczny.

- Przyrowadź go do przekaźnika! - rozkazał Obywatel.

Na dźwięk tego głosu Stile'em wstrząsnął zimny dreszcz. Gdzie go już słyszał?

Nadzorca zaprowadził Stile'a do budki z przekaźnikiem hologramów.

Stile był brudny i podrapany, cierpiał z głodu i pragnienia; czuł że wygląda okropnie.

- Imię - warknął Obywatel. - Stile, panie.

Nastąpiła chwila ciszy. Obywatel widocznie sprawdzał skomputeryzowany spis niewolników.

- Dżokej i uczestnik Gry? - Tak, panie.

- Zagraj.

Starszy ogrodnik szybko odnalazł harmonijkę i wepchnął ją Stile'owi do ręki. Stile podniósł ją do ust. Był to sprawdzian jego tożsamości; oszust prawdopodobnie nie umiałby się nią posłużyć. Wydobył kilka dźwięków i wczuł się w piękno powstającej muzyki.

- Wystarczy, Stile - przerwał mu Obywatel, obojętny na tego rodzaju doznania estetyczne. - Twój obecny pracodawca ręczy za ciebie. Zaczekaj tu, aż przyjedzie po ciebie jego przedstawiciel.

Jego obecny pracodawca? Cóż to mogło oznaczać? Stile zamilkł i o nic więcej już go nie pytano. Podszedł do ogrodnika, który oddał mu resztę jego rzeczy.

Nagle Stile przypomniał sobie, do kogo należał usłyszany przed chwilą głos: do Czarnego Adepta! Był to więc protoński odpowiednik złowrogiego czarodzieja, sobowtór nic nie wiedzący o alternatywnym świecie. Miało to sens - kopuła położona była bardzo blisko Czarnego Zamku. Przypuszczenia Stile'a o związku pomiędzy Adeptami i Obywatelami potwierdziły się. Czy ten człowiek miał jakiegokolwiek powody, by podejrzewać...

Stile odetchnął z ulgą. Obywatel na pewno nie będzie przejmował się zabłąkanym sługą, skoro inny zdejmował mu ten problem z głowy. Teraz Stile będzie musiał tłumaczyć się nowemu właścicielowi, a nie temu tutaj. Gdyby zaginął jeden z niewolników Obywatela - Czarnego Adepta, inni postąpili by podobnie.

W ogrodzie pojawiła się zgrabna kobieta. Zwróciła ku niemu twarz...

- Sheen! Rad jestem, że mogę cię znów ujrzeć! - wykrzyknął. -- Do licha, nie ten język - powiedział cicho do siebie.

Zmarszczyła brwi.

- Idziemy, Stile. Nie powinieneś być wędrować poza kopułę. Mogłeś przecież zniszczyć kostium. Dostaniesz za swoje, jeśli zdarzy ci się to jeszcze raz.

- Zwróciła się do nadzorcy:

- Dziękuję, Stile miał zanieść kostium do prywatnej kopuły naszego pracodawcy i najwidoczniej zabłądził. Czasami zachowuje się jak głupek.

- Opowiadał mi, że jest bezrobotny - powiedział nadzorca.

Sheen uśmiechnęła się.

- Był kiedyś dżokejem. Musiał spać o jeden raz za dużo.

Popukała się znacząco palcem w czoło.

- To się zdarza. Przepraszamy za całe to zamieszanie. - Urozmaiciło to nam nocną zmianę - stwierdził nadzorca, podziwiając jej figurę.

Widać zamieszanie nie było takie straszne, jeśli pojawiała się w takiej postaci.

Sheen stanowczo ujęła Stile'a pod łokieć i poprowadziła za sobą.

- Tym razem trafisz tam, gdzie powinienes - powiedziała z fałszywym uśmiechem.

Ścisnęła ją za rękę. Najwyraźniej wzięła sobie do serca jego wcześniejsze rady i zrobiła się tak ludzka, że aż nie do zniesienia. Mimo to, wyciągnęła go z kłopotów.

Kiedy znaleźli się w kapsule mknącej tunelem w kierunku większej kopuły, Sheen wyjaśniła mu wszystko.

- Wierzyłam, że jakoś uda ci się wrócić. Jestem przecież zaprogramowana na intuicję. Więc poprosiłam przyjaciół, by zrobili robota, całkowicie do ciebie podobnego; znaleźliśmy ci też nowego pracodawcę. Jak tylko w sieci komputerowej pojawiło się zapytanie o ciebie...

- Rozumiem.

Jej przyjaciele to oczywiście obdarzone wolną wolą maszyny, które potrafiły podłączać się do systemu informacyjnego, a nawet niektóre z nich stanowiły część tego systemu. Jakże były dla niego użyteczne!

Z kopuły ogólnej polecili rakieta transportową do miejsca, gdzie mieszkał Stile. W ciągu kilku minut przebyli drogę, jaka zajęłaby jednorożcowi wiele dni. To przypomniało mu jeszcze o jednym: co miał powiedzieć Sheen o Neysie?

Weszli do mieszkania. Sheen utrzymywała je w idealnym porządku. A może robił to noszący jego imię robot? Wyglądało na to, że Sheen usunęła go, kiedy tylko dowiedziała się o powrocie Stile'a. Była naprawdę niezwykle skuteczna w działaniu.

Ciekawe, jak to mieszkanie wyglądało, gdy przebywały tu jednocześnie dwa roboty? Czy jadły razem, spały, kochały się? Stile poczuł nagle, że robi się zazdrosny i aż się roześmiał. Na pewno zastępujący go robot nie posiadał wolnej woli; to musiała być maszyna zaprogramowana przez Sheen.

- Musimy porozmawiać - powiedziała - ale najpierw musisz zjeść coś i odpocząć. Świat za zasłoną nie potraktował cię przyjaźnie. Jesteś podrapany i wychudzony, wyglądasz jak szczapa.

Stile poczuł powracające pragnienie. Prawie rzucił się na kubek z napojem odżywczym i pochłonął go jednym łykiem. - Tak, picie, jedzenie i sen; w takiej właśnie kolejności -

stwierdził.

- A potem rozmowa - dodał.

Spojrzała na niego zalotnie.

- I nic więcej?

Ach, ten seks! Opanował się jednak.

- Najpierw porozmawiamy, a potem rozważymy, co dalej. Możesz nie być ze mnie zadowolona.

- Ty też możesz być niezadowolony z tego, co zrobiłam - oznajmiła.

Podniósł jedną brew.

- Z moim sobowtórem? Roześmiała się.

- Stile, to niemożliwe! On jest robotem!

- Dobrze, że nie ma między nami nikogo takiego zgodził się Stile.

- Wiesz, co miałam na myśli. To nie jest to samo. - Mówisz z doświadczenia?

- Nie. On nie był zaprogramowany na miłość.

- Też mi to przyszło do głowy. W innym wypadku nie ucieszyłabyś się tak z mojego powrotu.

Kiedy zjadł już i wyszedł spod prysznic, położyli się obok siebie. W czym to stworzenie - zapytywał sam siebie Stile - miałyby być gorsze od Tune? Sheen była piękna dla oczu i miła w dotyku, a oprócz tego wykazywała zdumiewającą inicjatywę. Wyglądało na to, że nikt nie zorientował się w jego tygodniowej nieobecności, a każda próba zabicia robota musiała oczywiście spalić na panewce.

- Czy twoi przyjaciele zapewnili nam tu pełne odosobnienie?- zainteresował się, pamiętając, że mieszkanie o mało co nie stało się jego więzieniem.

Gdyby nie to urządzenie zmontowane przez przyjaciół Sheen, symulujące jego obecność w domu...

- Jesteśmy tu zupełnie bezpieczni - powiedziała. Objęła go i na chwilę przytuliła, ale nie posuwała się dalej. - Czy mam mówić?

Co mogłoby powstrzymać logicznego robota, lub nielogiczną kobietę?

- Oczywiście - zachęcił ją.

- Twój nowy pracodawca nie zajmuje się końmi. Interesuje go tylko Gra. Co roku sponsoruje jednego z głównych zawodników biorących udział w Turnieju, ale jeszcze nigdy nie trafił na zwycięzcę. W tym roku...

- O nie! Oczekujecie, że będę brał w tym udział...? - Tak, w tym roku - potwierdziła - i robot nie może cię zastąpić, nawet gdyby to było legalne; nie posiada wystarczających

umiejętności. Kupiłam ci bezpieczeństwo, ale za cenę twojego prawa pobytu.

- Zdajesz sobie sprawę, że to najprawdopodobniej zakończy również twoją misję? Kiedy stanę do Turnieju, nie będę już potrzebował twojej ochrony.

- Gdyby był jakiś inny sposób... - westchnęła Sheen. - Stile, nie zostałeś zwolniony bez powodu. Nie znalazłeś się wprawdzie na czarnej liście, bo twoja odmowa dalszego udziału w wyścigach była zrozumiała, lecz niewielu Obywateli interesowało się tobą. Moi przyjaciele musieli przeprowadzić prawdziwe śledztwo, by znaleźć...

- Tego jednego Obywatela, który gotów był mnie zatrudnić - dokończył za nią Stile. - Nie mam o to pretensji. Zrobiłaś wszystko, co było możliwe i zrobiłaś to świetnie.

- Ale twoje prawo pobytu...

- Mam teraz jeszcze inną możliwość - zakończył. Nie spieszył się z opowieścią o Phase i nic nie wspominał o swej decyzji pozostania tam na zawsze.

- Twój anonimowy wróg nie zniknął. To nie ten Obywatel, który chciał cię przerobić na cyborga; on wycofał się po tygodniu. Mam na myśli tego, który zniszczył ci laserem kolana i prawdopodobnie przysłał mnie tutaj. Było kilka zamachów na twojego sobowtóra. Moi przyjaciele zaciskają się, próbując go odnaleźć, ale jest to wróg niezwykle przebiegły i nieuchwytny. Nie będę mogła zawsze chronić cię przed nim. Więc...

- Szatańsko logiczne - zgodził się. -- Gra jest lepsza od śmierci, a skrócony pobyt od żadnego. Ale sądziłem, że zostawię mnie w spokoju, jeśli stanie się oczywiste, że już nigdy nie będę się ścigał.

- Wydaje się, że było to błędne przypuszczenie. Ten ktoś pragnie twojej śmierci. Chce jednak zgładzić cię podstępnie, a więc spowodować zgon na przykład na skutek lekarskiej pomyłki, pozornie przypadkowego nieszczęścia...

- Więc równie dobrze mogłem zoperować sobie kolana - zauważył. - Gdybym tylko mógł zaufać chirurgowi.

Wrócił myślami do Gry. Nikomu nie wolno sprofanować Turnieju. Żaden z uczestników nie może być w jakikolwiek sposób prześladowany, nawet przez Obywatela. Dzięki temu Gra odbywa się uczciwie. Tak więc Turniej zapewni mi bezpieczeństwo - doszedł do wniosku - przynajmniej na czas jego trwania. ale nie jestem przygotowany; planowałem wystartować za dwa lata.

- Zrobiłam, co mogłam i być może będzie to powodem twego przedwczesnego wygnania. Jeśli chcesz mnie ukarać... - Tak, chyba chcę - powiedział. - Opowiem ci za to, co porabiałem. Za zasłoną znajduje się świat magii. Spotkałem tam i oswoiłem klaczkę jednorożca; zamieniła się w śliczną małą kobietkę i...

- I według ciebie powinnam być zazdrosna o tę magiczną istotę z bajki?

- Żadna bajka. Mówię ci przecież, że to była samica, nie samiec. Robiłem z nią to, co każdy mężczyzna...

- Już jestem zazdrosna! - odrzekła z powagą. Położyła się na nim i pocałowała go namiętnie. - Czy umiała tak?

- Oczywiście, ma bardzo ponętne usta. - Tak? A potrafiłaby coś takiego?

Teraz Sheen zrobiła coś znacznie bardziej intymnego. Stile poczuł, że mimo zmęczenia zaczyna mu brakować tchu.

- Tak, jej piersi nie są co prawda tak duże jak twoje, lecz...

- Dobrze, a co powiesz o tym?

Demonstracja zajęła trochę czasu. W końcu przyjemnie zmęczony Stile położył się.

- To również - wymruczał.

- Teraz to już naprawdę mnie ukarałeś - zawiadomiła go, ale nie wyglądała na zmartwioną.

- A potem poszliśmy do Wyroczni i dowiedziałem się, że powinienem poznać samego siebie - ciągnął Stile rozumiejąc, że jestem Adeptem, który został zabity albo w inny sposób zlikwidowany, udałem się na poszukiwania i zostałem uwięziony w zamku Czarnego Adepta. Uratował mnie wilkołak, który wysłał mnie tu z powrotem przez zasłonę i tak się tu znalazłem.

Ziewnął. - Czy teraz mogę już iść spać?

- Zdajesz sobie sprawę, że nikt w to nie uwierzy? - Tak.

- I postanowiłeś tam wrócić?

- Tak. W każdym razie nie mogę długo pozostać na Protonie. To daje mi jakąś alternatywę.

- Chyba, że wygrasz Turniej. Wtedy możesz zostać na zawsze.

- Dziewczyno, łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Za dwa lata byłbym u szczytu formy; dzisiaj moje szanse pozostawiają wiele do życzenia.

- Zostając Obywatelem, mógłbyś ustalić tożsamość swojego wroga.

- To jest to - zgodził się bez wahania.

- A teraz powiedz mi, co takiego miałaś zamiar robić, gdy już skończymy rozmawiać? - zapytał z uśmiechem.

Uderzyła go poduszką z kanapy.

- Już to zrobiliśmy! Nie zauważyłeś? - A co?

Przyciągnęła go do siebie, pocałowała i zarzuciła mu nogę na uda. Tulili się do siebie

tak mocno, że jej głowa znalazła się tuż obok jego; czuł zapach jej włosów.

- Wspaniale być tu z powrotem - powiedział poważnym tonem. - Zrobiłaś świetną robotę, Sheen. Ale świat na Phase... to takie piękne miejsce, nawet bez magii. Kiedy tam byłem, czułem się spełniony. Tak, jakby obudziły się we mnie wszystkie moje potencjalne możliwości. Muszę tam wrócić. Czy rozumiesz?

- Może ja też czułabym to, co ty, gdybym przeszła przez zasłonę i zobaczyła, że żyję?

Sheen zamknęła oczy i coś sobie wyobrażała.

- Tak. Musisz wrócić. Ale będziesz nas odwiedzał? - Często. Są tu rzeczy, których nie chciałbym utracić. - I jedną z nich jestem ja?

- Jesteś najważniejszą z nich.

- Nie mam prawa prosić o nic więcej.

Znowu poczuł się winny. Sheen kocha go, a on nie może odwzajemnić jej uczuć. Nie miało żadnego znaczenia, że specjalista mógł uczynić drobną zmianę w jej oprogramowaniu i w jednej chwili radykalnie zmienić jej nastawienie do niego, podobnie przecież nowoczesna chirurgia umożliwiała przeszczepienie mózgu człowieka do innego ciała. Teraz jednak tak jej uczucia, jak i jego stosunek do niej istniały naprawdę.

Nie był zwolennikiem radykalnych zmian. Jeżeli opuści Protona -- opuści Sheen, tak samo, jak Tune porzuciła jego. Lecz Sheen sama skróciła jego pobyt na Protonie. Miała rację: nie mogła prosić go o nic więcej.

Nie minęła jeszcze nawet połowa nocy, choć wydawało się już bardzo późno. Przytulił się do dziewczyny jak do ciepłego, miękkiego koca i zasnął.

Rano Stile zaczął czynić starania o prawo uczestniczenia w Turnieju. Poszedł do Sali Gier, odnalazł drabinę oznaczoną symbolem 35M i nacisnął przycisk przy szczeblu o jeden wyższym niż jego. Wzywał do Gry zawodnika z Dziewiątego Szczebła.

Po chwili gracz odpowiedział na jego wyzwanie. Był to oczywiście trzydziestopięcioletni mężczyzna. Dla potrzeb Gry wiek określano ściśle według zasad chronologii. Następowaly ciągle przemieszczenia między drabinami, gdyż w dniu urodzin przenoszono ludzi z jednej drabiny na drugą. Nikt nie dostawał za darmo miejsca w pierwszej dwudziestce. Nawet posiadacz Pierwszego Szczebła musiał zaczynać od dwudziestego pierwszego następnej grupy wiekowej. Tylko w czasie trwania corocznego Turnieju nie dokonywano żadnych zmian; przez ten okres zawodnicy zachowywali te same miejsca na drabinie, nawet jeżeli mieli urodziny.

Oprócz płci i wieku zdobywca Dziewiątego Szczebła w niczym nie przypominał Stile'a. Był wysoki, chudy i przypominał przygarbionego uczonego. Wygląd odpowiadał prawdzie;

mężczyzna nazywał się Tome i pracował jako badacz u mającego naukowe inklinacje Obywatela. Tome był przede wszystkim intelektualistą; niezmiennie wskazywał kolumnę UMYSŁOWE, gdy miał wybierać spośród numerów Tabeli, i MASZYNY, gdy wybierał spośród liter.

Tome potrafił zwyciężyć większość konkurentów w grach umysłowych i uzyskać remis w konkurencjach z wykorzystaniem maszyn - zwłaszcza komputerowych - więc zdobył wystarczająco wiele zwycięstw, by utrzymać swoją pozycję. Ponieważ jego możliwości były ograniczone, nie był potencjalnym uczestnikiem Turnieju. Nazywano go człowiekiem od 2C, co definiowało jego talenty (na Tabeli: drugi pionowy, trzeci poziomy). Jeżeli ktoś był w tym słaby, miał małą szansę wyprzedzenia Toma.

Stile był ogólnie dobry w konkurencjach 2C. Potrafił poradzić sobie z Tomem, a on o tym wiedział. Stile po prostu nie chciał za wcześnie zdobyć Dziewiątego Szczebla.

Weszli do budki i rozegrali Tabelę. Stile wylosował stronę z numerami - dobry znak! Uważał ją za ważniejszą. Oczywiście nie wybierze kolumny UMYSŁOWE; nie chodziło mu przecież tylko o zabawę, było to poważne wyzwanie, które miał zamiar wygrać z jak najmniejszym ryzykiem. Nie miał też zamiaru zgodzić się na rozstrzygnięcie pojedynku przez ślepy traf, zawarte w opcji LOS. Tome zawsze miał szczęście w grach mechanicznych, więc ryzyko było zbyt wielkie. Musiał wybrać kolumnę FIZYCZNE, w której czuł się pewnie.

Tome oczywiście wybrał MASZYNY. Natychmiast pojawiła się następna tabela:

Ruch

Akcja

Obserwacja

Ląd

Woda

Powietrze

Było to więc dziewięć rodzajów sportów z udziałem maszyn, od wyścigów rowerowych w 1 A do określania pozycji gwiazd w 3C. Stile tym razem wybierał, niestety, spośród liter; nie mógł więc wskazać kolumny oznaczającej WYŚCIGI, a wiedział, że Tome nigdy tego nie zrobi. Tome zdecyduje się pewnie na OBSERWACJĘ, chyba że obawiać się będzie, iż Stile wybierze WODĘ. Znaleźliby się wtedy w kwadracie 3B, co oznaczało odnajdywanie przy pomocy echosondy zatopionych statków. Tome nie był w tym specjalnie

dobry, ale nieźle sobie radził w pojedynkach na hydranty, więc mógł zdecydować się na AKCJĘ. W tej sytuacji Stile uznał, że najlepiej będzie wskazać POWIETRZE.

Wygrał. Wyszło 2C: pojedynek z użyciem pistoletów, laserów i tym podobnej rażącej na odległość broni. W tej konkurencji Stile był lepszy i obaj o tym wiedzieli.

- REMIS? Na tablicy zapaliło się pytanie Tome'a. Prawo pozwalało na złożenie tej propozycji na każdym kolejnym stopniu dokonywanej selekcji. Stanowiło to element wojny psychologicznej, a w tym wypadku oznaczało przyznanie się do słabości.

Stile nacisnął przycisk: NIE PRZYJMUJĘ i potem: PODDAJ SIĘ

Tome zawahał się. Mijały sekundy. Jeżeli nie zaprzeczy w ciągu piętnastu sekund, będzie to oznaczało poddanie się. W tym stadium Gry poddanie się mogło być tylko żądaniem, nigdy ofertą. Był to jeszcze jeden przepis zapobiegający temu, by nieodpowiedzialni gracze zajmowali Tabelę, nie mając zamiaru występować w Grze. Wreszcie zaświecił się sygnał: NIE PRZYJMUJĘ.

Teraz na ekranie pojawił się spis możliwych wariantów. Tome, jako wyzwany, mógł pierwszy dokonać wyboru. Umieścił antyczne pistolety w centralnym kwadracie tabeli złożonej z dziewięciu pól, jaka pojawiła się na ekranie. Stile umieścił w rogu laserową rusznicę. Nie była to oczywiście prawdziwa broń; w miejscu trafienia pozostawiała tylko punkcik zmywalnej czerwonej farby. Na Protonie pojedynki przy użyciu prawdziwej amunicji zdarzały się sporadycznie i nigdy w związku z Turniejem.

Jak się okazało, obaj czuli słabość do antycznej broni i kiedy zakończyli rozgrywanie tabeli, widniało na niej 2B, co oznaczało pojedynek na pistolety.

Przeszli teraz na strzelnicę, a Sheen udała się na galerię dla widzów. Każdy oficjalny pojedynek rejestrowała kamera holograficzna. Ułatwiała to rozstrzygnięcie ewentualnych sporów czy pretensji dotyczących wyniku. Niektórzy lubili przeglądać zapisy gier kolejnych zwycięzców Turnieju, poczynawszy od ich pierwszego ruchu w górę drabiny i wyszukiwać te elementy, które czyniły zwycięstwo nieuniknionym. Oprócz wymienionych walorów używania kamery oznaczało to także, że żaden zasiadający na widowni wróg nie mógłby bezkarnie strzelić z lasera w kolana lub inną część ciała Stile'a; strzał zostałby sfilmowany, a zamachowiec natychmiast schwyty. To nie były wyścigi konne!

Musieli kilka minut poczekać, bo strzelnica była zajęta. Pojedynki ostatnio były modne i istniała nawet grupa zapaleńców, którzy walczyli codziennie. Gdyby Stile grał przeciwko jednemu z nich, unikałby tej opcji za wszelką cenę. Na tym polegała właśnie cała strategia Gry; kluczem do zwycięstwa było rozgrywanie Tabeli. Ktoś, kto sobie dobrze z tym radził, mógł wygrywać pojedynki, będąc specjalistą w niewielkiej tylko ilości dyscyplin. Na

przykład Tome miał opanowane tylko siedem spośród szesnastu podstawowych konkurencji i proporcjonalną liczbę umiejętności uzupełniających. Przeciwnik mógł wymusić wybór tylko w obrębie jednej z tych siedmiu. Jeśli jego preferencje pokrywały się ze specjalnościami Tome'a, to mógł być praktycznie pewien trafienia na jedną z nich, ku niezadowoleniu Tome'a. Dla poważnych graczy najlepszą strategią było jednak osiągnięcie dobrych wyników w każdej dyscyplinie. Zapewniało to swobodny wybór opcji i pomagało unikać pułapek. Z tego właśnie powodu Stile należał do najlepszych graczy.

- Chcesz startować w najbliższym Turnieju? - zdziwił się Tome. - Masz przecież jeszcze czas. Kiedy pięciu najlepszych graczy wystąpi w tym roku, zostaniemy obaj włączeni do eliminacji na następny rok. Sądziłem, że raczej będziesz starał się teraz obniżyć swoją lokatę. O co tu chodzi? Stile uśmiechnął się.

- Widzisz tę dziewczynę na trybunie? Tę śliczniutką? To ona mnie w to wrobiła.

- Och, fanka! - powiedział lekceważąco Tome i zerknął ukradkiem na Sheen i natychmiast zmienił zdanie. - Dla takiej ślicznotki sam ruszyłbym do boju! Czy jest dobra w konkurencjach umysłowych?

- Ograniczona jak robot - odparł Stile.

- Próbujesz zdobyć Szósty Szczebel, by po Turnieju zostać na Pierwszym? To ryzykowne. Wystarczy, że ktoś niespodziewanie zachoruje przed eliminacjami i nawet nie zauważysz, jak wepchną cię do Turnieju.

Tome najwyraźniej nie miał żadnych złudzeń co do wyniku zbliżającego się pojedynku i wcale się tym nie przejmował; nie miał zamiaru choćby otrzeć się o Turniej.

- Walczę o Piąty Szczebel - poinformował go Stile. - Wolałbym, żeby obeszło się bez rozgłosu.

Tome zaskoczony odwrócił głowę. - W tym roku?

- Nie było to moim zamiarem, ale miałem trochę kłopotów z zatrudnieniem.

- Tak, słyszałem. Uszkodzone kolana, prawda? Zdziwiony byłem, że nie poszedłeś od razu na operację.

- Przestraszono mnie. Tome roześmiał się.

- Ciebie przestraszono?! Ale muszę przyznać, że wyglądasz nie najlepiej. Musiała to być niełatwa decyzja.

- Tak było - potwierdził Stile, nie udzielając dalszych wyjaśnień.

- Cóż, życzę ci powodzenia - powiedział szczerze Tome.

Strzelnica zwolniła się. Na stole przy wejściu leżała para zabytkowych pistoletów z wyszukаныmi perłowymi rękojeściami i lufami połyskującymi czarną stałą. Specjalista

potrafiłby dokładnie określić ich rocznik i producenta, lecz Stile'a interesowała wyłącznie ich celność i ciężar. Były to wprawdzie tylko kopie, z których nie strzelało się prawdziwymi nabojami, ale poza tym niczym nie różniły się od oryginalnej brani.

Stile musiał wygrać ten pojedynek; nie mógłby ponownie rzucić wyzwania, zanim nie nastąpiłoby przetasowanie szczebli, a w tak krótkim czasie, jaki pozostał do Turnieju, było to mało prawdopodobne. Gracze albo mocno trzymali się zdobytych pozycji, pragnąc przejść przez eliminacje, albo starali się do nich nie wejść. Tak późna decyzja Stile'a, żeby zakwalifikować się do Turnieju, była czymś niezwykłym i na pewno będzie tematem plotek i domysłów. W tej sytuacji udałooby się uniknąć rozgrywek z kimś, dla kogo start w Turnieju był ostatnią szansą przedłużenia prawa pobytu.

Chętnych do wzięcia udziału w Turnieju było zawsze więcej niż wolnych miejsc, szczególnie w tej grupie wiekowej, do której należał Stile, gdzie wielu dorosłych zbliżało się do końca swego pobytu. Oczywiście prawo pobytu wygasało niewolnikom we wszystkich grupach, gdyż do pracy na Protonie najmowano ludzi w dowolnym wieku, lecz starsi nie mieli już takiej motywacji i wytrwałości, zaś młodszym brakowało doświadczenia i rozsądku. Perfekcyjne umiejętności prezentowały grupy trzydziestolatków, zarówno męskie jak i kobiece.

Pistolety były oczywiście sprawne i identyczne. Przeciwnicy wzięli broń, podeszli do centrum strzelnicy, stanęli do siebie plecami i zaczęli iść w rytmie wyznaczanym przez chronometr. Dziesięć kroków, obrót i strzał po dziesiątym uderzeniu gongu. Ten, kto odwrócił się za wcześnie lub strzelił za szybko, był zdyskwalifikowany.

Niektórzy, mimo że świetnie strzelali w czasie treningów, nie sprawdzali się w czasie prawdziwych pojedynków. Jednym brakowało czasu na przybranie odpowiedniej postawy i wycelowanie, inni z kolei tracili głowę na widok strzelającego do nich przeciwnika. Zawody' tego typu wymagały mocnych nerwów. Obaj je mieli.

Po ostatnim uderzeniu gongu Stile skoczył, obrócił się w powietrzu i stanął twarzą w twarz z rywalem. Ten zrobił tylko zwrot w miejscu, powstrzymując się od strzału do chwili, kiedy, jak sądził, uda mu się przewidzieć ruchy konkurenta. Wiedział doskonale, że Stile rzadko strzelał pierwszy; ale za to starał się być dla współzawodnika trudnym celem, zachęcając go równocześnie do zmarnowania jedynej kuli. Tome był na to za sprytny.

Stile wylądował na ziemi, wywinął kozła, skoczył i znowu znalazł się w powietrzu. Gdyby Tome spodziewał się tylko zwykłego skoku, na pewno by strzelił, ale w tej sytuacji ostrożnie czekał na właściwy moment, wodząc lufą pistoletu za ruchliwym przeciwnikiem. Ten nie czekał, aż jego stopy dotkną ziemi, tylko pociągnął za spust. Pośrodku piersi Tome'a

pojawiła się czerwona plama, oznaczająca strzał prosto w serce.

Tome rozłożył ręce. Za długo zwlekał. Oficjalnie był martwy. Podczas gdy Tome zmywał czerwoną plamę, Stile zarejestrował zwycięstwo w komputerze kierującym Grą. Uścisnęli sobie dłonie i wrócili do Sali Gier. Ich imiona zmieniły już pozycję na drabinie. Stile nacisnął guzik przy Ósmym Szczebłu; rzucał nowe wyzwanie. Chciał przesunąć się w klasyfikacji jak najwyżej, zanim konkurenci nie zaczną się niepokoić i rozpuszczać plotki o jego nie najlepszej kondycji.

Jeśli dobrze by pomyśleli, mogliby zmusić Stile'a do startowania w bardziej wyczerpujących dyscyplinach, w których byłby teraz słabszy.

Pojawił się przeciwnik. Był nim krępy, atletycznie zbudowany mężczyzna o imieniu Beef.

- Tome, wyzywasz mnie? - pytał zdumiony.

- Nie ja - odparł Tome, wskazując na drabinę. Beef przyjrzał się jej.

- Stile, co to za wyzwanie?

- Próba sił - odrzekł Stile. Beef wzruszył ramionami.

-- Nie mogę odmówić.

Poszli do budki rozegrać tabelę. Decyzje Beefa były nie do przewidzenia. Często grał tylko po to, by się zabawić. Wybór Stile'a padł na B. NARZĘDZIA i miał nadzieję, że Beef nie zdecyduje się na 3. LOS.

Niestety, Beefa bardziej interesowała motywacja Stile'a niż rezultat Gry i wobec tego wynikiem losowania było 3B. Należało teraz wybrać jedno z licznych urządzeń służących hazardowi. Ta konkurencja nie wymagała od zawodników wielkich umiejętności. Stile byłby w stanie pokonać Beefa w większości gier, w których ważna była zręczność, ale w grach losowych mieli jednakowe szanse.

Starał się je zwiększyć, wykorzystując każdą możliwość, jaka się nawinęła podczas rozgrywania dodatkowych tabeli. Na ekranie pojawiło się hasło KARTY. Należały technicznie do gier losowych, *lecz* wśród nich było wiele takich, jak na przykład brydż czy poker, przy których duże znaczenie miały także umiejętności. Stile powinien wypełnić końcową tabelę takim właśnie typem gry.

Jednakże Beef czujnie obserwował tabelę, a jego preferencje dotyczyły gier całkowicie zależnych od przypadku. Chciał zdenerwować Stile'a i udawało mu się to. Nie był zainteresowany wygraną, ale tak rozgrywał tabelę, by Stile nie mógł ustawić wybranej przez siebie gry na kolejnych polach kolumny. Jeżeli gracz zajął trzy pola pod rząd, to rząd ten należał już do niego, co oznaczało strategiczną przewagę. Szansa wyboru gry wymagającej

pewnych umiejętności była pięćdziesięcioprocentowa, ale Stile zauważył, że przegrywa. Coś musiał na to poradzić.

Znał pewien wymagający umiejętności strategicznych wariant karcianej gry losowej, o którym Beef prawdopodobnie nie słyszał. Stile włączył ją do rozgrywki, rozegrał na jej korzyść i uzyskał to, co chciał: wojnę strategiczną.

Zwykła wersja gry nazywanej wojną polegała na przypadkowym podziale talii kart na dwie części, które gracze odsłaniali kolejno po jednej. Wyższa karta biła niższą i obydwie wędrowały na kupkę zwycięzcy. Po zakończeniu pierwszego rozdania tasowano oddzielnie obie kupki zdobytych kart i całą operację powtarzano dopóty, dopóki jeden z graczy nie zdobył całej talii. Gra była czysto losowa i mogła trwać godzinami. Natomiast strategiczny wariant wojny zezwalał graczowi na trzymanie kart w ręku i decydowanie, którą z nich wyłoży. Obaj wykładali po jednej i wyższa wygrywała. Gra nie była już czysto losowa; można było pamiętać kolejność kart swoich i przeciwnika i odpowiednio je rozgrywać. Było to pole do psychologicznego nacisku prowadzącego konkurenta do marnowania wyższych kart na bicie blotek lub użycia karty zbyt niskiej i przegrania pojedynku. Rozgrywki były przeważnie znacznie krótsze niż w losowym wariacie wojny, a wygrywał zawsze lepszy strateg. Tak więc Stile zyskał możliwość wykorzystania swych umiejętności przy odgadywaniu zamiarów przeciwnika i wykładaniu kart nie wyższych, niż było to konieczne.

Zagrali i wkrótce Stile był górą. Bił królowe królami, jednocześnie oddając dwójki asom. Stopniowo jego zapas kart rósł, dając mu coraz większe pole manewru, podczas gdy jego oponent miał coraz mniej możliwości. Szczęście? Szczęście leżało w rozgrywaniu tabeli.

Po pewnym czasie Stile mógł już wyłożyć kolejno siedem asów i króli, zabierając ostatnie siedem kart Beefa. Wygrał i Szczebel Ósmy należał już do niego.

Beef ponuro pokręcił głową.

- Zapamiętam ten wariant - powiedział.

Nie zależało mu na wygranej, ale nie podobało mu się, że został tak z ręcznie przechytrzony.

Wrócili do Sali Gier. Dwie wygrane Stile'a zdążyły już przyciągnąć uwagę. Pod drabiną oznaczoną symbolem 35M zebrał się tłumek kibiców.

- Hej, Stile - zawołała młoda dziewczyna - wstępujesz tego roku w szranki?

Powinien był przewidzieć, że niemożliwe będzie zachowanie tajemnicy. Zbyt dobrze znano go w tych kołach, a to, co teraz robił, zbyt rzucało się w oczy.

- Tak - odparł krótko.

Ponownie podszedł do drabiny i nacisnął przycisk widniejący przy Szczelbu Siódmym.

Posiadacz tego Szczelba był już obecny. Nazywał się Snack i był mężczyzną średniego wzrostu, specjalizującym się w grach planszowych i sportach nie wymagających większego wysiłku fizycznego. Był groźniejszy od obu poprzednich przeciwników Stile'a.

- Jutro odpowiem na twoje wyzwanie - zawiadomił Snack i odszedł.

Właśnie tego obawiał się Stile. Posiadacz dowolnego szczelba musiał odpowiedzieć na wyzwanie gracza znajdującego się o stopień niżej, ale rozgrywkę mógł odwlec o jeden dzień. Stile musiał zdobywać szczelbel po szczelbu; nie wolno było rzucać wyzwania poza kolejnością. Nie było więc innego wyboru, jak tylko czekać, a to kolidowało z jego zamiarem powrotu na Phase.

Sheen ujęła go pod ramię.

- Będziesz miał tu jutro pełną widownię - zauważyła. -- Kiedy gracz twojego kalibru wstępuje w szranki Turnieju i podejmuje walkę o prawo stałego pobytu tuż przed ostatecznym terminem zgłoszeń, to jest już coś, o czym się mówi.

- Chciałem szybko zakwalifikować się, by odwiedzić Phase jeszcze przed Turniejem - powiedział Stile. Neysa czeka i się zamartwia.

Spojrzał na Sheen. Zorientował się, że niepotrzebnie to powiedział. Zanim otworzył usta, mógł najpierw zastanowić się, co mówi.

- Chyba to nie najlepszy pomysł - powiedział zmieszany. Patrzyła prosto przed siebie.

- Dlaczego? Jestem przecież tylko maszyną.

- Chciałem tylko powiedzieć, że obiecałem jej, że wrócę i spotkam się z nią w pałacu Wyroczni. Przecież to jej pytanie do Wyroczni uwolniło mnie; jedyne, jakie jej przysługiwało i poświęciła je, by mi pomóc. Muszę tam iść.

- Oczywiście.

- Zobowiązałem się! - zawołał zdenerwowany. Ustąpiła.

- Ona odesłała cię do mnie. Odwzajemnię się. Czy obiecujesz wrócić i spotkać się ze mną jeszcze raz?

- I zakwalifikować się do Turnieju. - uzupełnił. Tak, ty też poświęciłaś się dla mnie.

- A więc wyślemy cię z powrotem jeszcze dzisiaj. - Jutro muszę walczyć o Siódmy Szczelbel!

- Wobec tego będziesz musiał się pospieszyć. Wciągnęła go do odosobnionego pokoju.

- Wyślę cię do niej, jak tylko zaspokoisz moje pragnienie - powiedziała rozpogodzona i dokładnie go wycalowała. Sheen coraz bardziej przypominała żywą kobietę. Do tego podniecała go i nie był jej niechętny. Tak łatwo byłoby zapomnieć o jej prawdziwej naturze...

Nie, to była jeszcze jedna fantazja i w dodatku niezdrowa.

Jak jednak miał ciągnąć to dalej? Zakochany robot w jednym z równoległych światów i jednorożec w drugim? Nawet gdyby wziął udział w Turnieju i wygrał, choć szanse były niewielkie, a potem odnalazł swoje miejsce na Phase i zajął je - prawdopodobnie jest to marzenie z gatunku niemożliwych do spełnienia - to jak miał załagodzić narastający konflikt między tymi dwiema istotami rodzaju żeńskiego?

Sheen zawiozła go do kopuły, która - według jego geograficznych ustaleń - położona była najbliżej pałacu Wyroczni. Zaczęli poszukiwać zasłony. Musieli być ostrożni ze względu na tajemniczego zabójcę, którego zmiana trybu życia Stile'a najwyraźniej chwilowo zmyliła. Niełatwo było wyśledzić na Protonie szybko przemieszczającego się niewolnika!

Zasłonę odnaleźli w pobliżu kopuły. Wyszli na zewnątrz w rozrzedzoną i zanieczyszczoną atmosferę i Stile włożył ubranie z Phase, które przyniosła Sheen. Dzięki komputerowej pamięci nigdy nie zapominała o takich szczegółach. Nie odważyłby się włożyć ubrania, znajdując się w zasięgu wzroku któregoś z protońskich niewolników, lecz poza kopułą nie miał się czego obawiać.

Stali na jałowej ziemi Protona. Na północnym zachodzie sterczała zmarszczka górskiego łańcucha, równie ponura jak równina. Tylko błyszcząca kopuła rozświetlała smutny krajobraz. Na niebie nie było nawet chmur, tylko złowieszcze smugi cuchnącego smogu.

- Gdybyś mógł znaleźć sposób, dzięki któremu robot mógłby przekroczyć zasłonę... - powiedziała tęsknie Sheen. - Wydaje mi się, że tamten świat lepszy jest od naszego.

- Moje ubranie przechodzi - zauważył Stile - a skoro nie możesz mieć na Phase żywego odpowiednika, powinno to być możliwe...

- Nie. Próbowałam już, kiedy cię nie było. Nie mogę przejść.

- Próbowała już. Jakie to dla niej przykre! Ale co mógł na to poradzić'?

- W tym samym miejscu, jutro - wysapał, zaczynając odczuwać duszność. Sheen skinęła głową. Skażone powietrze nie przeszkadzało jej, oddychała tylko dla pozorów.

- Zrozum, Phase jest przepięknym światem, lecz również niebezpiecznym. Mogę nie...

- Uda ci się - powiedziała stanowczo i jeszcze raz mocno go ucałowała.

- Acha, dobrze. - Stile uczynił coś, co, miał nadzieję, było wystarczającym wysiłkiem woli i przekroczył zasłonę.

Rozdział 14

ŻÓŁĆ

Na Phase było właśnie popołudnie i powietrze cudownie pachniało. Niebo miało kolor głębokiego błękitu przety

kanego gdzieniegdzie puszystymi obłokami. Na północnym zachodzie malowniczo rozciągało się pasmo gór. Stile zatrzymał się, by spojrzeć na śliczne żółciutkie kwiatki, które miał pod stopami i nasycić się wiosenną świeżością krajobrazu.

Jak doszło do tego, że Phase ma tak przyjazne środowisko naturalne, podczas gdy na Protonie jest tak ponuro? Nie był już pewien, czy jedynym powodem są zanieczyszczenia przemysłowe i wypompowywanie tlenu. A co z wilgotnością powietrza? Atmosfera Protonu prawie nie zawierała cząsteczek pary wodnej, zaś tutaj nie odczuwało się żadnych braków. Tę zagadkę warto byłoby kiedyś rozwiązać.

Na razie jednak miał ważniejsze sprawy na głowie. Zanotował w pamięci położenie zasłony, postanawiając, że któregoś dnia zbada całą jej długość i znajdzie najdogodniejsze miejsca do przechodzenia, ale to też była sprawa na później.

Geografia obu światów była taka sama. Wystarczyło tylko usunąć te miłe dla oka chmurki, zieloną trawę bujnie pokrywającą ziemię, kępy drzew i już miało się Protona. Przypominało to dwa bliźniacze rysunki, z których jeden został pokolorowany i przedstawiał świat dopiero co stworzony ręką Boga: naturalny, urokliwy i dziewiczy, po prostu rajski ogród.

Pałac Wyroczeni Stile miał w zasięgu wzroku. Puścił się ku niemu biegiem, ale zanim zdążył pokonać połowę drogi, podbiegła ku niemu Neysa. Zbliżając się do niego, trzymała głowę wysoko, aby nie zaczepić go rogiem. Stile zarzucił jej ręce na szyję i tulił ją, kryjąc twarz w błyszczącej grzywie, czując końskie ciepło, „jędrność i siłę. Nie musiał słowami dziękować jękom za poświęcenie; wiedział, że i tak rozumie.

Poczuł płynące łzy radości. Nic nie mówiąc, wskoczył na jej grzbiet i pogalopował na oklep do pałacu, gdzie czekał na nich Kurrelgyre w ludzkiej postaci.

Choć Stile od urodzenia mieszkał na Protonie, a tylko tydzień na Phase, zdążył poczuć, że tu jest jego miejsce. Rozłąka trwała niespełna dobę, ale wydawała się nie mieć końca. Może dlatego, że czuł się tu bardziej sobą?

Kurrelgyre uroczyście uściskał mu dłoń.

- Czuję ulgę, wiedząc, że powiodła się waści ucieczka - powiedział i zaraz dodał:
- Uspokajałem klaczkę, lecz obawiałem się, że mogłeś się waść znaleźć poza kopułą.
- Tak było, ale na tyle blisko, że udało mi się do niej dostać, zanim się udusiłem.

Stile odetchnął głęboko z wyraźną przyjemnością.

- Powiniennem być przejść razem z waścią, by się upewnić, lecz Neysa czekała na zewnątrz, a ja nie pomyślałem... - Rozumiem. Sam o tym nie pomyślałem. Mogłem przecież przejść jakieś ćwierć mili wzdłuż zasłony i przedostać się przez nią poza zasięgiem Czarnego Zamku. Dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

Kurrelgyre uśmiechnął się:

- Uczymy się, żyjąc - stwierdził filozoficznie. Żadne więzienie w pobliżu zasłony już nas nie powstrzyma. Zerknął na Stile'a.

- Wyglądasz, waść, mizernie; spróbuj tej woni.

Podał mu gałązkę z kilkoma listkami i suchym, matowożółtym kwiatkiem.

Stile powąchał i od razu poczuł przypływ energii. Krew zaczęła żywiej krążyć w jego żyłach.

- Co to za roślina?

- Tojad, zwany zgubą wilków.

- Zguba wilków? Coś, co rzuca klątwę na wilki? Jak więc możesz to trzymać...

- Przecież nie jestem teraz w wilczej postaci. Inaczej nigdy bym tego nie wachał.

- Stile nie widział w tym większego sensu, ale czuł się tak dobrze, że nie chciało mu się dyskutować na ten temat,

- I jeszcze coś - powiedział. - Czyż nie mówiliście mi, że większość ludzi egzystuje równolegle w obu światach Na Protonie jest około pięciu tysięcy Obywateli, dziesięć razy więcej sług i niezliczone tłumy robotów, androidów, cyborgów i zwierząt. A tu, na Phase, nie widziałem ani wielu ludzi, ani zwierząt.

- Żyje tu co najmniej tyle osób, ile na Protonie - wyjaśnił Kurrelgyre - a oprócz tego jeszcze społeczności wilkołaków, jednorożców, wampirów, demonów i najrozmaitszych potworów. Zwróć jednak waść uwagę na dwie rzeczy: po pierwsze, nie jesteśmy ograniczeni kopułami i cała planeta należy do nas, wiele milionów kwadratowych mil. A więc...

- Mil ? - spytał Stile, któremu nie udało się szybko przeliczyć tego na inne jednostki.

- Używamy takiego systemu miar. Jedna mila kwadratowa to w przybliżeniu dwa i pół kilometry kwadratowe, więc...

- Tak, wiem. Właśnie mi przyszło coś do głowy... odrzekł, jakby dokonał ważnego odkrycia. - Czy ten archaiczny system może mieć wpływ na magię Kiedyś próbowałem

ułożyć zaklęcie, używając systemu metrycznego i nie bardzo mi się udało. Było to oczywiście wtedy, zanim złożyłem przysięgę.

- To bardzo możliwe. Każde zaklęcie musi być odpowiednio sformułowane i można je użyć tylko raz. Z tego powodu nawet Adepti rzadko stosują magię. Gromadzą zaklęcia, podobnie jak Obywatele gromadzą bogactwo na Protonie. Czy mogę już powrócić do mej uprzedniej myśli? zapytał uprzejmie.

- Och, tak, oczywiście - powiedział zakłopotany Stile, a Neysa parsknęła śmiechem. , Stile ścisnął ją dyskretnie nogami. Ciągłe zapominał, że rozumiała każde jego słowo.

- Tak więc, niewielu ludzi przypada na zdatne do użytku ziemie, a wiele rozległych regionów pozostaje jeszcze nie zamieszkanych. Niech cię więc, waść, nie dziwi, że nikogo nie spotykasz. Drugim powodem jest to, że wielu z tutejszych ludzi ma inną postać niż na Protonie. Są wampirami, elfami, karłami... - urwał nagle.

Stile wolałby tego nie słyszeć. Już mu się prawie wydawało, że jego wzrost nie ma na Phase znaczenia. Płonne marzenie! - Nigdy nie oceniałem wartości ludzi na podstawie ich rozmiarów - odparł Stile. - Karzeł jest przecież człowiekiem.

- Oczywiście - zgodził się Kurrelgyre wyraźnie zawstydzony.

Weszli do pałacu Wyroczeni.

- Za niecałą dobę muszę wrócić na Protona - oznajmił Stile.

Neysa zeszywniała.

- Wrócić? - zapytał Kurrelgyre. - Jak zrozumiałem, to nie masz waćpan tam żadnych zobowiązań? Tylko konieczność ucieczki z Czarne Królestwa...

- Jest tam kobieta - oświadczył Stile - która ukrywała moją nieobecność na Protonie. Zgodziłem się wystąpić w tegorocznym Turnieju, aby uratować jej honor. Tak więc prawdopodobnie mój pobyt na Protonie będzie krótki.

- Turniej? Czy waść masz nadzieję wygrać?

- Raczej w to wątpię - powiedział poważnie Stile. Planowałem wystąpić za dwa lata, kiedy część najlepszych graczy już odejdzie, a ja będę u szczytu formy. Nawet wtedy moje szanse byłyby niewielkie. Trudno jest wygrać dziesięć czy dwanaście kolejnych gier, mając przeciwko sobie świetnych przeciwników. Oceniam moje szanse jak jeden do dziesięciu, biorąc pod uwagę, że przy braku szczęścia mogę przegrać nawet ze słabszym.

Neysa zagwizdała pytająco na rogu.

- Dobrze, niech będzie, jak jeden do dwunastu. Nie miałem zamiaru się przechwalać.

- Klaczka chciała wiedzieć, co waść zamierzasz zrobić w wypadku wygrania Turnieju - wyjaśnił wilkołak. Skoro będziesz waść wtedy Obywatelem ze stałym prawem pobytu, to

porzucenie Protona nie będzie koniecznością.

Stile zastanowił się przelotnie, w jaki sposób wilkołak zdążył poznać Neysę na tyle dobrze, że mógł tłumaczyć jej muzykę? Przecież znali się zaledwie kilka dni. Może zmieniające postacie stworzenia miały jakieś naturalne sposoby porozumiewania się?

- Władza i swoboda Obywatela są praktycznie nieograniczone - odrzekł. - Nic nie będzie zmuszało mnie do wybierania między dwoma równoległymi światami. Polubiłem jednak Phase; myślę, że będę spędzać tu wiele czasu. Dużo zależy oczywiście od sytuacji. Gdybym okazał się kimś równie złym jak Czarny Adept, to sądzę, że wolałbym tu nie mieszkać. Obywatel, który był sobowtórem Czarnego Adepta, na Protonie nie wydawał się być złym człowiekiem. Może to tylko absolutna władza na Phase doprowadzała do takiej degeneracji; władza będąca poza zasięgiem któregokolwiek z Obywateli? Jakim człowiekiem stałbym się jako Adept, mający domy w obu światach i możliwość swobodnego przenoszenia się pomiędzy nimi?

- To uczciwa odpowiedź - powiedział Kurrelgyre. - Jeśli musisz waćpan wrócić nie później niż jutro, by wziąć udział w Grze, to tylko Żółty Adept znajduje się na tyle blisko, byśmy mogli sprawdzić go bez użycia magii. Może jednak lepiej przerwać te poszukiwania, poprzestając na tym, cośmy już uzyskali?

- Nie, mam tu śmiertelnego wroga - sprzeciwił się Stile. - On prawdopodobnie wie, kim jestem. Jeśli dowiem się, jaki jest mój status na Phase, wtedy może poznam także jego naturę. Wówczas będę mógł zapewnić sobie bezpieczeństwo. Jak sądzę, mój sobowtór o tym nie pomyślał.

- Rzekłeś wać jak prawdziwy wilkołak - powiedział z aprobatą Kurrelgyre.

Neysa westchnęła: wyglądało na to, że się z nim nie zgadzała, lecz milczała. Człowiek zawsze pozostanie człowiekiem - sugerowała jej mina.

- Neysa, chciałbym być całkowicie szczerzy - zaczął Stile, czując potrzebę usprawiedliwienia się. - Lubię Phase, ciebie też bardzo polubiłem, ale to nie jest tak naprawdę mój świat. Nawet gdyby nie zagrażało mi tu żadne niebezpieczeństwo, nie mógłbym się zobowiązać, że pozostanę. Musiałbym wiedzieć, że moja obecność służy w jakiś sposób dobru tego świata; że czeka mnie tu jakieś zadanie, coś, co trzeba koniecznie zrobić, czego tylko ja potrafiłbym dokonać. Jeżeli bardziej potrzebować mnie będą na Protonie...

Neysa znowu zagrała na rogu.

- Pyta się, czy nie byłbyś wać nastawiony bardziej pozytywnie, gdyby zwolniła cię z przysięgi - przetłumaczy wilkołak.

Stile zamyslił się. Rozumiał, że zwolnienie z przysięgi oddaliłoby go, mniej lub bardziej jawnie, od Neysy. Tylko wyrzeczenie się magii sprawiało, że ich wzajemne stosunki mogły pozostawać takie jak dawniej.

- Nie, chcę tylko dowiedzieć się, kim jestem. Jeżeli nic będę mógł przeżyć bez używania magii, to lepiej będzie że bym tu nie pozostawał. Nie chciałbym stać się kimś takim jak Czarny Adept. Wszystko, czego mi trzeba, to kogoś, kto użyje zaklęcia, aby przeprowadzić mnie przez zasłonę. Po Turnieju wrócę, by rzucić okiem na kolejnego Adepta. Chciałbym uregulować swoje sprawy w obu równoległych światach Tylko wtedy moja sytuacja pozwoli mi podjąć właściwą decyzję co do miejsca stałego pobytu.

- Przeprowadzę cię, waść, przez zasłonę - obieca Kurrelgyre. - A nawet, by nie narażać cię bez potrzeby na niebezpieczeństwo, sam obejrzę Żółtego Adepta i wrócę z nowinami. Sądzę, że teraz potrafię rozpoznać twój sobowtóra, jeśli go napotkam.

- Nie ma żadnego powodu, byś się dla mnie narażał za protestował Stile.

- Nie ma też żadnego powodu, bym narzucał wam moje towarzystwo, tym bardziej, że klaczka chce porozmawiać z tobą sam na sam - stwierdził Kurrelgyre i przemieniwszy się nagle w wilka, ruszył na północ..

- Do diabła, nie mogę zgodzić się, by inni spełniali za mnie moją misję - zdenerwował się Stile. - Muszę biec za nim, powstrzymać go...

Lecz wilk, biegnąc z prędkością właściwą jego gatunkowi, znalazł się już poza zasięgiem głosu. Możliwe, że Neysa mogłaby go dogonić, choć przyszyłoby jej to niełatwo.

Stile zdawał sobie sprawę, że Kurrelgyre chciał wyświadczyć mu przysługę, chroniąc go przed ryzykiem i zostawiając go z Neysą sam na sam. Nie mógł jednak się na to zgodzić. Chodziło tu o zasadę, iż każdy powinien odpowiadać za swoje czyny.

Jednorożec odczytał jego myśli. Zaczęli przemieszczać się na północ.

- Dziękuję, Neyso - powiedział. - Wiedziałem, że mnie zrozumiesz. A jak radzisz sobie z wilkołakiem? - dodał po namyśle.

Zagwizdała wymijająco.

- Cieszy mnie to - odparł Stile. Pochylił się i objął ją za szyję.

Neysa przyspieszyła i przeszła w galop.

-- Nie potrafię wyobrazić sobie lepszego sposobu spędzenia życia, niż galopowanie z tobą przez te pustkowia zauważył Stile. - Brakuje mi tylko...

Jej muzyka była teraz pytaniem.

- Dobrze wiesz, Neyso, że lubię muzykę - odezwał się łagodnie - ale skoro ustaliliśmy już, że związana jest z magią, nie odważyłbym się zagrać.

Tym razem jej gwizd był całkowicie zrozumiałą: - Graj !

- Mogę sprowadzić tutaj tę magiczną siłę - zaprotestował. - Nie mam zamiaru złamać przysięgi. Grałem trochę, kiedy byłem sam w Czarnym Zamku, ale teraz nie jestem sam i nie chciałem, żebyś się na mnie gniewała.

- Graj! - powtórzyła z naciskiem.

- Zgoda. Żadnych zaklęć, sama muzyka.

- Wyciągnął harmonijkę i zaimprovizował melodię w rytmie jej kroków. Neysa zagrała melodyjnie na rogu. Duet wyszedł im pięknie. Magiczne pole zaczęło się wokół nich zagęszczać, doganiać ich, ale teraz, gdy zrozumiał to zjawisko, przestał się obawiać. Była to tylko potencjalna magia, chyba, że zacząłby jej używać, a tego nie miał zamiaru robić.

Grał przez około godzinę. Powoli poznawał wszystkie możliwości instrumentu i posługiwał się nim tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Była to jedyna w swoim rodzaju radość.

W pewnej chwili Neysa uniosła głowę, łapiąc nozdrzami wiatr. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Co się stało? - zapytał Stile, odkładając harmonijkę. Jednorożec niepewnie pokręcił głową. Zwolnił, odwracając się raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby czegoś szukał. Wreszcie ruszył ponownie na północ. Było w tym coś niepokojącego, a chód klaczy wydawał się nienaturalny.

- Czy dobrze się czujesz? - spytał zaniepokojony Stile. Neysa nie odpowiadała, więc wyciągnął harmonijkę i znowu zaczął grać. Tym razem Neysa wydała z siebie ostry dźwięk protestu. Stile, urażony, odłożył instrument.

Sądził, że Neysa po jakimś czasie odpręży się, ale tak się nie stało. Jej chód stał się mechaniczny, zupełnie niepodobny do normalnego.

- Neysa, jeszcze raz się pytam, czy coś się stało? Zignorowała go. Wydawała się być w transie. Zaniepokojony, Stile szarpnął ją za grzywę.

- Coś jest nie tak. Nalegam...

Gwałtownie opuściła łeb i wierzgnęła bez żadnego ostrzeżenia. Stile był zbyt doświadczonym jeźdźcem, by dać się zaskoczyć. Utrzymał się w siodle, a potem, gdy już uspokoiła się, zeskoczył na ziemię.

- Neysa, jesteś najwyraźniej pod wpływem jakiego przymusu. Nie wiem co to jest, lecz skoro zbliżamy się do siedziby Żółtego Adepta, to podejrzewam, że ma to jakiś związek. Z jakiegoś powodu ten nakaz mnie nie dotyczy. Daj mi skarpetki, a będę towarzyszył ci w przebraniu.

Zatrzymała się, waląc ze złością ogonem, lecz pozwoliła mu zdjąć skarpetki i

pomaszerowali dalej.

Stile towarzyszył jej, starając się naśladować jej chód. Jeśli coś przyzywało jednorożce, to on chciał przypominać schwyte zwierzę tak bardzo, jak to było tylko możliwe, przynajmniej dopóki nie zapozna się bliżej z sytuacją. Zapach tojadu wciąż dodawał mu sił. Stile gotów był na wszystko i zdążył już zapomnieć o swych niedawnych cierpieniach spowodowanych głodem i pragnieniem.

A jeśli Neysa uległa zaklęciu rzuconemu przez Żółtego Adepta...?

Wkrótce ich oczom ukazała się jego siedziba. Oczywiście była żółtego koloru. Żółty piasek formował się w żółte wydmy, a słońce rzucało żółte promienie przez żółtą mgłę, zasłaniającą domostwo. Neysa weszła prosto we mgłę.

Zamek Adepta, z częściowo zawalonym dachem, wybitymi oknami i chwastami porastającymi gęsto mury obronne, przypominał ruinę. Za domem widać było wysokie ogrodzenie z kutego żelaza, pożółkłe od rdzy i zarośnięte chorowicie wyglądającym dzikim winem o pożółkłych liściach. Nie wyglądało to zachęcająco.

Neysa podeszła prosto do domu i Stile z konieczności podążył za nią. Żółty Adept nie budził jego sympatii. Stile żywił nadzieję, że czarownik żyje. Mógłby być wtedy pewny, że nie jest jego sobowtórem. Tym razem nie będzie na tyle głupi, by otwarcie wyzwać Adepta; przyjrzy się tylko i odejdzie.

Były jednak pewne problemy. Pierwszy wiązał się z tym, że Neysa była w hipnotycznym transie i należało ją od tego uwolnić, a drugi polegał na tym, że Kurrelgyre miał wystarczająco dużo czasu, by rozejrzeć się i opuścić już ten teren, czego nie uczynił. To sugerowało, że został schwyty. Uwolnienie go z rąk Adepta mogło nie być łatwe.

Neysa podeszła do drzwi kołyszących się na zardzewiałych zawiasach. Weszła do środka. Stile posuwał się tuż z nią. Szli zakurzonym korytarzem. Nagle potężna krata spadająca pionowo z sufitu rozdzieliła przybyszów.

O nie! Tylko nie to! Stile rzucił się do tyłu, lecz kolejna krata opadła tuż za nim. Po chwili oboje znaleźli się w klatkach. Rozległ się niemiły dla ucha ostry śmiech:

- Chi, chi! Teraz dwa śliczne jednorożce, a wcześniej wilk! Co za cudowny dzień! - ktoś krzyknął radośnie. Wyciągnij ich stamtąd, mój drogi Corey! Obejrzyjmy nasz zdobycz!

Coś ogromnego pojawiło się na samym końcu korytarza tuż za zakrętem. Klatka Neysy przesunęła się do przodu, ciągnięta bez trudu przez olbrzymi kształt.

Po chwili ta sama istota przysła zająć się klatką Stile'a. Ujrzał zad różowego słonia. Krótki ogon owinał się wokół przednich prętów i stworzenie zaczęło iść, ciągnąc za sobą klatkę.

Stile rozważył możliwość wysunięcia pomiędzy prętami rapiera i wbicia go w tłusty, różowy tyłek albo odcięcia ogon ostrzem. To jednak nie uwolni go z klatki, natomiast rozgniewa słonia, nie czyniąc mu przy tym większej szkody. Lepiej więc poczekać.

Po chwili znaleźli się na ogrodzonym placyku. Dookoła stały liczne klatki, tak jak w staroświeckim zoo. Stile rozpoznał gryfa - zwierzę z ciałem lwa, a głową i skrzydłami orła - zajmującego klatkę naprzeciwko. Nie była to żadna wspaniała, heraldyczna bestia, lecz smutne, obszarpane i przy brudzone stworzenie z opadającymi skrzydłami i szklistym wzrokiem. I nie było w tym nic zdumiewającego. Klatka była zbyt mała, by gryf mógł rozpostrzeć skrzydła. Nie było też specjalnego miejsca na odchody. Nic więc dziwnego, że piór i futro gryfa były brudne, a w powietrzu unosił się przykry zapach.

Uwagę Stile'a zwróciła właścicielka tego zwierzyńca stara kobieta odziana w spłowiałą żółtą szatę, z rzadkimi żółtymi włosami i żółtawą cerą. Prawdziwa stara wiedźma!

- Jaki śliczny okaz! - zachichotała starucha, wdzierając się wokół klatki Neysy.

Neysa zaczęła wychodzić ze stanu oszołomienia; nastawiła uszu, a gdy stara podeszła, stuliła je ze wstrętem.

-- I jeszcze ten - ciągnęła Adeptka, oglądając Stile'a. - Biały ogier! Nielichy grosik mi przyniesiesz, piękniśiu. Okrążyła klatkę, oceniając chytrym spojrzeniem jego przebranie.

- Doprawdy, mój skarbie! Biel to kolor, o którym wprost marzą na rynku! Będę musiała wysłać Wronią Łapkę z nowinami - mówiła ni to do siebie, ni to do niego.

Zadowolona pokuśtykała do domu.

Stile ponownie zajął się oględzinami placyku. Z tyłu, za klatką Neysy spostrzegł Kurrelgyre'a, który pilnie się w niego wpatrywał. Wilkołak powoli pokręcił głową. Znowu wpadli w nieliczne kłopoty!

Pozostałe klatki zawierały: małego sfinksa, trzygłowego psa, bazyliżka i kilka stworzeń, których nie udało się Stile'owi zidentyfikować. Wszystkie były wynędzniałe i brudne; wiedźma nie dbała o zwierzęta i nie sprzątała klatek. Karmiła je jednak, gdyż obok każdej stały naczynia z wodą i jedzeniem.

Stile zbadał swoje więzienie. Kraty były żółtawe, podobnie jak całe to miejsce i nieco lśniły. Wyglądało to tak, jakby metal posmarowany został jakimś tłuszczem w daremnej próbie nadania mu wyglądu złota. Stile spróbował wyrwać jeden z prętów, ale ten trzymał się jak przyspawany. Drzwi były mocno zamknięte.

Pręty w klatce były dość rzadkie i nawet niewielkie ich odgięcie pozwoliłoby mu się uwolnić. Stile wybrał najdłuższe pręty znajdujące się w dachu klatki, wyciągnął rapier i spróbował ostrożnie wykorzystać go jako dźwignię. Nie chciał złamać broni, a nie wiedział,

jak bardzo jest wytrzymała. Po kilku bezskutecznych próbach odłożył rapier. Podskoczył, opad nogi na jednym z prętów, rękami złapał za następny i ciągnął tak, jakby podnosił ogromny ciężar. Z niemałym trudem rozgiął je nieco. Kiedy mięśnie odmówiły mu już posłuszeństwa, otwór między prętami był tylko odrobinę większy, ale to musiało wystarczyć.

Zeskoczył na dno klatki i zobaczył, że stał się obiektem sporego zainteresowania. Wciąż jeszcze miał na sobie przebranie jednoroźca, więc widok musiał być nielichy - koniokształtna postać przywarta do górnych prętów klatki. Ni powstrzymało go to jednak. Musiał zrobić, co tylko mógł zanim powróci wiedźma.

Podciągnął się jeszcze raz do góry, wysunął stopy pomiędzy rozepchniętymi prętami i precyzyjnie ciało przez kratę; z głową miał największy kłopot, obtarł trochę uszy, ale udało się. Był wolny !!...

Cicho zsunął się w dół, a uwięzione zwierzęta obserwowały dziwne manewry niezwyklego jednoroźca. Nie miał zamiaru zdradzić go przed czarownicą. Konspiracyjne milczenie było jedyną bronią, jaką posiadały.

Stile podszedł do klatki, w której uwięziony był Kurrelgyre

- Potrzeba mi szybko informacji - powiedział. Może wiesz, w jaki sposób mogę uwolnić ciebie, Neysę i pozostałych" Te grube pręty są zbyt mocne, jak na moje siły.

Wilkołak przeistoczył się w człowieka, zbyt potężnie zbudowanego, by mógł precyzyjnie się przez kraty.

- Wzrost waści okazał się wielce fortunny. Tylko Neysa mogłaby powtórzyć twój wyczyn, lecz czary tak ją oszołomiły, że nie może zmieniać postaci. Ziele tojadu mogłoby jej pomóc, lecz nie odważyłbym się podać jej tego lekarstwa dopóki pozostaje w zwierzęcej postaci. Znaleźliśmy się v impasie. Ratuj się waść sam, nie możesz nas ocalić.

- Jeśli odejdę, to tylko po to, by szukać dla was pomocy tak jak wy to uczyniliście przedtem. Może mógłbym jako pokonać czarownicę?

- Tylko wtedy, jeśli udałoby ci się zabić ją z zaskoczenia jednym cięciem miecza. Inaczej zdążyłaby rzucić zaklęcie i zniszczyć waćpana.

- Nie chcę jej zabijać - stwierdził Stile. - Morderstwo nie jest właściwym sposobem rozwiązywania problemów. Chcę ją tylko unieszkodliwić i uwolnić tych biednych więźniów.

Kurrelgyre smętnie pokiwał głową.

- Nie możesz waść uczciwie pokonać Adepta innym sposobem, jak tylko za pomocą magii - powiedział.

- Nigdy. Przysięgłem...

- Kiedy nie złamałeś waść swej przysięgi, by wyzwolić się z rąk Czarnego Adepta,

wiedziałem, że wierny jesteś swemu słowu. Niczego innego nie oczekiwałem i tutaj, w Żółtym Królestwie. Jednak teraz nie twoje życie pozostaje w niebezpieczeństwie, lecz Neysy. Wiedźma sprzeda ją innemu Adeptowi...

- Dlaczego Adeptci kupują takie stworzenia zamiast wyczarować je za pomocą zaklęcia? - zainteresował się Stile. - Ponieważ pewne zaklęcia trudniejsze są od innych.

Adept może łatwo wyczarować tuzin potworów, ale nie zwierzę. Do tego potrzeba specjalnych umiejętności. Z tego powodu Adeptci trzymają schwytane zwierzęta w klatkach i przygotowują zaklęcia, które mają je...

- Zaczynam rozumieć. Być Adeptem, to znaczy budować więzienia, w których cierpią inni, a Żółta Adeptka dba, by nie zabrakło im ofiar i chwytą pożądane stworzenia. Podejrzewam też, że łapie również dzikie ptactwo i sprzedaje jajka Czarnemu Adeptowi; w końcu on musi coś jeść. Może płaci jej mocnymi klatkami ze swych czarnych linii - prętów, a ona maluje je na żółto? Jak przyzywa swoje nieszczęsne ofiary? Neysa była przecież jak w transie hipnotycznym.

- Zdążyłem się dowiedzieć, że magia Żółtej Adeptki ukryta jest w wywarach, które sama przyrządza - poinformował Stile'a wilkołak. - Przygotowuje je w ogromnym kotle, a ich opary hipnotyzują zwierzęta i przyciągają tu, by mogła zamknąć je w klatkach. Mogłaby również odurzać nimi ludzi, lecz nie czyni tego, obawiając się, że zjednoczą swe siły i zniszczą ją.

- Rozumiem.

Stile podszedł do Neysy.

- Czy zwolnisz mnie z przysięgi? - zapytał. - Obawiam się, że bez tego twój los pozostanie w rękach wiedźmy Neysy, choć była oszołomiona wywarem czarownicy, to nie na tyle, by zapomnieć o swej nienawiści do magii Adeptów. Pokręciła przecząco głową. Nie pozwoli, by ich czar, przywróciły jej wolność.

- Neysa, odpowiedz - prosił Stile. - Możesz. te zmienić się w świetlika i te kraty nie zdołają zatrzymać cię. W odpowiedzi Neysa opuściła nisko głowę i przymknęła oczy. Wysiłek woli potrzebny do przemiany postaci przekraczał jej obecne siły.

- A gdybyś przybrała ludzką postać? Wtedy napar prze stałby na ciebie działać... - podsunął jej kolejną propozycję. Z pobliskiej klatki dobiegło głucho warczenie. Kurrelgyre nerwowo uniósł głowę.

- Uwaga! Nadchodzi wiedźma!

Stile jednym susem znalazł się przy klatce wilkołaka i olśniony nowym pomysłem zdjął skarpetki.

- Zakładaj - wyszeptał, wciskając je przez kraty klatki Kurrelgyre.

- To też weź.

Podał mu rapier wraz z pasem.

- Wiedźma pomyśli.....,

- Domyślam się.

W jednej chwili w klatce pojawiła się sylwetka białego jednorożca. Broń zniknęła pod przebraniem.

- Tylko pamiętaj - upomniął Stile'a Kurrelgyre nie wolno ci pić ani jeść niczego, co ci zaoferuje. Jej napary.

- Aha - przypomniał sobie Stile - czy Neysa coś piła?

Zanim wilkołak zdążył odpowiedzieć, pojawiła się Żółta Adeptka. Neysa, tak jak większość koni, piła zawsze, kiedy tylko miała taką możliwość i mogła zrobić to automatycznie kiedy jeszcze była pod wpływem przyzywającego oparu. To wyjaśniało, dlaczego nie czyniła żadnych wysiłków, by się uwolnić. Stile zrozumiał teraz, dlaczego inteligentniejsze zwierzęta odmawiały jedzenia. Kurrelgyre uniknął tej pułapki i pozostawał czujny, ale sytuacja wszystkich uwięzionych zwierząt była ponura, gdyż najwyraźniej żadne z nich nie miało tyle siły, by wyłamać pręty. W końcu będą musiały albo zdecydować się na jedzenie, albo głodować. Trudny wybór. Stile wciąż jeszcze pamiętał o swoim uwięzieniu w zamku Czarnego Adepta.

W czasie tych rozmyślań Stile nie pozostawał bezczynny. Przykucnął za klatką wilkołaka, próbując się ukryć. Rozumiał, że było głupotą wahać się przed zabiciem wiedźmy. Niewiele argumentów przemawiało na jej korzyść, a poza tym, na pewno z przyjemnością by go zniszczyła. Stile jednak nie potrafił z zimną krwią myśleć o zamordowaniu człowieka. Te narzucone przez cywilizację ograniczenia zobowiązywały go równie mocno, jak dana Neysie przysięga dotycząca magii. Zabić demona czy potwora był w stanie, ale nigdy człowieka.

- Ho...Ho! -- wrzasnęła wiedźma. - Klatka jest pusta! Gdzie mój cenny biały ogier!?

Przyjrzała się dokładnie klatkom.

- Nie, ogier jest. To wilk zniknął. Przysięgłabym, że jego klatka stała...

Rzuciła gniewne spojrzenie w kierunku odległej strony placu.

- Drogi Corey! - wrzasnęła. - Czy przedstawiałeś klatki? Stile zerknął na różowego słonia. Stworzenie widziało wszystko, co zaszła; po której będzie stronie? Jeżeli powie prawdę...

Słoń poczłapał wzdłuż klatek w kierunku czarownicy. Nagle machnął trąbą w bok, złapał Stile'a za kark i uniósł do góry. Zatrąbił.

- Doprawdy, mój drogi? - zaśmiała się starucha, bezmyślnie drapiąc brodawkę na nosie.
- A więc to był wilkołak! Przemienił się w człowieka i przecisnął pomiędzy kratami.

Słoń zakwiczał, usiłując wyprowadzić ją z błędu.

- Och, zamknij się już, drogi Corey! - osadziła go krótko. - I cóż zrobimy z wilkołakiem? Chwilowo nie mam wystarczająco małej klatki. Jest bardzo drobny.

Przyjrzała się lepiej wiszącemu w powietrzu Stile'owi. - Wygląda na zdrowego i jest zupełnie przystojny, mój drogi. Może przyda się mojej córeczce. Potrzyмай go tak jeszcze przez chwilę, słodki Corey, przyślę zaraz dziewczynę.

Różowv słoń zachichotał. Potwory w klatkach spojrzwały na siebie zdumione. Najwyraźniej po raz pierwszy słyszały o jakiejś córce. Co to musiał być za kocmołuch. Starucha kulejąc, szybko poszła do domu.

Stile pomyślał, że mógłby wykonać szybki przewrót w powietrzu i wylądować na grzbiecie słonia, lecz stworzenie wyglądało na duże i silne, a do tego wcale nie było głupie; mogło przygnieść go do drzewa. Gdyby miał broń... Rapię zostałby od razu spostrzeżony i Stile byłby zmuszony do walki. Już lepiej sprawiać wrażenie mniej lub bardziej bezbronnego, niż zostać oblanym jakimś magicznym płynem.

Rozejrzał się dookoła. Z tej wysokości widział więcej. Żółta mgła zakrywała wszystko, co znajdowało się poza palisadą. Robiło to wrażenie, jakby reszta świata przestała istnieć. Na pewno tak podobało się Adeptce. Miała swój mały, otoczony mgłą świat, którego żaden człowiek nie odważył się odwiedzać. Czy nie czuła się samotna? Prawdopodobnie nie bardziej, niż osoba o jej wyglądzie czułaby się samotna w najbardziej nawet wesołym towarzystwie. Któż chciałby się z nią zadawać? Stile, który przez całe życie cierpiał z powodu dyskryminacji związanej z jego wyglądem, nie był w stanie potępić wiedźmy za to, że wybrała odosobnienie. Nie mógł jednak pozwolić, by krzywdziła jego przyjaciół czy też znęcała się nad niewinnymi zwierzętami.

Jego oko zarejestrowało nagle lekkie migotanie mgły na zewnątrz ogrodzonego placu. Ledwie widoczna zasłona... Zasłona! Czy to możliwe? Wyglądało na to, że wiła się ona tam i z powrotem po Phase jak monstrualny wąż. Czy nie mógłby wykorzystać jej do ucieczki, tak jak poprzednim razem?

Nie, musiał pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, zasłona choć tak bliska, znajdowała się za ogrodzeniem, a więc poza zasięgiem jego możliwości. A po drugie, Neysa nie mogła albo nie chciała z niej skorzystać. W tej sytuacji zasłona nie miała większego znaczenia. Lepiej poczekać i sprawdzić, co postanowi córka wiedźmy. Prawdopodobnie była to dziewczyna, którą jej zwariowana matka wpychała każdemu nadarzącemu się

mężczyźnie.

Dziewczyna pojawiła się w drzwiach domu. Wyglądała oszalamiająco. Złociste włosy sięgały jej do pasa, miała drobne dłonie i stopy, złocistobrązową cerę oraz figurę, która doprowadziłaby każdego artystę do zachwyty. Ogromne oczy powodowały, że przypominała lalkę. I to jaką!

Młode wiedźmy, jak widać, oprócz magii dysponowały również innymi czarami.

- Drogi Corey, natychmiast postaw go na ziemi! rozkazała dziewczyna, zobaczywszy Stile'a. Jej głos, mimo pewnej gwałtowności, był melodyjny. Wszystko, co w jej matce było brzydkie, w niej wydawało się urocze.

Drogi Corey postawił Stile'a na ziemi, ale na wszelki wypadek nie odchodził. Stile poprawił ubranie i rozprostował ramiona; wiszenie przez tak długi czas w powietrzu nie należało do przyjemności.

- Widzimy się chyba po raz pierwszy - powiedział uprzejmie.

Zaśmiała się jak dzwoneczek.

- Nazywam się Żółciutka - przedstawiła się. Nie do wiary, ale z ciebie przystojny wilkołak!

- Jestem człowiekiem - wyjaśnił Stile.

Spojrzała na niego z góry. Jedyłą wadą, jaką w niej dostrzegła było to, że o kilka centymetrów była od niego wyższa. Ciekawe, ile byłoby to w używanych na Phase calach? pomyślał.

- W porządku - usłyszał. Pocałuj mnie, piękniśiu. Neysa doszła do siebie na tyle, że zarżała, sygnalizując, iż rozpoznała wiedźmę. Nagle Stile zrozumiał, dlaczego myśl o tym spotkaniu tak rozbawiła różowego słonia, a uwięzione zwierzęta nigdy nie słyszały o córce ich opiekunki. Co może samotna, stara wiedźma zrobić z przystojnym, choć trochę niskim mężczyzną, jeśli ma do dyspozycji magiczne napoje na każdą okazję?

- Ale nie przy tych stworach - zaproponował.

- A co ci przeszkadzają, mój skarbie? Przecież nie wyjdą z klatek.

- Lubię odosobnienie - powiedział. - Przejdźmy się na zewnątrz. Potem wrócimy, jak przedtem.

Spojrzał znacząco na Neysę, mając nadzieję, że jej umysł wyzwolił się już spod działania narkotyku.

- Jak przedtem - powtórzył. Żółciutka zmarszczyła gładkie czoło.

- Czyżbyś znał tego jednorożca, wilkołaku?

- Nie jestem wilkołakiem - odparł, wiedząc, że mi nie uwierzy. - Ale rzeczywiście

znam ją. To zazdrosna klacz.

- No i co z tego? Za kilka dni już jej tu nie będzie. Jednorozce trudno jest schwytać, więc zawsze jest na nie duży popyt. Ich rogi i kopyta mogą służyć jako muzyczne instrumenty albo do krzesania ognia, odchody są świetnym nawozem dla magicznych roślin, a skóra ma antymagiczne właściwości.

Stile poczuł nieprzyjemny dreszcz. - To te zwierzęta zostaną zabite?

- Niektóre tak, mój skarbie. Inne nie nadają się nawet do tego. Klacz byłaby niezłą ozdobą jakiegoś dziedzińca, gdy by nie jej kolor i niski wzrost. Za to biały ogier jest prawdziwym trofeum. Biały Adept wystawi go do walki ze smokami w swoim cyrku.

Dobrze, że nie wiedziała, iż biały jednorozec był fałszywy

- A co dzieje się z zupełnie niepotrzebnymi zwierzętami

- Drogi Corey zabiera je na zewnątrz i przenosi za zasłonę.

Czarownica nie ukrywała już dłużej swojej prawdziwej tożsamości, gdyż wydawało się jej, że Stile w pełni ją zaakceptował. Zgodnie z jej kobiecym poglądem na mężczyzn, Stile powinien interesować się wyłącznie jej powierzchownością i trzeba przyznać, że do pewnego stopnia miała rację. Kochał się przecież z maszyną, która wyglądała jak dziewczyna i z jednorozcem, który również przemieniał się w kobietę. A co będzie ze starą kobietą, która wygląda jak młoda? Z całą pewnością przyjemnie było mieć do czynienia z Żółciutką w jej obecnej postaci.

- Więc wiesz o zasłonie? - spytał po chwili, zdumiony. - A ty nie? Jest za nią inny, pustynny świat. Mój napor przenosi tam niepotrzebne dla mnie zwierzęta; nigdy nie wracają. Nie mam serca ich zabijać, a nie śmiem puścić ich wolno, by nie sprowadziły swoich współplemieńców i nie mściły się na moim królestwie. Jeśli przeżyją w tym innym świecie, to nie żałuję im tego.

A więc nie była całkowicie bez serca. Wydawała się raczej ofiarą okoliczności. Przypuszczenie, że nie jest całkowicie skorumpowana władzą, wydawało się uzasadnione.

Stile nie znosił nie tylko kłamstwa, ale nawet niedomówień.

- Pochodzę z tamtego świata - oznajmił.

- Wędrujesz między światami? Jesteś prawdziwym człowiekiem? - pytała zaniepokojona.

- Zgadza się. Myliłaś się, przypuszczając, że jestem wilkołakiem.

- Ja nie handluję ludźmi - powiedziała zdenerwowana. - Zawsze kończy się to kłopotami.

- Przyszedłem tu wyłącznie po to, by dowiedzieć się, kim jesteś. A teraz pragnę tylko

uwolnić twoich więźniów i odejść wraz z moimi przyjaciółmi. Nie żywię do ciebie żadnej wrogości, lecz jeśli zagrażać będziesz mojemu życiu lub życiu mych przyjaciół...

Odwróciła się do niego. Była piękna.

- Nie musisz się mnie obawiać, koguciku. Poflirtuj chwilę z samotną dziewczyną, a twoi towarzysze będą mogli odejść wraz z tobą.

Stile zastanowił się.

- Nie sądzę, żebym mógł to uczynić. Zmarszczyła brwi.

- Wygląda na to, że nie masz innego wyboru, skarbie.

- Możliwe. Przyjaciel nalegał, bym zabił cię bez ostrzeżenia, ale tego też nie chciałem zrobić.

- Tak? Zaraz to sprawdzimy.

Zaprowadziła go do głównej komnaty. Na ścianach wisiał półki zastawione buteleczkami z płynem; było ich bardzo dużo a wszystkie zakurzone. Pośrodku kipiał ogromny kocioł; opary sączyły się przez wybite okno. Ta bez przerwy gotująca się ciecz była niewątpliwie źródłem przyzywającego zaklęcia.

- Czy wszystkie te butelki zawierają magiczne napoje - zapytał z podziwem.

- Co do jednej. Każdą przygotowuję oddzielnie i mogę użyć jej tylko raz, więc staram się je oszczędzać. To nie takie łatwe być Adeptem. Wymaga to wiele wyobraźni i wysiłku. Muszę wymyślać nieustannie nowy przepis na każdą porcję płynu niewidzialności, który przygotowuję. Dotyczy to również eliksiru młodości.

Stile jeszcze raz ocenił jej figurę. Co za eliksir musiała wypić !

- Czy naprawdę tak wyglądałaś, kiedy byłaś młoda? - Naprawdę, złotko. Różnice są tak niewielkie, że aż bez znaczenia. Przy każdej porcji eliksiru mam trochę inny odcień włosów i skóry; zdarzyło się też, że wywar był zbyt silny i zrobiłam się podobna do dziewczynki. Ale czego by nie mówić, złotko, to moja młodość minęła bardzo dawno temu i najlepszy nawet wywar nie działa dłużej niż godzinę. Zobacz, zostały mi już tylko trzy porcje eliksiru.

Pokazała na półkę, na której stały tylko trzy buteleczki - Zużyłam czwartą część moich zapasów, by spędzić z tobą jedną tylko godzinę. Możesz to uważać za komplement

- Pochlebia mi to - odparł Stile. - Co prawda w działam cię w twojej normalnej postaci, ale nie to mnie powstrzymuje. Mam pewne zobowiązania.

Przez chwilę zastanawiał się.

- Sądziłaś przedtem, że jestem wilkołakiem. Prawdziwy wilkołak mógłby być zainteresowany tym, co pozostało z twojej godziny, gdybyś go potem zechciała uwolnić.

Żółciutka zdjęła z półki buteleczkę.

- Jesteś niezwykle wymowny, przystojniaczku. Nie mam do ciebie zaufania. Jeśli okaże się, że kłamałeś, źle się to skończy dla ciebie... i dla twych przyjaciół.

Odkorkowała naczynie. Stile, przestraszony, cofnął się, lecz Żółciutka pokropiła płynem nie jego, ale niewielką statuetkę. Figurka błyskawicznie urosła, zamieniając się w potwornego demona.

- Wzywałaś mnie, wiedźmo? - wrzasnął, a jego małe, czerwone oczka prawie iskrzyły, kiedy rozglądał się dokoła. Nagle znieruchomiał, zaskoczony. Gwizdnął z podziwem.

- Ostatni raz widziałem cię taką piękną sześćset lat temu! Dla mnie nie musisz się tak upiększać, czarownico.

- To nie było dla ciebie - odcięła się. - Powiedz mi prawdę, Zebubie, po co ten człowiek tu przyszedł i kim on jest

Demon wbił spojrzenie w Stile'a.

- Tym razem padłaś ofiarą swej własnej hysterii, paskudo. On jest zupełnie nieszkodliwy, jeśli chodzi o ciebie. Choć różnie było z innymi.

Demon uśmiechnął się sam do siebie.

- Naprawdę nie dąży do mojej śmierci?

- Naprawdę. On szuka tylko swojego sobowtóra, więc przybył tu wraz z wilkołakiem i jednorożcem, by sprawdzić, czy ty nim nie jesteś.

Żółciutka wybuchnęła śmiechem. - Ja? Co za głupiec z niego!

- Nie, on nie jest głupcem. Brak mu tylko informacji o prawdziwej naturze Adeptów. Wyrocznia powiedziała mu, by poznał samego siebie, więc próbuje dowiedzieć się, czy nie jest jednym z was. Wpadł w sidła Czarnego Adepta i udało mu się uciec dzięki przekroczeniu zasłony. On pochodzi z tego drugiego świata.

Stile znowu poczuł dreszcz. Potwór miał niezwykle dokładne informacje.

- A skąd przyszło mu do głowy, że może być Adeptem? - zapytała Żółciutka.

- On jest Adeptem, o najstarsza.

Żółciutka oparła się o ścianę,omalże nie zrzucając kilku buteleczek.

- Nie dość, że człowiek, to jeszcze do tego Adept! - zawołała zrozpaczona. - Och, wpadłam jak śliwka w kompot! Kim on jest'?

- Nazywa się Stile. W tym drugim świecie, Protonie jest niewolnikiem, któremu śmierć jego sobowtóra na Phase pozwoliła przejść przez zasłonę.

- Dureń! Pytałam, którym jest Adeptem? Demon wykrzywił się.

- To ściśle poufna informacja.

- Nie graj na zwłokę, ty wyrzutku piekiel - zaskrzeczała Żółciutka - bo zastosuję eliksir

bólu.

Zebub zbladł.

- Błękitny - wymamrotał. Żółciutka wybałuszyła oczy.

- Ten karzeł jest Błękitnym Adeptem?

- Jego sobowtórem.

- Nie mogę pozwolić sobie na kłopoty z Adeptem! wykrzyknęła Żółciutka, rwąc włosy z rozpaczy. - Nie z takim który ma tyle władzy, co Błękitny! Jeśli uwolnię go, to czy będzie próbował mnie zniszczyć? Dlaczego nie użył dotąd magii

- Nie wolno wymagać od świadka wyciągnięcia wniosków - zauważył wyraźnie zadowolony z siebie demon. Żółciutka sięgnęła ręką w kierunku półki zastawionej małymi flakonami.

- Zapytaj go - szybko odparł Zebub. - A ja zweryfikuję jego słowa.

- Stile, alias Błękitny Adecie! - krzyknęła, a jej oczy choć stały się dzikie i całkiem okrągłe, wciąż były przepiękne - Odpowiadaj! Świadkiem niech będzie Zebub.

- Jeśli przywrócisz mi wolność, wciąż starać się będę, by uwolnić moich przyjaciół i innych twych więźniów odparł Stile - ale nie będę bez potrzeby dążył do twojej śmierci.

- Mówi prawdę - potwierdził Zebub. - Jeśli idzie o magię, to dał słowo jednorożcowi, iż nie będzie jej stosował, chyba że za jego pozwoleniem.

- Więc tylko przysięga czyni go moim więźniem? spytała Żółciutka.

- Zgadza się - potwierdził Zebub. - Jesteś najszczęśliwszą z czarownic.

Żółciutka zmarszczyła piękne czoło.

- Jeśli uwolnię tę klacz jednorożca, to będzie mogła zwolnić go z przysięgi i skończy się to wojną między Adeptami. Nie mogę tego ryzykować.

- Nie możesz też ryzykować skrzywdzenia jednorożca, ty megiero - zauważył złośliwie Zebub. - Gdyby Błękitny Adept powodowany gniewem, złamał przysięgę...

- Wiem! Wiem! - skrzeczała wściekle Żółciutka. Jeśli go zabiję, to jakiś inny Adept może spróbować ukarać mnie za złamanie naszego prawa, a jeśli uwolnię Błękitnego, to może nastawać na me życie za to, że go uwięziłam. Gdybym spróbowała go zatrzymać...

- Czas minął - oznajmił Zebub. - Daj mi nowy eliksir, sekutnico.

- Och, idź do piekła! - warknęła Żółciutka.

Demon skurczył się i zamarł w postaci figurki. Żółciutka spojrzała na Stile'a.

- Skoro dotrzymałeś słowa danego jednorożcowi, to czy zrobisz to samo dla mnie? Chciałabym ci wierzyć. Nie pragnę wojny z innym Adeptem.

- Uwolnij wszystkie zwierzęta, a nie będę miał nic przeciwko tobie - obiecał Stile.

- Nie mogę! Wzięłam już za nie zaliczkę. Muszę dostarczyć towar.

Stile, choć gotów był ją już znienawidzić, poczuł się poruszony. Żółciutka była w tym momencie taka ładna, ale nie to robiło na nim wrażenie. Honorowała swoje zobowiązania. Nie chciała zabijać. Jej otoczenie i sposób działania cechował się pewnym poczuciem humoru, tak jakby nie mogła traktować sama siebie zbyt poważnie. Była stara i samotna. Powinien się jakoś z nią dogadać.

- Ja też nie chcę z tobą walki - powiedział. - Nie znasz mnie, więc ostrożność osłabia twoje zaufanie. Oto moja oferta: wyślij mnie za zasłonę, a obiecuję nie wrócić. Spróbuję uwolnić moich przyjaciół i pozostałe zwierzęta na odległość.

- Jak możesz działać na odległość? Moja magia w moim królestwie jest silniejsza od twojej, tak jak i twoja jest potężniejsza na twych własnych terenach.

- Nie będę używał magii - obiecał Stile.

- Niech tak będzie - zdecydowała. - Wyślę cię za zasłonę przy pomocy eliksiru, a dodatkowo rzucę zaklęcie które dostałam od Zielonego Adepta, by cię powstrzymać przed powrotem. Jeśli zdołasz uwolnić zwierzęta z oddali bez magii...

Nigdy nie lubiłam tego zajęcia. Jeśli złamię kontrakt z przyczyn niezależnych ode mnie, to może nie zostanie to uznane za niedotrzymanie umowy.

Spojrzała na niego i widać było, że humor się jej poprawił. Ciągnęła dalej przyjaźnie:

- Nigdy nie handlowałam z Błękitnym Adeptem, więc nie mogłam cię rozpoznać. Powiedz, jak to się stało, że Błękitny Adept jako jedyny nie potrzebuje kupować zwierząt?

- Mam zamiar się tego dowiedzieć - odparł Stile. Był wdzięczny za tę informację. Wiedział teraz, kim jest i co ważniejsze, że Błękitny Adept nie praktykował przynajmniej jednej z tych okropności, które wydawały się być dla nich obowiązujące. Wycieczka do Żółtego Królestwa był błędem, ale jakże nieoczekiwanie owocnym.

- Żółciutka zdjęła z półki jeszcze jeden flakonik, wy prowadziła Stile'a z domu i przez palisadę powiodła w kierunku zasłony. Stile miał nadzieję, że czarownica użyje właściwego eliksiru. Przypuszczenie wydawało się uzasadnione, o ile prawdą było, że Adeptci unikali wojen między sobą. Jeśli Żółciutka obawia się, że zdradzony może złamać przysięgę, to na pewno nie oszuka go. Sprawiała wrażenie uczciwej czarownicy.

Kiedy stanęli przed kurtyną, Żółciutka zawahała się, trzymając palec na korku buteleczki.

- Nie chciałam cię zabić, Błękitny. Czy jesteś pewien, że dasz sobie radę w tym ponurym świecie za zasłoną? Jeśli wolałbyś pozostać...

- Dziękuję, Żółciutka. Poradzę sobie. Muszę tam się dostać.

- I myślisz, że wilkołak mógłby być zainteresowany... na pół godziny? Nie proszę o nic nadzwyczajnego...

- Nie szkodzi go o to zapytać - poradził jej Stile i pokropiony przez Żółciutką eliksirem, przeszedł przez zasłonę.

Rozdział 15

ROZGRYWKI

Tym razem Stile miał znacznie dłuższą drogę do kopuły, lecz pokonał ją bez trudu; zapach tojadu wciąż jeszcze podtrzymywał go na siłach.

Natychmiast zadzwonił do Sheen. Był wieczór, miał więc przed sobą całą noc odpoczynku. Potrzebował go; podniecenie, które odczuwał podczas pobytu na Phase, powoli mijało i Stile poczuł, że epizod z Żółtą Adeptką kosztował go więcej zdrowia, niż początkowo sądził.

- Jesteś więc Błękitnym Adeptem - powtórzyła Sheen, nie pozwalając mu zasnąć - i potrzebujesz kilku narzędzi, by uwolnić swą przyjaciółkę'?

- Tylko nie próbuj znowu być zazdrosna - utyskiwał Stile. - Wiesz przecież, że muszę...

- Jak mogę być zazdrosna? Jestem tylko maszyną.

Stile westchnął.

- Powinienem być przyjąć propozycję Żółciutkiej. Przy najmniej miałabyś powód.

- Chcesz powiedzieć, że nie... z Neysą? - Nie, tym razem ja...

- Oszczędzałeś siły dla tej wiedźmy? - Sheen pełną była oburzenia. - A potem zabrakło wam czasu?

- Wiesz, ona była naprawdę piękna i...

- Twoja gruboskórna aluzja trafia mi do przekonania Nie będę już zazdrościć Neysie. Jest w końcu tylko zwierzęciem ...

- Masz zamiar poprosić swych przyjaciół, by wypełnili moje zamówienie, czy nie? - zapytał rzeczowo.

- Wszystko we właściwym czasie, choć nie wiem, jak kostka suchego lodu mogłaby pomóc twoim zwierzętom. - Razem z diamentową piłą...

- I tresowaną sową - dokończyła Sheen. - Czy planujesz romans z jakimś ptakiem?

- Przestań wreszcie i daj mi spać! W zamian go połaskotała.

- Ptaki, czarownice, klacze, maszyny... dlaczego ni możesz znaleźć sobie dla odmiany jakiejś normalnej dziewczyny?

- Miałem jedną - powiedział. - Zostawiła mnie. - I dlatego wiążesz się z tymi wszystkimi pół-kobietami Obawiasz się, że inna też cię zostawi? - Sheen mówiła to pół żartem, pół serio, bawiąc się myślą, że ona sama jest potwierdzeniem jego nienormalności.

- Jutro na pewno jakiejś poszukam - obiecał Stile. - Tylko nie jutro. Z samego rana jesteś umówiony na spotkanie z pracodawcą, bardzo przejętym twoim udziałem w Grze.

Stile przewrócił się na plecy i przyciągnął ją do siebie. - Ironia losu polega na tym - wymamrotał w jej miękkie włosy - że ty jesteś najprawdziwszą dziewczyną ze wszystkich, - jakie znam. Kiedy doradzałem ci, żebyś przyswoiła sobie różnorodne zachowania typowe dla dziewczyn, nie sądziłem, iż odbędzie się to moim kosztem.

- Trzeba było mi to powiedzieć. Potraktowałam to dosłownie, jestem przecież...

Zamknął jej usta pocałunkiem, ale myśli, które Sheen wypowiedziała głośno, nurtowały go od dawna. Jak długo jeszcze będzie zadawać się wyłącznie z pół-kobietami?

Następnego dnia rano poznał swojego pracodawcę. Ku jego zdziwieniu była to kobieta. Nic dziwnego, że Sheen nie mogła przestać myśleć o przedstawicielkach płci żeńskiej. Obywatelka była elegancko odziana i uczesana; przystojna dama w bliżej nie określonym wieku. Była, oczywiście, znacznie od niego wyższa, ale łaskawie zamaskowała to, siedząc podczas całej audycji.

- Panie - powitał ją Stile. (Wszystkich Obywateli tytułowano "panami", bez względu na płeć czy wiek).

- Postaraj się zakwalifikować do Turnieju - powiedziała z uprzejmą stanowczością. - Możesz odejść. Wiedział doskonale, że jeśli przegra choćby jeden pojedynek, nowa właścicielka pozbędzie się go równie szybko, jak poprzedni pracodawca. Powinien się czuć zaszczycony, że poświęciła mu chwilę uwagi i tak rzeczywiście było, lecz ostatnie przeżycia na Phase zmniejszyły jego lęk przed Obywatelami. Byli przecież tylko ludźmi, choć obdarzonymi bogactwem i władzą.

Później Stile razem z Sheen udali się na pojedynek o Siódmy Szczebel. Nowa pracodawczyni na pewno postawiła na niego sporą sumę. Było w tym coś, co go upokarzało. Jeśli jednak przegra, to zapłaci za to Sheen. Nie miała, takiej jak on, możliwości ucieczki do innego, lepszego świata. Musiał zrobić dla niej wszystko, co było w jego mocy.

Posiadacz Siódmego Szczebła przybył na wyzwanie; w przeciwnym wypadku utraciłby tytuł. Niewiele wyższy od Stile'a, pomimo środków odchudzających, wchodzących w skład standardowej diety, miał tendencję do tycia. Stąd też wzięło się jego imię: Snack. Nie wyglądał groźnie, podobnie jak i Stile.

Zgodnie z przewidywaniami Sheen, na widowni zebrała się spora grupa kibiców. Prawdopodobnie także niektórzy Obywatele śledzili mecz na swoich ekranach, a już na pewno nowa pracodawczyni Stile'a. Jego decyzja stała się prawdziwą sensacją towarzyską.

Snack wylosował tę stronę tabeli, na której znajdowały się liczby. Stile westchnął

bezgłównie; ostatnio nie miał szczęścia w losowaniu - Snack zawsze wybierał UMYSŁOWE.

Stile wiedział, że nie może wybrać opcji NAGO, gdyż Snack nie miał sobie równych w grach czysto umysłowych. Równie dobry był w konkurencjach wymagających użycia MASZYNY lub ZWIERZĘCIA. Tylko w kategorii gier wspomaganych NARZĘDZIEM mieli równe szanse. Tak więc wybrane rząd i kolumna przecięły się na polu 2B.

Z widowni obserwującej ich na zewnątrz na ekranie publicznym, dobiegł pomruk aprobaty. Spodziewano się takiego rezultatu. Czekano teraz na rozegranie następnej tabeli.

Po chwili pojawiło się szesnaście pól klasyfikujących gry intelektualne. Snack znowu wylosował stronę z numerami pozwalającą na podstawowy wybór: Na pewno zdecyduje się na szachy, stanowiące jego specjalność - domyślał się Stile analizując zamiary przeciwnika, dobrze znającego wszystkie odmiany tej gry: zachodnioziemskie warianty dwu- i trójwymiarowe, chińskie Choo - hong - ki, japońskie Shogi indyjskie Chaturanga, jak również ich ultranowoczesne mutacje. Stile nie mógł mu w tym dorównać. Więcej szans miał w grach planszowych z jednym tylko rodzajem pionów, takich jak chińskie warcaby i ich odmiany, lecz używało się do nich takich samych plansz jak przy szachach. Niestety, gry klasyfikowane były według plansz i dlatego musiał unikać całego tego obszaru.

Stile wybrał rząd C obejmujący: puzzle, planszowe gry przygodowe (bardzo lubił "Lisa i gęsi") oraz rozgrywki przy użyciu ołówka i papieru, a w kolumnie, z którą - miał nadzieję - przetnie się jego rząd, znajdowały się gry zwane zamykającymi.

W wyniku mieli 2C: gry zamykające. Od strony widowni doszedł jeszcze jeden pomruk aprobaty.

Wreszcie przyszła kolej na tabelę, którą sarni układali. Stile poczuł przyptyw nadziei; prawdopodobnie mógłby pokonać Snacka w większości wariantów. Tabela składała się z czterech tylko propozycji: Go, Go - bang, Yote i Tic - tac - toe. Tę ostatnią Stile dorzucił z czystego kaprysu. Tic - tac - toe było niezwykle prostą grą, rozgrywaną na planszy stanowiącej kompilację wszystkich plansz Gry. Zawodnik, który zapełnił któryś z rzędów wybraną opcją, a potem miał szczęście wylosować prawo do wybrania rzędu, przeważnie wygrywał. Idealem byłoby zapełnić cały jeden rząd i całą kolumnę, wtedy zwycięstwo było pewne, bez względu na to, którą stronę tabeli się wylosowało.

Gra nie przewidywała remisów. Nawet wtedy, gdy żaden z zawodników nie zapełnił rzędu czy linii, rozgrzywka polegała na wybieraniu kolumn i interakcji między strategiami obu zawodników.

W rezultacie na przecięciu rzędu i kolumny znalazło się Tic - tac - toe. Tak się kończą kaprysy.

Stile westchnął. Cały problem polegał na tym, że doświadczeni przeciwnicy kończyli tę grę zazwyczaj remisem. Rozegrali ją od razu na ekranie przedstawiającym planszę, naciskając przyciski oznaczające kółko i krzyżyk. Tak jak przewidywał - wynik był remisowy.

Oznaczało to, że musieli jeszcze raz od początku rozegrać wszystkie tabele. Ponownie wybrali to samo pole, co przedtem. Tak samo poszło im z tabelą pomocniczą. Żaden z nich nie chciał zrezygnować z optymalnych dla siebie decyzji; uczynić inaczej, znaczyło przegrać. Lecz na trzeciej tabeli rozwinęła się nowa sytuacja. Wynik: Go - bang.

Gra była podobna do Tic - tac - toe, ale większa plansza pozwalała na umieszczenie nawet dziewiętnastu pionów w jednym rzędzie. Żeby wygrać, należało umieścić pięć w jednej linii. Przy wysokim poziomie umiejętności współ zawodników pojedynki również mógł się zakończyć remisem

Zegrali. Obaj byli zbyt czujni, by pozwolić przeciwnikowi na zwycięstwo. Musieli więc przystąpić do Gry po raz trzeci Sytuacja stawała się krytyczna. Każda seria rozgrywek kończąca się trzema remisami pod rząd uważana była za niekompetencję lub symulancję i obaj zawodnicy byli zawieszani na pewien czas w przywilejach gracza, tracąc uzyskane wcześniej szczeble. Odzyskanie ich oznaczało ponowną długą wspinaczkę, na co Stile nie miał już czasu. Trzecia seria musiał więc wyłonić zwycięzcę.

Znowu rozegrali tabele i jak poprzednio wybrali gry umysłowe z użyciem narzędzi. Zawodnicy uparcie trwali przy swoich strategiach.

Wymienili spojrzenia. Obaj wiedzieli, co należy zrobić. Wylosowali Go - starożytną chińską grę zamykająca Była to prawdopodobnie najstarsza ze znanych rodzajowi ludzkiemu gier, pochodząca sprzed wielu tysięcy lat. Jej reguły należały do najprostszych: gracze kładli na tabeli kolorowe pionki, zaznaczając swoje terytorium. Wygrywał ten, kto zajął większy obszar. Mimo łatwych zasad, należała do najbardziej skomplikowanych.

Stile nie był pewien, który z nich lepiej zna Go. Nigdy nie grał w nią ze Snackiem i nie mógł przypomnieć sobie żadnego pojedynku Go, który stoczyliby obaj z tym samym przeciwnikiem. Go nie należało w żadnym wypadku do gier w których Stile był najsilniejszy; podejrzewał, że dotyczy to również Snacka.

Przeszli do sali , gdzie rozgrywano gry planszowe; pojedynki Go trwały zbyt długo, by można było korzystać z pomieszczenia, w którym rozgrywano tabele. Widzowie powędrowali za nimi. Co prawda z każdego miejsca mogli oglądać transmisję, lecz woleli obserwować potyczkę na żywo. Sheen zajęła miejsce w pierwszym rzędzie. Wyglądała na zdenerwowaną, co - biorąc pod uwagę jej stalowe nerwy pewnie było udawaniem na pokaz.

Stile wolałby konkurencję prowadzącą do szybkiego rozstrzygnięcia, gdyż pamiętał ciągle o Neysie i Kurrelgyre, uwięzionych w alternatywnym świecie. Musiał jednak wypełnić swoje zobowiązania na Protonie, bez względu na to, ile miało go to kosztować. Stracił już sporo czasu.

Usiedli po przeciwległych stronach planszy, każdy z miseczką pełną wypolerowanych kamieni. Snack uroczyście wziął po jednym każdego koloru, wymieszał je w złączonych dłoniach i zaciśnięte pięści podał przeciwnikowi do wyboru. Stile dotknął lewej. Wylosował czarny kamień.

Zgodnie z tradycją czarne miały pierwszy ruch. Mając 361 węzłów do wyboru - w Go piony kładziono na przecięciach linii, a nie na polach - nie miał z tym żadnego problemu.

Teraz kolej Snacka. Tempo narzucane było przez zegar. Ponieważ pojedynek odbywał się w ramach kwalifikacji do Turnieju - czas został ograniczony. Chodziło o to, by Turniej odbywał się sprawnie. Było to korzystne dla Stile'a, bo gdyby Snack mógł rozważać każdy ruch dowolnie długo, prawdopodobnie wygrałby. Stile natomiast dobrze sprawdzał się przy podejmowaniu szybkich decyzji. Kolejno kładli kamienie na planszy, formując na niej strategiczne układy. Celem było otoczenie jak największej powierzchni i zdobycie tylu kamieni przeciwnika, ile tylko było możliwe. Przypominało to kierowanie armią zajmującą terytorium i biorącą jeńców. Najważniejsze było zdobywanie terytorium. W wyobraźni Stile'a każdy biały kamień był wrogiem, nieubłagany i groźnym żołnierzem, a wszystkie czarne były obrońcami Słusznej Wiary, nieugięte i prawe. Nie był jednak pewien, czy zwyciężą siły sprawiedliwości. Musiał skutecznie rozmieścić swe oddziały, a w gorączce bitwy nie zawsze łatwo jest rozpoznać najlepsze pozycje.

Kamień - żołnierz uważany był za schwytanego, gdy wszystkie drogi dostępu miał odcięte. Jeżeli siły przeciwnika otoczyły go z trzech stron, pozostawała mu tylko jedna droga dostępu; jeśli nie znajdował oparcia w innym kamieniu tego samego koloru, z którym tworzyli razem łańcuch, łatwo tracił i dostawał się do niewoli. Łańcuch także nie gwarantował bezpieczeństwa. Można było otoczyć dowolną liczbę kamieni. Ważniejsza była raczej pozycja. Było kilka sposobów obrony terytorium, takie jak "oko" czy "dywizja", które zapobiegały otoczeniu przez stronę przeciwną, lecz wiązały się z utratą kamieni. Drogą do zwycięstwa była właściwa ocena sytuacji.

Snack dobrze sobie radził w początkowych etapach gry. Potem, gdy sytuacja na planszy stawała się coraz bardziej skomplikowana, a czas zaczął dobiegać końca, Stile zaaplikował mu swoje słynne spojrzenie, służące do wyprowadzania przeciwników z równowagi. Było to skoncentrowane, wrogie spojrzenie, z prawie wyczuwalną aurą

nienawiści. Ilekroć Snack zerknął na niego, za każdym razem widział to samo Początkowo nie reagował, wiedząc, że to tylko taka strategia ale konsekwentnie denerwowany zdekoncentrował się i zaczął popełniać błędy. Najpierw źle odczytał pozycję "seki", co spowodowało utratę kilkunastu kamieni, a potem zaniedba utworzenie "oka" mogącego obronić zagrożone terytorium i rozrzutnie gospodarował pionami.

Jeszcze przed zakończeniem gry stało się jasne, że wygra Stile. Snack poddał się, nie czekając nawet na przeliczenie punktów. Szczebel Siódmy należał odtąd do Stile'a.

Wzrok Stile'a złagodniał i Snack potrząsnął głową, czując że się wygłupił. Gdyby nie zawiodły go nerwy, zachowałby pełnię formy i mógłby liczyć na zwycięstwo.

Stile'owi zrobiło się go żal, ale był przede wszystkim zawodnikiem, a zdobycie Siódmego Szczebła było konieczne Jego złość, będąca wynikiem kompleksu na tle wzrostu, ujawniała się w czasie tego rodzaju pojedynków i nieraz przesądzała o zwycięstwie. Stile charakteryzował się silniejszą niż u większości ludzi motywacją pracował wytrwalej niż inni i nigdy nie okazywał w Grze litości.

Posiadacza Szóstego Szczebła nazywano Hulk. Podobno na cześć bohatera z jakiegoś zeszlowiecznego komiksu. Był silnym, potężnie zbudowanym mężczyzną, specjalizującym się w konkurencjach fizycznych, lecz z innymi też sobie doskonale radził. Jego prawo pobytu na Protonie już się kończyło, więc starał się przesunąć na pozycję kwalifikującą go do udziału w Turnieju. Niestety, próba uzyskania Szczebła Piątego, którą ostatnio podjął, zakończyła się przegraną w grze losowej i nie mógł powtórzyć wyzwania, dopóki nie zmienił się cały układ szczebli lub dokąd nie odparł pomyślnie ataku na swoją własną pozycję. Teraz atakującym był Stile.

Liczba widzów znacznie się powiększyła. Zarówno Stile, jak i Hulk byli znanymi Graczami, a to, że pod względem fizycznym stanowili swe przeciwieństwo, dodawało pojedynkowi atrakcji. Pojedynek olbrzyma i karła!

Stile wylosował tym razem numerowaną stronę tabeli. Chociaż raz dopisało mu szczęście! Mógł teraz sterować wyborem jak najdalej od specjalności Hulka, którą były konkurencje fizyczne. Mimo to zawahał się. Wpłynęły na to dwie rzeczy. Po pierwsze element zaskoczenia: dlaczego miał robić to, czego oczekiwał przeciwnik, i wybrać kolumnę UMYŚLOWE? Hulk był bardzo sprytny, choć starał się to ukrywać, podobnie jak Stile taił swe możliwości fizyczne. Każda pomyłka, jaką czynił przeciwnik, oceniając możliwości drugiego gracza, była dla tego drugiego dobrą nowiną. Hulk na pewno wybierze rząd NAGIE, a to umieści ich na polu gier czysto umysłowych, gdzie miał prawdopodobnie jakieś ukryte rezerwy. Po drugie, pokonanie Hulka w dziedzinie, w której był najsilniejszy, byłoby

ostatecznym wyzwaniem i podniecającym doświadczeniem, a także niezłym widowiskiem dla przypatrującego się tłumowi.

Nie - usiłował sam odwieść się od tej decyzji - to tylko podświadoma reakcja na kompleks, silny uraz na punkcie wysokich mężczyzn. Miał nieodpartą potrzebę zwyciężania ich. Udowodnienia, że jest od nich silniejszy i sprawniejszy. Doskonale wiedział, że wysocy ludzie nie bardziej odpowiadali za swój wzrost niż on za swój. Mimo to odczuwał coś w rodzaju wewnętrznego przymusu nie poddającego się zdrowemu rozsądkowi. Pragnął upokorzyć tego olbrzyma, zniszczyć go całkowicie w oczach świata. Musiał to zrobić.

I w ten sposób wybrali razem I A: FIZYCZNE - NAGIE. Widownia wydała cichy jęk zaskoczenia. Z daleka dobiegł ich czyjś stłumiony głos: Stile wyzywa Hulka w opcji 1 A. Odpowiedzią był okrzyk zdumienia.

Hulk podniósł głowę i obaj gracze wymienili przelotnie uśmiechy; obaj lubili dobrą widownię. W rzeczywistości uświadomił sobie Stile - to pod wieloma względami byli bardziej do siebie podobni, niż mu się zdawało. Przypominało to relację typu miłość - nienawiść; Stile jednocześnie lubił i nienawidził swego przeciwnika, zazdrościł mu i czuł do niego urazę, chciał być do niego podobny i w tym samym czasie pragnął dowieść, że wcale nie potrzebuje być taki jak on.

Czy jednak dla tego wewnętrznego impulsu nie zaprzepścił swoich szans? Opinia o fizycznej sprawności Hulka nie była bezpodstawna. Stile odegrał wielkie przedstawienie, a teraz mógł ponieść jego konsekwencje. Przegrana oznaczała utratę zatrudnienia i to wtedy, gdy najbardziej potrzebował poparcia wyrozumiałego pracodawcy. Stile zaczął odczuwać zwątpienie.

Rozegrali następną planszę. Uświadomił sobie nagle, że to ta sama, którą rozgrywał razem z Sheen, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Wspominał tę chwilę z wyraźnym sentymentem. Tak wiele zdarzyło się od tego czasu! Przeżył uraz kolana śmiertelne groźby, odkrył alternatywny świat Phase, zaprzyjaźnił się z damą należącą do gatunku jednorogów i wilkołakiem - dżentelmenem, a teraz wstępował w szranki Turnieju i to dwa lata przed czasem. W ciągu dziesięciu dni przeżył więcej, niż inni przez całe życie!

Na górnej krawędzi planszy wypisane były opcje: OSOBNE -- BIERNE -- WALKA -- WSPÓLDZIAŁANIE; była to strona, którą wylosował Stile. Kusiło go, by wybrać WALKĘ, ale nawet jego wewnętrzna potrzeba sprawdzenia się nie wymagała zrobienia czegoś tak idiotycznego. Radził sobie dobrze z większością technik walki, lecz pamiętał trudności, jakie miał na Phase, próbując przerzucić przez ramię potwora. Zdawał sobie sprawę, że Hulk był mistrzem w zapasach mężczyzn w grupie powyżej trzydziestu lat. Jeżeli wszystkie inne

czynniki pozostawały takie same, to potężny mężczyzna zawsze zwyciężał drobnego. Stile wybrał OSOBNE.

Teraz Hulk wybierał powierzchownie spośród: PŁASKIE -- ZMIENNE -- NIECIĄGŁE -- PŁYNNNE. Hulk był świetnym pływakiem, a Stile należał do ekspertów w nurkowaniu i obie te specjalności zaliczono do tej samej sekcji. Gimnastyczne umiejętności Stile'a dawały mu również przewagę w kategorii NIECIĄGŁE; potrafił wykonywać takie ćwiczenia na trapezie i drążkach, jakich nie mógł powtórzyć żaden potężny mężczyzna. Największe szanse dawała Hulkowi opcja ZMIENNE, w którą wchodziła górską wspinaczkę i zjeżdżanie. Wyścig na szczyt góry z dwudziestokilogramowym obciążeniem z pewnością wykończyłby Stile'a, gdyż Gra nie przewidywała żadnych ulg z tytułu wagi zawodników. Oczywiście Stile nigdy nie pozwoliłby się na to złapać, lecz nieźle musiałby się napocić, zanim udałoby mu się wywinąć.

Hulk wybrał jednak opcję PŁASKIE. Widownia zaszumiała ze zdziwienia. Czyżby Hulk oczekiwał, że Stile wybierze inną opcję, czy też po prostu przeliczył się? Prawdopodobnie to drugie. Gdy chodziło o tabele, to Stile miał rękę mistrza. To także decydowało o jego pozycji w Grze.

Zaczęli teraz budować ostateczną tabelę. Wybierali spośród biegów, skoków, przewrotów i kalisteniki. Stile umieścił "Maraton" pośrodku składającej się z dziewięciu pól tabeli, usiłując wyprowadzić przeciwnika z równowagi. Nadmiernie rozwinięte mięśnie górnej połowy ciała były w biegu na wytrzymałość tylko zbędnym obciążeniem.

Hulk, nie przejmując się zupełnie, odpowiedział skokiem w dal z miejsca, w którym osiągał znakomite rezultaty. Jego ciężar był wprawdzie ogromny, ale gdy wyrzucił go w powietrze, sama masa niosła go do przodu. Pozostałe pola wypełnili skokami z trampoliny, pompkami, biegami na dwadzieścia kilometrów, sprintem na sto metrów, przewrotami do tyłu, skokami w dal z rozbiegu i staniem na rękach.

Plansza została wypełniona precyzyjnie, tak by uniemożliwić ułożenie pionowej lub poziomej linii składającej się z takiej samej konkurencji, a więc żaden nie mógł uzyskać tu oczywistej przewagi. Ponieważ Stile'owi przysługiwał o jeden ruch więcej, Hulk mógł zadecydować, która strona tabeli będzie jego. Kiedy obaj dokonali już wyboru, okazało się, że kolumna i rząd przecinają się na polu 2B, w samym środku tabeli, a więc wybrali maraton.

Stile odprężył się. Zwycięstwo! Ale Hulk nie wyglądał na przygnębionego. Dziwne.

- Poddajesz się? -- spytał Stile zgodnie z rytuałem. - Odrzucam - bez wahania odpowiedział Hulk. Widać było, że Hulk naprawdę miał zamiar się ścigać

Nie należał jednak do długodystansowców, tak jak Stile. Co mu dawało tę pewność

siebie? W żaden sposób nie mógł przecież udawać; zbyt wyraźnie stanowili niedobraną parę Hulk, o ile Stile wiedział, nigdy nawet nie ukończył mara tonu. Widownia też była zdumiona. Hulk powinien był pod dać się.

No cóż, będzie co ma być. Hulk dotrzyma mu początkowo kroku, potem zostanie w tyle, a gdy Stile osiągnie określone przepisami przewagę, będzie musiał uznać porażkę. Moi. Hulk wolał przegrać w ten sposób, a może liczył na to, i: Stile'a złapie po drodze skurcz lub nadwreży ścięno"? Wypadki zdarzały się czasami, a wyniku Gry aż do samego końca nie można było przesądzać. Wiadomość o zranionych kolanach Stile' a rozeszła się szeroko. Może Hulk przecenił jego skutki?

Przeszli na bieżnię, gdzie rozpoczynała się trasa maratonu. Sheen szła obok bardzo zdenerwowana. Symulowała emocje których nie czuła, by lepiej skryć swą prawdziwą naturę, a może przeczuwała, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo.

Nie mógł o to zapytać. Bieżnia okalała dwa boiska, tworząc ogromny okrąg. Byli na niej inni biegacze i kilku chodźarzy; oczywiście zejda z toru, by przepuścić maratończyków. Stile i Hulk jako uczestnicy turniejowej eliminacji mieli pierwszeństwo.

Widzowie rozproszyli się. Nie było innego sposobu bezpośredniej obserwacji maratonu, jak tylko towarzyszenie biegaczom. Zainteresowani mogli oglądać zawody na ekranie transmitującym przebieg konkurencji lub przemieszczać się do kolejnych punktów kontrolnych na trasie.

Podeszli do linii stanu i zarejestrowali się u robota urzędnika.

- Pamiętajcie, że część trasy jest zamknięta z powodu remontu - zawiadomił ich robot. - Zorganizowano obejście, a linia mety została przesunięta - uzupełnił.

Był modelem biurowym, podobnie jak żeński robot przy Zjeżdźalni; jego dolna połowa stanowiła jednolity blok metalowego biurka.

- Chciałbym złożyć zamówienie na napoje w czasie biegu - powiedział Hulk. - Życzyłbym sobie, żeby były według mojej własnej, specjalnej formuły.

Formuła! Stile sprawdził to u Sheen.

- On coś wymyślił - powiedziała cicho. - Nie ma formuły na napój, który dałby mu potrzebną wytrzymałość, chyba że przekroczy przepisy antydopingowe.

- Na pewno nie będzie oszukiwał, a nie powinien mnie prześcignąć - powiedział Stile. - Jeżeli jednak zwycięży, to najwidoczniej na to zasłuży. Czy będziesz w punktach kontrolnych, by podawać mi napoje? W czasie biegu używam standardowych mieszanek fruktozowych. Hulk może potrzebuje czegoś specjalnego, by podtrzymywać swe siły, ale ja nie. Zresztą nie spodziewam się, żebym musiał biec do końca.

- Pobiegnę z tobą - obiecała.

- I ujawnisz przed całym światem swoją tożsamość? Żadna prawdziwa kobieta o twoich kształtach nie mogłaby dotrzymać nam kroku; wiesz przecież.

- To prawda - zgodziła się niechętnie. - Będę w punktach kontrolnych. Moi przyjaciele też będą czuwać.

Pochyliła się, by go lekko pocałować, tak zrobiłaby to prawdziwa dziewczyna. A zresztą, czy nią nie była?

Zajęli miejsca na linii startu i robot dał sygnał do biegu. Ruszyli razem. Stile dla rozgrzewki ruszył z prędkością około piętnastu kilometrów na godzinę; Hulk dotrzymał mu kroku. Pierwsze kilkadziesiąt minut nie miało większego wpływu na wynik maratonu; bieg rozstrzygał się w późniejszych stadiach, gdy kończyła się już siła woli i fizyczna wytrzymałość zawodników. To nie był wyścig po rekord, lecz pojedynek między dwoma przeciwnikami. Istniała duża szansa, że jeden z nich się podda.

Dwa kilometry przewagi automatycznie rozstrzygały konkurencję. Mobilizowało to obu zawodników do nieustannego wysiłku i nie przedłużało niepotrzebnie zawodów, kiedy jeden z nich był wyraźnie słabszy.

Stile wątpił, by Hulk, zanim się podda, mógł przebiec dłuższy dystans. Szybko się rozgrzał, mięśnie miał rozluźnione, każdy oddech napełniał go nowymi siłami, a umysł miał świeży i sprawny. Lubił ten rodzaj sportu. Zaczął przyspieszać. Hulk wprawdzie nie musiał dotrzymywać mu kroku, ale się starał, aby nie dopuścić do niebezpiecznego zwiększenia odległości.

Stile zauważył jednak, że olbrzym biegnie lekko obok, oddychając bez wysiłku. Może wcześniej pracował nad swoją kondycją?

Po drodze znajdowały się punkty wydawania napojów. niezmiernie ważnych dla maratończyków. Sheen stała przy pierwszym. Uśmiechając się, podała Stile'owi butelkę. Nie chciało mu się jeszcze pić, ale wziął, wiedząc, że rozgrzane ciało traci płyny przez skórę szybciej, niż jest je w stanie wchłaniać przez system trawienny. Bieg, mimo całej radości jaką mu sprawiał, nie należał do banalnych wysiłków. Nie przy tej prędkości i dystansie.

Hulk dostał swoją butelkę od zwykłego robota. Stile nie miał wątpliwości, że była to jakaś odmiana standardowego napoju zawierającego łatwo przyswajalne cukry w sfermentowanej postaci, uzupełniające zarówno energię, jak i płyny; Stile nie był pewien, dlaczego Hulk tak podkreślał odmienność swojej mieszanki. Możliwe, że miało to wywierać psychologiczny wpływ zarówno na niego samego jak i jego przeciwnika, sugerować, iż jakiś pierwiastek śladowy czy ekstrakt z ziół może uzyczyc mu dodatkowych sił.

Picie w czasie biegu jednego z dozwolonych napoi, pozwalało na opóźnienie lub nawet zlikwidowanie nieszczęsnego punktu krytycznego zwanego "ścianą", kiedy to następuje wyczerpanie rezerw organizmu. Starożytni maratończycy zmuszali swoje ciało do spalania własnej tkanki. Dzięki temu kontynuowali bieg, ale płacili za to własnym zdrowiem. Współcześni biegacze już nie narażali się na podobne straty, przynajmniej nie wtedy, gdy byli w formie. Jedno się nie zmieniło - głównym czynnikiem mobilizującym zawodnika do walki była motywacja, mająca swe źródło w psychice. I wszystkie czynniki, które mogły zmobilizować człowieka do zwiększonego wysiłku, były warte zachodu.

Hulk jednak nie należał do ludzi wierzących w przesady i bajeczki; był pragmatykiem.

Kiedy oddalili się od punktu i wyrzucili już puste butelki do specjalnie ustawionych po drodze koszy na śmieci, Hulk zapytał się:

- Ona jest twoja?

- Raczej to ja jestem jej - odparł Stile. Mówili oczywiście o Sheen.

- Przehandluj ją. Oddam mój szczebel.

Stile roześmiał się, lecz nagle przyszło mu do głowy, że może Hulk nie żartuje i przystąpił do tych skazanych na klęskę zawodów tylko dlatego, że zobaczył Sheen obok Stile'a, zapragnął jej i liczył, że w ten sposób ją zdobędzie? Hulk, podobnie jak Stile, był trochę nieśmiały wobec tych kobiet, które podobały mu się, w odróżnieniu od tych, które mu się

narzucały. Nie mógłby podejść tak po prostu do Sheen i powiedzieć: "Cześć, podobasz mi się. Chciałbym odebrać cię Stile'owi".

Musiał najpierw omówić to ze Stilem. Była to jeszcze jedna cecha, jaką Stile w nim szanował.

- Nie mogę jej przehandlować. To osoba niezależna. Muszę zdobyć Szczebel, żeby utrzymać ją przy sobie.

- A więc będziemy się ścigać. Tym razem to Hulk przyspieszył.

Nagle Stile'owi przyszło do głowy, że Hulkowi wcale nie chodzi o jego dziewczynę; miał przecież tyle kobiet, ile potrzebował. Objawione przez niego zainteresowanie było tylko grzecznością, mającą na celu albo rozwianie obaw Stile'a, albo zmniejszenie jego woli walki. Jedno Stile wiedział na pewno: bez względu na to, jak uczciwy i uprzejmy jest Hulk, on zamierza wygrać ten bieg.

Stile utrzymywał tempo. Nie mógł szybkością dorównać Hulkowi na krótkich dystansach, podobnie jak Hulk nie dorównywał mu wytrzymałością na długich. Nie wiadomo było tylko; w którym momencie przesunie się punkt równowagi. Stile nie widział żadnej

szansy, by olbrzym mógł przebiec cały pięćdziesięciokilometrowy dystans w tempie pozwalającym mu wygrać. Teraz Hulk próbował zmusić Stile' a do szybszego biegu, by go zmęczyć. Była to strategia zwodnicza, gdyż Stile spokojnie mógł pozwolić wyminąć się, a potem dogonić zmęczonego przeciwnika. Hulk nie mógł zdobyć dwukilometrowej przewagi nad Stilem, prędzej pękłoby mu serce z wysiłku. Niewątpliwie udało mu się w ten sposób pokonać pomniejszych przeciwników, którzy tracili głowę i rezygnowali. Tym razem nie miał na to szans. Im dłużej Stile dotrzymywał Hulkowi kroku, tym bardziej daremna stawała się ta strategia. Powiedzie się, o ile Stile nie sforsuje się i nie nadweręży jakiegoś mięśnia.

Biegli dalej, odbierając w każdym punkcie butelki z płynami. Od czasu do czasu dotrzymywali im kroku inni biegacze, poruszający się po równoległym torze. Większość z nich należała do krótkodystansowców i rezygnowała po kilometr lub dwóch. Stile i Hulk biegli od kopuły do kopuły po oznaczonej trasie. Przez chwilę bieżnia wiodła przez ogromną salę gimnastyczną, gdzie ćwiczyły młode kobiety. Śmiejąc się, robiły przewroty; ich piersi wesoło podskakiwały.

- Chłopcy, zatrzymajcie się na trening! - zawołała jedna z nich.

- To dla mnie za trudne! - odskrzyknął Hulk. Uciekam stąd!

Przebiegli przez piękne skalne ogrody, należące do jakiegoś lubiącego sport Obywatela. Mogły tu z powodzeniem odbywać się tak zwane sporty na świeżym powietrzu: polowanie, obozowanie pod gołym niebem, pływanie, piesze wędrówki, fotografowanie przyrody. Nie widać było jednak nikogo; wszystko przeznaczone było dla oczu jednego tylko właściciela. W pewnym momencie bieżnia przechodziła pomiędzy sztucznym urwiskiem a wodospadem. Wspaniały widok: padający z oddali promień światła wywoływał tęczę w rozpryskującej się wodzie. Potem przebiegli główną ulicą repliki jakiejś ziemskiej metropolii; drapacze chmur, choć w skali jeden do dziesięciu i tak ledwie mieściły się wewnątrz kopuły.

Przy następnym punkcie wydawania napojów płonął ostrzegający napis: **AWARIA TRASY. OBJAZD.**

- Ostrzegali nas - zauważył Stile, biorąc butelkę od Sheen i obdarzając ją uśmiechem. Miał dobre samopoczucie, a bieg sprawiał mu radość.

Hulk złapał swoją butelkę, która wydawała się być inna od poprzednich. Nie użył jej od razu, lecz biegł dalej w milczeniu. Odezwał się dopiero, gdy oddalili się na bezpieczną odległość od punktu.

- Do diabła z objazdem! To jest stała trasa, a nie ścieżka ogrodowa, którą można przenosić za każdym razem, kiedy jakiś Obywatel ma zamiar urządzić przyjęcie. To przecież eliminacje do Turnieju. Zamierzam biec prosto.

Intrygująca sugestia. Jeżeli zignorują objazd, to czy uda im się uniknąć gniewu jakiegoś Obywatela? Niewielu niewolników miało taką szansę!

- Możemy wpaść w kłopoty - ostrzegł Stile. - Zaryzykuję.

I Hulk minął wyraźnie oznaczony objazd, biegnąc dawną trasą maratonu.

Zmusiło to Stile'a do pójścia w jego ślady. Obejście mogło mieć długość kilku nawet kilometrów, co pozostawiłoby go z tyłu na odległość wystarczającą do dyskwalifikacji. Czy na tym polegał plan Hulka? Wysforować się do przodu, biegnąc stałą trasą, podczas gdy przeciwnik naiwnie skręci na objazd i poniesie tego skutki? To oznaczałoby, że Hulk już wcześniej wiedział o zmianie trasy, a przecież to Stile umieścił na planszy maraton.

Dobry gracz, wszakże, nie powinien tracić z oczu niczego co miało związek z Grą. Gdyby Stile nie był zajęty pobytom na Phase, wiedziałby o awarii i rozegrałby całą sprawę inaczej. Cóż, dobrze chociaż, że dotrzymał olbrzymowi kroku i udaremnił podstęp, ale ta sytuacja go zaniepokoiła. Objazdy, bez względu na to, co twierdził Hulk, organizowano wyłącznie z ważnych powodów.

Stile wypił napój i wyrzucił butelkę do pojemnika. Hulk ledwie napoczął swoją i niósł ją w dłoni. Oczywiście mógł sobie ją trzymać, jak długo chciał; Stile wolał pozbyć się każdego obciążenia tak szybko, jak to tylko było możliwe.

Minęli ścianę z pola siłowego i wbiegli do tunelu łączącego kopuły. Powiało chłodem, a oddychanie zaczęło sprawiać Stile'owi trudność; było zbyt mało tlenu. Zdążył się co prawda trochę zaaklimatyzować w czasie wędrówek na Phase i z powrotem, ale to nie wystarczyło. Hulk jednakże, korzystając być może z rezerw zawartych w potężnych mięśniach parł do przodu.

Jeśli awaria pola była rozległa, to Stile znalazł się w poważnych tarapatkach i jego przeciwnik musiał zdawać sobie z tego sprawę.

Cała rozgrywka nagle nabrała innego znaczenia. Czyżby Hulk przewidział obecną sytuację i trenował biegi poza kopułą? Czy to dlatego rozpoczął maraton tak pewny siebie. Domniemana przewaga Stile'a stała się słabością w obliczu lepszego przygotowania i analiz przeprowadzonych przed zawodami. Jeżeli Hulk zwycięży, to tylko dlatego, że prześcignął Stile'a w jego własnej specjalności, jaką była uwaga poświęcana ukrytym niuansom poszczególnych sytuacji przed przystąpieniem do rozgrywek. Hulk pobił go jego własną bronią i do tego ze zdumiewającą finezją, pozwalając Stile'owi samemu zapędzić się w pułapkę.

Stile musiał zwolnić, by nie stracić przytomności; ograniczenie zapotrzebowania na tlen stało się koniecznością. Widział oddalającego się Hulka, który pociągnął właśnie z

butelki, tak jakby nie odczuwał żadnych trudności. Co za pokaz siły! Musiał przecież także odczuwać brak tlenu, lecz mimo to biegł dalej spokojnie, a nawet był w stanie pić.

Jeżeli awaria pola rozciąga się na kilka kilometrów, to Hulk może zdobyć konieczną przewagę i wygrać walkowerem, albo, co bardziej prawdopodobne, może zmusić Stile'a do poddania się.

Zwolnił, łapiąc rozpaczliwie powietrze. Hulk był już poza zasięgiem wzroku. Stile szedł ciężko za nim. Przed sobą miał jeszcze jedno skrzyżowanie pól siłowych. Gdyby oznaczało ono koniec awarii...

Niestety, nie. Stile znalazł się w ogromnym warsztacie. Pracowały w nim tylko roboty; ludzie zostali ewakuowani z zagrożonego obszaru.

Stile poczuł, że zakręciło mu się w głowie. Nie miał już siły. Starał się biec, a cała kopuła kręciła się wokół niego jak szalona. Biegł? Powinien ograniczyć się do chodu! Hulk jednak był już poza kopułą i pewnie znalazł się już w atmosferze bogatej w tlen, zwiększając swoją przewagę, podczas gdy Stile mógł się tylko zataczać...

Nagle podjechał do niego jeden ze sprzątających robotów. -- Napój odświeżający - powiedział, podając butelkę. - Podarek od Sheen.

Stile nawet nie był w stanie się zdziwić, złapał za butelkę, przysunął do ust i nacisnął. Zasycał jakiś gaz. Zaskoczony, odetchnął nim. Powietrze? Nie! To czysty tlen!

Stile nacisnął jeszcze raz i wciągnął w płuca jej zawartość. Tego właśnie potrzebował! A poza tym było to w zgodzie z przepisami; mógł pobierać pokarm w dowolnej postaci: stałej, płynnej czy gazowej, byle tylko nie był to zabroniony narkotyk.

- Dzięki, Sheen! - wystękał i pobiegł dalej. Ciągle jeszcze kręciło mu się w głowie, ale wiedział już, że sobie poradzi.

Tlen wkrótce się skończył. Nie mogło go być wiele w niewielkiej butelce. Ciekawe jak ona działała? Pewnie naciskając, otwierał zawór ciśnieniowy. Wyrzucił butelkę i pobiegł dalej. Czuł się jak nowo narodzony; mógł teraz bez problemów dobiec do terenu, na którym można było normalnie oddychać.

Udało się. Za następnym skrzyżowaniem ciśnienie atmosfery wróciło do normy. Błogosławiona ulga!

Był jednak bardzo osłabiony i stracił dużo czasu. Hulk musiał także mieć tlen. Wszystko stało się jasne. To o to chodziło! Stąd ta dziwna butelka, której tak pilnował. Co za sprytny facet! Nie zrobił niczego niedozwolonego, ani nawet nieetycznego. Po prostu używając swoich szarych komórek, postarał się wymanewrować Stile'a i w ten sposób o mało co nie wygrał biegu. Teraz Stile będzie musiał go dogonić, a nie będzie to łatwe. Hulk jednak

nie zdobył jeszcze przewagi dwóch kilometrów, gdyż Stile byłby już zawiadomiony o przegranej, ale chyba niewiele już mu brakowało. Na pewno dawał z siebie wszystko, by zdążyć, zanim Stile wydostanie się z obszaru awarii.

Nawet jeżeli Hulk nie zdobył koniecznej przewagi i Stile zaczął nadrabiać stratę, to i tak musi go nie tylko dogonić ale i minąć. Przed nimi było jeszcze jakieś trzydzieści kilometrów. Czy da radę? Stracił przecież tyle sił.

Musi! Przyspieszył, zmuszając się do większego wysiłku

Bolała go głowa, nogi miał jak z ołowiu i kłuło go przy każdym oddechu. Biegł jednak wytrwale.

Trasa wiała się przez kolejne kopuły o ciekawej, urozmaiconej scenerii, lecz Stile nie miał już siły na podziwianie. Jego otępiały mózg koncentrował się wyłącznie na wydawaniu poleceń nogom: podnieść - opuścić, podnieść - opuścić... opuścić... opuścić. Każdy krok wstrząsał całym jego ciałem. Czuł się coraz gorzej. Poddał się rytmowi biegu, słysząc kryjącą się za nim melodię. Przypominała stukot kopyt kłusującej Neysy. Nagle przez jego cierpienie przebił się słaby, cudowny dźwięk muzyki granej na rogu. Wydała mu się rozdzierająco piękna. Ból zamienił się w dziwny rodzaj radości.

Stuk - stuk - stuk. Zaczął podświadomie dobierać słowa do rytmu i melodii: Przyjaźń, przyjaźń, przyjaźń, przyjaźń. Przyjaźń na zawsze, na zawsze, na zawsze, na zawsze. Przyjaźń na zawsze połączy, połączy, połączy. Przyjaźń na zawsze połączy nas, nas, nas. Neysa była jego przyjacielem. Zaczął śpiewać w myślach ułożoną właśnie piosenkę, która przypominała mu linijkę jakiegoś wiersza: trójzgłoskowy tetrametr, albo cztery metryczne stopy, z których każda składa się z trzech sylab, z akcentem na trzeciej. Oczywiście nie było to doskonałe, każdej stopie czegoś brakowało, ale uważał, że dokładne trzymanie się metrum miało w sobie coś sztucznego, forma uniemożliwiała naturalność wiersza. Prawdziwa poezja zawsze jest naturalna. Najlepsze, w jego mniemaniu, były wiersze akcentowane, w których prawa rymowania ograniczały się do określenia liczby akcentów w każdej linijce. Stile, w swoich poetyckich usiłowaniach, odrzucił sztuczność rymu; treść i stopa stanowiły podstawę jego prób. Pamiętał jednak, że w fantastycznym świecie Phase jego własna magia realizowała się przy pomocy rymów. Przyjaźń z jednorożcem...

Nagle jego mózg zaczął normalnie działać i Stile poczuł, jak rozjaśnia mu się w głowie. Neysa? A co z Sheen? Znajdował się teraz w jej świecie°. To przecież Sheen przysłała mu tlen!

Znowu poczuł beznadziejną frustrację. Niski mężczyzna musiał zadowalać się tym, czym mógł, nawet jeśli były to tylko maszyny i zwierzęta, zamiast prawdziwych kobiet.

Zalała go nagle fala gniewu, skierowanego przeciwko samemu sobie; a co jest złego w zwierzętach i robotach? Sheen i Neysa to najlepsze istoty rodzaju żeńskiego, jakie znał! Kochał się z nimi, ale nie o to tu chodziło; Sheen i Neysa stanęły u jego boku, kiedy najbardziej ich potrzebował. Obie były mu bliskie!

A jednak nie mógł ożenić się z żadną. Nie chodziło mu o prawo, ale o jego własne odczucia: przyjaźnić mógł się z każdą, lecz ożenić tylko z prawdziwą kobietą. I w ten sposób skazany był na samotność, bo żadna kobieta warta miłości nie chciałaby karła.

Znowu dotarł do nieusuwalnego sedna swoich problemów: wzrostu. Bez względu na to, jak usilnie starał się udowodnić swoją wyższość, jak wysoką pozycję udało mu się zająć, pozostawał tym, kim był - kimś gorszym. Do diabła z logiką i eufemizmami - taka była prawda.

Pozostawała mu więc przyjaźń i nic więcej. Więc trzymaj się, Stile, miłych robotów i łagodnych zwierząt; dadzą ci wszystko, co w tej sytuacji możesz od życia oczekiwać powiedział sam do siebie.

Sheen stała obok bieżni, podając mu kolejną butelkę z napojem.

- Hulk słabnie! - zawołała.

- Ja też - wydyszał Stile. Ale twój tlen uratował mi życie.

- Jaki tlen? - spytała, biegnąc obok niego.

- Ten robot... nie wiedziałaś, że mamy awarię pola na trasie?

- Nie pobiegliście objazdem?

- Nie, trzymaliśmy się poprzedniej trasy. Skończyło się powietrze. Hulk miał tlen, a ja nie. Wtedy jakiś robot... Potrząsnęła głową:

- To musiał być któryś z moich przyjaciół.

Oczywiście, obdarzone wolną wolą maszyny wiedziały to, czego nie wiedziała Sheen. Prosiła, by nad nim czuwali, więc zrobili dokładnie to, czego od nich oczekiwała i powołali się na jej imię, by nie wywoływać zbędnych podejrzeń. A przecież nie musieli tego robić. Dlaczego interesowali się jego losem? Musieli potrzebować czegoś więcej, niż tylko jego milczenia na temat ich prawdziwych możliwości. Dał im przecież słowo, a dobrze wiedzieli, że słowo było dla niego święte. Nie złamałby go nawet wtedy, gdyby nie zakwalifikował się do Turnieju. Zresztą, gdyby odebrano mu prawo pobytu, byłiby zupełnie bezpieczni. Stile dołączył to pytanie do sporej kolekcji tajemnic, na które napotykał. Jeśli kiedyś znajdzie na to czas, spróbuje dowiedzieć się prawdy.

- W każdym razie, dziękuję.

- Kocham cię! - odparła, zabierając od niego butelkę. Stile przyspieszył, a ona została w

tylę. Sheen umiała kochać. Dlaczego jemu się to nie udawało? Czyżby także potrzebował jakiegoś programu?

Siły zaczęły mu wracać, napłynęły nie wiadomo skąd do jego zmęczonych nóg i ciężko pracującej piersi. Hulk i tak zmęczył się w końcu, a Sheen go kochała. Wszystko, co miało teraz choć trochę znaczenia w jego życiu, koncentrowało się wokół tych dwóch postaci. Czy naprawdę musiał coś rozumieć?

Stile nabierał tempa. Tak, czuł się wyraźnie silniejszy. Świat wokół niego wrócił do dawnego kształtu. Nadrobi straty. Jeszcze nie wiadomo, czy mu się to uda, ale przynajmniej spróbuje.

Dlaczego maszyna powiedziała mu, że go kocha? Dlaczego inna maszyna pomogła wywinąć mu się z kłopotów? Stile, nabierając prędkości, rozmyślał nad tymi pytaniami i w końcu wypracował rozwiązanie. Sheen nie miała innego celu w życiu, jak tylko chronić go. Jak mogła odróżnić to od miłości? A obdarzone wolną wolą maszyny mogły chcieć, by opuścił ich świat. Zdawały sobie sprawę z tego, że najlepszym sposobem na usunięcie go z Protona było zapewnienie mu udziału w Turnieju. Jeżeli nie uda mu się zakwalifikować -

co było pewne w razie przegrania maratonu - będzie miał prawo przebywać tu jeszcze trzy lata, oczywiście o ile znajdzie pracodawcę. Jeśli natomiast wstąpi w szranki Turnieju, to pozostanie tu tylko tak długo, dopóki będzie wygrywał. Więc, oczywiście, pomogą mu w eliminacjach. Było to działanie pozytywne, wspomagające..., a jednocześnie oznaczało, że się go wkrótce pozbędą. W ten sposób, nie szkodząc ani żadnemu Obywatelowi, ani człowiekowi, osiągały swój cel.

Sheen też była maszyną o wolnej woli, podległej swojemu programowi. Poza tym miała pełną swobodę. Umożliwiła mu udział w Turnieju, znajdując zatrudnienie u Obywatela, który był fanem Gry. Czyżby Sheen też chciała się go pozbyć? A przecież nie miała żadnych ukrytych zamiarów; wydruk jej programu świadczył o tym wyraźnie. To, co wtedy zrobił, było gwałtem - przypomniał sobie z powracającym poczuciem winy. Czy miała mu to jeszcze za złe? Wątpił. Rozumiała przecież, że nie chciał jej skrzywdzić. Nie mógł wtedy przecież wiedzieć, iż ma do czynienia z maszyną o wolnej woli. A zresztą przeprosił ją potem.

Nie, Sheen robiła to, co uważała za najlepsze dla niego. Dżokej z niesprawnymi kolanami, prześladowany wrogością jednego z Obywateli, miał małe szanse. Tak więc Sheen nie miała wyboru. Sprawiała się dobrze, biorąc pod uwagę, że nawet nie miała pewności, iż Stile wróci na Protona po tym, jak przekroczył po raz pierwszy zasłonę. Zrobiła tyle, ile mogłaby zrobić inteligentna kobieta dla ukochanego mężczyzny.

Naprzód! Tak, miał niezłe tempo, ale ile jeszcze musiał nadrobić? Niedobór tlenu spowodował, że stracił poczucie czasu i odległości. Hulk mógł być tuż przed nim, albo prawie dwa kilometry dalej. Nic innego mu nie pozostawało, jak przeć do przodu jak najprędzej i liczyć na szczęście.

Biegł dalej. Wpadł w rodzaj transu, zmuszając w ten sposób zmęczone ciało do dalszego wysiłku. Spore odcinki pokonywał z zamkniętymi oczami, wierząc że nierówne pobocze ostrzeże go przed zboczeniem z trasy. Próbował już tej sztuczki wcześniej i uważał, że tak lepiej mu się biegnie.

Miał dobry czas; był prawie pewien, że lepszy niż Hulk, ale kolana zaczynały mu sztywnieć, a potem boleć. Poddawał je większemu obciążeniu niż kiedykolwiek od chwili, gdy zranił je laser; wcześniej dokuczały mu tylko wtedy, gdy je mocno zginał.

Spróbował zmienić krok, ale szybko go to zmęczyło. Mógł je oszczędzić, ale tylko za cenę utraty prawa pobytu. Jeśli jednak wygra bieg i zakwalifikuje się do Turnieju, to nie będzie w stanie skutecznie walczyć z powodu sztywnych kolan i też jego czas na Protonie się skończy.

Czy utrata prawa pobytu byłaby aż takim nieszczęściem? Musiałby przenieść się na Phase. Miało to pewien urok. Przeszkodą były tylko dwie rzeczy. Po pierwsze - Sheen, która tyle dla niego zrobiła i której nie powinien porzucać, dopóki nie zadba o jej los. Po drugie, bardzo nie podobała mu się myśl, że mógłby przegrać z Hulkiem. Nie chciał pozwolić, by olbrzym udowodnił, iż jest najlepszy. W żadnym wypadku. Czy te rzeczy kłóciły się ze sobą? Nie. Przed chwilą sądził, że przegrana w maratonie oznacza utratę prawa pobytu, a to przecież nie musi być prawda. Bez względu na motywy, miał powód, by dać z siebie wszystko, a wygnanie na Phase przyjmując tylko w ostateczności.

Stile znowu przyspieszył. Do diabła z kolanami! Zamierzał wygrać ten pojedynek. Jeśli wygrana kosztować go będzie utratę szans podczas Turnieju, to niech i tak będzie.

Niespodziewanie dostrzegł olbrzyma, idącego tuż przed nim. Hulk usłyszał go, obejrzał się i ruszył do przodu, lecz jego sprint szybko zamienił się w ciężkie człapanie. Stile podążył za nim, początkowo zostając w tyle, potem utrzymując dystans, a w końcu zmniejszając przewagę Hulka.

Przeciwnik ciężko dyszał. Chwiał się na nogach. Włosy miał pozlepiane potem, a na policzku wyschniętą strużkę piany, sączącą się z kącika ust. Musiał przecież nieść ogromny ciężar na bardzo długim dystansie - jeszcze raz sobie uświadomił Stile. Potężne mięśnie i duża masa ciała korzystne były przy podnoszeniu ciężarów i w zapasach, ale w czasie maratonu stawały się zbędnym obciążeniem. Hulk był mężczyzną godnym najwyższego

uznania, sprytnym i zdeterminowanym; połączył wszystkie swe umiejętności i stoczył wspaniały pojedynek, ale nie miał już szans go wygrać.

Stile wysunął się na prowadzenie. Teraz, gdy jego przewaga stała się oczywista, biegło mu się łatwiej. Hulk, natomiast, musiał walczyć o każdy krok, a jego klatka piersiowa poruszała się jak gigantyczne miechy. Osiągnął już fazę krytyczną i nie miał żadnych rezerw. Żył nabrzmiały mu na szyi; przy każdym kroku zostawiał krwawe ślady na bieżni z popękanych pęcherzy na stopach. Ciągle jednak biegł, parł do przodu, mimo nabiegłych krwią oczu i pulsu walącego tak, że słyszalny był nawet z daleka. Zataczał się tak bardzo, iż wydawało się, że wypadnie z bieżni.

Stile przyspieszał, niezdrowo zafascynowany cierpieniem olbrzyma. Co utrzymywało go na nogach? Niewielu ludzi rozumiało istotę biegów długodystansowych i zdawało sobie sprawę z wysiłku woli, koniecznego do przekroczenia granic ludzkiej wytrzymałości, do lekceważenia kontuzji i odwagi potrzebnej wtedy, gdy zmęczenie zamienia się w ból. Hulk niósł na sobie trzy razy więcej ciężaru niż Stile i zużywał trzy razy więcej energii; jego klęska nie była wcześniej zauważalna, gdyż przeciwnik został daleko za nim. Gdyby Stile padł, albo kontynuował bieg z prędkością chodźiarza, to Hulk mógłby wygrać. W obecnej sytuacji groziła mu już śmierć. Odmawiał poddania się, a jego organizm wypalał się do końca.

Wcześniej Stile czuł potrzebę upokorzenia przeciwnika. Fizycznie udało mu się to, ale pod względem psychicznym wcale nie czuł satysfakcji. Hulk, choć zlany potem, nie ugiął się. Teraz Stile już nie udawał swej wyższości, lecz tylko swą brutalność.

Żał mu się zrobiło Hulka. Jego rywal, choć postawiony w sytuacji bez wyjścia, dał z siebie wszystko. A teraz był na granicy szoku termicznego i prawdopodobnie skrajnego wyczerpania. Determinacja Hulka w obliczu przeciwności należała do absolutnych.

Stile poczuł do Hulka taką samą sympatię, jaką żywił w stosunku do Sheen, Neysy i tych, których sytuacja była gorsza od jego. Nie mógł zaakceptować takiego zwycięstwa.

- Hulk! - zawołał. - Proponuję remis.

Olbrzym posuwał się do przodu, jakby go nie słysząc. - Remis! Remis! - krzyczał Stile. - Spróbujemy w innej konkurencji. Zatrzymaj się, bo zginiesz!

Te słowa jakoś przebiły się. Ciało Hulka zwolniło. Chwiejnie zatrzymał się i spojrzał szklanym wzrokiem na Stile'a. - Nie - wychrypiał. - Zwyciężyłeś. Poddaję się...

Zemdlony, runął na ziemię. Stile próbował go podtrzymać, złagodzić upadek, ale został tylko pociągnięty na dół. Przygwożdżony ciałem Hulka, poczuł nagle straszliwe wyczerpanie, dotąd odsyłane do podświadomości perspektywą zwycięstwa. Stracił

przytomność.

Stile przeżył. Udało się to również Hulkowi. Pojedynek mógłby zostać uznany za remis, gdyż żaden z nich nie ukończył biegu i obaj upadli w tym samym czasie. Wystarczyło, żeby Hulk milczał. Hulk jednak był uczciwym człowiekiem. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po odzyskaniu świadomości, było podyktowanie formalnego aktu poddania meczu,

Stile razem z Sheen odwiedzili go w szpitalu. Protońska medycyna mogła czynić cuda, ale nie odbywało się to bez udziału samej natury. Minie kilka dni zanim Hulk wstanie z łóżka.

- Raczej kilka godzin - zaprzeczył Hulk, odczytując jego myśli. - Szybko łapię formę.

- Jesteś wielkodusznym facetem - stwierdził Stile, wyciągając do niego rękę.

Hulk odpowiedział tym samym i drobna kończyzna Stile'a prawie zniknęła w jego ogromnej łapie.

- Zrobiłem to, co należało. Byłeś lepszy i wygrałeś. Stile zaprzeczył machnięciem ręki.

- Chciałem cię upokorzyć, bo jesteś taki wysoki. To było złe pragnienie. Przepraszam.

- Któregoś dnia powinieneś spróbować, jak to jest, kiedy jest się wielkim - odparł Hulk.

- Ludzie wyśmiewają się z ciebie, gapią się, przypominasz im goryla. Uważają, że musisz być strasznie głupi, bo przecież wszyscy myślą, że inteligencja jest odwrotnie proporcjonalna do masy ciała. Chciałem udowodnić, że mogę dorównać ci w twojej specjalności, wet za wet. I przegrałem.

Zmieniło to trochę światopogląd Stile'a. Wysoki mężczyzna widziany jako wybryk natury? Życie Hulka okazało się podobne do jego. Byli po prostu przeciwległymi biegunami tej samej anomalii; olbrzymem i karłem. Stile poczuł, że musi koniecznie coś dla niego zrobić.

- Twoje prawo pobytu wygasa niedługo - przypomniał. - Możesz nie zdążyć zakwalifikować się do Turnieju. Wkrótce będziesz musiał opuścić Protona. Interesuje cię alternatywa?

- Nie, nie chciałbym zostać przestępcą.

- To nie to! Mam na myśli uczciwe, honorowe wyjście. Jest inny świat, odmiana tego..., można go nazwać alternatywnym. Podobny jest do Protona, ale z powietrzem, drzewami, wodą. Nie ma tam żadnych Obywateli czy niewolników, są po prostu ludzie. Niektórzy z nas mogą przechodzić na drugą stronę i pozostać tam na zawsze.

Oczy Hulka załśniły.

- Świat jak z sennego marzenia? A jak zarabia się tam na życie?

- Można żyć na pustkowiu polując, zbierając i jedząc owoce. Życie tam nie jest ciężkie.

- Żadnego wyzwania? To zbyt łatwe!

- Używa się tam broni, a niektóre ze zwierząt to potwory. Wiele jest tam różnych niebezpieczeństw. Myślę, że znalazłbyś tam większe pole do popisu niż tutaj, a tamten świat bardziej by ci odpowiadał niż większość planet, na które mógłbyś wyemigrować. Oczywiście, jeśli udałoby ci się przekroczyć zasłonę. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że masz szansę.

- A więc nie jest to inna planeta, lecz tylko inny wymiar tego samego świata? Dlaczego miałoby mi się udać, jeśli innym się nie powiodło?

-- Ponieważ przyjechałeś tu jako niewolnik. Nie urodziłeś się na Protonie. Tak więc na Phase pewnie nie istniejesz.

- Nie rozumiem.

- Trzeba to zobaczyć na własne oczy. Pomogę ci przejść, jeśli zechcesz spróbować.

Hulk zastanowił się.

- Sądzę, że myślisz o czymś więcej, niż tylko o jakimś miejscu, gdzie można żyć. O co chodzi?

- To jest magiczny świat. Hulk roześmiał się.

- A więc musiałeś mieć halucynacje, mały olbrzymie! W taki świat nie mogę pójść z tobą.

Stile smutnie pokiwał głową. Spodziewał się podobnej reakcji, lecz bardzo chciał pomóc temu człowiekowi, którego tak upokorzył.

- Spróbuj przynajmniej towarzyszyć mi do zasłony, a przekonasz się, w jakim stopniu świat ten jest rzeczywisty. Albo porozmawiaj z moją dziewczyną. Może cię przekona. Hulk wzruszył ramionami.

- Nie mogę dzisiaj pójść z tobą, ale zostaw mi Sheen. Bez względu na wszystko, rozmowa z nią będzie dla mnie przyjemnością.

- Wrócę tu - obiecała Sheen.

Jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie i Stile opuścił pokój.

Sheen towarzyszyła mu.

- Kiedy tym razem wrócę na Phase... - zaczął Stile. - Opowiem Hulkowi wszystko, co wiem - obiecała

Sheen. - Bądź pewien, że wysłucha z uwagą.

- Wrócę jutro, by walczyć o Piąty Szczebel. 'To zakwalifikuje mnie do Turnieju.

- Ależ jesteś zbyt zmęczony, by walczyć! - zaprotestowała.

- Jestem również zbyt zmęczony, by stawić czoła Żółtej Adeptce - powiedział. - Moi

przyjaciele muszą jednak odzyskać wolność. Zresztą już ustaliłem termin pojedynku o Piąty Szczebel. Chcę zakwalifikować się szybko, udowadniając słuszność twojej opinii; tylko to może zadowolić moją pracodawczynię.

- Oczywiście - zgodziła się bez przekonania - to logiczne.

Podąła mu zamówione wcześniej przedmioty i zaprowadziła do właściwego odcinka zasłony.

- Moi przyjaciele mieli ogromne trudności ze zgromadzeniem wszystkich tych rzeczy - poskarżyła się. - Byłoby znacznie łatwiej, gdybyś zachowywał się jak rozsądny robot, a nie jak nierozsądny mężczyzna.

- Masz przecież rozsądnego robota zrobionego na moje podobieństwo - przypomniał jej. - Nie zapomnij go ożywić. Zamachnęła się na niego dla żartu.

- Wiesz przecież, że robot ani się nie umywa do prawdziwego mężczyzny.

Stile pocałował ją i przeszedł przez zasłonę.

Rozdział 1

BŁĘKIT

Stile pojawił się na Phase tam, gdzie planował, tuż za zasięgiem żółtej mgły, która wyznaczała granice Żółtego Królestwa. Z powodu przysięgi i zaklęcia, jakie położyła na nim Żółciutka, nie mógł przekroczyć sam jego granic, ale też i nie musiał. Postawił na ziemi klatkę, w której zamknięta była sowa i ubrał się. W kieszeniach ubrania znalazł piłkę do metalu i kombinezon antygrawitacyjny; to pierwsze miało służyć do przepiłowania krat, zaś to drugie było zabezpieczeniem przed oblaniem magicznym płynem. Miał nadzieję, że Kurrelgyre lub Neysa będą mieli na tyle refleksu, by usunąć przy pomocy piły jeden z prętów, potem użyć go do wyłamywania zamków w pozostałych klatkach. Gdyby jednak coś zawiodło...

Stłumił tę myśl. Musiał uwolnić przyjaciół w ten lub inny sposób. Jeżeli będzie musiał, zniszczy Żółtą Adeptkę, choć wcale tego nie pragnął. Nie była przecież aż tak bardzo złą czarownicą.

Z giętkiego kombinezonu skręcił sznurek i zawiązał wokół piły. Wyciągnął sowę z klatki.

- Posłuchaj - rzekł do niej. - Zrobisz mi jedną przysługę i jesteś wolna. Nigdy więcej nie będziesz służyć człowiekowi, ani nie znajdziesz się w klatce.

Była to bardzo inteligentna sowa - mutant, więc rozumiała go.

- Weź to i wrzuć do kotła w żółtym domu. Stile podał jej pakiet suchego lodu.

- A to wrzuć do klatki jednorożca. Wepchnął ptakowi węzełek z piłą. Sowa zamrugła zdezorientowana.

- Aha, nie wiesz, co to jest jednorożec? To koń z rogiem - wyjaśnił najprościej, jak umiał.

Sowa uspokoiła się.

- A więc fruń tam szybko... i potem zaraz się stamtąd zabieraj. Jesteś już wolna. Jeśli będziesz mnie kiedyś potrzebowała, to daj mi znać, a pomogę ci we wszystkim.

Sowa wzięła oba pakunki w szpony, rozpostarła skrzydła i poszybowała.

- I nie pozwól, by oblano cię tam jakimś płynem! - zawołał za nią Stile.

Patrzył na znikającego ptaka z nadzieją, że wszystko skończy się dobrze. Nie był pewien czy narzędzia z Protona, służące realizacji jego pomysłu będą przydatne na Phase,

więc starał się niczego zbytnio nie komplikować.

Wkrótce usłyszał wrzaski wiedźmy. To znaczyło, że dwutlenek węgla z kostki lodu znalazł się już w kotle, sprawiając, iż wywar wrzał i parował bez kontroli, niszcząc działanie magii i uwalniając sowę, oraz odwracając uwagę Żółciutkiej. Pierwsza część planu przebiegła więc pomyślnie. Teraz kolej na skafander i piłę. A potem, jeśli będą mieli szczęście, rozpęta się prawdziwe piekło.

Czekał zdenerwowany. Tyle rzeczy mogło jeszcze zawieść! Wreszcie dobiegło go trąbienie różowego słonia zwanego Drogim Coreyem i nasilający się tumult wśród więźniów, który po chwili przekształcił się w prawdziwy harmider połączony z trzaskami i łomotem. Z mgły wyłoniły się jakieś kształty. Ku Stile'owi galopował jednorożec. Była to Neysa z jeźdźcem na grzbiecie - Kurrelgyre'm w ludzkiej postaci.

Zatrzymali się i wilkołak zeskoczył na ziemię.

- Wielcem ci wdzięczny, o piękna. Odwzajemnię się, gdy tylko będę mógł - podziękował kłaczy.

Wręczył Stile'owi rapier i zamienił się z powrotem w wilka. Stile stał przez chwilę bez ruchu, rozmyślając nad tym co się stało. Dlaczego wilkołak nie biegł jak zwykle w wilczej postaci, a zmuszał się do niewygodnej dla siebie jazdy wierzchem na jednorożcu? Oczywiście dlatego, by mógł zabrać ze sobą broń, którą w innym wypadku musiałby zostawić. Jego własne ubranie transformowało razem z nim, lecz miecz stanowił materię obcą. Chciał zwrócić broń Stile'owi. A dlaczego Neysa tolerowała tak niezwyklego jeźdźcę? Widać także czuła potrzebę zwrócenia mu broni. Nie był to jakiś szczególny przedmiot, to tylko dar jej brata, należący teraz do Stile'a. Oboje uczynili to dla niego. W każdym razie tak to sobie wytłumaczył. Poczul się wzruszony.

- Dziękuję wam, ale najbardziej rad jestem, że umknęliście bez szwanku.

Kurrelgyre warknął przyjaźnie, a Neysa zagrała pogodną nutę.

- Co z Żółtą Adeptką? Czy coś się jej stało?

Kurrelgyre przybrał postać mężczyzny.

- Wiedźma kazała przyprowadzić mnie z klatki, odgadując me przebranie - zaczął swą opowieść. - Twierdziła, że to waśc przysłałaś ją do mnie. A ja nie wiedząc czy mówi prawdę, czy też kłamie, zmuszony byłem grać z nią w tę samą grę, dopóki nie upewniłem się o losie waści. Zamierzałem zabić ją, gdyby uczyniła ci krzywdę, lecz ona pokazała mi ślady wiodące przez zasłonę i powiedziała, że będziesz próbował uratować nas z oddali. Twierdziła, że nie będzie ci utrudniać...

- Żółciutka to świetna czarownica - stwierdził Stile. - Wiele czasu minęło, odkąd ostatni

raz byłem z moją wilczycą - zwierzał się Kurrelgyre. - Żółta robi to tak samo jak i my, ale zanim zdążyła mnie podniecić, wywar przestał działać... Wróciłem więc do klatki i czekałem na rezultaty twych usiłowań. Nie mogłem uciekać w postaci wilka, gdyż wtedy działało na mnie jej przyzywające zaklęcie, zaś jako człowiek przestałem pragnąć jej śmierci.

- Sądzę, że zamierzała was wypuścić - powiedział Stile - ale chcąc zachować twarz nie mogła tego zrobić, dopóki sam nie spróbowałem. Podejrzewam, że jestem jej coś winien.

- Wygląda na to, że nawet Adeptci bywają ludźmi zgodził się niechętnie Kurrelgyre. - Żadne ze zwierząt nie skrzywdziło Żółciutkiej w czasie ucieczki. Rozbiegły się we wszystkie strony, a my przyszliśmy tutaj, jak tylko zwęszyliśmy twój trop.

Kurrelgyre znowu powrócił do wilczej postaci.

- Żółciutka powiedziała mi, kim jestem - oznajmił Stile.

Wilk i jednorożec wbili w niego wzrok.

- Jestem Błękitnym Adeptem.

Stile umilkł, ale żadne ze zwierząt nie wydało nawet jednego dźwięku.

- Wiem, że żadne z was tego nie aprobeuje, ale jestem, kim jestem. Mój sobowtór był Błękitnym Adeptem, a jak

powiedziała Wyrocznia, powinienem poznać sam siebie. Muszę iść do Błękitnego Królestwa.

Wciąż jeszcze milczeli.

- Uwolniłem was z rąk Żółciutkiej, tak jak się zobowiązałem - ciągnął Stile. - Teraz jednak, kiedy wiem, kim jestem, nie mogę już prosić żadnego z was o pomoc. Jestem tym, którego wy...

Wilk przekształcił się w człowieka.

- Za późno, przyjacielu. Byłem zgubiony, kiedy cię spotkałem, choć sam o tym nie wiedziałem, ale Wyrocznia wiedziała i kazała mi "kultywować Błękit". Nie proszę waści o żadną przysługę, lecz chętnie ci pomogę wyjaśnić twoją sytuację. Być może to, co zabiło twego sobowtóra, czyha teraz na ciebie w Błękitnym Królestwie, a wilczy nos łatwiej to coś wywęszy.

- Wielkie dzięki, panie wilkołaku. Lecz wiedz, że nie zamierzam uprawiać magii, więc nie będę mógł dopomóc ci w twych problemach. To bardzo jednostronny układ...

W tej samej chwili Kurrelgyre przemienił się już w wilka. - A ty. Neyso? - spytał Stile. - chciałbym... Neysa minimalnym ruchem głowy poleciała mu, by wsiadł.

Stile poczuł ulgę. Ciągle jeszcze odczuwał zmęczenie po maratonie, a jazda na Neysie była wręcz odpoczynkiem. Mógł się teraz trochę odprężyć. By w pełni odzyskać siły

potrzebował około dwóch dni, ale niestety, nie miał tyle czasu. Jeżeli opóźni swe przybycie do Błękitnego Królestwa, to ryzykować będzie, że Żółciutka rozpuści plotki o jego pojawieniu się i to, co się tam na niego czai, zdąży się przygotować. Musiał dotrzeć tam pierwszy.

Może przydałby się tojad? Doszedł jednak do wniosku, że lepiej rozwiązywać problemy, polegając na własnych siłach. Kurrelgyre skierował Neysę na wschód. Wracali tą samą trasą, jaką tu przybyli, przez lasy, pola i pustkowia, nie zatrzymując się prawie na odpoczynek i popas. Stile wyjaśnił im po drodze konieczność następnego powrotu na kolejne rozgrywki. Oba stworzenia doszły do wniosku, że zdążą doprowadzić Stile'a do Błękitnego Zamku, zanim będzie musiał udać się na Protona.

Minęli miejsce, w którym Stile rozpoczął poskramianie jednoroźca. To było tak niedawno, a ile się przez ten czas wydarzyło! Jechali w stronę zamku, który Stile dostrzegł, oglądając okolicę ze szczytu wysokiego świerka. Wrócili więc prawie do punktu, w którym wszystko się zaczęło.

Kiedy zbliżali się do celu podróży, wstawał właśnie świt w całej swej okazałości. Stile zasnął na grzbiecie Neysy i nie widział nawet wschodów i zachodów księżyców. Teraz patrzył na zamek przymrużonymi, łzawiącymi oczami. Zostały mu zaledwie cztery godziny do rozpoczęcia walki o Piąty Szcebel, a on nie zdołał jeszcze rozwikłać sytuacji na Phase. Gdyby Błękitne Królestwo nie było tak odległe od Żółtego...

Stile zdołał się trochę przespać, ale napięcie związane z jego misją, nie pozwoliło mu się odprężyć. Jeżeli Błękitny Adept naprawdę został zamordowany, to kto dokonał tego czynu? Jeśli magia nie zdołała go ocalić, to jak ma przetrwać jego sobowtór nie stosujący czarów? Stile nie miał już innego wyjścia. Nawet gdyby pozwolono mu stosować magię, nie miał przygotowanych odpowiednich rymów.

Musiał sprawdzić, co działo się na zamku i zorientować się dokładnie, jaka jest jego sytuacja, bez względu na to, ile mogło go to kosztować. Wyrocznia powiedziała, żeby poznał sam siebie i Stile wierzył, iż jest to dobra rada.

Otoczenie Błękitnego Zamku było zdumiewająco przyjemne. Żadnej mgły, tylko czyste, niebieskie niebo, cudownie błękitne jezioro i całe pola błękitnych dzwonek, goryczki i błękitnej trawy. W oczach Stile'a miejsce to wydawało się jednym z najpiękniejszych, jakie do tej pory widział, i nie pasowało do jego wyobrażeń o posiadłości Adepta.

Nie mógł jednak pozwolić, by najładniejszy nawet pejzaż wywiódł go w pole.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zjawimy się tam w przebraniu, tak jak uprzednio -

powiedział Stile. Zwierzęta wyraziły zgodę.

Stile ubrał skarpetki Neysy, a Kurrelgyre przybrał postać człowieka. I tak pozorny mężczyzna poprowadził dwa pozorne jednorożce ku bramie zamku.

Zwodzony most nad wąską fosą był opuszczony, a brama stała otworem. Na ich widok pojawił się uzbrojony człowiek, prawdopodobnie strażnik, ale jego dłoń nie dotykała miecza.

- Cóż mogę dla was zrobić? - zapytał się przebranego wilkołaka.

- Przybyliśmy, by zobaczyć się z Błękitnym Adeptem - odparł Kurrelgyre.

-- Czy twe zwierzęta są chore?

Zaskoczony pytaniem Kurrelgyre usiłował improwizować: - Jedno z nich ma chore kolana.

- Nie widzimy tu wielu jednorożców - zauważył strażnik - lecz Błękitna Pani na pewno sobie z tym poradzi. Wejdźcie na dziedziniec.

Zaskoczyło to Stile'a. Nigdy wcześniej nie słyszał o Błękitnej Pani. Jak mogła być Adeptem, jeśli prawdziwy Adept był mężczyzną i niedawno zginął? Chyba, że była jego żoną. Sytuacja coraz bardziej się komplikowała!

- Wolelibyśmy spotkać się z samym Adeptem - protestował Kurrelgyre.

- Wyszedłby do was, gdyby zagrażała wam śmierć powiedział stanowczo strażnik. - Skoro jednak twój jednorożec ma chore kolana, to spotkacie się z Panią.

Kurrelgyre ustąpił. Poprowadził zwierzęta przez bramę, a potem szerokim przejściem na główny dziedziniec. Przypominał on jeden z podwórców pałacu Wyrocni, ale był znacznie mniejszy; nad całością dominowało piękne, błękitno kwitnące drzewo jacarandy, a pod nim lśniło ciemnym błękitem małe jeziorko, zasilane strumyczkiem spływającym ze szczytu fontanny, przypominającej swym kształtem małego, błękitnego wieloryba.

Widać było, że Błękitny Adept kochał przyrodę we wszystkich jej formach. Stile stwierdził, że mają podobne gusta. Na dziedzińcu przebywało kilka zwierząt: kulawy królik,

wąż z rozdeptanym ogonem i nadtopiony śnieżny potwór. Neysa podejrzliwie zerknęła na tego ostatniego, ale potwór nie szukał zwady z żadnym ze stworzeń.

Na podwórzu weszła służąca ubrana w letnią sukienkę z błękitnego perkalu.

- Pani zaraz tu będzie - zawiadomiła Kurrelgyre. Chyba że potrzebna jest natychmiastowa pomoc?

- Nic bardzo pilnego - odparł wilkołak. Był zdumiony tym wszystkim nie mniej od Stile'a. Gdzie podziało się całe okrucieństwo, którym powinien charakteryzować się Adept? A jeśli Błękitny Adept zginął, to dlaczego nikt go nie oplakuje i nie rozpacza? Spodziewali się raczej, że będą w walce wyrąbywać sobie drogę do zamku, a stał przed nimi otworem.

Dziewczyna ostrożnie wzięła na ręce węża i zaniósła go do zamku.

Co to jest? - pomyślał Stile. - Jakiś szpital? Rzeczywiście, to co widział, było bardzo odległe od Czarnego czy Żółtego Królestwa i to nie tylko w sensie geograficznym. W czym się krył podstęp?

Dziewczyna przyszła teraz po królika. Wąż nie wrócił. Został wyleczony czy zginął? Dlaczego zwierzęta ufały tak temu zamkowi? Biorąc pod uwagę reputację Adeptów, powinny raczej trzymać się z daleka.

Pojawiła się wreszcie inna kobieta. Ubrana była w skromną, błękitną suknię, błękitne pantofelki, a błękitną chustą miała związane jasne włosy. Była zgrabna, ale ani jej twarz, ani figura nie rzucały się specjalnie w oczy. Podeszła prosto do śnieżnego potwora.

- Dla ciebie wystarczy środek zamrażający - powiedziała. Otworzyła fiolkę i spryskała jej zawartością potwora. Natychmiast zniknęły ślady nadtopienia.

- Wracaj natychmiast w swe górskie pustkowia; niziny nie są dla ciebie bezpieczne - upominała go z uśmiechem, który na chwilę rozjaśnił jej twarz, wyglądającą teraz jak słońce na moment odsłonięte przez chmury. - I nie szukaj więcej zwady z ognistymi smokami.

Stworzenie potulnie kiwnęło głową i wycłapało na zewnątrz.

Teraz kobieta zwróciła się ku Kurrelgyre. Stile zadowolony był, że okrywa go przebranie; ten słoneczny uśmiech oszołomił go. Jeżeli jakieś zło było w tej istocie, to doprawdy było ono dobrze ukryte.

- Nie widzimy tu wielu jednoroźców, panie - powiedziała, powtarzając opinię strażnika przy bramie.

Stile zdumiał się tym określeniem, stosowanym wyłącznie do Obywateli Protona.

- Które z nich ma zranione kolana?

Wilkołak zawahał się. Stile wystąpił o krok do przodu. Przebranie jednoroźca oszukać mogło tylko czyjeś oczy; dotyk musiał zdradzić ludzką naturę jego ciała.

- To ja mam chore kolana - powiedział. - Jestem człowiekiem w przebraniu jednoroźca.

Pani przyjrzała mu się uważnie. Jej oczy były, oczywiście, błękitne i niezwykle piękne, ale twarz jej się zachmurzyła. - Nie obsługujemy tu ludzi - powiedziała. - Dlaczego zastosowałeś, panie, ten podstęp?

- Muszę spotkać się z Błękitnym Adeptem - wyjaśnił Stile. - A jak dotąd, Adeptci nie odnosili się do mnie przyjaźnie. Wołałem więc przybyć incognito.

- Twój głos, panie, kogoś mi dziwnie przypomina... Zamilkła.

- Nie, to nie może być. Podejdz, obejrzę tve kolana, ale nic nie mogę obiecać.

- Ja chcę tylko spotkać się z Adeptem - zaprotestował Stile. Kobieta jednak już klęczała

przed nim, odnajdując jego nogi pod złudzeniem tworzącym jednorożca. Stał bezradnie, pozwalając jej przesuwając palcami po jego butach i skarpetkach, wsunąć je w nogawki spodni, odnaleźć łydki, a w końcu kolana. Jej dotyk był delikatny i sprawiał mu przyjemność.

Ciepło rąk przenikało jego stawy, podobnie jak pole wytwarzane przez urządzenie do terapii mikrofalowej. To jednak nie była maszyna, lecz cudownie żywe dłonie. Nigdy jeszcze nie doświadczył tak uzdrawiającego dotknięcia.

Stile spojrzał w dół i napotkał wzrok Błękitnej Pani. Coś w nim zapłonęło, jak ogień rozniecony wśród suchych gałązek. To jest kobieta, którą jego sobowtór pojął za żonę.

- Czuję tu uspijony ból -- powiedziała Błękitna Pani - ale uleczyć go jest ponad moje siły.

- Adept mógłby użyć magii - stwierdził Stile. Tyle, że Błękitny Adept nie żyje, nieprawdaż?

- Adept źle się czuje - odparła stanowczo.

Puściła jego kolana i wyprostowała się jednym szybkim ruchem. Była zdumiewająco gibka, choć w kącikach jej ust i oczu rysowały się zmarszczki. Była piękną i utalentowaną kobietą, ale żyła pod wpływem jakiegoś wielkiego napięcia. Stile'owi wydawało się, że wie, na czym polega jej zmartwienie.

Kurrelgyre i Neysa stali obok siebie. Stile schylił się ostrożnie i ściągnął magiczne skarpetki, zdejmując przebranie. - Spójrz na mnie, kobieto - powiedział.

Błękitna Pani uniosła oczy. Zbladła i cofnęła się o krok. - Jak śmiesz przychodzić tu w tym przebraniu, najpodlejszy z potworów! - zawołała. - Czyż nie dość kłamałam dla ciebie, choć najmniej ze wszystkich na to zasłużyłeś?

Stile oniemiał ze zdziwienia. Spodziewał się radości, niewiary czy strachu, w zależności od tego, czy wzięłaby go za swego męża, omam czy ducha. Ale to...?

- Choć bardzo to dziwne - mruknęła Pani sama do siebie. - Jego kolana wydawały się być z ciała, nie z drewna i był w nich prawdziwy ból. Czyżbym padła ofiarą budzących iluzje zaklęć'?

Stile spojrzał na wilkołaka.

- Czy rozumiesz coś z tego? Dlaczego moje kolana nie miałyby być z ciała? Kto może mieć drewniane nogi?

- Golem! - wykrzyknął Kurrelgyre, nagle pojmując wszystko. - Drewniany golem, grający rolę Adepta! Ale dlaczego miałyby osłaniać tego bezdusznego stwora?

Pani jednym ruchem zwróciła się w stronę wilkołaka. - Śmiesz pytać, dlaczego osłaniam twego współnika'? - wykrzyknęła, a jej blade policzki zalał rumieniec gniewu. -

Czyż mam ogłosić światu, że ten, którego kocham, nie żyje, zamordowany podle... a jego miejsce zajęło monstrum? Czy mam pozwolić, by wszystkie dobre uczynki mojego pana obróciły się w nicość? O, nie! Muszę ocalić to wszystko, co tylko mogę, inaczej nie będzie żadnego ratunku i nadziei dla tych, którzy są w potrzebie. Muszę ocalić choćby obraz mego ukochanego dla tych biednych stworzeń, by nie spotkał je ten sam los, co mnie.

Odwróciła się znów do Stile'a, królewska w swoim gniewie. - Lecz ty, łajdaku, ty godna pogardy kreaturo, ty żalosny przedmiocie! Nie waż się odgrywać przede mną swych żalonych gier! Strzeż się, bym w bólu nie zapomniała o swej naturze i ideałach i nie rozdarła cię na strzępy, nie wyrwała z twej piersi martwej ropuchy, którą masz zamiast serca!

Odwróciła się i z godnością odeszła do domu.

Stile patrzył w ślad za nią, czując jeszcze ogień jej gniewu. - Co za kobieta! - jęknął oczarowany.

Neysa odwróciła głowę, by mu się przyjrzeć. lecz Stile ledwie pojął, co mu chciała przekazać.

Błękitna Pani, chroniąca swego wroga przed zdemaskowaniem, by ocalić dobro czynione przez byłego Błękitnego Adepta? Ileż było tu zła do naprawienia!

- Muszę zabić tego golema - oznajmił Stile. Kurrelgyre kiwnął głową.

- Będzie, co ma być - powiedział krótko. Przekształcił się w wilka i zaczął węszyć. kierując się w stronę zamku.

Stile poszedł za nim, lecz Neysa pozostała na dziedzińcu. Przez cały dzień i całą noc biegła niemal bez wytchnienia i teraz była tak zmęczona i zgrzana, że z trudem gasiła płomień swego oddechu. Kurrelgyre, który biegł bez obciążenia, czuł się lepiej. Neysa potrzebowała trochę czasu, by dojść do siebie.

Nikt nie próbował im przeszkodzić w wejściu do zamku. Strażnik u bramy był jedynym uzbrojonym mężczyzną, jakiego spotkali, a i on powrócił na swój posterunek. Kilku służących spokojnie zajmowało się swoją pracą. Nie było widać żadnych śladów grozy, tak wyraźnej w siedzibach Adeptów, których dotąd odwiedzili. Ten zamek dostępny był dla wszystkich.

Wilkołak biegł czystymi korytarzami i przejściami, aż dotarł do zamkniętych drzwi. Zawarczał - tu krył się golem. - Dzięki, wilkołaku - powiedział Stile. - To musi być wyłącznie moja walka; racz więc odejść. - Kurrelgyre, rozumiejąc jego intencje, zniknął.

Stile dumiał przez chwilę, potem zdecydował się na bezpośrednią konfrontację. Zapukał do drzwi. Nie było żadnej odpowiedzi. Stile mało co wiedział o golemach, ale nie spodziewał się wiele po stworzeniu zbudowanym z nieożywionej materii. A jednak - przypomniał sobie -

z takiej materii zbudowana była przecież Sheen. Musi więc uważać i nie lekceważyć tego stwora. Nie znał granic magicznej animacji.

- Golemie! - zawołał. - Odpowiedz albo wejdę bez zaproszenia. Twoja gra dobiegła końca.

Drzwi otworzyły się. Stał w nich mężczyzna, odziany w błękitną szatę i buty. Był dokładnym odbiciem Stile'a. Ich ubranie różniło się szczegółami, ale ktoś trzeci nie był w stanie tego zauważyć.

- Znikaj, intruzie, albo zaczaruję cię w robaka i zdepczę obcasem - zagroził golem.

Golemy mówią? Dobrze wiedzieć. Stile wyciągnął rapier. - A więc czyń swe zaklęcia i to szybko, samozwańcze -- powiedział, podchodząc bliżej.

Golem był nieuzbrojony. Widząc to, Stile zatrzymał się. - Chwyć za broń! - polecił. -- Wiem, że nie możesz mnie zaczarować. Czy nie poznajesz mnie, ty nieożywiony kołku"

Golem uważnie przyglądał się Stile'owi.

- Przecież ty nie żyjesz! - wykrzyknął zdumiony. Stile pogroził mu mieczem.

- To raczej ty jesteś martwy

Zdezorientowany golem usiłował kopnąć napastnika. W takiej sytuacji trudno było jednak Stile'a zaskoczyć. Uchylił się i lewą pięścią walnął monstrum w ucho. Ostry ból przeszył mu całą rękę. Równie dobrze mógł uderzyć w kawał drzewa - powinien był to przewidzieć. W tej samej chwili golem zaatakował i uderzył go głową w pierś. Stile zdążył w ostatniej chwili napiąć mięśnie, lecz mimo to poczuł, że ma uszkodzone żebro. Golem walił dalej, wgniatając Stile'a w ścianę i próbując schwytać go potwornie silnymi rękami. Stile wiedział już, że nie dorówna mu siłą.

Golem nie potrzebował żadnej broni! Jego ciało było przecież z drewna. Stile nakierował rapier i ugodził stwora w tułów. Ostrze zatrzymało się, nie robiąc mu krzywdy.

Teraz Stile wiedział już, na kogo się porwał. Podciągnął nogę i walnął kolaniem w przeciwnika. Udało się. Stwór uderzył z głuchym łoskotem w przeciwległą ścianę.

Stile odetchnął płytko, czując ból w piersiach i rozejrzał się wokół. Kurrelgyre wrócił i stał w drzwiach, odganiając warczeniem przeszkadzających. To miała być osobista walka Stile'a, jak Gra na Protonie. Musiał tylko zniszczyć tę ożywioną drewnianą kukłę, zanim golem nie zamieni go w nieboszczyka, którym oficjalnie i tak już był. Nie miał już wyrzutów sumienia, że atakuje bezbronne stworzenie. Przyjrzał się uważnie przeciwnikowi. Niezależnie od tego, z czego był zrobiony, podlegał pewnym podstawowym prawom fizyki. Jego kończyny musiały być wyposażone w stawy i to równie wrażliwe jak u Stile' a. Golem widział i słyszał, a więc musiał mieć uszy i oczy, choć te funkcjonowały prawdopodobnie

wyłącznie dzięki magii. Ktoś, kto go zrobił, był prawdziwym mistrzem zaklęć. Najprawdopodobniej jakiś Adept - specjalista.

Golem rzucił się... i Stile wbił koniec rapiera w jego prawe oko. Golem, najwyraźniej nie czując bólu, parł naprzód, odwracając tylko głowę. Ostrze szpady wbite w drewno wygięło się i pękło.

Stile nigdy nie był mistrzem w posługiwaniu się tą bronią, więc strata była mniejsza, niż mogło się to wydawać. Wycelował ułamanym rapierem w drugie oko, lecz potwór, widząc niebezpieczeństwo, cofnął się. Odwrócił się i z trzaskiem wypadł przez okno w przeciwległej ścianie.

Stile ruszył w pościg. Wyskoczył za nim i znalazł się na dziedzińcu, gdzie niespokojnie spacerowała Neysa, studząc żar swego ciała. Zdumiona widokiem golema, zatrzymała się. Widziała, że stoi przed nią Stile, z jednym wybitym okiem, lecz jej węch tego nie potwierdzał.

Golem rozglądał się dookoła. Spozrzegł fontannę wieloryba. Objął statwę ramionami i wyrwał z umocowań. Neysa, zaniepokojona, galopowała przez dziedziniec z wycelowanym rogiem.

- Uwważaj! - krzyknął Stile. - On jest z drewna; złamiesz sobie róg!

Golem rzucił w niego wielorybem. Posąg był ciężki, leciał jak głaz. Neysa jednym skokiem znalazła się obok Stile'a, spychając go z toru pocisku. Kamień upadł u jej stóp, roztrzaskując się na kawałki.

- Nic ci się nie stało, Neyso? - spytał Stile, starając się wstać z ziemi.

Jej muzyczny sygnał wyrażał trwogę. Stile odwrócił się w stronę wroga. Golem celował w jego głowę odłamkiem kamiennego wieloryba.

Z nozdrzy Neysy wydobyła się fala płomieni, których nie powstydzilby się nawet niewielki smok. Ogień przeleciał nad Stilem i trafił w golema.

W jednej chwili potwór stanął w płomieniach. Drewno, z którego był zbudowany, było suche, dobrze przeschnięte i nasmołowane, paliło się szybko. Stworzenie upuściło kamień i biegało jak obłąkane w kółko.

Stile zamarł z wrażenia; jakby widział samego siebie w ogniu! Ciało golema trzaskało, wydobywający się dym tworzył smugę za miotającym się stworzeniem. Jeszcze przed chwilą pragnął jego zniszczenia, a teraz poczuł nagły przyływ litości. Nie mógł pozwolić, by coś tak strasznie cierpiało. Próbował stłumić to uczucie, powtarzając sobie, że golem jest, w dosłownym tego słowa znaczeniu, pozbawioną serca martwą rzeczą, ale nie mógł.

- Do wody - krzyknął. - Skacz do stawu! Gaś ogień! Golem zatrzymał się; płomienie

ogarnęły nawet jego przebite oko. Rzucił się w kierunku sadzawki, potknął się i wpadł z pluskiem. Rozlecił się sykiem pary.

Stile spojrział na Neysę, Kurrelgyre i Błękitną Panią, stojących na dziedzińcu. Podszedł do sadzawki i ostrożnie uklęknął. Drewniane ciało unosiło się na wodzie, twarzą do dołu; ogień zgasł. Prawdopodobnie potwór nie potrzebował powietrza, lecz...

Przyciągnął go do brzegu i wywłókł z wody. Golem był martwy, choć Stile nie był w stanie powiedzieć co mu bardziej zaszkodziło: ogień czy woda. Nie był już podobny do Błękitnego Adepta, chyba że sylwetką. Ubranie spłonęło na nim całkowicie, sztuczna skóra była spalona, a głowa zamieniła się w łysą, zwęgloną masę.

- Nie chciałem, żebyś zginął w ten sposób - powiedział Stile poważnie. - Myślę, golemie, że tylko wykonywałeś czyjeś polecenie jak robot. Sprawię ci pogrzeb.

Podszedł do nich strażnik, który przyglądał się całej scenie. - I kto jest teraz panem?

Stile, zaskoczony tym pytaniem, uświadomił sobie, że usunawszy uzurpatora, powinien zostać teraz władcą zamku. Wiedział jednak, że to nie wszystko.

- Zapytaj się Pani - powiedział. Strażnik odwrócił się ku Błękitnej Pani.

- Przybył wilk, poszukując swego pobratymca - powiadomił.

Kurrelgyre warknął i wyszedł zobaczyć, co się stało.

- Nic o tym nie mówcie na zewnątrz - poleciła Błękitna Pani strażnikowi.

Zwróciła się następnie do Stile'a:

- Nie jesteś więc golemem. Czy przybywasz, by zniszczyć to, co jeszcze pozostało z Błękitnego Królestwa?

- Przybywam, by przywrócić je do normalnego życia. - A czy dorównasz mojemu panu siłą swej magii w takim samym stopniu, w jakim przypominasz go powierzchownością? - zapytała zimno.

Stile zerknął na Neysę.

- Teraz nie, Pani. Przysięgłem nie używać magii...

- Jakież to wygodne - odrzekła. - W ten sposób, pokonawszy poprzedniego oszusta, nie musisz niczego udowadniać i gotów jesteś zająć jego miejsce, nie dając Królestwu więcej niż on. A ja zmuszona jestem ukrywać ten fakt, tak samo jak w przypadku tego wstrętnego golema.

- Nie musisz mnie ukrywać, Pani! - zawołał Stile w przypiływie gniewu. -- Przyszedłem tu tylko dlatego, gdyż dowiedziałem się od Wyroczni, iż jestem Błękitnym Adeptem! Zrobię wszystko, co on robił!

- Oprócz rzucania czarów, czyli jedynej rzeczy jaka odróżniała mego pana od innych

ludzi - odrzekła.

Stile nie znalazł na to odpowiedzi. Błękitna Pani najwyraźniej mu nie wierzyła, lecz nie mógł przecież złamać danego Neysie słowa. Bardzo jednak pragnął ją przekonać. Była wprost cudowną kobietą - jego sobowtór miał gust identyczny jak on.

Kurrelgyre powrócił, przyjmując natychmiast postać mężczyzny.

- Członek mego stada przyniósł mi gorzkie nowiny oznajmił. - Przyjacielu, muszę odejść.

- Zawsze mogłeś to uczynić - odparł Stile, zadowolony z przerwy w rozmowie. - Bardzo jestem wdzięczny za twą pomoc. I jeśli, nie wtrącając się oczywiście w twoje sprawy, jest coś, co w zamian mógłbym uczynić...

- Mój przypadek jest beznadziejny - wyjaśnił wilk. - Przywódca stada zabił właśnie mego przyjaciela krwi, a mój rodzic umiera na psią zarazę. Muszę wrócić, zabić herszta watahy, a następnie, ponieważ, jestem wygnańcem, zostaną rozszarpany przez horde.

Stile pojął, że wewnętrzne stosunki wilkołaków są śmiertelnie poważną sprawą.

- Poczekaj chwilę, przyjacielu! - zawołał Stile. Nic nie rozumiem. Co to znaczy przyjaciel krwi i co...

- Muszę się więc zatrzymać i wyjaśnić, gdyż nie będę miał więcej okazji, by to uczynić - odrzekł Kurrelgyre. - Przyjaźń, jaka istnieje między nami, jest czysto przypadkowa. Tak jak się spotkaliśmy, tak się rozstaniemy i nic nie jesteśmy sobie dłużni. Nasz związek wynika tylko z potrzeby i przyjaznych uczuć. Lecz z Drowlothem wymieniałem przysięgę przyjaźni, a kiedy wygnany zostałem ze stada, on wziął moją sukę...

- Ukradł twoją samicę? - zdziwił się Stile.

- Ależ nie. Czym jest wilczyca, w porównaniu do związanej przysięgą przyjaźni? Wziął ją, by oddać mi przysługę i by ona nie została poniżona przed całą hordą. A teraz, w sporze o jakąś kość herszt zagryzł mego przyjaciela i ja muszę pomścić jego śmierć. Nie jestem już członkiem stada, nie mogę więc zrobić tego zgodnie z prawem; dlatego uczynię to podstępnie i poniosę wszelkie tego konsekwencje, choć rodzic mój umrze z rozpacz.

Przyjaźń krwi? Stile nigdy wcześniej o tym nie słyszał, ale idea spodobała mu się. Chodziło o związek tak silny, że mający pierwszeństwo przed wszelkimi innymi, wymagający absolutnej lojalności i zemsty za krzywdę wyrządzoną przyjacielowi, tak jakby była wyrządzona tobie. Złota zasada.

Coś jeszcze zaniepokoiło go. Stile przeszukał splątane nici wspomnień, łącząc oddzielne doświadczenia, aż wreszcie zrozumiał.

- Jest jeszcze inna droga - powiedział. -- Nie mogłem tego wcześniej zrozumieć, gdyż

panują tu bardziej radykalne sposoby załatwiania spraw, niż te, do których przywykłem. Tutaj przyjęte jest zabijanie z powodu drobnych konfliktów dotyczących honoru'?

- Oczywiście! - przytaknął wilkołak, czując całkowitą słuszność takiego zwyczaju.

- Wybacz mi, nie chciałem cię obrazić, ale o ile dobrze zrozumiałem, to jest sposób, byś wrócił do stada. Musisz tytko zabić swego rodzica...

- Zabić mego rodzica! - wykrzyknął Kurrelgyre. Czyż nie mówiłem waści...

- Który i tak umiera - ciągnął nieubłagane Stile. Jaką śmierć wybrałby sam? Czy długą, bolesną i haniebną agonię wywołaną chorobą, czy też zaszczytny, szybki koniec, zgodny z tradycjami waszego gatunku, taki, jaki mu się należy z racji jego dawnej pozycji w stadzie; śmierć zadaną przez tego, o kim wie doskonale, że go kocha?

Wilkołak wpatrywał się w Stile'a, powoli pojmując.

- I tak, spełniając swój obowiązek, odzyskasz pozycję w stadzie i będziesz mógł pomścić przyjaciela, nie ponosząc żadnych konsekwencji - dokończył Stile. - Ocalisz też swoją wilczycę, która w przeciwnym wypadku będzie zhańbiona, straciwszy obu partnerów, którym zaufała.

- Wyrocznia mówiła prawdę - mruknął Kurrelgyre. - Kultywowałem Błękit i Błękitny Adept przywrócił mi moje dziedzictwo. Sądziłem, że padnie na mnie magiczna klątwa Adepta, lecz otrzymałem w zamian radę, której mój zmęczony kłopotami, wilczy umysł nie zdołał sam wymyślić.

- To tylko spojrzenie z innej perspektywy - tłumaczył skromnie Stile. - Sam nie rozumiałem do końca, co przekazała mi Wyrocznia.

- Spróbuję wgrzyźć się w twój problem - obiecał wilkołak. - Może uda mi się okazać podobną wnikliwość. A teraz, żegnaj.

Przekształcił się w wilka i wybiegł.

Stile zerknął na słońce. Minęły już trzy godziny nowego dnia. Pojedynek o Piątą Szczebel miał się odbyć za godzinę. Ledwie zdąży wrócić! Na szczęście wiedział dokładnie, gdzie znajdowała się zasłona i którędy tu przyszedł. Czas w drogę!

Z pomocą Neysy zabił golema, lecz nie wiedział, co ma dalej robić. Może najlepszym wyjściem będzie zniknąć stąd na jakiś czas, licząc na intuicję, z nadzieją, że lepiej zrozumie sam siebie? Czego naprawdę chciał? To zależało, częściowo przynajmniej, od tego, co zdarzy się na Protonie.

Mam wiele do zrobienia w innym miejscu - powiedział. - Muszę szybko znaleźć się przy zasłonie; potrzebuję też kogoś, kto przeniesie mnie przez nią zakłębem.

Neysa ożywiła się. Podeszła do niego. Gotowa była się tym zająć.

Stile dosiadł jej i pogalopowali. Neysa wciąż jeszcze rozgrzana była uprzednim wysiłkiem, lecz pamiętała o terminie, którego Stile nie mógł przekroczyć. W ciągu kilku chwil zaniósł ją na pastwisko, gdzie pierwszy raz się spotkali.

- Neyso, myślę, że najlepiej będzie, jeśli pozostaniesz w Błękitnym Królestwie podczas mojej wizyty w alternatywnym świecie. Będę wdzięczny, jeśli zechcesz opowiedzieć Błękitnej Pani o Protonie, o tym wszystkim, co usłyszałaś od wilkołaka i ode mnie; nie sądzę, żeby wiedziała cokolwiek.

Przypominał sobie chwilę, w której prosił Sheen, by opowiedziała Hulkowi o Phase.

- Neysa wyglądała na zdenerwowaną. - Czy coś się stało? - spytał Stile.

Przecząco zagrała na rogu i uspokoiła się. Stile, zajęty lokalizacją zasłony, nie wypytywał się o przyczyny jej niepokoju. Tak mało miał czasu, by dotrzeć do Sali Gier!

Dojechali do tego miejsca w lesie, w którym Stile po raz pierwszy ujrzał Phase. Zobaczyli zasłonę, migoczącą znacznie jaskrawiej niż przedtem. Może bardziej był na nią wyczulony? Stile zdjął ubranie.

- Mam nadzieję, że uda mi się wrócić do Błękitnego Królestwa w ciągu jednego dnia. Gdybyś mogła mnie teraz przenieść...

Neysa zagrała krótką melodię i Stile znalazł się po drugiej stronie kurtyny, wyłaniając się w pomieszczeniu służbowym za automatami z jedzeniem. Dopiero wtedy zastanowiła go powściągliwość jednorożca. Coś niepokoiło Neysę, a teraz było już za późno, by ją o to zapytać.

W ciągu dwudziestu minut musiał przystąpić do zawodów, jeśli nie chciał przegrać walkowerem.

Rozdział 1

TURNIEJ

Zdążył. Posiadacz Piątego Szczebła miał na imię Hair i był łysy. Graczem był średnim; nie wyróżniał się szczególnie w żadnej dyscyplinie. Należał więc do trudnych przeciwników w czasie rozgrywania tabeli. Było jasne, że zamierzał bardziej wykorzystywać słabości Stile'a, niż swoje własne zalety, ale miał też niezłą szansę trafienia na korzystną dla siebie sytuację.

Hair przyjrzał się uważnie Stile'owi.

- Wyglądasz na zmęczonego - stwierdził. - Słuszna uwaga - zgodził się Stile.

Jego przeciwnik oczywiście wiedział wszystko o wczorajszym maratonie, wybierze więc kolumnę FIZYCZNE. Stile, chcąc zmniejszyć jego przewagę, powinien wtedy zdecydować się na sporty z udziałem MASZYN lub ZWIERZĄT, tak by nie polegać wyłącznie na własnych nadwątlonych siłach.

Hair mógł jednak to przewidzieć i zmienić swój wybór przykładowo na SZTUKĘ. Był niezły w grze na terminie. Stile gotów był stawić mu czoło w dziedzinie muzyki, ale wolałby jakiś inny instrument. Będzie więc lepiej wyjść, wybierając opcję NARZĘDZIA, w której mógłby wylosować coś w rodzaju puzona albo harmonijki. Ta ostatnia bardzo by mu odpowiadała, gdyż sporo na niej ćwiczył na Phase.

Rozegrali tabelę. Uzyskali 1 B: sporty fizyczne przy użyciu narzędzi. Przy rosnącym szumie widowni pojawiła się następna tabela złożona z kolumn:

Piłka

Pojazd

Broń

Atletyka

Ogólne

W rzędach natomiast:

A .Indywidualnie

B. Interakcja

Stile wylosował stronę tabeli oznaczoną literami. Jeśli wybierze INDYWIDUALNIE, może zostać zmuszony do pojedynku siłowego lub wytrzymałościowego, a był już bardzo zmęczony wcześniejszą potyczką z golemem.

Gdyby Hair wybrał PIŁKĘ, mogłoby skończyć się wyborem kręgli i Stile miałby szansę wygrać, lub pchnięciem kulą, gdzie takiej szansy nie miał. Hair nie był atletą, ale rzucał na zupełnie przyzwoitą odległość.

Stile mógł wybrać POJAZD, co oznaczało wyścig łódką, na rowerze lub na łyżwach. Był, co prawda, niezłym łyżwiarzem, ale miał strasznie zmęczone nogi.

BRONŃ też nie dawała mu większych szans. Z uwagi na uszkodzone żebro nie byłby w stanie naciągnąć łuku i trafić do odległego o trzysta metrów celu, lecz rzut oszczepem lub młotem wcale nie dawał mu większych szans. Lepiej też unikać skoku o tyczce, jazdy na nartach czy nawet sankach. Wyobraził sobie, jak pędzi, leżąc na brzuchu na małych saneczkach i podskakuje na muldach. Na samą myśl o tym poczuł ostry ból w piersiach.

Tylko przy opcji OGÓLNE miał jakieś szanse w grach, takich jak: klasy, podkowa, francuskie boule albo pchełki. Już niejedna ważna Gra rozstrzygnięta została takim pojedynkiem, a widzowie śledzili go z zapartym tchem.

Musiał wybrać INTERAKCYJNE. Tutaj też czyhały na niego pułapki, ale ogólnie biorąc, od siły ważniejsze w tych konkurencjach były umiejętności.

Wyszło im 1B: interakcyjne sporty z użyciem piłeczki. Stile ucieszył się. Był niezły w większości z nich i powinien pokonać Haira... chyba, że ten zorientuje się w jego słabościach, takich jak uszkodzone żebra i stłuczona lewa ręka. Do diabła z golemem i jego drewnianą głową, w którą tak nierozważnie uderzył !

Ułożyli dziewięciopolową tabelę, wypełniając ją grami: w kulki, boule, krykietem, bilardem, tenisem, stołową piłką nożną, ping pongiem, piłką nożną i ziemską. Ta ostatnia byłaby kompletną klęską i Stile rozgrywał tabelę tak, by jej uniknąć. W efekcie wybrali grę w ping ponga.

Cóż, ani to dobrze, ani źle. Stile grał w ping ponga po mistrzowsku, a jego prawa ręka była zupełnie zdrowa, lecz nie był w najlepszej formie. Hair był na tyle dobry, by móc skorzystać z obecnych słabości Stile'a - o ile na czas się w nich zorientuje.

Przeszli do sali gier stołowych. Odbywało się tam właśnie kilka pojedynków, ale gracze szybko je zakończyli, kiedy tylko zauważyli uczestników Turnieju. Ruch Stile'a w górę drabiny był największą sensacją ostatnich dni.

Zajęli stół, wybrali rakiетки i zaczęli przerzucać się piłeczką. Przepisy pozwalały na kilka minut rozgrzewki.

- Czas minął - ogłosił sędzia - robot. - Losowanie serwu.

Losowali zgodnie ze starą, uświęconą czasem tradycją, Hair wziął piłeczkę i trzymał ją w jednej ręce pod stołem, szeroko rozpościerając ramiona. Stile wybrał prawą rękę i wygrał pierwszy serw.

Dla Stile'a będącego graczem ofensywnym, dla którego serw stanowił integralną część strategii, był to dobry początek. Potrzebował uzyskać i utrzymać inicjatywę w grze, nadrabiając w ten sposób mniejszy zasięg ramienia. Walcząc z graczem kalibru Haira nie mógł liczyć na to, że zdobędzie punkty z samego serwu, ale z pewnością mógł zepchnąć go do defensywy. Oczywiście, po pięciu punktach serw przechodził do przeciwnika, ale jeśli zdobędzie przewagę, będzie mógł uzyskać zwycięstwo bez większego wysiłku. Biorąc pod uwagę jego formę, było to bardzo ważne.

Stile zaserwował, podkręcona do przodu szybka piłeczka przeleciała tuż nad siatką i uderzyła elegancko w stół dwa centymetry od brzegu. Hair odbił ostrożnie, podcinając tak, że piłeczka upadła pośrodku pola przeciwnika.

Stile jednym ruchem nadgarstka posłał piłeczkę z bekhendu na forhend Haira. Nie wolno uderzać w to samo miejsce; niech przeciwnik pobiega! Nie pozwolić, by przejął inicjatywę! Piłeczka odbita przez Haira poleciała wysoko i trochę niepewnie, prawie nie obracając się i uderzyła po prawej stronie Stile'a. Świetnie - przeciwnik się denerwował! Zmniejszyło to znacznie napięcie, jakie odczuwał Stile. Gra potoczyła się tak, jak chciał. Stile ściął z forhendu i zarobił pierwszy punkt.

Zaserwował natychmiast, jak tylko dostał piłeczkę, posyłając ją z bekhendu z jednoczesnym podcięciem na drugi koniec stołu. Hair znowu spudłował. Wynik 2 : 0.

Przeciwnik był coraz bardziej zdenerwowany. Doskonale. Psychologia niepokoju stanowiła ważną część każdego pojedynku.

Następne odbicie Haira, choć zbyt niskie, przeszło nad siatką i było nie do odebrania. 2 : 1. Zdarzały się od czasu do czasu takie potknięcia; zazwyczaj nie miały większego znaczenia. Tylko wtedy, gdy los rzeczywiście faworyzował jednego z graczy (co zdarzało się mimo zaprzeczeń ze strony ekspertów od rachunku prawdopodobieństwa), stanowiły czynnik decydujący. Stile zaserwował mocno podkręconą z boku piłeczkę i Hair odbił ją daleko poza stół. 3 : 1.

Następna wymiana piłeczek była dłuższa, lecz Stile zakończył ją silnym ścięciem. 4 : 1.

Wyglądało na to, że Stile wygra bez problemów. Przyszła teraz kolej na serwy Haira. Jego słabiutki dropsot ledwie opuścił stół; Stile spodziewał się silniejszego uderzenia i prawie sfuszerował. Jego odbicie było jak na zamówienie przeciwnika i Hair, odbierając je,

zdobył punkt. Na tablicy wyników pojawiło się: 2 : 4. (W ping pongu podaje się najpierw wynik serwującego).

Było coś niezwykłego w serwach Haira; w ciągu kilku sekund zdobył jeszcze dwa punkty. Stile zaatakował, przeliczył się z siłami i stracił następny punkt. Zaczął przegrywać. Nieuwaga!

Co się stało? Rozpoczął dobrze, a potem zaczął przegrywać. Czyżby zmęczenie było silniejsze, niż myślał i uniemożliwiało mu precyzyjne odbicia? Nie sądził żeby to było przyczyną. Jego gra była na tyle dobra, że powinien wygrywać, a jednak tracił punkty. Dlaczego?

Zaserwował dropszota, który ledwie opuścił stół. Hair odbił leciutko; piłeczka jak na zamówienie i Stile szybko wykończył ją. 5 : 10. Dziwne, że odbicie było takie miękkie, Hair wiedział przecież, co robi.

I nagle Stile zrozumiał. Hair używał rakiетки ze zmienną powierzchnią. Było to całkowicie legalne, gdyż nie istniały żadne przepisy w tej dziedzinie, ale także niebezpieczne, gdyż utrudniało precyzję uderzeń. Zmienność odbić nie była duża i nie rzucała się mocno w oczy, lecz Stile powinien to wcześniej zauważyć. Zawodził go refleks; był niewystarczająco czujny na nieoczekiwane zdarzenia.

Momentalnie Stile zorientował się, co ma robić. Przyjmowanie piłeczki na zmienną powierzchnię rakiетки zmuszało Haira do ostrożnej gry i do uderzeń z dużym marginesem bezpieczeństwa, mimo że grając w ten sposób czasami podkładał się Stile'owi. Hair zdawał sobie z tego świetnie sprawę, Stile natomiast nie. Grał więc agresywnie i te lekko zmieniane odbicia kolidowały z jego taktyką gry bardziej, niż przeciwnika. Im więcej punktów tracił, tym agresywniejsza stawała się jego gra, co tylko pogarszało sytuację.

Nie potrafił sobie z tym poradzić. Hair był na tyle dobry, że nowa rakiетка dawała mu fory. Gdyby Stile wpadł na to wcześniej, mógłby sam grać ostrożniej i utrzymać początkową przewagę, zmuszając przeciwnika do bardziej ofensywnych, ryzykownych odbić. Przy stracie pięciu punktów taka strategia nie mogła przynieść mu sukcesu; grając ofensywnie musiał przegrywać.

Został wyprowadzony w pole, podobnie jak to było z maratonem. Przeciwnik ograł go i to poza tabelą. Stile znowu znalazł się w kłopotach.

Będzie musiał zmienić taktykę i przez cały czas pozostawać w defensywie. Potrzebował czasu i odległości, by móc przeanalizować oddzielnie każdy return przeciwnika.

Spróbował. W ostatnim czasie niewiele grał w ping ponga. Nie miał przecież kiedy. Wytrenowany był na tradycyjnej odmianie tej gry. Ofensywę, a więc: ścięcia, podkręcenie

piłeczki, jej ustawienie, zmiany tempa, psuła niepewność powodowana zmienną powierzchnią rakiety przeciwnika. Teraz, zmuszony do zastosowania zaniedbywanych od dawna chwytów, wychodził na tym jeszcze gorzej. Stracił punkt, potem jeszcze jeden. Hair wygrywał 12 : 5. Wkrótce różnica będzie zbyt duża, by mógł ją nadrobić.

Mimo wszystko Stile starał się. Jego odbicia były wysokie, skierowane w środek stołu, bezpieczne. W ten sposób podstawił się, niestety, przeciwnikowi, który szybko zaadaptował się do tej sytuacji i zaczął grać trochę agresywniej. Hair miał teraz większą swobodę działania i mógł sobie pozwolić na ofensywę.

Mimo bólu w żebrach, Stile ze wszystkich sił starał się dopasować do sytuacji. Nauczył się już lepiej oceniać piłeczki, gdyż grał z głębi kortu i zaczął je wyczuwać. Wiedział jak ma to robić; musiał tylko przypomnieć sobie, wyciągnąć na powierzchnię dawno nieużywane odruchy. Walczył dzielnie, w następnej wymianie piłeczek przewidział trafnie wszystkie manewry Haira i zdobył punkt. Następny jednak stracił. Nie wypracował więc jeszcze skutecznej metody, choć musiał się z tym spieszyć, gdyż zbliżał się do momentu krytycznego.

Wobec takiego przebiegu gry widownia zamilkła. Z dźwiękoszczelnej kabiny telewizyjnej dochodziły strzępy zdań komentatora: "... najbardziej niezwykły pojedynek sezonu... Faworyt rozgrywek, Stile, przegrywa zdecydowanie i gra tak, jakby chciał jeszcze pogorszyć swoją sytuację... Przeprowadzone będzie śledztwo, mające ustalić, czy ktoś nie został przekupiony..."

Myślą więc, że sprzedał mecz! Sądzą, że jakiś Obywatel zaproponował mu lukratywną posadę w zamian za niezakwalifikowanie się w tym roku do Turnieju. Na szczęście analiza komputerowa zapisu gry obali te przypuszczenia; wszystkie punkty zostały stracone w sposób uczciwy. Jeśli jednak przegra, to jakie znaczenie będzie miała jego uczciwość I tak będzie już skończony. Przynajmniej w tym świecie. Nie chciał opuszczać Protona w taki sposób. Musiał odzyskać utracone zwycięstwo!

Rozgrywał następny serw ostrożnie, starając się przedłużyć wymianę piłeczek. Potrzebował treningu w grze defensywnej; im dłużej trwała wymiana piłeczek, tym więcej nabierał praktyki. Wygrał punkt, powodując zmianę serwu przy wyniku 13 : 7.

Teraz serw należał do niego, lecz jeśli użyje go do rozpoczęcia ofensywy, to przegra. Musiał odstąpić przewagę na korzyść swej strategii i nie przerywać ciągłości poczynań.

Zaserwował łagodnie. Z widowni dobiegł go jęk zdziwienia. Większość przyglądających się nie rozumiała, dlaczego tracił punkty i sądziła, że to siła ataków Haira zepchnęła go do defensywy. Uznali, że nierozważnie rezygnuje ze swego najważniejszego

oręza. Serw zawsze służył mu do przejmowania inicjatywy. Niektórzy z widzów wychodzili, pewni że Stile już przegrał.

Hair był zadowolony, że może kontynuować ofensywę. Długa wymiana piłeczek nic mu nie dawała. Teraz, gdy Stile zneutralizował przewagę wynikającą z typu rakiетки, długie wymiany dawały Hairowi wyłącznie szansę popełnienia większej ilości błędów. Musiał szybko zbierać punkty, by zdążyć, zanim Stile w pełni opanuje technikę gry defensywnej, nawet gdyby miał tracić dwa punkty na zdobycie jednego.

Stile doszedł już do siebie. Wymiany przedłużały się. Hair stracił jeden punkt, zdobył dwa i zaczął się pocić. Nie był przyzwyczajony do utrzymywania ciągłej ofensywy i gdy obrona Stile'a stawała się coraz bardziej konsekwentna, Hair zaczął popełniać błędy. Gra się wyrównała.

Kontuzje bardzo ograniczały Stile'owi swobodę ruchów. Zasięg jego ramienia nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach był niewielki, a teraz stał się jeszcze mniejszy. Czuł, że nie zdoła wygrać.

Zdobyli obaj kolejne punkty, doprowadzając wynik do stanu 17 : 10 podczas serwu Haira. Siedmiopunktowa strata, a Hairowi brakowało jeszcze tylko czterech do zwycięstwa. Źle. Jeśli Stile nie pozbiera się natychmiast, skazany jest na porażkę.

Hair zaserwował. Stile posłał piłeczkę wysoko, w centralną część stołu, tak że uderzyła blisko jego krawędzi; w ten sposób piłeczka po odbiciu Haira będzie musiała pokonać duży odcinek drogi - dobre ustawienie do silnego uderzenia, ale nie do wymyślnych sztuczek. Hair musiał uderzyć silnie i posłać piłeczkę na dużą odległość. Zrobił to, posyłając ją na bekhend Stile'a, a ten odbił ją, podkreślając z dołu. Piłeczka poleciała łukiem i spadając, zmniejszała prędkość, zmuszając Haira, by odbił ją w taki sam sposób; jedyny, by nie stracić nad nią kontroli.

W dawnych czasach, gdy używano rakiettek o powierzchni pokrytej korkiem, papierem ściernym, lub gumą, panowanie nad piłeczką nie było tak skomplikowane; lecz gdy ustąpiły one miejsca piankowej gumie i półprzylepnym materiałom syntetycznym, możliwości rakiettek stały się wręcz nieograniczone. Piłeczka mogła zakreślić w powietrzu pętlę, albo odbijając się, wykonać skręt o prawie dziewięćdziesiąt stopni. Sztuczki te wymagały jednak wysiłku i umiejętności oraz doświadczenia gracza, który umiałby na nie odpowiadać. Sztuką było takie podkreślanie piłeczki, by przeciwnik nie zauważył tego, przynajmniej dopóki nie będzie za późno i nie sfuszeruje odbicia.

Stile, który grał z dystansu i często odbierał piłeczki poniżej poziomu stołu, miał teraz większe pole manewru niż Hair. Przeciwnik zdawał sobie z tego sprawę i zaczął się

denerwować, ale także jeszcze bardziej uważać. Nie mógł uderzać mocno, bojąc się, że podkrecona niechcący piłeczka polecą w bok. Biegiłość Stile'a, w miarę upływu czasu, ciągle wzrastała i w końcu zaczął uzyskiwać przewagę. Wydawało się jednak, że siedmiopunktowa przewaga gwarantuje Hairowi wygraną.

Stile podesłał przeciwnikowi mocno podciętą piłeczkę, która uderzyła w stół i odbiła się pod zdumiewającym kątem.

Hair był na nią przygotowany. Zlikwidował podkręcenie łagodnym uderzeniem. Piłeczka ledwie minęła siatkę i przed opuszczeniem stołu odbiłaby się pewnie ze trzy razy, gdyby Stile nie zanurkował, by ją odebrać. Udało mu się, ale odbicie było wysokie, proste i łatwe do odebrania.

Hair postanowił skorzystać z tej okazji. Ściął z bekhendu. Stile skoczył do tyłu, by ją odebrać, posyłając ją bezpiecznie nad siatką, ale znowu była to łatwa piłka. Hair znowu ściął, tym razem na forhend przeciwnika, zmuszając go do następnego skoku. Stile poczuł ból żeber; udało mu się odebrać, ale za cenę powiększenia odniesionych ostatnio obrażeń. Znalazł się w jeszcze większych kłopotach! Ale nie odda tego punktu; zbyt wiele go już kosztował.

Hair jeszcze raz ściął, zmuszając go do cofnięcia się. Gdyby Hair był zawsze graczem ofensywnym, Stile byłby już wykończony, lecz ścięciom brakowało koniecznej na to stanowczości. Stile odebrał, znowu nie podkręcając. Hair ściął znowu, tym razem silniej. Stile jeszcze bardziej cofnął się i odesłał piłeczkę. Źle jednak ocenił siły i choć piłeczka przeszła nad siatką, to wylądowała za blisko i odbiła się za wysoko. Stile sprężył się, jak przed ciosem...

Hair wysłał mu dropszota. Piłeczka ześlizgnęła się z raketki, odbiła się od krawędzi stołu i poleciała na podłogę. Strzał dla frajera. Stile dał się nabrać.

Mimo to, bezsensownie, spróbował ją odebrać. Rzucił się do przodu. Jego stopy oderwały się od podłogi i Stile skoczył w kierunku padającej piłki. Wylądował na ziemi i pojechał rozpędem na brzuchu, czując jak pęka mu dalej żebro, lecz udało mu się ulokować raketkę pod piłką trzy centymetry nad ziemią i podrzucić gwałtownie do góry.

Leżąc na podłodze, przyglądał się, jak piłeczka wirując leci wysoko w powietrze, w górę ku sufitowi i zaraz na dół. Czy wyląduje po właściwej stronie siatki? Jeśli tak, to Hair dokończy bez problemu, gdyż Stile nie zdąży pozbierać się na czas z podłogi.

Spadła gdzieś poza zasięgiem jego wzroku. Hair kręcił się niezdecydowanie, ledwie mogąc uwierzyć, że jego strzał został odebrany, lecz gotów do zadania rozstrzygającego ciosu, gdy nagle piłeczka odbiła się wysoko od stołu. A jednak przeleciała nad siatką!

Stile usłyszał, jak uderza o stół. A potem rozpętało się piekło. Widownia aż jęknęła, gdy Hair rzucił się wokół stołu, próbując odebrać nieodbieralny strzał, tak jak przed chwilą zrobił to Stile. Ale nie udało mu się. Upadł, zahaczając dłonią o obudowę siatki. Przewracając się, wybił ramieniem środkową podporę stołu i stół się zawalił.

Ich spojrzenia spotkały się pod tym przypadkowym namiotem, gdy sędzia robot ogłosił: punkt dla Stile'a. Wynik: 17 : 11.

- Podkreciłeś tak, że piłeczka odbiła się w stronę siatki, zanim zdążyłem do niej dobiec - wyjaśnił Hair. - Gdybym nie zdołał podbić jej z boku, kiedy spadała ze stołu...

- Wcale nie musiałeś jej odbierać - zauważył Stile. - Ja nie miałem innego wyjścia, gdyż stałem w obliczu klęski, ale ty nawet teraz masz sześć punktów przewagi.

- Teraz mi to mówisz - mruknął z żalem Hair. Kiedy walczę o punkt, to nie myślę o takich drobiazgach. - Ręka ci krwawi - zauważył Stile.

Hair uniósł prawą dłoń.

- Krwawi? Nic dziwnego! Właśnie złamałem dwa palce, walcząc o punkt, którego nie musiałem zdobywać.

Nie był to wcale żart. Kiedy wygrzebali się spod ruiny stołu, robot medyczny zbadał mu rękę i opryskał ją środkiem znieczulającym. Szok sprawił, że Hair początkowo nic nie czuł, ale teraz ból zaczął wracać. Błysnęły skalpelki i robot medyczny zabrał się do roboty, przecinając skórę, wstrzykując regenerator kości, nastawiając złamania i usztywniając palce w przezroczystych, plastikowych szynach.

- Myślę, że nie uda mi się dokończyć gry - oznajmił Hair. - Nie jestem miłośnikiem gry lewą ręką.

- Zwyciężył Stile, przez nokaut techniczny! - zawołał ktoś z widowni. Rozległy się skąpe oklaski.

Szczebel Piąty należał do Stile'a. Zakwalifikował się więc do Turnieju. Mimo to nie czuł radości. Chciał wygrać w uczciwej grze, a nie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Teraz nikt już nie uwierzy, że i tak wygrałby ten pojedynek.

Hulk dogonił ich, kiedy wychodzili z budynku Gier. Był jeszcze osłabiony, ale szybko wracał do zdrowia:

- Stile - powiedział - jeśli chodzi o twoją propozycję...

- Jest ciągle aktualna - odparł zagadnięty.

- Twoja dziewczyna była bardzo przekonywująca.

- Sheen ma niezwykle logiczny umysł - zgodził się Stile. - Nie mam nic do stracenia - powiedział Hulk. Nie wierzę wprawdzie w magię, ale jeśli jest tam jakiś prymitywny świat,

gdzie siłą mięśni można zapewnić sobie przetrwanie i nigdy już nie mówić "Panie" do każdego Obywatela...

- Zobacz sam. Właśnie tam się udaję.

- Stile; poczekaj! - zaprotestowała Sheen. - Jesteś ranny, wyczerpany, potrzebujesz opieki i odpoczynku...

Stile ścisnął jej rękę.

- Nie ma nic lepszego od tego, co ty możesz mi dać, Sheen, ale tam, za magiczną kurtyną czeka na mnie Błękitna Pani i Neysa. Obawiam się, że mogą być trochę o ciebie zazdrosne.

- Wiem wszystko o Neysie. Nie jest bardziej człowiekiem niż ja. Dlaczego z tobą wytrzymuje, tego moje obwody scalone nie są w stanie pojąć. Ale teraz masz tam jeszcze jakąś Panią? Prawdziwą, żywą dziewczynę? A moja zazdrość się nie liczy?

- Może przyszedłem w złym momencie - zauważył Hulk.

- Nie przejmuj się - uspokoiła go Sheen słodkim głosem. - Jestem tylko maszyną.

Stile pojął, że znowu wpadł w kłopoty.

- Jesteś robotem? - spytał zdumiony Hulk. - Coś o tym wspominałaś, ale myślałem; że to żart.

- Wyłącznie metal, plastik i mikroguma - zapewniła go Sheen. - Nie mam żadnych uczuć.

Hulk był wyraźnie zakłopotany. Jego wzrok zatrzymał się na co bardziej dorodnych fragmentach jej sylwetki, które, gdy szła, kołysały się w najbardziej ludzki i prowokacyjny sposób, ale natychmiast odwrócił oczy w poczuciu winy.

- Myślałem, że... Naprawdę zrobiłaś ze mnie głupca! Przygryzł wargę.

- Jeżeli jednak chodzi o twoje uczucia, to ja myślę... - Ona naprawdę czuje - wtrącił Stile. - Jest równie zmienna jak każde żywe stworzenie.

- Nie musisz za mnie kłamać, Stile.

Oschłość jej głosu sprowadziła go zaraz na ziemię. Sheen rzeczywiście stała się ekspertem w dziedzinie ludzkich zachowań!

- Kłamać? - Hulk potrząsnął głową. - Jest jedna rzecz, którą powinnaś o nim wiedzieć, Sheen. Stile nigdy...

- Ona to wie - odparł zmęczonym głosem Stile.

Chce mnie tylko ukarać, za to że byłem nierozważny i znalazłem sobie prawdziwą kobietę.

- Przepraszam, że się wtrąciłem - mruknął Hulk. Stile odwrócił się ku Sheen.

- Nie mogłem przewidzieć, że spotkam Błękitną Panią. Na początku nie rozumiałem nawet, kim ona jest. Zniszczyłem golema, który przybrał moją postać, ale dopiero później uświadomiłem sobie wszystkie tego konsekwencje.

- A teraz, kiedy już uświadomiłeś je sobie, chętnie do nich wracasz? - powiedziała zimno Sheen. - Rozumiem, że leży to w naturze mężczyzny. Ona musi być bardzo piękna.

- Przecież nie chciałabyś, żebym zapomniał o Neysie? - spytał desperacko Stile; czując, że wkroczył na niebezpieczny teren. - Została sama w Błękitnym Zamku...

- Ta Pani - przerwała mu Sheen w nagłym przyływie intuicji - Błękitna Pani, to żona twojego sobowtóra?

- Ojjoj - jęknął Hulk.

Stile rozłożył ręce.

- A co ja mogę na to poradzić?

- Dlaczego nie zostałam zaprogramowana na zakochanie się w innym robocie! - wykrzyknęła retorycznie Sheen. - Wszyscy mężczyźni z krwi i kości są tacy sami! Jak tylko znajdziecie prawdziwą kobietę...

- To wcale nie tak - zaprotestował Stile. - Ona jest wierna pamięci swego męża...

- Którego tak dokładnie przypominasz... - Kazała mi się wynosić, gdy...

- Gdy co? . Stile podniósł ręce na znak, że się poddaje.

- Gdybym tu został przez jeszcze cztery godziny... - Osiem - powiedziała stanowczo.

- Sześć.

- Sześć i obiecasz, że wrócisz na Turniej, gdy już... - Obiecuję.

- To da mi czas na uporządkowanie moich spraw zauważył Hulk.

Sheen roześmiała się. O tak, jej odruchy były niemalże doskonałe.

Rozdział 18

PRZYSIĘGA

Spróbowali i udało się. Hulk przeszedł przez zasłonę. Stał zdumiony i zadowolony, rozglądając się po lesie. Był świt. Sheen udało się zatrzymać Stile'a na ponad osiemnaście godzin, z których ostatnie dziewięć przespał. Cóż; bardzo potrzebował odpoczynku, a Sheen w tym czasie zastosowała wszystkie możliwe regenerujące drobne zabiegi medyczne, łącznie z nagrzewającymi lampami, tak że czuł się już znacznie lepiej.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnie pięknego powiedział Hulk, patrząc na rozjaśniające się niebo.

- Tak, to prawda - zgodził się Stile.

Zajęty innymi sprawami, ciągle zapominał, jak cudowny był ten kraj. Gdyby oba światy różniły się tylko przyrodą, wybrałby Phase, dla samego jej naturalnego piękna.

Hulk, za radą Stile'a, przyniósł ze sobą ubranie. Patrzył teraz, jak Stile ubiera się.

- Czy jesteś pewien...?

- Że zwykli ludzie mogą tu nosić ubranie? Oczywiście. I jeszcze jedno: tutejszy język trochę różni się od naszego. Będziesz musiał...

Nieoczekiwanie usłyszeli głośny syk. Ujrzeni buchającego dymem węża, machającego groźnie skrzydłami. Był to nieduży smok.

Stile cofnął się ostrożnie, ale smok postępował za nim, czując łatwą zdobycz. Wystarczyło jedno zakłęcie, by go usunąć. Podejmowanie walki skazywało człowieka na przegraną, a poza tym Stile nie miał już miecza.

- Pozwól, że spróbuję sztuczki z człowiekiem - bestią - zaproponował Hulk.

Wyskoczył naprzód i zaryczał, odwracając uwagę smoka, a potem uniósł ramiona w dramatycznej postawie kulturysty. Tańczył w miejscu, bijąc się w piersi i warcząc. Wszystko razem wzięwszy, wyglądało jednocześnie śmiesznie i groźnie.

Smok spojrzał na niego i odfrunął przestraszony, mrucząc coś pod nosem. Stile rozpląnął się w uśmiechu.

Hulk zaprzestał wygibasów i też się roześmiał.

- Ale ubaw. Często wcale nie musisz walczyć, jeśli tylko robisz wrażenie, iż o niczym innym nie marzysz. Czy to coś było naprawdę tym, na co wyglądało?

- Tak. To jest naprawdę świat fantazji. Kiedy przybrałeś tę pozę, wyglądałeś jak

najprawdziwszy olbrzym - ludożerca. - A tacy tu żyją?

- Sądę, że tak. Nigdy co prawda nie widziałem żadnego, ale jestem pewien, że go przypominasz.

Hulk z powątpiewaniem spojrział na Stile'a, potem na odzież i zaczął się ubierać.

- Ciągle jeszcze nie bardzo wierzę w całą tę magię. To' mogą być zjawiska fizyczne, takie jak przenoszenie materii i inne.

- Na początku też miałem podobne wątpliwości, ale zapewniam cię, że korzystniej jest uwierzyć. Tutaj magia może nawet zabijać.

- Zaryzykuję. W pewnych aspektach przypomina mi to Grę z jej specjalnym kodeksem przepisów. Zaczynam się zastanawiać, co mam tutaj robić? Przecież ja nic nie wiem o magii.

- Większość ludzi na Phase nie praktykuje magii wyjaśnił Stile. - Musisz jednak być jej świadomy, a poza tym istnieją tu pewne zasady. Dobrze byłoby, abyś na razie. mi towarzyszył, dopóki się we wszystkim nie zorientujesz. Idę do Błękitnego Królestwa.

- A co będę robił w tym. kolorowanym królestwie? Dworskie zwyczaje są mi jeszcze bardziej obce niż magia, a jeśli obawy Sheen co do Błękitnej Pani są uzasadnione, to nie chciałbym być tego świadkiem.

- Mógłbyś być moim ochroniarzem.

Hulk roześmiał się.

- A od kiedy to potrzebujesz ochrony? W walce ogólnej możesz zwyciężyć każdego, kto jest w twojej grupie wagowej, bez względu na wiek.

- Tutaj przeciwnicy rzadko należą do mojej grupy wagowej - odparł Stile - raczej już do twojej. Ktoś usiłuje mnie zabić, nasyłając stwory podobne do demonów. Lepiej będę się czuł; jeśli silny, duży mężczyzna będzie miał wszystko na oku. Umiesz dobrze posługiwać się białą bronią,...

- Wszystko dzięki Grze - zgodził się Hulk.

- Możesz udawać niemego, dopóki nie poznasz reguł tego świata, a potem pójść swoją drogą. W każdej chwili możesz też wrócić na Protona, przechodząc za pomocą zaklęcia przez zasłonę.

- Czy ty masz jakąś pozycję tu, na Phase? Taką; żeby obecność nieokrzesanego strażnika nie wydawała się dziwna?

- Wydaje się, że tak, albo szybko ją zdobędę, o ile oczywiście, przeżyję wysiłki mojego anonimowego wroga. Tak więc byłbym wdzięczny, gdybyś...

- Jesteś wspaniałomyślnym człowiekiem, Stile. Robisz mi przysługę, udając, że sam o nią prosisz.

Stile wzruszył ramionami.

- Nie uważaj tego za zbyt wielkie dobrodziejstwo. Będiesz stale w niebezpieczeństwie. Idąc ze mną, możesz zginąć.

- Mogłem przecież umrzeć, biegnąc w maratonie! Idziemy. Stile prowadził na północ, podczas gdy słońce wychyliło się zza lasu i przenikając poprzez gałęzie drzew zalało światłem ziemię. Biegli otwartymi polami w kierunku Błękitnego Królestwa. Kiedy ich oczom ukazał się zamek, zobaczyli, jak promień słońca odbija się jaskrawym błękitem od najwyższej z wież. To także - pomyślał Stile - należałoby umieścić w spisie najpiękniejszych cudów świata.

Nagle przystanął.

- Słyszysz, Hulk?

Hulk nasłuchiwał.

- Ziemia drży coraz bliżej = zauważył. - Nie wiem, czy miewają tu trzęsienia ziemi, czy też słyszymy tabun smoków? Lepiej się pospieszmy.

Na równinie otaczającej zamek zobaczyli stado szarżujących zwierząt.

- Wyglądają na dzikie konie - zauważył Hulk.

- Jednorożce. Co one tutaj robią? - zdziwił się Stile: - Całe stado? Może przyszły na pomoc jednemu z nich? Dzikie zwierzęta często tak robią - zastanawiał się Hulk.

- Neysa! - krzyknął Stile. - Jeśli coś się jej stało... - Chodźmy tam i zobaczymy - usłyszał w odpowiedzi. - Nie powinienem był pozwolić Sheen, by mnie zatrzymała!

- Wątpię, żebyś miał jakiś wybór w tej sprawie, a obaj wiemy, że naprawdę potrzebowałeś odpoczynku. Czy Sheen rzeczywiście jest robotem?

- Tak, ale jakie ma to znaczenie?

- A Neysa? Czy naprawdę jest koniem..., to znaczy jednorożcem, który zamienia się w kobietę?

- Zgadza się, a czasem w świetlika. Zresztą zobaczysz to sam, jeśli nic złego jej się nie stało. - niepokój Stile'a zwiększał się z każdą chwilą. .

Biegli, utrzymując tempo, jak w maratonie. Zbliżali się już do Błękitnego Królestwa.

Jednorożce były dużo szybsze. Znad pola dochodziła ich muzyka, przypominająca orkiestrę z towarzyszeniem perkusji i wiatru. Na przedzie galopował ogromny ogier. Jego głos brzmiał jak akordeon; po bokach biegły mniejsze, nieme samce, które najwidoczniej z wiekiem straciły głos. Pośrodku pędziła cała masa dorosłych klaczy. To one tworzyły orkiestrę. Ogier podawał motyw, a klacze powtarzały go w harmonicznym wariantach. Szarża robiła duże wrażenie, zarówno słuchowo, jak i wizualnie.

Nagle na zachodzie pojawiła się druga grupa, ciemna i przyplaszczona do ziemi, poruszająca się szybciej niż jednorożce. Stile natężył wzrok, by coś zobaczyć: Usłyszał szczekanie podobne do psiego i zrozumiał.

- Wilki! Prawdopodobnie wilkołaki! - zawołał.

- Niewiele wiem o tutejszych zwyczajach, oprócz tego, co przekazała mi Sheen - dyszał ciężko Hulk. - Czy jednak takie spotkanie stada i watahy uchodzi tutaj za normalne?

- Nie wiem nic na ten temat - przyznał Stile - ale to może być Kurrelgyre, powracający ze swymi przyjaciółmi... Może to być również wataha z przywódcą, którego chciał zabić Kurrelgyre, szukająca zemsty na człowieku pomagającym wilkołakowi... Nie wiem. W każdym razie wyglądają ponuro.

- Wilkołaki i jednorożce są wrogami?

- Tak, a oba gatunki są zwykle wrogię ludziom. Kurrelgyre i Neysa nauczyli się żyć razem, lecz... ,

- Nie wydaje mi się, żeby pojawienie się tutaj obu tych stad mogło być przypadkowe. Czy nie może to mieć jakiegoś związku z tobą? Jeżeli zwierzęta zostały w jakiś sposób powiadomione, że pojawiłeś się na Phase...

- Tego się właśnie obawiam - powiedział Stile. Widzisz, w tym świecie jestem urodzonym czarownikiem... źródłem ogromnej siły, ale zaprzysięgłem nie używać czarów.

- Natomiast twoja tutejsza żona chciałaby, żebyś złamał przysięgę - wtrącił Hulk - po to, by Błękitne Królestwo było wolne od niebezpieczeństw. Zwierzęta jednak pragną, żebyś dotrzymał słowa i nie stał się dla nich wyklęty. Oba gatunki mogą się tym razem zjednoczyć... przeciwko tobie. Nie żartowałeś mówiąc, że potrzebujesz ochrony!

- Szybko się uczysz - zauważył Stile.

Chociaż obaj byli już zmęczeni, przyspieszyli, by dotrzeć do zamku przed hordą i stadem, ale wkrótce stało się jasne, że nie zdążą. Pierwsze będą jednorożce, za nimi wilki.

Nagle wataha wilków zmieniła kierunek, pędząc teraz nie w kierunku zamku, a ku nim. Liczyła jakieś dziewięćdziesiąt do stu zwierząt, wszystkie z gęstym, ciemnym futrem, błyszczącymi oczami i biało lśniącymi zębami.

- Mam nadzieję, że są po twojej stronie - powiedział przestraszony Hulk i zwolnił kroku.

Wilki otoczyły ich pierścieniem. Jeden z nich wysunął się naprzód i przemienił w człowieka. Na policzku miał świeżą bliznę i brakowało mu lewego ucha.

- Kurrelgyre! - wykrzyknął Stile. - A więc zwyciężyłeś!

- Nie było co do tego wątpliwości, gdy tylko wskazałeś mi drogę - odparł wilkołak.

Zerknął na Hulka.

- Ten człowiek to przyjaciel czy wróg? - Przyjaciel - szybko odparł Stile.

- A więc obwąchajmy sobie ogony - powiedział Kurrelgyre, wyciągając rękę w stronę Hulka.

- Jasne - zgodził się trochę niezręcznie Hulk, podając dłoń wilkołakowi. Miał najwyraźniej trochę problemów

z zaakceptowaniem transformacji, którą obserwował przed chwilą.

- Hulk jest z alternatywnego świata - wyjaśnił Stile. - Chroni mnie i niewiele mówi.

Rzucił Hulkowi porozumiewawcze spojrzenie. - Czemu zawdzięczam tak miłą wizytę?

- Obawiam się, że niechcący cię skrzywdziłem - odparł wilkołak. - Wróciłem do stada, lecz nie mogłem zabić mego rodzica, nie wyjaśniając przyczyny...

- Zabiłeś swego... - zaczął mocno zaskoczony Hulk. Kurrelgyre odwrócił się, do połowy zmieniony w wilka. - Śmiesz zwracać się do mnie w ten obraźliwy sposób i takim tonem? - zawarczał.

- On nie zna naszych zwyczajów - usprawiedliwił go Stile. - I ja ich na początku nie znałem, lecz mi je waść wytłumaczyłeś. On nie zamyślał obrazy.

Wilkołak wrócił do postaci człowieka.

- Oczywiście. Przepraszam, że źle waćpana zrozumiałem - powiedział do Hulka. - A do tego przypominasz mi, waćpan, pewien typ potworów, które...

- Wszyscy na początku popełniamy błędy - przerwał Stile. - Powiedz mi jednak, dlaczego obawiałeś się wytłumaczyć wszystko swemu rodzicowi? Było to najlepsze wyjście dla śmiertelnie chorego starca.

Hulk skinął głową, zaczynając rozumieć. Chodziło o zabójstwo z litości albo coś podobnego.

- Poszedłem do nory mego rodzica - opowiadał ponuro Kurrelgyre. - Wyszedł do mnie w postaci człowieka i zapytał: "Po co przychodzisz tu, mój synu? Miejsce to nie jest dla ciebie bezpieczne". Odpowiedziałem: "Przyszedłem zabić cię, panie, tak jak nakazuje mi miłość, jaką do ciebie czuję i szacunek dla honoru naszego rodu. Potem pomścić chcę mego przyjaciela Drowlotha i przywrócić mej suce należne jej w stadzie miejsce". Rodzic niczego nie utracił z przyrodzonej mu godności ani nie poddał się chorobie, której ślady widać było po nim; w chwili tej był taki, jakim go pamiętałem z dawnych lat. "Wiedziałem, że powrócisz z honorem" powiedział. "Jak się to stało, że pogodziłeś się z tym co nieuniknione?". Odparłem: "Przekonał mnie o tym człowiek, tak jak to przepowiedziała Wyrocznia". "Kim jest ten dobry człowiek?" - zapytał. "Błękitny Adept" - odpowiedziałem mu, a on zdziwił się:

"Jak to możliwe, że Adept zrobił to dla ciebie?". Więc wyjaśniłem: "On zginął, a jego sobowtór przybył z alternatywnego świata, by odzyskać swoje królestwo". Wtedy rodzic mój z lękiem spojrzał mi przez ramię i kiedy obejrzałem się, zobaczyłem, że inni z mego stada podeszli, gdy nie uważałem i wysłuchali mych słów. I tak cała wataha wiedziała, że w Błękitnym Królestwie dzieje się coś złego i wiadomość ta szybko się rozeszła. Moja suka rzekła: "Ze wszystkich Adeptów tylko o Błękitnym mówiono, że czyni dobro wśród zwierząt, a jeśli i to się zmieni...?"

- Nie zmieni się! - zaprotestował gwałtownie Stile. - Próbowałem im to powiedzieć, ale moi pobratymcy nie wierzyli mi, a kiedy jednorożce dowiedziały się, że Neysa uwięziona została w Błękitnym Królestwie...

- Uwięziona? Ona nie... - nie mógł dokończyć. Naprawdę?

- Tego nie wiemy na pewno.

- Cóż, jeśli nawet została uwięziona, to uwolnię ją w tej samej chwili, kiedy się tam pojawię, ale nie skończyłeś waćpan swej historii.

- To nieskomplikowana opowieść - rzekł Kurrelgyre. - Przyszedł przywódca watahy i mój rodzic powiedział: "Nadszedł czas". Obaj zamieniliśmy się w wilki. Jednym, szybkim ruchem rozdarłem mu gardło i wiedziałem, że dobrze czynię, a żaden wilk nie umierał jeszcze z większą chęcią. Natychmiast odwróciłem się i wyzwiałem przywódcę. Nikt w stadzie nie mógł mi odmówić tego prawa: Przywódca watahy nie był łatwym przeciwnikiem. Walczył i chyba mnie zranił.

- Kurrelgyre uśmiechnął się przelotnie, dotykając resztki ucha. - Nie rozdarłem mu gardła, bo byłaby to zbyt honorowa śmierć dla tego kundla, Okulawiłem go, wykłułem mu oczy, wydarłem język i przegnałem z odgryzionym ogonem na pustynię, aby zdechł tam między potworami. To była godna zapłata.

Stile ukrył swą reakcję na tą okrutną opowieść o zemście. Może w podobnych okolicznościach sam by tak postąpił? - A czy wasza, panie, wilczyca czuje się dobrze? zapytał po chwili, spoglądając na najbliższą stojącą samicę. - Tak jak tylko może się czuć po tym, jak wygnano jej samca, zabito jego przyjaciela krwi i zmuszono, by się parzyła z przywódcą watahy. Powoli dojdzie do siebie. Teraz ja jestem przywódcą, a ona wciąż pozostaje moją wybraną; wszystkie suki muszą jej ustępować.

- Właściwe rozwiązanie - potwierdził Stile, mając nadzieję, że Hulk pojął już na tyle sytuację, by nie robić błędów.

- A jednak coś się w niej zmieniło - ciągnął Kurrelgyre. - To ona sprawiła, iż pojąłem, że Neysie potrzebna jest pomoc.

- Neysa - powtórzył Stile. - Zapewniam was... Teraz i wilczyca przybrała ludzką postać. Była ładna, miała bujne, płomienne włosy, ale wyglądała mizernie. Musiała mieć ostatnio równie ciężkie życie jak Błękitna Pani i podobnie twardo mu się oparła.

- Jakimże człowiekiem musisz waść być - pytała się Stile'a - by oddać swą przyjaciółkę we władzę swej żony?

- Błękitna Pani nie jest moją żoną - protestował Stile. - Może nie stanie się nią, dopóki klacz jest żywa. Wiem

coś o tym. Kiedy klacz zginie, uwolniony zostaniesz waćpan ze swej przysięgi i rzucasz będziesz zaklęcia...

- Nie! - krzyknął Stile.

- Próbowałem wytłumaczyć jej, że pozostaniesz waść wierny swemu słowu - wtrącił się Kurrelgyre - i w żaden sposób nie skrzywdzisz klaczy... .

- I nie masz, jak i mój wilk, żadnego pojęcia o samicach - dokończyła wilczyca. - Klacz należy do gatunku, którego nie darzymy przyjaźnią, jako że usiłuje podważyć naszą władzę nad tym pustkowiem, lecz to ona spowodowała, że spotkałeś waść mego ukochanego i wysłałeś go do mnie, by uczynił to, czego honor wymaga. Jestem jej coś winna. Widzę niebezpieczeństwo, którego ty, panie, nie dostrzegasz. Błękitna Pani zrobi wszystko, co tylko jest w jej mocy, by zachować królestwo swego męża. Jeśli ty, panie, nie ocalisz klaczy, to ja pomszczę jej śmierć, tak jak mścić należy śmierć przyjaciela krwi, choć nie wymieniliśmy żadnej przysięgi.

Czy wilczyca mogła mieć rację? Czyżby Stile wysłał Neysę na śmierć w Błękitnym Królestwie? Co za straszny błąd! A jednak Neysa potrafiła się bronić, a Błękitna Pani nie jest Adeptem.

- Jeśli jest w niebezpieczeństwie, sam ją pomszczę stanowczo powiedział Stile.

- Inni nie znają cię, panie, tak jak ja - stwierdził Kurrelgyre. - Dlatego czułem, że muszę być na miejscu, gdy nadciągną jednorożce, na wypadek, gdyby obwiniono cię niezasażenie. Możesz waść potrzebować rady.

- Zaprawdę - zgodził się Stile.

Co za skomplikowana sytuacja rozwinęła się podczas jego krótkiej nieobecności!

Ruszyli wszyscy w stronę zamku. Jednorożce stały przed bramą, a ich muzyka cichła. Czekwały na przybycie Stile'a. Było ich około pięćdziesiąt, po równo klaczy i pomniejszych samców; główny ogier stał na przedzie. Miał około osiemnastu dłoni wysokości, jeśli mierzyć przy łopatce, a więc ponad trzydzieści centymetrów powyżej głowy Stile'a, był masywny i mocno umięśniony. Wyglądał imponująco.

Hulk przyglądał się ogierowi z jawnym podziwem. Było między nimi jakieś podobieństwo, naturalnie pomijając różnice między gatunkami.

Stile zatrzymał się, gdyż jednorożce zablokowały mu drogę. Wilkołaki zgromadziły się obok niego, ponure, lecz zachowujące spokój. Były tutaj, gdyż nowy przywódca watahy przyprowadził je na prośbę swej wilczycy. Hulk stał z tyłu milcząc, stosując się do zaleceń Stile'a. Niewiele jeszcze rozumiał.

- Czy zamierzacie zagrozić mi drogę do mego dziedzictwa? - spytał Stile ogiera.

Jednorożec nie odpowiedział. Jego spojrzenie padało z budzącej respekt wysokości, a skręcony w śmiertcioną spiralę róg wymierzony był w Stile'a. Głowa zwierzęcia była złocista; grzywa srebrna, a całe ciało miało odcień opalizującej szarości, ciemniejącej aż do czerni na pęcinach i kopytach. Ogon miał tego samego koloru co grzywę, cudownie powłóczysty, oślepiająco błyszczący w promieniach słońca. Żaden koń nie mógłby mieć podobnej maści, ani równego mu dzikiego piękna.

Po chwili ogier parsknął trzema krótkimi dźwiękami akordeonu, przerywanymi basami. Spomiędzy stada wystąpił jeden z pomniejszych samców, zmieniając kształt. Był to Clip, brat Neysy.

- Pomogłem ci kiedyś, panie, na prośbę mej siostry powiedział. - *Cóż* teraz powiedzić zdołasz na swą obronę?

- Mam zamiar wejść do zamku i sprawdzić, co stało się z Neysą - zapowiedział Stile.

Uwagi Kurrelgyre i obawy wilczycy co do konfliktu pomiędzy samicą jednorożca i Błękitną Panią sprawiły, że czuł się niepewnie. Czyżby rzeczywiście zdradził swego rumaka i skazał na śmierć? Czy Neysa podejrzewała to, gdy ją opuszczał? Jaką kobietą była naprawdę Błękitna Pani i co miała zamiar zrobić z towarzyszką człowieka, który zniszczył golema - samozwańca? Stile sądził wcześniej; że powinna być mu wdzięczna, lecz przecież nie powitała go z otwartymi ramionami.

Nie mógł jednak uwierzyć, że jego sobowtór mógłby ożenić się z kobietą zdolną bez litości zabić stojące jej na drodze stworzenie. Czy Błękitna Pani nie ujawniła szczerzej i godnej pochwały wierności sprawie swego zmarłego męża? Lecz z drugiej strony, gdyby wiedziała, że tylko Stile może przywrócić wielkość Błękitnemu Królestwu, a przeszkodą w tym jest wyłącznie nieroztropna przysięga...

- A jeśli Neysa żyje, to co uczynisz? - domagał się odpowiedzi Clip. - Pierwszy Ogier chce to wiedzieć.

- Co Pierwszego Ogiera obchodzi Neysa? - odparował Stile, wiedząc, że wyraża uczucia, których Clip nie mógł ujawniać. - Usunięto ją ze stada bez ważnego powodu. Założę

się, że jest równie piękną i dzielną klaczą, jak inne w stadzie. Już dawno powinna była się ożrebić.

Clip, co było zrozumiałe, zawahał się na chwilę. Przemawiał głosem swego przywódcy, lecz dobro siostry leżało mu najbardziej na sercu i nie chciał zaprzeczać twierdzeniom Stile'a.

- Nie odpowiedziałeś, panie, na pytanie Ogiera. Co stanie się z Neysą, jeśli przeżyje perfidię Błękitu?

- Perfidię Błękitu?! - krzyknął w furii Stile. - Ja jestem Błękitem!

Nagle poczuł na ramieniu dłoń Hulka, ostrzegającą, by się opanował. Bez magii nie mógł być naprawdę Błękitnym Adeptem.

Stado jednorozców patrzyło na niego w milczeniu, tak jak i suka Kurrelgyre, która pojmowała, że jest to uczciwe pytanie i jednocześnie bardzo trudne. Nikt nie oskarżył Błękitnej Pani o morderstwo, pytanie dotyczyło lojalności samego Stile'a. Był - potencjalnie - najpotężniejszą tu osobą. Jeśli Pani zostanie oczyszczona z zarzutów, ta co zrobi on sam?

- Jeśli przyjmiesz Neysę do stada, zapłodnisz ją i traktować będziesz jak przystoi szlachetnej klaczy, to powitam to z radością. W innym wypadku może pozostać ze mną i być moim honorowym wierzchowcem, tak długo jak zechce.

- A co z przysięgą, jaką jej, panie, złożyłeś? - dopytywał się Clip,

- Co? - warknął nieuprzejmie Stile.

- Co stanie się z Neysą, kiedy złamiesz przysięgę? powtórzył Clip.

Stile poczuł kolejną falę gniewu.

- Kto twierdzi, że złamię przysięgę?

- Ogier - odparł Clip z niejaką satysfakcją.

Przez chwilę gniew nie pozwalał Stile'owi mówić. Jego ręka szukała miecza, ale napotkała tylko ubranie; nie miał przecież broni. Tylko twardy, pełen zrozumienia uścisk dłoni Hulka powstrzymał go od ataku na potężnego jednorozca.

Kurrelgyre wystąpił naprzód.

- Byłem z tym człowiekiem, kiedy uwięził go Czarny Adept. Nie użył magii, choć umierał z pragnienia i wiedział; że najprostsze zaklęcie, takie, jakie ułożyć może nawet każdy z nas, przyniosłoby mu wodę i wolność. Uwolnił nas ze szponów Żółtej Adeptki bez magii. Zabił golema z Błękitnego Królestwa własną ręką, także bez magii. Pokazał mi, jak mam odzyskać pozycję w stadzie. Teraz przybył znów do naszego świata. Nigdy nie złamał w mojej obecności danego słowa: Jeśli Ogier twierdzi inaczej, to obraża mnie osobiście.

Róg Ogiera zadrżał, błyskając w słońcu. Jednorozec grzebał ziemię potężnymi przednimi kopytami. Pomniejsze samce zbliżyły się, otaczając go, a klacze opuściły rogi,

gotowe do ataku. Jednorożce, piękne w swoich naturalnie jaskrawych czerwieniach, błękitach i zieleniach, poważnie traktowały całą tę sprawę.

Włosy na szyi Kurrelgyre'a podniosły się zupełnie tak, jak sierść na grzbiecie wilka, choć zachował postać mężczyzny. Wataha skupiła się wokół niego. Ich prawie niesłyszalny warkot wskazywał na to, że były gotowe podjąć walkę z jednorożcami.

- Słuchajcie! - zawołał nagle Hulk.

Był jedynym, któremu wzrost pozwalał zobaczyć coś ponad grzbietami jednorożców.

- Błękitna Pani wyszła z zamku, a razem z nią mały jednorożec.

Stile odczuł ulgę. Pierwszy Ogier odwrócił się i muzykalnie parsknął. Stado rozstąpiło się, tworząc korytarz. Teraz każdy mógł zobaczyć Błękitną Panią i Neysę, obie całe i zdrowe, idące razem od bramy zamku.

Błękitna Pani wyglądała pięknie. Ubrana była w bladobłękitną suknię, pantofelki w tym samym kolorze w kształcie płatków kwiatów i błękitne nakrycie głowy. Stile już wcześniej podziwiał jej figurę, ale teraz wydawała mu się jeszcze piękniejsza. Zdążył już zapomnieć w ciągu ostatnich, niespokojnych godzin, jak kojący był dotyk jej rąk. Teraz, gdy przestał już obawiać się o bezpieczeństwo Neysy, wspomnienie wróciło i poczuł ciepłe mrowienie w kolanach. Co to za kobieta!

A Neysa? Co z nią? Zgrabnie stąpała obok Błękitnej Pani, jej ogon i grzywa były doskonale gładkie, kopyta i róg aż błyszcząły. Była równie piękna. Stile nigdy nie traktował swego związku z Neysą jako kwestii wyboru, milcząco założył, że Neysa zawsze będzie z nim. Łączył ich głębszy związek niż przyjaźń między człowiekiem a zwierzęciem. Jeśli Stile zostanie Błękitnym Adeptem, to nie tylko praktykować będzie magię, ale ożeni się też z prawdziwą kobietą. Nie mogli dłużej ciągnąć tego, co między nimi było. Było to jasne od momentu, kiedy okazało się, że Stile jest Adeptem. Wilki i jednorożce pojęły to wcześniej niż on; lepiej znały reguły tego świata. Czy jednak mógł zdradzić Neysę?

Zatrzymały się przed nim. Stile pochylił głowę, stosując się do zasad etykiety, choć nie miał najmniejszego pojęcia, co za chwilę się stanie. Jeden problem był w każdym razie rozwiązany: Neysa żyła! Drugi należało dopiero rozwiązać.

- Witaj, Neyso. Witaj, Błękitna Pani - przywitał je z szacunkiem.

Obie istoty rodzaju żeńskiego prawie jednocześnie lekko skłoniły głowy, lecz nic nie odpowiedziały.

Pierwszy parsknął Ogier.

- Wybieraj - przetłumaczył Clip.

- Kto dał wam prawo domagania się tego ode mnie? - zapytał Stile, którego gniew

wywołany był po części poczuciem winy.

- Ogier odpowiedzialny jest za dobro swego stada odparł Clip. - Pozwolił, byś używał, panie, jego dodatkowej samicy, ale nie żebyś ją obrażał. Teraz, kiedy ofiarowała ci swoją wierność, nie możesz bezkarnie jej odrzucić.

- Jeśli odrzucę ją, wróci do stada - odparł Stile, nienawidząc swoich własnych słów. - Czy próbujecie zmusić mnie, bym to zrobił, czy... żebym tego nie robił?

- Jeśli odrzucisz ją, będzie to hańba dla całego stada, a tę można zmyć tylko krwią. Musisz zatrzymać ją, panie, albo ponieść tego konsekwencje. Tak postanowił Ogier.

- Pycha uderzyła Ogierowi do głowy - burczał Kurrelgyre. - Czy nie rozumie, że rzuca wyzwanie Błękitnemu Adeptowi? Jedno zakłęcie tego człowieka wystarczy, by całe stado wygnane zostało w śniegi.

- Tyle tylko, że on przyrzekł mojej siostrze wyrzec się magii - odparował Clip. - A jeśli dotrzyma słowa, nie będzie powodu, by kogokolwiek wyganiać.

Po raz pierwszy odezwała się Błękitna Pani:

- Jak to wygodnie - powiedziała słodko, tak samo jak za pierwszym razem, kiedy się spotkali.

- Kurrelgyre odwrócił się ku niej. Stile przypomniał sobie, że wilkołak opuścił ich, zanim ten temat został poruszony. - Cóż chcesz przez to powiedzieć, suko człowieka? zapytał wilkołak.

Jeśli była to obelga - Stile nie miał co do tego pewności - to Błękitna Pani na nią nie zareagowała.

- Czyż nie wiesz, panie wilku, że przez ostatnie dziesięć dni dawałam schronienie samozwańcowi, tak by zachować w tajemnicy wieść o morderstwie popełnionym na mym małżonku? - spytała wyniośle. - Teraz przychodzi jeszcze jeden, twierdząc, że jest Błękitnym Adeptem. Błękitny jednak wyróżniał się od innych właśnie magią, najsilniejszą jaką zna cała Phase, a ten nowy samozwaniec nie uprawia magii, jak sam to, panie, tak wymownie potwierdziłeś. Gdyby był on naprawdę sobowtórem mego męża, mógłby jednym słowem przegnać to stado z Królestwa; skoro nie jest, powołuje się na jakąś przysięgę. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że był on wierny swej przysiędze i również w przyszłości jej nie złamie, bo w rzeczywistości nie jest w stanie jej złamać. On nie jest Błękitnym Adeptem.

Neysa gniewnie podrzuciła głową, a jej harmonijne parsknięcie sprawiło, że pozostałe klacze nastawiły uszy w niemym oburzeniu. Pani zacisnęła wargi.

- Klacz wierzy, że jest on Adeptem. Czy jakaś inna osoba lub zwierzę było świadkiem tej domniemanej magii? - zapytała.

Nawet Kurrelgyre musiał przyznać, że nie był:

- Przysięga została złożona, zanim się spotkaliśmy. Nie mam jednak żadnego powodu, by wątpić...

- Bez magii samozwaniec nie ma o czym dyskutować z Ogierem. Ja go nie chcę. Niech zostanie z kłaczą, którą omamił - oznajmiła Błękitna Pani.

Parsknięcie Neysy wydawało się mieć w sobie błysk ognia. Tak też było z Ogierem. Stile pojął nagle, jak zręcznie Błękitna Pani manipulowała nimi wszystkimi. Ani wilki, ani jednorożce nie chciały, by Stile użył swej magii, Neysa była temu także zdecydowanie przeciwna, a jednak tak długo, dopóki tego nie uczynił, wszyscy pozostawali w niepewności. Jeśli jednak Stile użyje czarów, wtedy Pani odniesie zwycięstwo. Potrzebowała magii, by zachować Błękitne Królestwo i gotowa była, jak to podkreślała wilczyca Kurrelgyre, zrobić wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Co z niej za kobieta! pomyślał z podziwem.

- A więc galopowaliśmy tu dla fałszywego Adepta? wypowiedział Clip kolejne pytanie Ogiera. - Pozwoliliśmy, by złudzenia i pragnienia karłowatej kłaczy sprawiały kłopot całemu stadu?

Znowu Stile poczuł przyływ gniewu. Wywołało je słowo "karzeł", skierowane tym razem do Neysy.

Kurrelgyre zerknął niepewnie na Stile' a.

- Przyjacielu, wierzę w ciebie, w twój honor i w twą moc, ale nie mogę posłać mej watahy do boju za ciebie, bez jakiegoś dowodu twej pozycji. Musisz uwolnić się od przysięgi.

Stile spojrzał bezradnie na Neysę, której parsknięcie wyraźnie oznaczało brak zgody. Stile nie mógł jej za to winić, jego magia wysłała ją kiedyś niechcący do piekła: Bez magii nie będzie mógł spełniać roli Błękitnego Adepta, a więc nie poczuje pokusy, by ją opuścić. Wiedział, że Neysa nie kierowała się czysto egoistycznymi motywami; obawiała się, że magia skorumpuje go. Stile nie był pewien, czy jej obawy są w pełni bezpodstawne. Inni Adeptci byli przecież do pewnego stopnia zdeprawowani, albo przez magię, albo przez sam fakt bycia Adeptem. Żółta zmuszona była do okrutnego handlu zwierzętami, by utrzymać swoją pozycję wśród Adeptów; Czarny Adept natomiast posuwał się aż do skrajności, by zapewnić sobie samotność. Gdyby tak nie postępowali, mogliby zostać zabici przez innych, pozbawionych skrupułów. Bycie Adeptem oznaczało zachowanie trochę paranoiczne, a trochę bezlitosne. Czy gdy zostanie już Błękitnym Adeptem, uda mu się wytrzymać te naciski? Poprzedni Adept, jak się wydawało, wytrzymał. I dlatego został zamordowany. Może powinien przyjąć to za nauczkę?

- Nie ma magii, więc nie ma potrzeby walki - oświadczył Stile. - Niech wilki i jednorożce wrócą do domu. Neysa i ja pójdziemy swoją drogą.

Nie był pewien; czy zdoła trzymać się z dala od zamku i Błękitnej Pani. Jego przeznaczenie ukryte było właśnie tu, a dopóki Stile nie wiedział, co kryło się w Błękitnym Królestwie, nie mógł twierdzić, że spełnił wskazania Wyroczni. Aby poznać samego siebie, musiał poznać królestwo Błękitnego Adepta.

Ogier parsknął całą wiązką dźwięków:

- Jeśli oszukałeś nas, panie, wywołując bez potrzeby wszystkie te kłopoty, muszę cię zabić - przetłumaczył Clip. - Jeśli mówisz prawdę, to zmuszony będziesz złamać daną klaczy przysięgę, a więc będę musiał ją pomścić. Broń się, jak umiesz; położymy kres twym zniewagom.

Ogromny jednorożec przybliżył się do Stile'a.

Przez moment Stile rozważał możliwość wskoczenia na grzbiet Ogiera i ujeżdżenia go, tak jak to zrobił z Neysą, lecz był w znacznie gorszej formie, a zwierzę miało ponad dwukrotnie większą masę niż klacz. Szanse poskromienia go były znikome, ale nie większe były szanse zwycięstwa w walce, nawet gdyby Stile miał jeszcze rapier.

Kurrelgyre wszedł pomiędzy nich.

- Tylko tchórz zaatakuje tego najmniejszego z ludzi, wiedząc, że jest bez broni i związany przysięgą.

Róg Ogiera zwrócił się w stronę wilkołaka. Suka przybrała postać wilka i warcząc skoczyła mu do boku, lecz Kurrelgyre zachował ludzką postać.

- Może wyzwanie to obejmuje nas obu, Ogierze? Byłyby to równiejszy pojedynek.

Dwa mniejsze samce jednorożce wystąpiły ze stada, ale tak samo zrobiły wilki. Dwa na jednego.

- Nie! - zawołał Stile, przeczuwając niepotrzebny rozlew krwi.

- Sam muszę walczyć, a nie wy!

- Masz zamiar walczyć z tym potworem, mając chore kolana, pęknięte żebro i stłuczoną ręką? - spytał Hulk. To robota dla twojego ochroniarza. Założę się, że cios karate w nasadę rogu załatwi to zwierzę.

Ogier zatrzymał się. Spojrzał na Kurrelgyre i jego sukę, a potem przyjrzał się Hulkowi. Parsknął.

- Nikt nie śmie nazywać Ogiera tchórzem - oznajmił Clip. - Spór nie dotyczy was, panie wilkołaku, ani olbrzyma, lecz wyłącznie tego samozwańca. Niech Stile przyzna, że nie jest Adeptem, a zostanie oszczędzony, a nierozsądna klacz ukarana.

- Tak - zgodziła się Błękitna Pani. - To zaprawdę głupota walczyć z powodu samozwańca.

Jakie proste wyjście. Oprócz Neysy, Kurrelgyre i samego Stile'a, wszyscy pozostali zgodzili się na kompromis.

- Wstrętem przejmuję mnie myśl o przelewie krwi, ale nie przyznam się do kłamstwa - powiedział stanowczo. - A więc ukaż nam swoją moc! - odparł Clip.

- Wiesz przecież, waćpan, o mej przysiędze...

Ogier parsknął. Neysa spojrzała na niego przestraszona, lecz nieugięta.

- Uwolnij go z przysięgi - nakazał jej Clip w imieniu Ogiera.

- Zaczekaj! - krzyknął Stile. - Nie zniosę przymusu! Kurrelgyre uniósł ostrzegawczo dłoń.

- To rogate zwierzę nie cieszy się moim uczuciem powiedział, wskazując na Ogiera. - Chcę ci jednak dać, panie, radę. On ma rację, przyjacielu. Jest Pierwszym Ogierem Stada. Tak jak moja wataha jest mi posłuszna, tak i jego stado musi mu się podporządkować. W tym świecie jest to odwiecznym prawem.

Ogier parsknął jeszcze raz, ponaglająco. Neysa powoli opuściła róg. Zagrała jedną, smutną nutę.

- Zostałeś zwolniony - oznajmił wilkołak. - Teraz walka będzie równa. Nie mogę już się wtrącać. Użyj magii, by się obronić, Adepcie.

Stile spojrzał na Neysę. Odwróciła wzrok. Najwyraźniej musiała poddać się władzy. Nie podobało jej się to, ale, jak zauważył wilkołak, było to zgodne z prawem.

Teraz już mógł posłużyć się magią. Ogier zniżył swój róg i nie było najmniejszych wątpliwości co do jego zamiaru, a żaden z wilków nie przyszedłby już Stile'owi z pomocą. Unikać teraz magii oznaczało przyznać się do kłamstwa, a to kosztowałoby go życie i okryło hańbą tych, którzy w niego uwierzyli. Musiał udowodnić kim jest - dla dobra Kurrelgyre, Neysy i swego własnego. Nawet jeśli miałyby to dać Błękitnej Pani zwycięstwo, o które tak chytrze zabiegała.

Stile nie był przygotowany. Nie ułożył wcześniej żadnych niszczycielskich rymów, i nie mógł wymyśleć ani jednego pod presją, ponadto bez muzyki jego magia była rozproszona. Nie chciał też skrzywdzić Ogiera, który wydawał się być bardzo kompetentnym przywódcą stada. Dlaczego ktokolwiek miał wierzyć człowiekowi, który zaklinał się, że może uprawiać magię, ale nigdy tego nie czynił? Pretendenta należało wypróbować i właśnie to czynił Ogier.

Stile spostrzegł, że Błękitna Pani przygląda mu się z zadowoleniem. Wygrała, zmusiła

go, by udowodnił kim jest. Teraz albo pokaże, że jest Błękitnym Adeptem, albo zginie nadziany na róg Ogiera, tak jak należy się to samozwańcowi. Oczyszczenie się z zarzutów albo śmierć! Neysa stała obok niej z opuszczonym wzrokiem. W każdej sytuacji przegrywała.

- Przykro mi, Neyso - powiedział Stile.

Wyciągnął harmonijkę. Teraz ona była jego bronią. Zaimprovizował melodię. Od razu skupiła się wokół niego magia. Ogier spostrzegł dziwną emanację i poczuł się niepewnie. Wilki i pozostałe jednorożce przyglądały się również, jak nieuchwytna chmura rozwija się i zawisa nad nimi. Nerwowo nastawiały uszu.

Świetnie - będzie miał czas na wymyślenie odpowiedniego rymu. Potrzebował jakiejś ochrony, czegoś w rodzaju muru. Mur? Co mogło się rymować z murem? Mur, bór, tur. Ogier silny jak tur...

Nieoczekiwanie Ogier zaszarżował. Stile uskokczył na bok. Przestał grać na harmonijce i zawołał śpiewnie:

- Pierwszy Ogierze, silny jak tur, utwórz wokół Stile'a mur.

Od razu uświadomił sobie, że źle to sformułował. Domagał się, żeby Ogier uformował ścianę wokół Stile'a, co nie miało sensu, ale w wyobraźni wyraźnie widział ceglana dwumetrową ścianę otaczającą Ogiera i tak właśnie się stało. Jego muzyka była siłą, a słowa katalizatorem, lecz dopiero wyobraźnia nadawała czarom ostateczny kształt.

Nie wiadomo skąd spadł deszcz cegieł, lądując z niesamowitą precyzją wokół Ogiera, formując rząd za rzędem, budując ścianę na oczach wszystkich. Ogier stał zaskoczony. Bał się poruszyć, by nie uderzyły go latające cegły i patrzył, jak powstaje wokół niego zagroda. Stado i wataha przyglądały się temu z równym zdumieniem. Hulkowi aż opadła szczeka. Uwierzył w magię! Kurrelgyre uśmiechał się z ponurą satysfakcją - jego wiara została usprawiedliwiona. Ale nikt nie był tak zaskoczony jak Błękitna Pani.

Tylko Neysa nie wyglądała na zmieszaną. Parsknęła: - Czyż nie mówiłam! - i odwróciła się tyłem, ale Stile wiedział dobrze, że po cichu była z tego zadowolona, bez względu na to, ile ją to miało kosztować.

Po chwili Kurrelgyre wspiął się i usiadł na ukończonej właśnie ścianie. Opukał ją palcami, sprawdzając jej solidność i dopiero potem odezwał się do uwięzionego w środku jednorożca:

- Pragnąłeś waść przeciwstawić swą dzielność magii Błękitnego Adepta i to tutaj, w Błękitnym Królestwie? Zauważ, że cię oszczędził, arogancki zwierzaku, pokazując swą moc w nieszkodliwy dla ciebie sposób. Mógłby równie dobrze spuścić waści wszystkie te cegły na kościsty łeb. Czyż nie wypadałoby teraz go przeprosić?

Ogier w milczeniu wpatrywał się w niego. Z łatwością mógłby przeskoczyć przez mur, ale było to poniżej jego godności. Sporna kwestia nie dotyczyła umiejętności skakania, lecz magicznych uzdolnień Stile'a, a te zostały dowiedzione.

- Nie od Ogiera należą się przeprosiny, lecz ode mnie - powiedziała Błękitna Pani. - Sądziłam, że człowiek ten nie jest Adeptem. Teraz wiem, że nim jest. To co zrobił, w najdrobniejszych szczegółach przypominało czary mego ukochanego, lecz...

Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku, gdy się zawahała. Mówiła bardzo wolno:

- ...mój mąż zginął z ręki Adepta. Teraz pojawia się przypominający go Adept, lecz ja wiem, że mój ukochany nie żyje. Może to być samozwaniec, twierdzący, że przybył z alternatywnego świata, podczas gdy naprawdę jest Adeptem z Phase, używającym magii do zmiany swej powierzchowności? To może przecież być ten, który zabił Błękitnego.

Teraz wszystkie głowy zwróciły się w stronę Stile'a, a wzrok wilków jak i jednorożców wyrażał niepewność i nieufność. Przeniknął go zimny dreszcz, gdy uświadomił sobie, że źle ocenił rodzaj wyzwania. Jego prawdziwym przeciwnikiem nie był Ogier, lecz Błękitna Pani, która chciała rozwiać nawet najdrobniejsze podejrzenia, że w Królestwie mógłby panować oszust. Jej pierwsza linia obrony została przełamana, ta była następna. Błękitna Pani była niebezpieczna; mógł zginąć tylko dlatego, że wypowiedziała głośno swe obawy.

Neysa parsknęła z oburzeniem. Była wściekła na Stile'a, ale mu wierzyła, lecz inni wyraźnie znowu zaczęli w niego wątpić. Przeklęta logika Błękitnej Pani!

Jak miał odpowiedzieć na to nowe wyzwanie? Tylko jedna osoba na Phase знаła jego prawdziwą tożsamość - Żółta Adeptka. Lepiej jednak jej w to nie wciągać! Będzie musiał im po prostu przedstawić swoją sprawę i pozwolić innym, by ją ocenili.

- Nie jestem Błękitnym Adeptem. Jestem jego sobowtórem z alternatywnego świata. Każdy, kto chciałby i mógłby przejść przez kurtynę i zasięgnąć informacji, mógłby upewnić się co do mojego tam istnienia. Jestem we wszystkim podobny do Błękitnego Adepta, lecz brak mi jego doświadczenia. Nie jestem ani oszustem, ani mężem tej damy. Możecie nazywać mnie bratem Błękitnego. Proszę o wybaczenie tych z was, którzy omylili się; nie było moim zamiarem wprowadzanie was w błąd. (Ciągłe jeszcze dziwnie się czuł, używając formy „wy”, ale taka była prawidłowa liczba mnoga) Gdybym był innym Adeptem, nie miałbym powodu, by przebierać się za Błękitnego, założyłbym własne królestwo; dowolnego koloru. Siła mojej magii jest prawdziwa. Dlaczego miałbym przybierać inną postać niż moja własna?

Wszyscy słuchali z uwagą. Wydawało się, że ich przekonał.

Głos zabrała Błękitna Pani:

- Spodziewałam się, że Adept - morderca będzie miał przygotowaną jakąś pozornie wiarygodną opowieść. Nie dziwi mnie, że przybywa jako wybawca i zabójca golema, którego wcześniej sam tu przysłał, by łatwiej uzasadnić swoje pretensje. Rozumiem też, dlaczego naśladuje rodzaj magii, typowy dla Błękitnego. Dlaczego miałby to robić, pytacie? - otóż mogą być dwa powody: po pierwsze, by ukryć morderstwo, które popełnił; po drugie, by zdobyć rzeczy, które należały do Błękitnego.

Kurrelgyre zwrócił się ku niej, ze zmarszczonym czołem: - Adept mający taką moc, stworzyć mógłby dla siebie własne królestwo, równie piękne jak to, a bez tylu kłopotów.

- Nie całkiem - odparła ostro.

- A co takiego tu jest, czego mógłby pragnąć inny Adept i czego nie potrafiłby wyczarować?

Pani zarumieniła się na twarzy, zawahała się, lecz musiała odpowiedzieć:

- To o mnie chodzi. Wielu twierdzi, że jestem piękna... - Trafne określenie! Zaiste piękna - potwierdził Kurrelgyre. - To może być motywem. Czy jednak nie pragniesz, Pani, aby ktoś honorował czyny Błękitnego i utrzymał królestwo w porządku i bezpieczeństwie?

- Przyjąć do tego królestwa człowieka, który zamordował mego ukochanego? - spytała, gniewnie błyskając oczami. - Nie oddam mu tego dziedzictwa. Fałszywy Adept może mnie zniszczyć swą magią, tak jak to uczynił z moim panem, ale nigdy nie otrzyma jego władzy i przywilejów.

Kurrelgyre odwrócił się do Stile'a:

- Wierzę ci, przyjacielu, ale Pani też ma rację. Magia Adeptów niedostępna jest umysłom prostych zwierząt, takich jak my. Nie potrafię wskazać bezpośredniego związku pomiędzy sobowtorem Błękitnego na Protonie i tobą. Sobowtór też może zostać zamordowany, a ty jesteś wytworem magii, naśladującym Błękitnego. Wszyscy możemy się mylić i dopóki nie sprawdzimy twej tożsamości...

Stile zdumiał się.

- Jeśli ani moje oblicze, ani magia nie mogą jej przekonać, a nie przyjmuje ona mego słowa...

- Czy mógłbym zadać dwa pytania? - zaproponował ostrożnie Hulk.

Stile roześmiał się gorzko:

- I tak mamy więcej pytań niż odpowiedzi. Dorzuć i swoje.

- Czym wyróżniał się Błękitny Adept, oprócz swego wyglądu i magii?

- Uczciwością - odparła pospiesznie Pani. - Nigdy nie kłamał i nie oszukiwał. Ani razu w życiu.

- Ten też nigdy nie kłamie - zauważył Kurrelgyre. - To jeszcze trzeba udowodnić - odparowała Pani. Wilkołak wzruszył ramionami.

- Tylko czas może to pokazać. Czy nie było jeszcze czegoś, co łatwiej poddawałoby się weryfikacji.

- Jazda konna - rozjaśniła się Pani. - Na Phase tylko ja mogłam mu dorównać. Tak bardzo kochał zwierzęta, a zwłaszcza konie...

Zamilkła, ogarnięta emocją.

- Zdobyć miłość takiej kobiety! - pomyślał Stile. - Jej mąż nie żyje, a ona wciąż broni go z całych sił. Ma rację: inny Adept mógłby jej zapragnąć - i to nie tylko dla urody - i zrobić wszystko, by ją zdobyć.

Kurrelgyre spojrzał na Stile'a.

- Jak dobrze, waść, jeździsz konno?

- Mogę na to odpowiedzieć - wtrącił się Hulk. Stile jest najlepszy na Protonie. Wątpię, by ktoś mógł mu dorównać.

Pani wyglądała na zaskoczoną.

- Ten człowiek umie jeździć? Bez siodła na dzikim rumaku? Chętnie bym to sprawdziła.

- Nie - odparł Hulk.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Strzeżesz go, by nie wydało się, jak słabym jest jeźdźcem?

- Chciałbym tylko, żeby problem ten został rozwiązany prawidłowo - powiedział Hulk.

- Widzieliśmy przecież, że nie do końca przemyślana próba niczego nie rozwiązuje. Tak było z demonstracją magii przez Stile'a. Sądząc po wynikach, równie dobrze mógłby niczego nie robić. Zmuszać go teraz do próby w jeździe konnej, gdy jest ranny i osłabiony?

- W tym rzecz - zgodził się Kurrelgyre. - Ale ten dowód...

- Przejdźmy do drugiego pytania - ciągnął Hulk. Czy spór dotyczy Stile'a i Błękitnej Pani, czy też Pani i klaczy?

Obie, kobieta i klacz; spojrzały na siebie zaskoczone. Kurrelgyre mruknął z uznaniem.

- Słusznie mówi - zauważył i zwrócił się do Stile'a. - Pani i klacz rozstrzygnąć muszą tę sprawę między sobą. Obie mają do ciebie prawo. Jeśli udowodnisz, że jesteś Błękitnym Adeptem, jedna z nich będzie cierpieć.

To, co mówił, nie podobało się Stile'owi. Ogier zatrąbił zza ogrodzenia.

- Tylko najlepszy z jeźdźców jest zdolny okiełznać jednorożca - przetłumaczył Clip. - Ten człowiek pokonał Neysę, więc uznajemy go za Błękitnego Adepta.

Stile zdumiony był nagłą zmianą stanowiska Ogiera. - Skąd możecie wiedzieć, że ja...

- Widzieliśmy to - oznajmił Clip. - Dopinguwaliśmy Neysie, by pozbyła się ciebie, ale nie taję, że tak się nie stało. Przyznajemy, że bez względu na to, kim jesteś, uznać cię trzeba za najlepszego jeźdźca wśród ludzi.

- A gdyby Neysa zamieniła się w. świetlika...?

- Przyznałaby wtedy, że nie potrafi pokonać cię w swej naturalnej postaci - ciągnął Clip. - Nie ma to teraz znaczenia. Żaden człowiek nie jechał nigdy, tak jak ty. Ogier czuł się tym urażony, ale teraz, gdy wie, że jest to znak szczególny Błękitnego Adepta...

- Nie zrobiłem tego bez pomocy - przypomniał sobie Stile. - Nucilem, a w mojej muzyce kryła się magia, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Użyłem magii, by utrzymać się na grzbiecie Neysy.

- Jednorożce nie są odporne tylko na magię Adeptów. Inny Adept mógłby jednak zniszczyć Neysę, ale nie byłby

w stanie jej dosiąść. Wiemy o jednym, któremu się to udało i jest nim Błękitny. Wszystko to Ogier rozważył, zanim cię uznał.

- Ale ja nie mogę go uznać! - wybuchnęła gniewem Błękitna Pani. - Jednorożce mogą być przecież w zмовie z fałszywym Adeptem, pragnąc narzucić Błękitnemu Królestwu oszusta. Mój ukochany jeździł konno, lecz nie czuł sentymentu do jednorożców, ani one do niego, choć czasami leczył je. Klacz mogła pozwolić oszustowi, by jej dosiadał...

Clip zareagował na to gniewem, lecz Kurrelgyre powstrzymał go.

- Czy ktokolwiek może zaprzeczyć twierdzeniu, że wilkołaki nigdy nie były w zмовie z jednorożcami?

- Nikt - przyznała Błękitna Pani. - Oba gatunki są odwiecznymi wrogami.

- Wysłuchaj więc, Pani, słów wilkołaka. Dobrze poznałem tę klacz. Nie poddała się dobrowolnie, choć nie użyła swej magii, by zabić jeźdźca. Pokonał ją fizycznie, a potem, j gdy poznała jakim jest człowiekiem - a był takim, jakim opisałaś swego pana - zwyciężył ją emocjonalnie. Ale najpierw jej dosiadł.

- Chciałabym w to uwierzyć - powiedziała cicho Błękitna Pani. Jej twarz wyrażała niezdecydowanie. Nie była wcale przeciwko Stile'owi; potrzebowała jednak pewności i bała się popełnić błąd.

Oczekiwała jakiegoś niepodważalnego dowodu.

- Klacz mogła być łatwiejsza do ujeżdżenia, niż sądzą inne jednorożce - zauważyła podejrzliwie. - Jest drobna i nie ma typowej dla jednorożców maści; może ma też inne wady.

Neysa uderzyła w ziemię przednimi kopytami, ale nie zaprotestowała przeciw tej

zniewadze w żaden inny sposób.

- Posiada nie mniej odwagi niż inne z tego stada - odrzekł spokojnie Clip, mówiąc już w swoim imieniu. A nawet gdyby była gorsza, to wciąż jest jednorożcem i różni się od zwykłych koni. Nikt, oprócz tego człowieka, nie mógłby jej poskromić.

Błękitna Pani spojrzała na niego wyzywająco.

- Uwierzyłabym, gdybym nie była w stanie dosiąść tego zwierzęcia.

- A więc, Pani, nie pozostaje ci nic innego, jak tylko spróbować jazdy na Neysie - stwierdził Kurrelgyre. Nie umiesz wprawdzie, tak jak on używać magicznej muzyki, lecz klacz zmęczona jest długą i ciężką drogą do zamku, jaką odbyliśmy wczoraj rano. Uważam, że walka będzie wyrównana. W ten sposób możesz Pani dowieść, że Stile nie jest lepszym od ciebie jeźdźcem.

- Ależ Pani nie może dosiadać jednorożca - zaprotestował Stile:

Błękitna Pani jednak skinęła już głową i tak samo zareagowały jednorożce i wilkołaki. Wszyscy wyrażali zgodę na pojedynek i uważali go za rzetelny. Neysa również spoglądała spod oka na Panią, gotowa sprawdzić swe siły.

- Twierdzą, że jeśli człowiek ten mógł dosiąść jakiegoś zwierzęcia, mogą uczynić to i ja - powiedziała Błękitna Pani. - Nie ma żadnego porównania między moim mężem, a innymi ludźmi. Gdyby tylko chciał, mógłby jeździć na jednorożcach.

Ogier gniewnie parsknął i tym razem Stile nie potrzebował tłumacza. Jednorożce nie mogły uwierzyć, że normalna ludzka istota może poskromić Neysę i miały do tego powody. Stile także nie zdawał sobie sprawy, z jakim zwierzęciem ma do czynienia, dopóki nie wskoczył na grzbiet Neysy.

- Pani - powiedział - nie wystawiaj się na takie niebezpieczeństwo. Nikt nie może jeździć wierzchem na jednorożcu.

- Nikt, oprócz ciebie? - zapytała.

Stile zrozumiał, że walka musi się odbyć. Spór trzeba rozstrzygnąć, a ta próba uważana była przez wszystkich za decydującą. Każdy wybór, którego Stile dokonałby pomiędzy Neysą i Błękitną Panią oznaczał kłopoty; wydawało się, że nie mógł mieć ich obu naraz. Jeśli Pani i klacz załatwią to między sobą, to on stanie się nagrodą dla zwycięzczyń.

Czy jednak będzie tak rzeczywiście? Jeśli wygra Pani, to Królestwo upadnie, gdyż nie będzie uznawanego powszechnie Adepta, który mógłby je ocalić. Jeśli wygra Neysa, nie będzie Błękitnej Pani, gdyż nie przeżyje pojedynku. Takie były prawa jednorożców obowiązujące na Phase i wszyscy, włączając w to Panią, wiedzieli o tym doskonale. Błękitna Pani postawiła na szalę swoje życie. Niezależnie od tego, która zwycięży, Stile musiał

przegrać.

Mimo że mógł już używać magii, nie był w stanie wpłynąć na wynik pojedynku. Co za ironia losu! Poznaj sam siebie - poleciła mu Wyrocznia, nie mówiąc, ile ta wiedza może go kosztować.

- Wiem, jakie to dla ciebie trudne - rzekł wilkołak. - Pamiętam, co czułem, gdy stanąłem przed moim ojcem. A jednak musisz poddać się wyrokowi losu. To uczciwe rozwiązanie.

- Uczciwe? - pomyślał Stile z niedowierzaniem. Rezultatem tej próby mogły być przecież tylko kłamstwo lub śmierć! Oba szeregi zwierząt oddaliły się od siebie, tworząc ogromną arenę, ograniczoną z jednej strony zamkiem, a z drugiej magicznym murem. Pół okręgu tworzyły jednorożce, drugą połowę wilkołaki.

Neysa i Błękitna Pani stały pośrodku. Obie wyglądały przepięknie. Stile pragnął mieć je obie, lecz zrozumiał, że jest to niemożliwe. Przyjmując dobrodziejstwa magii, musiał też zaakceptować jej przekleństwa. Jak beztrąsko wszedł na drogę, która zawiodła go do tego okropnego dnia! Gdyby; wracając na Protona, nie pozostawił Neysy w Błękitnym Królestwie, może sprawy przybrałyby inny obrót?

Błękitna Pani wskoczyła lekko na grzbiet Neysy, pomimo szerokiej sukni; nie przypominającej stroju do końskiej jazdy. W tej samej chwili Neysa ruszyła. Jednym susem przeszła w galop, a wszystkie jej cztery kopyta wyrzucały w powietrze okrągłe grudki darni, lecz Pani utrzymała się na grzbiecie.

Neysa zahamowała; tak że jej kopyta wyślubiły w ziemi równoległe linie - Pani pozostała tam, gdzie była.

Klacz ruszyła bokiem, a potem cofnęła się do tyłu. Suknia Błękitnej Pani aż się wydęła, ale nic nie uległo zmianie.

- Ona rzeczywiście umie jeździć - stwierdził z podziwem Hulk. - Gdybym nie wiedział, to przysięgłbym, że to ty; Stile, przebrany w suknię. Widziałem w czasie Gry, jak ujeżdżałeś dzikie mustangi.

Stile zatopił się w ponurym milczeniu. Błękitna Pani rzeczywiście umiała jeździć lepiej, niż się spodziewał, ale wiedział, że nie utrzyma się na jednorożcu. A kiedy spadnie, Neysa zabije ją. Było to zgodne z prawem i przez wszystkich oczekiwane. I na co będzie mu wtedy Neysa?

Jednorożec wykonał przewrót do tyłu, potem młynek i kilka skoków w miejscu, zakończonych upadkiem na grzbiet. Pani czekała do ostatniej chwili, zeskoczyła i znowu wskoczyła, gdy tylko Neysa wstała na nogi.

Hulk nie mógł oderwać oczu.

- Co to za zwierzę? Przecież te sztuczki nie są możliwe! - zawołał zachwycony.

Gdzieś obok Stile'a rozległo się muzyczne parsknięcie. Obejrzał i ujrzał Pierwszego Ogiera. Przednie kopyta miał wygodnie skrzyżowane na murze, a wzrok wbity we współzawodniczkę.

Neysa zawróciła i skoczyła, obracając się w powietrzu. Ze stóp Błękitnej Pani zsunęły się pantofelki, a jej suknia rozwiła się tak gwałtownie, że aż się rozdarła. Na ziemię spłynął kawałek błękitnej mgiełki, ale jej dłonie wczepione były mocno w grzywę jednoroźca i Pani utrzymała się na grzbiecie.

Neysa potoczyła się jak beczka po ziemi. Błękitna Pani znowu zeskoczyła, lecz postrzępiony brzeg sukni dostał się pod jednoroźca, chwytając ją w potrzask.. Pani rozerwała suknię i odskoczyła, naga.

- Ale figura! - westchnął Hulk.

Neysa zaczęła wstawać. Błękitna Pani złapała ją za grzywę; a wtedy zwierzę oparło się gwałtownie głową o ziemię, przygniatając rozwiane, złote włosy kobiety. Pani sięgnęła w stronę uszu jednoroźca i Neysa błyskawicznie uniosła głowę. Stile, w czasie swojej pierwszej jazdy, nawet nie dotknął uszu, to nie było w jego zwyczaju. Błękitna Pani rzeczywiście znała wszystkie sztuczki! Ale Neysa trzymała teraz końce jej włosów w mocno zaciśniętych zębach. Jednorożec nie był wcale gorszy. Kiedy Pani spróbowała znowu wskoczyć jej na grzbiet, Neysa powaliła ją szarpnięciem za włosy.

- Cudowne! - mruknął Clip.

Pani jednak uchwyciła jedną ręką własne włosy, a drugą wcisnęła w pysk jednoroźca, wkładając palce w miejsce, gdzie u konia zakłada się wędzidło. Pomiedzy przednimi zębami, służącymi do wyrywania kęp trawy, a tylnymi używanymi do żucia, widniała przerwa. Ucisk w tym miejscu wywoływał silny ból. Pysk Neysy rozwarł się i Pani uwolniła włosy. A kiedy Neysa odskoczyła, Błękitna Pani była już na jej grzbiecie.

Neysa pogalopowała. Teraz Błękitna Pani nie miała już na sobie przeszkadzającej jej sukni i siedziała pewniej niż przedtem.

- Wygrywa - stwierdził lakonicznie Hulk, który wyraźnie jej kibicował, zapominając w podnieceniu, co to mogło oznaczać dla Stile' a.

Stile zaczął się zastanawiać, czy to możliwe, by Błękitna Pani zdołała poskromić Neysę? Widać była jeźdźcem nie gorszym od niego.

Ogier gniewnie parsknął.

- Co się dzieje z kłaczą? - przetłumaczył Clip. Powinna już dawno ją zrzucić.

- Rozdziera ją niepewność - zauważył Kurrelgyre. Jeśli Neysa przegra, to potwierdzi podejrzenie Błękitnej Pani, że Stile jest kłamcą; jeśli wygra, to udowodni, że jest on Błękitnym Adeptem, a pragnęłaby, żeby nim nie był.

Stile, choć nie odwrócił wzroku, poczuł, że wilkołak drży. Miał w stadzie samicę, tak samo jak Stile miał na Protonie Sheen, lecz zainteresowania Kurrelgyre najwyraźniej przekraczały linię dzielącą gatunki, podobnie zresztą, jak przydarzyło się to samemu Stile'owi. Któż zresztą mógłby, znając Neysę, nie polubić jej i nie szanować?

- W przyszłości sam będę o sobie decydował - mruknął pod nosem.

Nie spodziewał się niczyjej odpowiedzi, lecz usłyszał potwierdzające parsknięcie Ogiera.

Neysa pędziła tak szybko, że jej czarna grzywa i powiewające złote włosy Błękitnej Pani prawie się ze sobą zlewały. Skręcała tak ostro, że iskry leciały jej spod kopyt, wierzgała i stawała dęba, lecz Pani nie dawała się zrzucić.

Nagle Neysa rzuciła się w stronę zamku. Jednym skokiem pokonała wąską fosę, wylądowała na przednich nogach i runęła do przodu. Od strony wilków dobiegł pomruk zdumienia, a Ogier zdobył się nawet na pochwalne parsknięcie. Teraz Neysa naprawdę próbowała ją zrzucić, lecz Błękitna Pani była na tyle szybka, że zdążyła na czas zeskoczyć. Kiedy tylne nogi jednoroźca uderzyły z powrotem o ziemię, Pani znalazła się na grzbiecie.

Przeskoczyły z powrotem przez fosę i pogalopowały w kierunku magicznej ceglanej ściany. Stile ujrzał ogień wydobywający się z nozdrzy Neysy i usłyszał jej oddech, przypominający dźwięk kowalskich miechów - Neysa dawała z siebie wszystko. Błękitna Pani była prawie niewidoczna; jechała nisko pochylona, z głową przytuloną do szyi jednoroźca.

Stile patrzył z rosnącym niepokojem na wycelowany w mur róg jednoroźca. Stał dokładnie na jego drodze i widział róg przypominający końcówkę wirującego wiertła. Szeroko otwarte oczy Neysy nabiegły krwią, a jej rozdęte nozdrza miały czerwone obwódki. Neysa była u kresu sił, lecz Błękitna Pani mocno przywarła do jej grzbietu: Stile poczuł jak miesza się w nim ulga z powodu Pani, współczucie dla jednoroźca i obawa o siebie samego.

Neysa skręciła. Jej bok uderzył o ścianę, zrucając cały górny rząd cegieł i obruszając zaprawę murarską wiążącą kilka niższych warstw. Odbiła się i złapała równowagę. Błękitna Pani przywarła do jej drugiego boku. Gdyby tego nie zrobiła, groziło jej zmiżdżenie nogi. Stile, zbyt zaabsorbowany szarżą, by zejść z drogi, mógł również ucierpieć. Uratowało go tylko to, że Neysa w ostatniej chwili skręciła. Przez chwilę widział szyję, ramię i pierś Pani, na wpół ukryte za pokrzwioną ręką. Klacz natychmiast skoczyła na środek areny.

Ogier strząsnął z grzbietu cegły. Ani on, ani Kurrelgyre nawet nie drgnęli. Wszyscy trzej zasypani byli czerwonym, ceglany pyłem. Czerwień była wyraźnie lepka. Czyja to krew?

- Grają o wszystko - powiedział z trwogą Hulk.

- Tak się to robi na Phase - uspokoił go Kurrelgyre. Neysa opadła z sił. Skok na ścianę był ostatnią próbą. Błękitna Pani uniosła wysoko głowę i patrzyła triumfującym wzrokiem, lecz jej twarz była smutna. Może w głębi serca pragnęła, by Stile został oczyszczony z podejrzeń, choć mogło to kosztować ją życie? Jakże zresztą życie czekało tę nieugiętą kobietę po śmierci męża, gdy jej słabość ujawniona zostanie całemu światu? Gdyby przegrał, ona by zginęła; lecz umierałaby ze świadomością, że Błękitne Królestwo przetrwa.

I wtedy Neysa z rozpacz, na nic już nie licząc, spróbowała zmienić chód. Kroki na jeden; dwa, trzy i cztery takty nie sprawiły Błękitnej Pani większych trudności, ale nigdy nie zetknęła się ze specjalnością jednorożców - chodem na pięć taktów. Neysa od razu wyczuła niepewność jeźdźca; przyspieszyła, podkreślając jeszcze osobliwość chodu. Odzyskała na chwilę siły.

- Co to jest? - spytał zdumiony Hulk. Ogier parsknął z satysfakcją.

- To chód jednorożca - odparł Clip. - Używamy go w szczególnych okolicznościach. Nie wiedzieliśmy, że potrafi tak dobrze to robić.

Teraz sytuacja zmieniła się diametralnie. Błękitna Pani uchwyciła się grzywy, lecz jej ciało podskakiwało ze wzrastającą gwałtownością, nie mogąc dostosować się do nieznanego rytmu. Jazda wierzchem nie polega wyłącznie na tym, by trzymać się grzbietu wierzchowca, jeździec musi ciągle zmieniać pozycję i postawę, a większość tych ruchów jest w pełni automatyczna, jako wynik treningu. Całkowicie obcy chód sprawiał, że nabyte umiejętności pogarszały tylko sytuację. Stile zdążył przeanalizować w swoim czasie ten problem, lecz Błękitna Pani...

Jedna z jej rąk oderwała się od grzywy. Kobieta zaczęła się ześlizgiwać. Jeden gwałtowniejszy ruch i Neysa zrzuci ją. - Zabij! - szepnął Clip.

Neysa nagle zatrzymała się. Błękitna Pani odzyskała chwyt, utrzymała się na grzbiecie, lecz po chwili wypuściła grzywę z rąk i zeskoczyła na ziemię. Jazda była skończona.

- Idiotka! - wykrzyknął Clip. - Miała już zwycięstwo w garści! Dlaczego nie skończyła?

Ogier parsknął z głębokim obrzydzeniem.

- Utraciła miejsce w stadzie - powiedział ze smutkiem Kurrelgyre. - mówiąc, panie, twoim językiem, sprzedała mecz.

Stile zeskoczył z muru i poszedł do Błękitnej Pani i Neysy. Obie stały jak skamieniałe, patrząc w przeciwną stronę. Kiedy szedł, rozjaśniło mu się w głowie.

Neysa dobrowolnie zrezygnowała ze zwycięstwa, przedkładając dobro Stile'a nad swoje własne. Choć niechętnie, lecz rozumiała w końcu, że Stile spełnić mógł swe przeznaczenie tylko jako Błękitny Adept, nie zapominając też o magii. Udowodniwszy, że tylko on mógł ujeździć jednorożca, Neysa nie widziała celu, by zabić lub upokorzyć Błękitną Panią, która była naturalną partnerką Stile'a. Neysa oddała go Pani, by mógł poznać siebie i swoje Królestwo dokładnie tak, jak to zapowiedziała Wyrocznia. Pojęła, że był już na wpół zakochany w swojej alternatywnej żonie; rozumiała też, iż Pani była tego godna.

Neysa poświęciła dla Stile'a swoją własną miłość. Udowodniła Błękitnej Pani, jedynej osobie, którą trzeba było o tym przekonać, że Stile nie jest oszustem. Wilki i jednorożce mogły dalej wątpić, ale nie Pani. Stile przetrzymał bez upadku chód jednorożca; naprawdę był lepszym jeźdźcą. To był jej dar dla niego, a on musiał go przyjąć. Błękitna Pani była kobietą przeznaczoną mu przez los. Nie znał jej jeszcze, lecz sądził, że jego sobowtór wybierał mądrze, a to, co widział, potwierdzało takie przypuszczenie.

Jednak Błękitna Pani nie była jeszcze jego kobietą. Ujmując to inaczej, można powiedzieć, że Stile zakwalifikował się dopiero do Turnieju i zdobył prawo, by ubiegać się o jej względy. Będzie musiał sprawdzić się w wielu innych sytuacjach i dowieść, że jest równie dobry jak jej mąż. Może się mu nie udać, gdyż Błękitna Pani była bezgranicznie oddana swej pierwszej miłości. Teraz przyjmie go jako pana Błękitnego Królestwa i poprze go publicznie, tak jak popierała golema, by ocalić reputację i dobre czyny Błękitnego. Tego miał prawo się spodziewać i na razie musiało mu wystarczyć.

Problemem była Neysa, dzięki której to wszystko stało się możliwe, a która teraz wykluczona zostanie ze stada. Będzie musiała odejść ze wstydem, by rzucić się z tej samej skały, na szczycie której zawarli ugodę. Dotąd miała nadzieję, że w końcu Pierwszy Ogier ustąpi i pozwoli jej na pełne uczestnictwo w życiu stada. Uczyniłby to, gdyby zabiła Błękitną Panią. Teraz, kiedy zdecydowała się na remis w pojedynku, który mogła wygrać, uraziła dumę stada. Nie mogło być dla niej przebaczenia. Honor gatunku domagał się nieugiętości.

Stile, pokonawszy Neysę, zwrócił jej wolność i w ten sposób zyskał najlepszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miał. Teraz ona odwdzięczyła mu się za to.

Idąc, spojrzął na otaczające ich wilkołaki i jednorożce. Wszystkie przyglądały mu się z powagą, wiedząc co musi zająć. Czują, że żegna się ze swoim najbardziej oddanym przyjacielem. Polubili i jego, i klacz, lecz uważali to za drobną tylko tragedię. Tak zawsze załatwiano się podobne sprawy na Phase.

- Do diabła z tym! - pomyślał. Nie pochodził przecież stąd. Wychowany był w świecie o innej wrażliwości, gdzie nie wymagano krwawych ofiar. Jak miał pogodzić się z tą bezsensowną stratą? A przecież czuł, że tutaj miało to jakiś sens. Prawa tego społeczeństwa były surowe, ale słuszne.

Wziął harmonijkę. Grał, a pole magii zagęszczało się wokół niego, a potem wokół Pani i jednoroźca. Czy z pomocą magii można rozwiązywać dylematy etyczne? Jakiego zaklęcia miał użyć, by usunąć nieusuwalną konieczność?

Stile stanął naprzeciw Neysy, grając melodię, do której inspiracją był dźwięk jej rogu. Dyszała ciężko wyczerpana ekstremalnym wysiłkiem. Jej grzywa była splątana, tkwiły w niej suche liście, a kilka pasm wisiało po lewej stronie. Na grzbiecie miała trochę krwi; musiała się skaleczyć, uderzając o zamkowy mur. Pragnął ją wyleczyć jednym małym zaklęciem, ale czuł, że nie byłoby to właściwe. Spojrzała mu w oczy apatycznym wzrokiem; czekała tylko, by ją pożegnał.

Przypomniała mu się sytuacja z maratonu na Protonie. O mało co nie zginął, biegnąc, tak jak Neysa, lecz udało mu się zwyciężyć, podobnie jak teraz jej. I wtedy usiłował odstąpić triumf przeciwnikowi, którego szanował. Zyskał przyjaciela. Gdyby mógł uratować również swoją przyjaźń z Neysą!

Co mówił wilkołak o przysiędze? Przysięga ważniejsza jest od wszelkich innych związków, nawet związków płci, lecz się z nimi nie kłóci.

Maraton. Przysięga. O czym myślał wtedy, gdy...? Nagle zrozumiał.

Odłożył harmonijkę. Magia kipiała wokół niego, gdy śpiewał na zaimprovizowaną nutę:

- Jestem Stile, zwany Błękitnym Adeptem. Stojąc tu przed wami przysięgam uroczyście Neysie - przyjacielowi i rumakowi - niech na zawsze połączy nas przyjaźń.

Przez chwilę wydawało się, że gęsta chmura przesłoniła słońce. Nagły, niesamowity, skierowany do środka podmuch zaszeleścił w oddalonych drzewach, zatrzepotał zamkowymi chorągwiemi, poruszył grzywy i sierść zwierząt. Oczy Neysy rozszerzyły się. Jej uszy poruszały się do przodu i do tyłu, w miarę jak zaczynała rozumieć. Zakłopotana przekształcała się w dziewczynę, konia, świetlika i znowu w jednoroźca.

Kręgi magii zacieśniły się wokół Stile'a i Neysy, odbiły się i zaczęły rozszerzać na zewnątrz. Na trawie pojawił się szybko przesuwający się krąg, w obrębie którego darń błyskawicznie zmieniała kolor, przechodząc przez wszystkie odcienie tęczy, wróciła do naturalnej barwy. Fala objęła, Błękitną Panią, której potargane włosy zaiskrzyły się przez chwilę i kiedy odeszła, opadły idealnie gładkie.

Pani odwróciła się ku niemu.

- Tylko absolutna prawda czyni podobne kręgi - powiedziała cicho. - Jedyne mój pan miał taką siłę magii. Stile rozpostarł ramiona. Neysa, z sercem przepelnionym uczuciem, podeszła do niego z rogiem podniesionym wysoko do góry. Stile objął ją za szyję i przytulił.

- Nigdy już nie opuścisz mnie, przyjacielu - powiedział cicho.

Usłyszał ciche, lecz potwierdzające rżenie i poczuł na ramieniu dotknięcie jedwabistych chrap. Opuścił ręce i odsunął się od niej.

Błękitna Pani podeszła bliżej i także objęła Neysę.

- Nigdy więcej nie będzie między nami sporów - powiedziała ze łzami w oczach.

Neysa cichutko parsknęła na zgodę.

Zaczęły teraz podchodzić wilki i jednorożce, ustawiając się w nierówny szereg i nie przejmując się wcale pomieszaniem gatunków. Każdy wilk trącał się z Neysą nosem, a każdy jednorożec krzyżował z nią swój róg i odchodził. Wszystkie zwierzęta przyłączały się do Przysięgi Przyjaźni. Nawet jej brat, Clip, i Kurrelgyre i Hulk. Neysa przyjmowała wszystkich.

Stile wiedział, że sprawiła to potęga jego magii. Kiedy ubierał przysięgę w słowa i muzykę, uprawiał magię. Sporządził zaklęcie silniejsze nawet, niż się spodziewał. Zaklęcie, które sobie wyobraził, choć nie wypowiedział tego słowami, objęło swą rozszerzającą się magią cały krąg zwierząt, sprawiając, że podzieliły uczucia Stile'a. Neysa nie będzie więcej wykluczana ani ze swojego stada, ani z watahy. Będzie dla wszystkich przyjacielem, a jednocześnie pozostanie na zawsze ze Stilem, akceptując wraz z przysięgą również jego moc.

Tylko Pierwszy Ogier pozostał na swoim miejscu. On jeden oparł się sile zaklęcia. Nie przeszkadzał. Czekał spokojnie w swoim zamknięciu na zakończenie ceremonii. Potem wydał z siebie potężny, przyzywający muzyczny akord i przeskoczył przez mur. Jednorożce galopowały teraz ku niemu, formując się w stado. Zniknęły na horyzoncie, dźwięcząc jak potężna orkiestra.

Kurrelgyre przemienił się w wilka i zawył przyzywająco. Jego wiara w Stile'a została usprawiedliwiona. Wilki skupiły się wokół niego i oddaliły się susami w przeciwnym kierunku niż jednorożce. Po chwili w Błękitnym Królestwie pozostali tylko: Stile, Neysa, Pani i Hulk.

- Pani, czy nie zechciałabyś dosiąść mego rumaka? spytał.

Nie było potrzeby prosić Neysy; zrobiłaby dla niego wszystko, tak jak i on dla niej. Formułując tak swe zaproszenie, Stile przyznawał, że ma tylko ograniczone prawa w stosunku do Błękitnej Pani i nie może być zbyt pewny siebie. Pani była wyzwaniem, a nie

przyjacielem.

Błękitna Pani, teraz równie królewska w swej nagości, jak przedtem w szacie, skłoniła głowę. Lekkim ruchem wskoczyła na grzbiet Neysy. Stile kroczył u jednego jej boku, Hulk u drugiego. Błękitny Adept wracał do Błękitnego Królestwa.